



SIOSTRY Z LASU

Adrianna
Trzepiota



Adrianna
Trzepiota



SIOSTRY Z LASU



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

1. Jak przypadkiem wywołać magię
2. Tam, gdzie zaczynają się morza księżycowe
3. Co widziała Tove?
4. Szajka Laabana
5. Gdy upomni się przeznaczenie
6. Dar
7. Pogoń
8. Wprawiając w ruch pradawne moce
9. Bałabuch
10. Tęsknota za drogą, którą się nie podąża
11. Gdzieś na skraju czasów
12. O tym, jak nosi się pod skórą nie swoje serce
13. Tajemnica jeziora
14. O myślach splątanych jak rybackie sieci
15. O tym, że zwykły zbieg okoliczności może być tym najważniejszym w życiu
16. Ziele starej kobiety

Redakcja
Małgorzata Starosta

Korekta
Beata Gołkowska

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
© *AdobeStock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Sylwia Kubik, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-18-9



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

"Gietrzwałdzkiej Pani
-- widzianej na Ziemiach Pruskich,
Strażnicze życia i dawnych opowieści"

*Nie jest pradawną czarownicą
ani zwykłą kobietą.
Jest kimś pomiędzy,
a z tymi pomiędzy jest najwięcej kłopotów.*

-- A kobieta?

-- O, złociutka, kobieta to coś zupełnie innego. Kto wie, gdzie zaczyna się i kończy jej istota? Posłuchaj, moja pani. Mam korzenie głębsze niż ta wyspa, niż morze; starsze niż lądy świata. Wywodzę się z ciemności. -- Oczy czarownicy rozbłysły osobliwym blaskiem. Jej głos zadźwięczał niczym dziwny obcy instrument. -- Z pradawnych ciemności. Istniałam, jeszcze zanim powstał księżyc. Nikt nie wie, nikt nie potrafi rzec, kim jestem, kim jest kobieta. Kobieta obdarzona mocą. Jej moc jest głębsza niż korzenie drzew, niż korzenie wysp. Starsza niż stworzenie, niż księżyc.

Wiedźma kołysała się, nucąc monotonie, całkowicie pochłonięta swym śpiewem. Tenar wyprostowała się i paznokciem kciuka rozszarpała z góry na dół następną łodyżkę sitowia.

-- Ja -- odparła.

Sięgnęła do miski.

-- Dostatecznie długo żyłam w mroku -- rzekła.

Ursula K. Le Guin, *Tehanu*, przełożyła Paulina Braiter,
Prószyński Media, Warszawa 2013.



PROLOG

-- Wstawać! Do stu tysięcy nocnych zjaw, wstawać! -- Laaban krzyczał na kompanów, chodząc od jednego namiotu do drugiego. -- Za dużo ziela lulka, stanowczo za dużo! Tak was otumanił, że nie jesteście w stanie iść dalej. -- Przywódca szajki już od samego rana szalał ze złości, jego ciemne oczy zamykały się co chwilę. Zaciskał zęby, a przy tym również usta, które zaczynały sinieć pod naciskiem. Wyglądał na mocno zmęczonego, jakby toczyła go jakaś choroba. -- Wstawać, łotry! Nie pozwolę wam zginąć na tej ziemi.

Kompani natychmiast powychodzili z namiotów. Naprzeciw Laabana jako pierwszy stanął Norman. Przez chwilę patrzyli na siebie jak mierzące się przed atakiem zwierzęta, gdy wreszcie rudy przyjaciel się odezwał:

-- Od pewnego czasu jesteś jakiś nieswój, snujesz się pomiędzy namiotami, a twoja blizna z dnia na dzień robi się coraz szersza i bynajmniej nie jest to spowodowane nadmiernym strzelaniem z łuku, bo odkąd tu stacjonujemy, ani razu nie poszedłeś z nami na polowanie. -- Złapał go za ramiona, a Laaban mało się nie wyrwał.

-- Znowu nie mogę zmrużyć oczu -- odpowiedział niepewnie. -- Wystarczy, że przysnę na chwilę, zaraz się budzę, i tak noc w noc. Nie mogę już tego znieść. Jestem zmęczony tak bardzo jak po najcięższej bitwie.

-- Nie wiesz, co zrobić? -- Norman stuknął zawadiacko butem o but. -
- Pij więcej miodu! -- Roześmiał się na cały głos. -- Prawdziwy wojownik zasypia w trakcie picia lub zaraz po.

-- Ty się śmiejesz, a ja niedługo zobaczę się z naszymi przodkami, jeśli ta dziwna przypadłość mnie nie opuści. -- Spoglądając na obłe cielsko

Normana, starał się zakrywać usta rozchylone od ziewania. Jego oczy wyglądały jak dwa ledwo tłące się węgle. Tylko posturą przypominał gotowego do walki zbrojnego mężczyznę.

-- To przez tę jędzę, co to jedziemy ją ubić, twoje ciało jest jak niesione na marach. Baba wypuszcza ku nam pewnie te swoje złowróźbne czary.

-- Tak myślisz? -- Laaban odezwał się z nieskrywaną nadzieją w głosie.

-- Tak. Jak będziemy blisko, to podniosą się mgły. Nie pamiętasz? Już przez to kiedyś przechodziliśmy, musi być stara, skoro nie chce uciekać, tylko próbuje nas omamić. Jak ją ubijemy, to zaśniesz jak dziecko.

-- Ludzie ze wsi mówili, że to gdzieś na mokradłach. Nie będzie łatwo. -- Laaban jeszcze raz zasłonił usta ręką, drugą wyciągnął mapę i rozwścieczony poszedł ku namiotom.

Teren nie należał do najłatwiejszych. Najpierw szli przez dość twarde poszycie leśne. Gałęzie co i rusz niespodziewanie chłostały ich twarze, a gdy zarośla stawały się bujne, wyciągali noże i trzech pierwszych piechurów cięło je ostrzami, torując łatwiejszą drogę pozostałym. Po kilku godzinach marszu zrobili przerwę, ale Laaban nie pozwolił na dłuższe biesiadowanie, chciał jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca. Gorzała w nim jakaś złość, przelewała się jak wino w kielichu. Nie wiedział, czy jest zły sam na siebie, czy na los.

Rozróżniali dwa typy czarownic, na które polowali. O jednych mówili "wiedźma", o drugich "leśna baba". Ta pierwsza miała talent przemiany, ich bali się najbardziej, ale wierzyli, że stal, z której wykonane są ich strzały, odpędza wszelkie złe moce. Druga była bardziej "ludzka", ale tak samo ważna, zamawiała choroby, odpędzała uroki, zbierała zioła. Uważali, że łatwo je rozróżnić, bo ta druga zazwyczaj bywała starsza, wyglądała dokładnie tak, jakby z wiekiem traciła nadprzyrodzone moce. Młodszym przypisywali większe zdolności i mówili, że są bardzo urodziwe, nawet te, których głowy pokryły się siwizną, nadal miały oczy pełne i namiętne. Czasem było im żal tych kobiet, wiedzieli, jaki czeka je

koniec, ale słowa przysięgi, które złożyli Laabanowi, były ważniejsze niż ich krzyki i błagalne prośby.

Laaban podniósł rękę, dając tym samym znak, że wszyscy mają się zatrzymać. Pociągnął nosem, jakby to właśnie nim wyczuwał zagrożenie. Czuł w powietrzu duszący zapach siarki pomieszany ze zgnilizną wydobywającą się z bagien. W chmurze opadających mgieł był mocno wyczuwalny swąd świeżo zjełczających jajek wymieszany ze zgniłymi liśćmi i padliną. Mężczyźni zaczęli kichać i pluć, zasłaniając usta i nosy. Wszyscy czekali na sygnał.

Przywódca, wciąż trzymając rękę w górze, ostrożnie stawiał pierwsze kroki. Podnosił nogi wysoko, wyglądał tak, jakby chciał w ten sposób przeskoczyć mgłę, która napierała coraz bardziej gęsta. Nagle zatrzymał się, ukucnął by poprawić nogawkę, następnie odrzucił na plecy warkoczyk, wyciągnął nos do góry i mocno rozpostarł przed sobą ręce, szukając czegoś ponad mokradłami. Dotykał maleńkich trawek, jak i tych dłuższych, zazielenionych liści, oglądał nawet zgniłe i spróchniałe pnie, aż w końcu odchodząc na dość znaczną odległość, spowity we mgle, wyrwał z ziemi zielsko przypominające kielichem biały lejek.

-- Czermień błotna? Cóż u licha wymyślił? -- szepnął pod nosem zaintrygowany Norman.

Laaban ponownie ukucnął, zdejmując z pasa worek, i wygrzebał z niego polane dziegiem szmatki. Niewielkich rozmiarów zawiniątka bezpiecznie umieścił wewnątrz kielicha i gdy już konstrukcja była gotowa, zwinnym ruchem, trąc jedno krzesiwo o drugie, podpalił materiał. Ogień zasyczał i strzelił w powietrze, kielich kwiatu przypominający lejek wyglądał jak maleńka latarenka. Umieścił ją z powrotem w poszyciu:

-- Zaczęło się. Zmierzch zapada, będziemy szli drogą, którą wyznaczą tymi ognikami. Czermień rośnie tam, gdzie ziemia jest twardsza, idźcie dokładnie za mną, a nie zapadną wam się nogi, będziemy szli wolno, byle do celu. Mgła będzie dokładnie tam, gdzie wy. Będzie otaczała nas z każdej strony, nie ulegnijcie złudzeniom, że dwa kroki dalej widoczność się poprawi. Ta mgła to rzucone przez staruchę czary. Tylko czyha, żeby któregoś z nas wessało bagno. Za mną! -- krzyknął ku swoim dru-

hom, a ci, pokrzepieni mową, wyostrzyli wzrok, by w tym czarodziejskim mleku dostrzec poświatę ognia.

Idąc śladami wyznaczonymi przez Laabana, nie mogli oprzeć się wrażeniu, że ta droga nie będzie miała końca. Mijając co chwila nierzezywiste w swej urodzie jęzory ognia, podśmiewali się nawet z przywódcy, że ich ostatni tak długi postój uczynił go jakoś dziwnie wrażliwym, ale gdy tylko zniknął im z pola widzenia, natychmiast milkli i przyspieszali kroku.

-- Stać! -- Głos Laabana, cichszy niż zazwyczaj, rozniósł się po pustkowiu. Przywódca odganiał ręką nieprzyjemne komary i muszki, których wraz z nastaniem wieczora zaczęło przybywać. -- Do stu tysięcy grzmotów, brakuje tylko, żeby jeszcze zesłała na nas jakąś plagę.

-- Laabanie, spójrz w prawo, tam chyba znajduje się źródło twojego zabobonu. -- Norman skinieniem głowy wskazał na majaczący w oddali niski, drewniany, rozsypujący się ze starości dom, w którego oknach tliło się światło.

Naraz przestali rozmawiać, widzieli, jak mgły odklejają się od ich ciał i skupione w jedną mleczną masę płyną przed siebie, szybując wprost na dom, który wessał je w siebie wszystkimi szczelinkami i szparkami. Zaciągnął się oparami jak dymem z fajki.

Laaban cofnął się, jakby otrzymał jakiś bolesny cios. Potarł nerwowo bliznę i chwycił za łuk.

-- Okrążyć dom! -- krzyknął, rozganiając mroczną ciszę. -- Ona już czeka.

Mężczyźni zrobili, jak im kazał. Nie dawali po sobie znać, że strach zagościł w ich sercach. Wszystkie polowania na czarownice były od siebie różne, ale każde z nich mogło być ostatnim. Nigdy tak naprawdę do końca nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. O czarownicach mówiono różnie: że są wybrankami czarnych mocy, znachorkami uzdrawiającymi ludzkie ciała i dusze, władczyimi i niezależnymi wariatkami, strażniczkami granic własnej godności, które za niewyparzony język zawsze musiały płacić srogą karę. Niektóre z nich dobrowolnie wybierały życie na uboczu, inne wygnane z domów czy miast, wytykane palcami, wyszy-

dzane, szukały ukojenia na obrzeżach miast lub w leśnych kniejach, jakby już samym swym miejscem zamieszkania stały na przecięciu światów ludzi i duchów.

Przywódca ostrożnie stawiał kroki, zbliżając się do chaty. Zatrzymał się, gdy na spróchniałym płocie okalającym niewielkie gospodarstwo dostrzegł kilka powbijanych czaszek, wewnątrz których tlił się ogień. Drżały mu nogi i ręce. W rękę trzymał ostry nóż, łuk cały czas dzierżył na plecach. Nie mógł złapać tchu, oddychał niemiarkowo, ciężko. Próbował się uspokoić, dobrze wiedział, że kiedy oddech przodków i oddech człowieka połączą się ze sobą, nic nie jest w stanie go zatrzymać. Wyostrzył wzrok, węch i słuch i ostrożnie wszedł do środka. Drzwi zaskrzyptały, odgłos był tak nieprzyjemny, że mógłby obudzić nawet zmarłych. Czuł, jak koszula od potu przykleja się mu do pleców.

Do ścian domu poprzybijano poroża jeleni i małych koziołków, niektóre z całymi czaszkami. Kości porozwieszano na całej przestrzeni od podłogi do sufitu. Miał wrażenie, że wszedł do jakiejś klatki, która od wewnątrz miała przymocowane kolce. Na porożach wiszących tuż nad sufitem suszyły się zioła, nie rozróżniał ich wszystkich, ale zapach i wygląd szafwii rozpoznałby wszędzie. Na stole tuż pod oknem znajdowały się trzy ogromne świece. Były świeżo zapalone, informując, że ktoś tu był przed chwilą albo nadal jest.

Podszedł do wysokiej szafki zbitej z brzoźowych desek. Przyglądał się glinianym słoiczkom z wygrawerowanymi napisami: piołun, mandragora, czarcie ziele, góra wiatrów, skrzyp polny, kwiat lipy, pyłek kwiatowy, żywokost, popiełuszka, śpiące lichy. Na tym ostatnim zatrzymał wzrok, gdy nagle poczuł dojmujący chłód na swoich stopach. Drzwi, którymi wchodził, trzasnęły z hukiem, tak że garnuszek ze śpiącym lichem podskoczył i turlając się po półce, spadł na kamienną podłogę, po czym roztrzaskał się na wiele małych kawałeczków. Pod resztkami naczynia leżał zielony piasek, wokół którego zaczęły się zbierać szarobrunatne opary.

-- Do licha! Cóżes zrobił?! Natychmiast otwórz okno! -- Ciężki i mocny głos wprowadził Laabana w osłupienie. Gula strachu wypełniła mu

usta jak lepka maź. Zdążył się odwrócić, a trzymany w ręku nóż wycelował wprost w źrenice czarownicy. Jej pomarszczona twarz wyglądała jak wiekowa siatka na ryby. Linie meandrowały od uszu do nosa, od wąskiej linii warg do opadających kąców oczu. Drobne siatki fioletowych żył rysowały się na starczych rękach. Miała długie i brudne paznokcie, bliżej nieokreślony kolor włosów schowany pod brązową chustą i długą, ciągnącą się aż po ziemi suknię, która wyglądała jak przybrudzona, szara szmatka. Kobieta, nie zważając na uzbrojonego mężczyznę, podeszła do okna i otworzyła je na oścież:

-- Sen i mara, duch i wiara... No, już. Kysz, kysz do siebie, mój panie!

-- Skierowała brudne ręce ku szarobrunatnym oparom, a te przemieściły się w stronę okna i dość szybko opuściły pomieszczenie. Wychyliła się za okno, spluwając trzy razy w krzaki, które bujnie pod nim rosły, i gdy już ukończyła swój rytuał, natychmiast je zamknęła. Usiadła na dość okazałych rozmiarów krzesle, którego oparcie i siedzisko były wykonane z witek brzoźowych. Wyglądała jak pomarszczony owoc zawinięty w szmatki. Ze spokojem w oczach patrzyła na przestraszonego Laabana.

-- Witam cię w mojej chacie z szacunkiem należnym wędrowcom. Cóż cię do mnie sprowadza, łotrze? -- Stukając pazurami w oparcie krzesła, cierpliwie czekała na odpowiedź.

Laaban był całkowicie wytrącony z równowagi. Zupełnie nie wiedział, czego się spodziewać. Zazwyczaj musiał je gonić, mierząc z dalekiej odległości z łuku, czasem już schwytane wyrywały się jego kompanom, gryząc ich nadgarstki do krwi i rzucając klątwy. Pierwszy raz był w tak niezrozumiałej sytuacji.

-- Nie uciekasz? -- wycedził przez zaciśnięte zęby. Pot kapnął z czubka jego nosa wprost na zielony piasek.

-- A po cóż? Dokąd? Nie lepiej poczekać, aż się wypełni? Nie do mnie należy przyspieszać bieg wydarzeń. Nie dotykam się takiej magii.

-- Przecież mogę cię teraz zabić.

-- Bij, bij, ubij, przecież po to tu jesteś. -- Staruszka zachichotała zło-wieszczo, odsłaniając szereg spróchniałych, czarnych zębów. -- Laaban poczuł na swojej skórze zimne dreszcze.

-- Co było w tym zbitym słoiku? -- zapytał niepewnie, wyczuwając jakiś podstęp.

-- Leśne licho, przecież widziałeś napis. Zbiłeś garnuszek i wypuściłeś go do lasu, teraz będzie ci trudno wrócić do domu. -- Znów odsłoniła zęby i się roześmiała. Laabana zaczynało jej zachowanie irytować, ścisnął w dłoni mocniej nóż i się wyprostował. Staruszka przesywała go wzrokiem, kontynuując: -- W tym domu każde słowo nabiera odpowiedniej siły, a każdy czyn znamion magii, uważaj, o czym myślisz.

Laaban zaczynał się denerwować, odczuwał dziwny ból w skroniach, który z minuty na minutę przybierał na sile. Kątem oka widział poroża, zdawało mu się, że rozwieszane kości kłują go w plecy.

-- Jak można żyć w takiej samotni? -- wymknęło mu się z ust. Był zaskoczony tym, co powiedział, zupełnie jakby to nie były jego słowa.

-- A kto powiedział, że jestem tu sama? Są ze mną dusze. -- Czarownica znów się roześmiała w ten charakterystyczny sposób.

Laaban nie mógł już tego znieść, ta rozmowa donikąd nie prowadziła. W jednej chwili przypomniał sobie, po co tu przybył. Jednym zwinnym ruchem lewej ręki wyciągnął łuk, prawą strzałę, napiął cięciwę i już miał strzelić prosto w serce staruszki, gdy zauważył, że strzała, którą wyciągnął, miała szare lotki. Jak mógł się tak pomylić?

Staruszka ze spokojem obserwowała jego każdy ruch i zaczynała wpadać w obłąkańczy śmiech. Czasem zatykała ręką usta, ale nieporadność wojownika była dla niej komiczna. Laaban szukał czerwonej lotki, lecz ku jego zdziwieniu nigdzie jej nie było. Czuł się tak zmęczony ostatnimi wydarzeniami, że nawet nie chciało mu się przejrzeć i przygotować broni przed polowaniem na czarownice. Jak mógł dopuścić się takiego zaniedbania. Jego zraniona ambicja wrzała niczym podpalony stos. Leśna baba śmiała się do rozpuku, a wojownik miał tylko jeden obraz przed oczami. Niewinną Tove.

Krzyknął z całych sił:

-- Norman, bierzcie staruchę na próbę wody!

Do pomieszczenia wbiegli mężczyźni uzbrojeni w noże i łuki. Otoczyli czarownicę z każdej strony, tworząc półokrąg, ale na schwytej

nie zrobiło to żadnego wrażenia. Siedziała na krześle jak na leśnym tronie, wpatrzona poźółkłymi ślepiami w Laabana. Śledziła jego każdy ruch. Szajka mówiła do niej, drwiła z wyglądu, wyszydzała dom, wewnątrz którego dało się wyczuć i zauważyć grzyb na pleśniejących gdzieś ścianach, obrzucała nawet wyzwiskami, ale Laaban natychmiast skarcił kompanów, mówiąc, że nie przyszli tu po to, żeby obrażać. Kiedy mężczyźni próbowali podnieść staruszkę z krzesła, Laaban nie swojo kręcił się po izbie, a jego cień padający na poroża stawał się coraz większy. Powinien teraz skupić się na pojmanej, lecz cały czas liczył strzały. Brakowało mu jednej, tej najważniejszej. Włosy zaczęły wchodzić mu do oczu, nerwowym ruchem głowy starał się je odgarnąć. Wyglądał, jakby miał tik nerwowy. Leśna baba przestała się już odzywać, siedziała w milczeniu, świdrowała przywódcę wzrokiem, wyglądała tak, jakby rzucała na niego oczami jakieś zaklęcie albo urok. Mężczyźni próbowali ją podnieść, chwytając za ramiona, ale była ciężka jak kamień. Mieli wrażenie, że gusłami specjalnie przykleiła się do krzesła, żaden z nich nie miał odwagi spojrzeć jej prosto w oczy. Było w niej coś, czego nie umieli ująć słowami, pewien rodzaj siły i dumy, której nie powstydziliby się żaden wojownik. Nie skamlała jak pies prosząc o życie, nie bała się, tylko czekała.

-- Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę, jesteś tchórzem, Laabanie, dobrze, że twoja matka nie musi patrzeć na to, co robisz.

-- Milcz starucho! -- krzyknął na tyle głośno, że wszyscy mężczyźni oprzytomnieli, znów próbując postawić leśną babę na nogi, zaczęli szeptać między sobą, że trzeba rozpruć jej brzuch, bo najadła się kamieni, a starucha? Nadal patrzyła w znanym tylko sobie kierunku. Widocznie czary rozluźniły swe macki, gdyż mężczyznom udało się, choć z wielkim trudem, podnieść czarownicę. Norman związał jej natychmiast liną nogi, rozstawiając je na dość bezpieczną odległość, tak żeby mogła sama iść. Ręce również potraktował w ten sam sposób. Uderzając ją w plecy, kierowali ku wyjściu, a tylko jej żółte ślepie, wystające spod opadającej na twarz chusty, bystro spoglądały na rzeczywistość.

Kiedy dotarli na miejsce, patrzyli po sobie niepewnie. Nie mieli odwagi zapytać Laabana, dlaczego nie strzelił do niej od razu. Mieliby już problem z głowy. Na jeziorze rysowała się wyraźna tafla, można było przejrzeć się w niej jak w lustrze. Mroczną ciszę przecinało jedynie namolne brzęczenie owadów, które zamieszkiwały mokradła. Przywódca podszedł do leśnej baby i jednym ruchem ręki wyciągnął jej szmatkę z ust. Staruszka poruszyła suchymi, sinymi wargami, ale nic nie rzekła.

-- Chcesz coś powiedzieć? -- Patrzył jej w oczy, już teraz nie bał się konfrontacji. Staruszka milczała, wyciągnęła ku niemu związane ręce. -- Mam cię rozwiązać, czarciu niemowo? -- mruknął, dokańczając. -- Jeśli jesteś prawdziwą czarownicą, to nawet związana będziesz unosiła się na wodzie, a wtedy wyciągniemy cię z niej i spalimy na stosie. Jeśli niewinna, pójdiesz na dno. Może już wiesz, który wariant wybierasz? -- Westchnął ciężko, jakby był znużony tą sytuacją.

Staruszka nagle rozejrzała się wokół, podniosła związane ręce, a cała natura jakby zaczęła się zmieniać. Zerwał się wiatr, rozganiając źdźbła nadbrzeżnych trzcinowisk, podniosły się fale, z głośnym chlupotem rozbijając się o brzeg. Staruszka odwróciła się do Laabana i zaczęła śpiewać głosem mocniejszym i donioślejszym aniżeli echa wrześnieowych rykowi-

*Kiedy drzewa przemówią, opowiadając dawne dzieje,
A wszystkie rośliny staną się ziołami leczniczymi,
Głos zapyta o wszystkie twoje tajemnice,
Czy dajesz uczciwe plony?
Czy szukasz pradawnej głębi?
Przyjdzie kobieta, o której mówią dobrze i źle.
Będzie miała władzę nad niejasnym światem,
Wezwie umarłych i przyjdą.
Ja nie śmiem mówić nic więcej,
Nie chcę narażać duszy,
Kapłanka cieni, bogini pustkowie.
Ulegniesz jej pożądaniu, Laabanie,
Rozległemu jak wzburzone morze,*

*Zapagniesz usiąść przy niej,
By twoje oczy mogły spoglądać na jej cząstki światła,
Jak na twoją niespełnioną całość.
I znów staniesz się śmiertelny...*

Słowa staruszki wywołały w nim ciepłe wspomnienia, o których tak bardzo chciał zapomnieć. Przecież wojownik nie może kochać, ma budzić w innych postrach, łamać krwawe wróżby i zabijać. Naraz stanął przed nim jak żywy obraz tylko jednej kobiety, która potrafiła ukoić jego brudne myśli i sprawić, by sen znów stał się przyjemnością. Patrzył na ten obraz pustymi oczami, w jej kasztanowe włosy, zielone oczy, chciał gładzić skórę, która była tak delikatna.

-- Musisz sprostać siłom, które wzywasz, bo rozlew krwi rozwściecza duchy drzew i przodków -- rzekła na koniec, wymierzając mu wrogie spojrzenie.

-- Zamilcz, czarcia babo! Związać razem jej nogi i ręce!

Norman natychmiast zerwał się na równe nogi i podbiegł do staruszki. Brutalnie pociągnął ją za wystawione ku niebu nadgarstki i pchnął na ziemię. Kobieta upadła z głośnym krzykiem, coś gruchnęło w jej kościach. Poczowała nieznośny trzask wewnątrz kości udowej, nie miała siły, by walczyć. Łzy bezsilności płynęły jej po twarzy. Szeptala tylko *i tak musiałoby się kiedyś wypełnić, i tak...*

Przywiązali ją jak psa, sznurem wokół szyi. Norman posłużył się najdłuższą liną, za pomocą której miałyby zostać wyciągnięta, jeśli zgodnie ze zwyczajem unosiłaby się na wodzie. Drugą, krótką liną związali jej razem nogi i ręce. Laaban na koniec ponownie zakneblował jej usta. Nie miała szans, by przeżyć. Czterech, tych najbardziej rosnących mężczyzn, wzięło ją na ręce. Wyglądali, jakby nieśli ponad głowami ogromny wór kartofli.

Jaromir -- najmłodszy z całej szajki -- wysoki na dwa metry chłopiec, który już od dłuższego czasu brodził nagi w wodzie, żeby sprawdzić, gdzie zaczyna się odpowiednia głębina i kończy grunt, zawołał ich, wskazując miejsce. Wchodzili do wody dziarskim krokiem, wzburzając ją coraz mocniej. Śpiewali butne pieśni pełne zachwyty i podziwu dla poła-

wiaczy czarownic. Oszołomieni swoją siłą, szczęśliwi, że znów udało im się zapanować nad światem, którego żaden z nich tak naprawdę nie chciał zrozumieć. Nieśli ją jak trofeum, a gdy już byli w odpowiedniej odległości, na głośny gwizd Laabana wrzucili ją do wody, pilnując, żeby sznur, który był przywiązany do jej szyi, pozostał w ich rękach. Norman trzymał ją jak na bardzo długiej smyczy. Była tak mocno skrępowana, że mogłaby się utopić nawet w płytkiej wodzie. Mężczyźni śmieli się i opowiadali sprośne żarty, patrząc, jak kobieta się szamocze, ostatkiem sił łapiąc powietrze. Woda wpływała jej haustami do ust, starucha próbowała ją wypłukać, krzyczała, ale nikt jej nie słuchał. Przez krótki czas ubrania utrzymywały ją na powierzchni, lecz gdy już całkowicie nasiąknęły, zaczęły ciągnąć ją w dół. Staruszka nie miała już sił, by walczyć; początkowo za wszelką cenę starała się balansować na plecach, ale z czasem stawało się to coraz trudniejsze. Rozsadzało jej płuca, traciła z wolna świadomość, woda była wszędzie, wlewała się w nią każdą szczelinką. Słyszała, jak się śmieją, widziała na sobie ich spojrzenia, ciekawskie i przestraszone zarazem. Kotłowały się w niej jasność i mrok, poczuła chłód i pustkę w sercu, ale gdy już nie wiedziała, czy wiruje w wodzie, czy ponad nią, zobaczyła przed sobą kobiety siedzące w kręgu przed ogniem. Jedna wstała i podeszła do niej, wyciągając rękę. Staruszka odwzajemniła ten gest i od razu poczuła ogromną falę ciepła. Promienie światła otoczyły ją z każdej strony, wessały w siebie, nareszcie poczuła upragnione ciepło, jakby znalazła się w samym sercu świata. Światło wypełniało jej stopy i ręce, spotkały się w niej wszystkie moce, nawet te ludzkie. I kiedy już zawisła pomiędzy dwoma światami, pogrążona w śmiertnicznym transie, w świecie szarobłękitnych otchłani i wirującej roślinności, stała się nareszcie wolna.

-- Jaromir! -- zagrzemiał Norman. -- Poszła na dno czy jest na powierzchni? Jakież szmaty unoszą się na wodzie, jest już ciemno, nie widzę za dobrze.

-- Musi być pomiędzy! -- odkrzyknął chłopak brodzący w wodzie. -- Ciało na pewno jest pod wodą, to reszki jej sukni dryfują.

Nagle chłopak poczuł nieznośny chłód na ramionach. Wiatr znów się wzmógł. Drzewa gdzieś w oddali skrzypiały, ocierając się o siebie konarami, szeleściły też liście nad ich głowami. Błyszczące oczy chłopaka rozszerzyły się nagle podobnie jak usta. Na powierzchnię zaczęły wypływać brzuchami do góry martwe ryby. W ich szarych, zimnych oczach, kryła się dojmująca pustka. Początkowo wypłynęło kilka sztuk, ale gdy Jaromir w podskokach uciekał z wody, były już ich tysiące. Nad wodą pojawił się zapach rozkładającej się padliny, widok połyskujących ryb z nadnaturalnie wytrzeszczonymi oczami był zatrważający.

-- Diabelskie truchło! W nogi! -- wykrzyczał Laaban.

-- Obyś tu nigdy nie wróciła! -- zawtórował Norman, patrząc w kierunku czarownicy. Rzucił pospiesznie linę, którą trzymał, i pobiegł za kompanami.

Przerażeni mężczyźni szybko uciekali. Nie patrzyli na to, kto biegł pierwszy. Jaromir był chyba najszybszy, pędził jak wiatr, miał gęsią skórę na ciele. Zdążył założyć na siebie tylko spodnie, nawet nie szukał butów, pędził na bosaka.

Chłopiec miał zaledwie siedemnaście lat, ledwo widoczny zarost, miękką czuprynę przypominającą kolorem łany zbóż w ostrym słońcu, kilka piegów na nosie, chudy tors z ogromnymi bliznami po poparzeniach i nienaturalnie długimi rękami. Był zwinny niczym łania i bardzo bystry. Laaban znalazł go osiem lat wcześniej w spalonej przez bandytów wiosce. Wycieńczony pożogą chłopiec leżał w nogach ubitej widłami matki. Szajka natknęła się na zgliszcza, jadąc na kolejne polowanie. Brudny, usmolony i zakrwawiony chłopiec trząsł się ze strachu jak pobity pies. Miał tak rozległe oparzenia, że początkowo przywódca chciał mu skrócić cierpienia, ale gdy spojrział w jego ciemne, szkliste i przerażone oczy zobaczył w nich siebie jako małego chłopca i poczuł strach dokładnie taki sam jak przed śmiercią swojej matki.

Zostali w wiosce razem z tymi, którzy przeżyli, tak długo, dopóki nie wrócił do sił. Początkowo nikt nie dawał mu szans na przeżycie. Wiejskie kobiety, które opatrywały mu rany i słuchały jego wycia z wprost niewyobrażalnego bólu, prorokowały, że nic z tego nie będzie, ale Laaban się

uparł, że dopóki chłopiec sam nie umrze, nikt nie ma prawa mu w tym pomóc. Siedział przy jego łóżku i patrzył na poparzone nogi i piersi. Powtarzał, że skoro ogień nie zabrał mu twarzy, to znaczy, że ma żyć. I tak właśnie się stało. Po dwóch miesiącach zabrał chłopca ze sobą i nadał mu imię Jaromir, a później wcielił go do swojej szajki. Uczył go, jak się poluje na zwierzęta i ludzi, jak się strzela z łuku i oprawia zwierzynę. Powierzył mu sekrety operowania nożem i wbijania go pod żebra, tak żeby intruz raz powalony już nie wstał; powiedział mu też, jak trzymać końską grzywę, żeby nie spaść z konia, jadąc na oklep. Smarował jego blizny żywokostem i olejem z dziurawca. Czasami kiedy chłopiec miewał złe sny, siadał przy nim i głaskał go po głowie. Nie robił tego zbyt często, uważał, że prawdziwy wojownik powinien być pozbawiony tych uczuć, które są przypisane tylko kobietom.

Teraz biegli razem, ramię w ramię. Laaban wysilał wzrok, chcąc dostrzec ognie, które wcześniej zostawił. Zdyszany i zmęczony zatrzymał się tuż przed mokradłami. Ciężko sapiąc, bił się ręką w pierś, jakby w ten sposób mógł przywrócić sobie równy oddech. Początkowo brodzili w zarostach, ale już po niedługim czasie zobaczył pierwszy ogień. Przywódca wysunął się na prowadzenie, postawił jedną nogę, zaraz po niej wysunął drugą. Szli ostrożnie, co jakiś czas nogi grzęzły im w mule, zapadały się z ogromnym chlupotem. Tasak, brodząc już ze zmęczenia w ciemnościach, zapadł się w bagnie aż po pas. Przywiązali go za ramiona liną i bardzo długo wyciągali. Mężczyzna majaczył, żeby uciekali i sami ratowali swoje życia, ale żaden z nich nie wyobrażał sobie, że mógłby zostawić kompana w potrzebie. Kiedy już uporali się z Tasakiem, zastała ich głęboka noc, a ogników na bagnach pojawiło się dużo więcej...

-- Co u licha? Znowu rzuciła na nas jakieś czary? -- zapytał szeptem Jaromir, trzęsąc się z zimna. Rozglądał się dookoła, próbując zliczyć migoczące światełka.

-- Do stu grzmotów! -- zaklął Laaban. -- To są ogniki bagienne, zupełnie o nich zapomniałem! Teraz będzie nam jeszcze trudniej stąd wyjść!

-- Ludzie mówią, że to pokutujące po śmierci dusze ludzi niegodziwych, my też kiedyś tak skończymy... Teraz wyprowadzą nas na manowce... -- odrzekł Tasak, łysy, barczysty mężczyzna, który co chwilę odrywał od ciała grudy zaschniętego błota.

-- Nie gadajcie głupot! -- zrugął ich przywódca. -- Ogniki pojawiają się na mokradłach już od wieków, nie wiercie w te nieludzkie zabobony. To zupełnie normalne zjawisko, ta czarownica na pewno nie maczała w tym palców. Teraz musicie być uważni, znów idę pierwszy, a wy za mną!

Szli w milczeniu, starając się stąpać po śladach Laabana, co chwilę ktoś zanurzał się po kostki w bagnie, a kiedy z mozołem wyszli już na suchą leśną polanę, padli nieprzytomni ze zmęczenia. Oddychali głęboko. Dookoła słychać było tylko pohukiwania sów i ludzkie szepty. Norman z Tasakiem jak zwykle śmiali się z czegoś, pracowity Jaromir rozpałał ogień i szukał wśród kompanów namiotów do rozbicia, a Laaban siedział nieruchomo na skraju polany pod drzewem. W głowie rozbrzmiewał mu śmiech Tove. Zaciskał rękami uszy, myśląc, że w ten sposób pozbędzie się nieznośnych odgłosów, ale na próżno. Widział jej ciemne włosy, zdawało się, że z każdym podmuchem wiatru czuł jej zapach, a potem, gdy już skulił głowę pomiędzy kolana, bo myślał, że w ten sposób przed nią ucieknie, zobaczył przed sobą twarz leśnej baby, jej skrepowane ręce i cieniutkie usta wypowiadające słowa:

*By twoje oczy mogły spoglądać na jej cząstki światła,
Jak na twoją niespełnioną całość
I znów staniesz się śmiertelny...*

Gdy wrócił do kompanów, pił na umór, dopóki nie zatopił w miodzie pitnym całego gniewu, który ostatnimi czasy rozgościł się w nim na dobre. Mężczyźni nie mogli wyjść ze zdumienia, że zgubił jedyną strzałę, którą od lat przekazywali sobie poławiacze, jedyną, która mogła przebić serce czarownicy i skutecznie zabić. Strzałę, która była atrybutem koronnym każdej szajki zajmującej się tą profesją. Kiedy Laaban zataczał się na chwiejnych nogach, szukając drogi do namiotu, wydzierając się wniebogłosy, poprzysiągł, że bardzo szybko wróci tam, gdzie ją stracił.



1.

Jak przypadkiem wywołać magię

Stała na drewnianym pomoście, którego belki chwiały się, gdy tylko przestępowała z nogi na nogę. Skrzypienie drewna rozcinało głuchą ciszę. Starła się nie poruszać, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi niepotrzebnym łoskotem. Niewielki strumień, który płynął pod jej nogami, tuż za lasem trafiał do jeziora. Babka zawsze powtarzała jej siostram, żeby nie wypływały na jego środek, bo znajduje się tam wir, który porywa takie jak one. Wiry mają to do siebie, że lubią zasysać ludzkie ciała. Kiedy wciągają, człowiek nie ma nad sobą żadnej kontroli i już po chwili znajduje się na dnie, gdzie królują głucha cisza i ciemność.

Podobnie jest z rozpalonym łonem kobiety, kiedy pragnie przyjąć, wessać w siebie ostrą rozkosz nie tylko męskiego głosu..., a gdy już się stanie, gdy kobieca świadomość i gorąca skóra staną na przecięciu czasów, błogi krzyk tnie powietrze niewidzialnym nożem. W tym miejscu też króluje ciemność.

Skąd mogła o tym wiedzieć, skoro zawsze -- łamiąc zasady -- wypływała na środek jeziora i nic, o czym mówiła babcia, się nie działo? Nie wciągał jej żaden wir, nie umierała tuż na dnie, zamieniając się w oślizgłą rybę, nie widziała topielic, wkładających ręce w jej błyszczące włosy, nie działo się nic, aż do teraz.

Spojrzała na księżyc. Był okrągły jak poranny bochen chleba, tylko pachniał inaczej niż ten, który spracowanymi dłońmi wyciągały prosto z pieca. Na tle czarnego nieba połyskiwały gwiazdy.

-- *Ekhim, karinn, raman... karinn, raman* -- szeptała, patrząc szeroko otwartymi oczami w ciemność. -- *Raaamaan elih ka tuuum* -- przeciągała głoski coraz mocniej i ciszej, zaciskając spocone ręce w kie-

szeniach sukni. Piaskowy półksiężyc, który nosiła na szyi, zdawało się, że zmieniał kolor w zależności od jej nastroju. Teraz spowity był jakimś tajemniczym blaskiem.

-- *Ekhim, karinn, raman...* -- mówiła coraz ciszej i szybciej okręcała się wokół własnej osi. Teraz musiała wykonać już tylko jeden gest, żeby mogło się wypełnić. Czuła, że robi źle, że nie powinna, że rysując nogą krąg na drewnianych deskach i wypowiadając te same słowa, może rozniewać swoje przeznaczenie, w którego plany nie można ingerować. Babka zawsze jej powtarzała, żeby szukała w życiu znaków. Czarnych kotów łaszących się u jej stóp, obrazków układających się z liści ziół tuż po wypiciu naparów, słów ludzi, którzy są mądrzejsi od niej, ale żeby nie stosowała magii wyłącznie po to, żeby zaspokoić swoje egoistyczne pragnienia. W ten sposób los mógłby jej splatać figła, a to, co powinno przyjść teraz, mogło odejść gdzie indziej, a co więcej -- mogło w ogóle się nie pojawić.

Tove stała na skraju lasu i prosiła cały świat: niebo, słońce, gwiazdy i księżyc, żeby on znów przyszedł. Okręciła się jeszcze raz, teraz już znacznie szybciej. Deski ugięły się pod jej ciężarem, a niewidoczny krąg, który winna była nakreślić kredą zamiast rozpalonymi intencjami, z wolna zaczął rozgrzewać wilgotne i chłodne powietrze wirujące pod jej spódnicą. Siła słów, które wypowiedziała, i wiary, którą nosiła w sobie, były tak potężne, że w połączeniu z blaskiem księżycowej poświaty wypełniły się wzajemnie. Tove pośpiesznie opuściła pomost, zostawiając za sobą wzbierające powoli fale rzeki. Nie zauważyła, jak zdziwione ryby zaczęły podpływać do brzegu, zbierając się w migotliwe ławice. Powietrze zgęstniało, a po świetlistej księżycowej łunie, łączącej ze sobą światy żywych i umarłych, przemieszczał się ledwie widoczny cień, który bardzo zwiewnie i delikatnie podążył za Tove.



2.

Tam, gdzie zaczynają się morza księżycowe

Tove spieszyła się do domu. Gdy tylko wychodziła z szopy, a mężczyzna zniknął jej z oczu, biegła na skraj lasu do starej drewnianej chaty, mając nadzieję, że jej babcia już dawno śpi.

Ale babcia nigdy nie spała. Leżąc na drewnianym łóżku zbitym z czterech świerkowych bali, z na wpółprzymkniętymi powiekami, zawsze obserwowała dziewczynę, gdy wchodziła do izby. Miała ją na wyciągnięcie ręki. Czasami staruszkę ogarniał strach, że nic nie robi w związku z samotnymi wędrówkami Tove, nie przestrzega, nie zabrania, nie nakazuje, nie robi niczego, co winna robić opiekunka wychowująca młodą dziewczynę.

Jednak zawsze miała przecucie, że każda z nich swoją wędrówkę musi zacząć samotnie. Leżała teraz przy kaflowym piecu, do którego przykładła swoje stare zmarznięte stopy. To było jej ulubione miejsce. Po całym dniu zajmowania się gospodarstwem i zwierzętami, które były tylko przykrywką do jej prawdziwego zajęcia, miała ochotę na jedno. Położyć się wygodnie przy piecu, przytulić stopy do nagrzanego kafla i poczuć w nich rozgrzewającą moc ognia.

Przed wejściem do chaty Tove poprawiła włosy, których kosmyki opadały na jej ramiona. Sprawdziła też, czy wszystkie guziki sukni są odpowiednio zapięte, wyjęła drobne źdźbła siana z falban i strzepnęła z siebie ostatnie drobiny kurzu. Założyła amulet na szyję i biorąc głęboki oddech, delikatnie pchnęła drzwi.

Już od progu uderzył ją mocniejszy niż zwykle zapach ziół. Na stole leżały porozkładane pałeczki z zasuszoną lawendą oraz liście, owoce i korzeń mandragory, stała też przesiana zapewne trzydzieści trzy razy mąka. To znaczyło, że babcia przygotowywała dla kogoś mieszanek leczniczą stosowaną bezpośrednio na ranę. Dziewczyna spojrzała w okno. Wiatr rozgonił chmury, na niebie ukazał się księżyc. Myślała, że już dziś jest pełnia, ale patrząc na stół, który uginał się pod ciężarem magii i ziół, przypomniała sobie, że te składniki miesza się ze sobą tylko podczas nowiu.

-- Gdzie byłaś? -- usłyszała głos przychodzący do niej jakby z zaświatów. Wełniany koc przykrywający babcię się poruszył. Staruszka dość niezgrabnie przewróciła się na drugi bok, chwilę odczekała i wspierając na jednej ręce, podniosła swoje pomarszczone ciało. Na jej białe niczym krowie mleko włosy padł promień księżyca. Połyskiwały teraz jak tafla wody w pełnym słońcu. Babka chwyciła je powykreczanymi od reumatyzmu rękami i zaplotła je w warkocz. Był tak samo długi i gruby jak ten, który ozdobił głowę dziewczyny.

-- Zbierałam zioła, babciu, przecież jest nów. -- Nie patrząc babce w oczy, wskazała ręką okno.

-- Nie kłam. Nie pachniesz nocnymi roślinami tylko męskim nasieniem. Piersi ci wezbrały, tak samo jak biodra.

Babka, wspierając się na dębowej lasce, podeszła do dziewczyny. Wyrzuciła się niczym cień z mroku. Szurając bosymi stopami o drewnianą podłogę, przesuwała się na tyle wolno, że Tove mogłaby machnąć jej ręką przed twarzą tak zupełnie od niechcienia i wykręcając się znużeniem, uciec do pokoju, ale nie zrobiła tego. Wiedziała, że to nie przyniosłoby nic dobrego. Przecież babcia wiedziała wszystko, była tą, która wie... Wystarczyło, że zajrzałyby w lustro albo do garnka, w którym gotowała swoje stawy, mogła też chwycić ją za rękę i spojrzeć na linie rysujące się od wewnętrznej strony, wystarczyłoby, żeby spojrzała dziewczynie tak głęboko w oczy, jak ona ostatnio Wilczanowi. Babka wiedziała wszystko, a to było źródłem jej spokoju.

Podeszła jeszcze bliżej i wyciągnęła w jej kierunku haczykowany nos. Wciągała szorstko powietrze, które w jej nozdrzach świszczowało do tego stopnia, że gdy już obwąchała całą postać, kichnęła dwa razy.

-- Uch... diabelskie to i silne nasienie. Kim jest? -- Chwyciła jej brodę w dwa palce i skierowała twarz ku swojej. -- Tylko nie kłam! -- Pogroziła jej przed nosem.

-- Nie wiem, babciu. -- Dziewczyna opuściła głowę.

-- Jak to: nie wiesz? -- Kobieta stuknęła kosturem o podłogę tak mocno, że zrobiła jego końcem niewielką dziurę w drewnie.

-- Jak jestem z nim, to mam wrażenie, że wiem o nim wszystko, tak jakbym już kiedyś go znała. Nie czuję, żeby to było coś złego, wręcz przeciwnie. Babciu, przecież to, co niewidzialne, jest najważniejsze, zawsze tak mówiłaś, że mam podążać za czuciem, więc ja to teraz czuję jak nic innego na świecie.

-- Skąd jest?

-- Nie wiem -- odpowiedziała zmieszana.

-- Czym się zajmuje?

-- Nie wiem. -- Jej głowa z każdym pytaniem opadała coraz niżej.

-- Dajesz się wykorzystywać? -- Oczy babki z jasnozielonej barwy zmieniły kolor na niemal białą. Działo się tak zawsze, gdy zaczynała wrzeć w niej magia szukająca ujścia.

-- Nie.

-- Skąd ta pewność?

-- No przecież już mówiłam: czuję.

-- Nie mogę cię zatrzymać. Nie mogę ci zakazywać ani mówić, co masz robić, bo to byłoby tak, jakbym ingerowała w twoje przeznaczenie, ale mogę nauczyć cię, jak się chronić, jak wyczuwać zagrożenie, bo ono pachnie niczym skóra spoconego, złkniętego zwierzęcia. Spójrz. -- Skierowała twarz ku oknu. -- Kiedy chmury odejdą, to zwróć się tam, gdzie najjaśniejsza tarcza, przypatrz się dobrze, bo z każdego zakątka Ziemi widać ją inaczej. U nas jest ogromna, tak że można dostrzec morza księżycowe, te ciemne obszary, które widać gołym okiem na oświetlonej części księżyca, są zamieszkiwane przez dusze zmarłych. Mórz jest

wiele. Istnieją morza Deszczów, Jasności, Nektaru. Mamy też morza Obfitości, Doskonałości, zatoki Rosy, Tęczy, ale jest również bagno Zgnilizny. Tam trafiają dusze ludzi, którzy byli już martwymi za życia, ci, którzy są zepsuci, pazerni, nie mają serc. Czeka ją na powtórne narodziny w świecie ludzi. Zamieszkuje w nich energia, która potrafi wyssać żywotność, niczym magnes przyciąga ludzkie spojrzenia, zainteresowania, aż po pewnym czasie, nawet nie wiesz dokładnie kiedy, stajesz się ich zakładnikiem. Najczęściej pojawia się w ludziach i miejscach. Niektóre z nas szepczą, że pochodzi z tej ciemnej strony księżyca, a ja wiem, że narodziła się tam, gdzie zło. Wystrzegaj się tych, którym dodaje ona otuchy miast przerażać. Czy on zabiera ci siłę, bo to byłoby tak samo, jakby kradł twoją moc?

-- Babciu, nie wiem -- rzuciła słowami w ciepłą przestrzeń. Wyrazy odbiły się od staruszki i wróciły ponownie do dziewczyny w postaci bólu głowy.

-- Dziecko, nie jesteś bezrozumną kozą. -- Kobieta chwyciła ją za rękę. -- Mówiłaś, że czujesz...? -- Dziewczyna przez chwilę zachwiała się na nogach, zmęczenie po nieprzespanej nocy dawało się we znaki. Z wolna słońce zaczynało wschodzić, a gwiazdy znikać. -- Można tonąć w ciemności, stojąc w pełnym słońcu... Więc jak to jest z tobą, wnuczko? -- Ścisnęła ją mocniej tym razem za przegub dłoni.

-- On porusza we mnie życie, a kiedy odchodzi, zabiera je ze sobą. To tak, jakbym narwała bukiet polnych kwiatów i wstawiając je do wody, wiedziała, że kiedyś przestaną żyć a ja bym chciała zbierać je cały rok i codziennie nosić przy sobie.

Babcia chwyciła ją za drugą rękę i nie spierając się z żadnym z jej słów, rzekła:

-- Jeżeli daje ci życie, to może też je zabrać. Nie oddawaj mu wszystkiego. Nie bądź jak głupia koza zależna od człowieka. Miej w sobie zawsze moc i chroń się przed tymi, którzy żyją w oparach bagna Zgnilizny. Jeżeli masz w sobie słońce, to masz też księżyc. To ty jesteś pełnią, córko. Stój przed oknem i się nie ruszaj. Zaraz nastanie ta pora, kiedy niebo styka się z ziemią.

Dziewczyna ślaniała się ze zmęczenia, na chwilę usiadła na drewnianej ławie i oparła łokcie o stół. Patrzyła na ręce, które jeszcze przed chwilą tuliły Wilczana. Czowała, jak płoną jej usta i policzki, których aksamit co noc rozcinał zarost mężczyzny. Gdy babcia przestała być w zasięgu jej wzroku, dziewczyna rozchyliła nogi i podwinęła falbany sukni. Gładziła wewnętrzną stronę ud w miejscach, które najmocniej zaciskały się na kochanku. Teraz i ona poczuła zapach, z którym przyszła do domu. To nie była subtelna woń kobiety. Tak pachniały zimne noce, rozgrzewane słowami dzikich pieśni. Dotknęła włosów, już prawie wyschły. Pomyślała o tym, że będzie musiała zażyć kąpieli. Chwyciła jeden z kosmyków i obwąchała go tak, jak jeszcze przed chwilą robiła to babcia. Nie chciała wody, która zmyje z niej jego zapach. Chciała mieć go przy sobie na zawsze.

-- Opuść suknię! -- zagrzemiał nerwowo głos staruszki. -- Otwórz okno i stań twarzą do słońca, zaraz będzie wschodzić.

Dziewczyna mozolnym ruchem, podpierając się na jednej ręce, zrobiła to, co kazała babka. Chwyciła drewnianą ramę i przytrzymując w niej kołaczącą od naporu szybę, pchnęła drewno dość mocno na zewnątrz. Wyszczerbiona pod wpływem czasu framuga zatrzęszczała. Tove poczuła na twarzy rześkie powietrze, usłyszała chór ptaków, który w jednej chwili rozbrzmiał w jej uszach i wpadając do pomieszczenia, rozniósł się melodyjnie. Wiatr umilkł, drzewa przestały ocierać się o siebie i szumieć, nastąpiła błoga cisza, przerywana jedynie ptasimi trelami. Tuż z pierwszą, majaczącą gdzieś za lasem luną słońca ożywiły się szpaki i zięby. Kwiliły, szczebiotały, niektóre klaskały dziobkami jak nieopierzone bociany.

-- Nie ruszaj się teraz -- rzekła babka i chwyciła dziewczynę za przedramię, w jednym ręku trzymając dość gruby zwitek zasuszonej szaławii. Przyłożyła ją do nikłego płomienia świecy stojącej na stole. Zioło od razu buchnęło syczącym płomieniem, żeby zaraz potem zamienić się w delikatny czerwony żar. Gęsty, biały dym zaczął falować pomiędzy ciałami, intensywny zapach drażnił nozdrza. Tove zakręciło się w głowie. Zamknęła powieki, gdy naraz otrzymała od babci kuksańca w bok.

-- Moja droga, nie śpij, tylko się skoncentruj.

Dziewczyna otworzyła oczy, ale była tak zmęczona, że myślała tylko o tym, żeby móc położyć się do łóżka. Babka chwyciła rąbek jej spódnicy i schylając się dość energicznie, włożyła kadzidło między stopy dziewczyny.

-- Babciu, co ty robisz?! -- zaprotestowała Tove.

-- Dobrze wiesz co! -- syknęła staruszka. -- Rozszerz nogi, ale to już! -
- Dziewczyna zrobiła, co jej kazano. Dym piekł jej krocze do tego stopnia, że z bólu jej oczy zaszyły łzami. Babka mamrotała pod orlim nosem zupełnie niezrozumiale dla Tove zaklęcia. Co chwilę przyciągała zioło do swych ust i splotowała na nie, żeby zaraz później znów włożyć rękę pod spódnicę wnuczki.

-- Na wszystkie korzenie drzew i dusze zmarłych -- zaczęła w końcu mamrotać -- na pozółkle kwiaty miodownika, obrastające kurhany ziemskich przodków, na sok naparstnicy, sosny, mandragory, szczywiołu, wilczomleczka... -- Na dźwięk tych ostatnich słów dziewczynie zrobiło się cieplej na sercu. -- Oczyszczam cię, wnuczko, z trujących i jadem wypełnionych ludzkich spojrzeń i słów...

-- Ale ten mężczyzna jest mi przychylny, babciu, jak możesz... -- przerwała w pół zdania.

-- Jest mężczyzną, ale przede wszystkim człowiekiem! Każdy z nich może zatruć!

-- A ja? Kim ja jestem? -- W głosie Tove słychać było poirytowanie.

-- Jeszcze się pytasz? -- zagrzmiała staruszka. -- Jesteś krwią z mojej krwi, jesteś jedną z nas, sióstr czarownic.

-- Skoro nią jestem, to jaką mam moc? Przecież nie umiem uzdrowić jak ty, nie znam mowy zwierząt jak Traszka, nie umiem zamienić myszy w szyszkę jak Bachira, więc kim jestem?

-- Nie zawsze bywa tak, jakbyśmy chcieli. Może jesteś bardziej skomplikowana niż twoje siostry, jeszcze nie wiem. A teraz bądź cicho, muszę cię odkazić! Żaden mężczyzna nie może zabrać ci twojej mocy. Pamiętaj o tym! Chronić się spojrzeniem, gestem, urodą, słowem, chronić się słowami:

*Nikt i nic nie może zabrać mojej mocy.
Jeśli ją w sobie czuję,
Jest moja,
Tylko ja mam prawo dawania i zabierania.
Chronię się światłem i magią.*

-- Tylko tymi słowami? -- Dziewczyna spojrzała w oczy babci, które zaczynały przybierać kolor mleka. -- Babciu, przecież to jest takie proste, chyba aż za proste. -- Otarła łzę z policzka, dym znów szczypał, zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę.

-- Nie ruszaj się, dziewczyno! Zaraz kończę. Wszystko, co najprostsze, jest skuteczne, to, co skomplikowane, może tylko wspomagać proste rozwiązania. Już. -- Przyłożyła rękę z dopalającą się szalwią do twarzy i zaciągnęła się dymkiem, który już prawie dogasał. Zakręciło się jej w głowie. Na chwilę straciła równowagę i zachwiała na nogach.

-- Babciu, uważaj! -- Tove chwyciła ją pod ramiona i pomogła usiąść na ławie. -- Dobrze się czujesz?

-- Stara już jestem, moje dziecko. -- Poprawiając pukiel siwych włosów, łykała powietrze. -- Musisz się umyć, zanim siostry się obudzą, idź do rzeki czym prędzej. -- Staruszka położyła dopalające się zioło na otwartej dłoni. Jednym skinieniem głowy poprosiła Tove o pomoc, ta znów pomogła jej wstać. Babka podeszła do okna i zdmuchnęła prosto przed siebie ledwo jarzące się resztki szalwii. Niedopałki jeszcze przez ułamek sekundy świeciły w powietrzu czerwonym, ciepłym blaskiem. Już po chwili pochwycone przez delikatny wietrzyk odfrunęły w nieznaną. Kobiety patrzyły, jak świecący proszek znika w powietrzu, gdy zamysłona Tove w końcu zdobyła się na odwagę.

-- Baaabciuuu... -- przeciągała głoski. Już sam ton wskazywał, że się nad czymś głęboko zastanawia. -- Czy ty... no wiesz, czy ty, teraz...

-- Nie zamknęłam twojego łona -- przerwała jej wpół zdania. -- Zapamiętaj, dziecko, że nie możesz ingerować w przeznaczenie, bo to byłoby tak, jakbyś chciała, aby słońce przestało świecić. Cały czas wam powtarzam, że musicie nauczyć się odróżniać sytuacje, w których możecie korzystać ze swoich mocy. Oczyszczałam cię z męskiej energii. Niczego ci nie

zabrałam, niczego nie dałam, sama musisz wiedzieć, jak łączyć ze sobą świat ziemski z magicznym.

-- Nie okłamałabyś mnie, prawda? -- Dziewczyna kierując się ku drzwiom wyjściowym, przystanęła na chwilę przy kredensie. Chwyliła w ręce gliniany garnuszek i wyciągnęła z niego garść ziół, które natychmiast połknęła, popijając wodą z niewielkiego dzbana.

-- Oj, dziecko, dziecko, jeszcze dużo nauki przed tobą... -- Babcia, szurając nogami, powoli udała się pod kaflowy piec.

Tove wyszła z chaty i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Powieki same opadały jej ze zmęczenia. Zdążyła wyjść za płot, nogi zadrżały, a oddech nie chciał delikatnie osiadać w płucach. Nie miała siły, aby przejść nawet kawałek drogi, a co dopiero mówić o zdejmowaniu falbaniastej sukni i kąpieli w rzece. Zawróciła więc ze znajomej dróżki i cichutko skierowała się na tył domu. Chwyliła kilka niewielkich kamieni i zaczęła nimi rzucać w okno znajdujące się na pierwszej kondygnacji.

-- Niech by w nie piorun strzelił! -- Kamień odbił się od szyby z głuchym dźwiękiem. Dziewczyna zebrała kilka kolejnych i rzucała dalej. Niewielkie stadko kur pojawiło się pod jej nogami.

-- No już, idźcie stąd! -- Tove próbowała przepędzić je, odganiając rękami, ale ten gest tylko wzmagił zainteresowanie. Już po chwili zaczęły gdakać i kręcić się wokół niej, nerwowo machając skrzydłami, gdy nagle szyba okienna na pierwszej kondygnacji domu się poruszyła. Tove spojrzała w górę i zobaczyła w oknie swoją zaspaną siostrę.

-- Co ty wyprawiasz z tymi kurami?! Nie strasz ich, bo przestaną znosić jajka! -- Traszka chwyciła włosy i jednym ruchem odrzuciła je na plecy.

-- Cicho bądź i wpuść mnie natychmiast do pokoju! -- Tove podeszła do ściany domu, która była porośnięta grubymi konarami dzikiego wina. Latem zielone liście i fioletowe owoce, cieszyły oczy wszystkich mieszkających tu kobiet. Lubily wspólnie zrywać winogrona i przygotowywać z nich dzemy na długie zimowe wieczory czy fermentować wino. Ten sielski obrazek można było zobaczyć, gdy dziewczęta były młodsze i jeszcze nie upominało się o nie przeznaczenie. Tove podniosła prawą nogę,

chcąc postawić ją na zbudzonej do życia wiosenną aurą gałązce, ale jedna z kur natychmiast wskoczyła jej na ramię, głośno gdakając i robiąc potworny hałas.

-- Poszła mi stąd. No już. Czego ty chcesz, wredna istoto?! -- Kura trzepotała i skrzeczała tuż nad jej głową. -- A kysz, zostaw mnie! -- Tove mówiła do niej na wpół ściszonego głosem, gdy wtem odezwała się siostra:

-- Och, nie! Ona mówi, że tam, gdzie chcesz postawić nogę, jest ptasie gniazdo. Proszę, uważaj! -- Traszka coraz mocniej wychylała się z okna, a kura zaczęła już skakać po głowie Tove.

-- Ajć, ała... zostaw moje włosy. Dobrze, już dobrze, zacznę od innego miejsca tylko, proszę, zjeżdż już ze mnie!

Kura nie dawała za wygraną, w końcu Traszka przemówiła do niej tylko w jej znanym bardzo melodyjnym języku. Głoski zlewały się ze sobą, wybrzmiewały jak pieśni. Były bardziej subtelne i dźwięczne aniżeli zaklęcia wypowiedane przez Tove. Zwierzę natychmiast zeskoczyło na ziemię i gdacząc, poczłapało do reszty stadka. Dziewczyzna poprawiła suknię, otrzepała się z piór i sprawdziła, czy gniazdo, o którym mówiła siostra, znajdowało się w miejscu, gdzie chciała postawić nogę. W niewielkim zagłębieniu kilku konarów leżały zwinięte ze sobą skrawki materiałów, piórka i patyki.

-- Jak ty to robisz? -- Uniosła wysoko głowę z zadziwieniem rysującym się na jej twarzy. -- Rozumiesz mowę wszystkich zwierząt?

-- Sama nie wiem, jak to się dzieje, ale najwyraźniej słyszę ptaki. Wchodź już i nie gadaj, bo zbudzisz babkę.

Tove bardzo zgrabnie udało się wejść do domu w tak dziwny sposób. Choć już będąc przy oknie, złamała się gałąź, na której postawiła lewą nogę. Przed upadkiem uratowała ją w porę wyciągnięta ręka siostry. Chwyciły się dość niespodziewanie i mocno, aż Traszka syknęła z bólu. Gdy Tove złapała równowagę, zwinnym ruchem zadarła prawą nogę na parapet i wślizgnęła się do środka, upadając na podłogę.

-- Fuj..., ale cuchniesz, zdejmij ubranie, bo zaraz będzie śmierdziało w całym domu. Coś ty robiła? -- Siostra schyliła się nad Tove i zaczęła

pociągać nosem, dokładnie w ten sam sposób co babka. -- Znowu się z nim widziałaś? Czyś ty oszalała? Nie boisz się, że babcia się dowie?

Dziewczyna ostatkiem sił, najciszej jak się dało, zdjęła buty, rozpięła guziki sukni i wy dostała się z przyciasnych ubrań. Leżała teraz naga na drewnianej podłodze, patrząc przenikliwie w sufit, zdało się, że widziała na nim jakiś dziwny cień. Wodziła za nim oczyma, przemknął w kąt pokoju, albo jej się tylko zdawało.

-- Kocham go.

-- No nie..., a ty znowu swoje. Tylko to "kocham, kocham, kocham". Dziewczyno, przecież ty go nawet nie znasz, poczekaj, aż babcia się dowie.

-- Nie muszę czekać. Ona już wie. Dziś zamknęła mi łono, dlatego tak cuchnę. Myślała, że się nie domyślę.

-- Mówisz poważnie? I nic ci nie zrobiła? Żadnej kary, nagany, zupełnie nic? -- Zdziwiona Traszka zaczęła czegoś szukać pod dębowym łóżkiem. Wyciągała różnych rozmiarów kartoniki. W jednych były schowane szyszki, w innych kawałki kory z drzew, a jeszcze gdzieś indziej znalazła zasuszone mysie ogonki, aż w końcu trafiła na słoik, w którym zamknięta była zielona maść.

-- Jest! Maść z sosny i sok z brzozy. -- Związała włosy mysim ogonkiem i pochyliła się nad siostrą. -- Skoro nie zdążyłaś się wymyć, babcia nie może po raz kolejny wyczuć tego zapachu.

-- Wiem. -- Tove spojrzała na siostrę ostrym wzrokiem. -- Nie wykonałam jej polecenia, a to może oznaczać tylko jedno... -- Jej głos zadrżał.

-- Natrę cię. Chyba że chcesz to zrobić sama?

-- Nie mam siły, przecież wiesz, pewnie nie zrobiłabym tego dokładnie. -- Tove usiadła skulona na podłodze i chwyciła się rękami za kolana. Traszka zaczęła nacieranie od karku i pleców, następnie wymasowała ramiona i resztę ciała, miejsca intymne pozostawiła siostrze. Włosy wyczesowała i splotła z nich dwa warkocze.

-- Już. Masz moją koszulę. -- Rzuciła w jej kierunku lniany, długi materiał, jedynie z otworem na głowę. Teraz idź spać choć na chwilę, babka już niczego nie wyczuje.

-- Dziękuję. -- Tove mocno przytuliła się do Traszki. -- Zawsze miałam w tobie więcej oparcia niż w niej. -- Skinęła głową w kierunku trzeciego łóżka, skąd dobiegało cichutkie pochrapywanie. -- Myślisz, że ona coś wie?

-- A czy to jest aż tak istotne? Najważniejsze, że babka wie, a Bachira? Jest tak mocno skupiona na nauce przemiany, że mogła nie wy czuć w twojej obecności zapachu mężczyzny. -- Traszka spojrzała głęboko w oczy siostry. Miały identyczny kolor i kształt jak te, dzięki, którym sama mogła oglądać świat. -- Jak to jest być z mężczyzną? -- Dotknęła policzka Tove, rozcierając pozostawione na nim resztki balsamu. -- Myślisz, że mnie też to kiedyś będzie dane? -- Spojrzała ponad jej ramieniem, wprost przez okno. Kury wskakiwały na gałęzie brzoźki, przekomarzając się, że umieją latać. Siostra zaśmiała się w duchu, wiedziała, że to są zwierzęta o dobrym sercu, ale małym rozumku.

-- To jest tak, jakbyś dała się bezpiecznie porwać wysokim falom na morzu. Trochę się tego boisz, ale czujesz bardzo przyjemne podekscytowanie i jeśli przestajesz słuchać tego, co mówi ci rozum, to płyniesz, nie toniesz i płyniesz.

-- Tak jak w naszym jeziorze?

-- Tak! Tylko wyływasz dzięki falom na sam środek.

-- Nic nie rozumiem, Tove..., ale skoro tak pięknie o tym mówisz, to musi być ekscytujące! -- Zaciśnęła ręce na piersiach jak do modlitwy. Tove zaczęła się śmiać.

-- Nie wiem, czy to jest dobre określenie, ale można przyjąć, że tak właśnie jest. Muszę się położyć, bo nie będę miała siły na dzisiejsze nauki, a przecież... -- pokazała ręką na trzecie łóżko -- ...zaraz wstanie i będzie się mądrzyć.

-- Tove... -- Traszka chwyciła siostrę za rękę. -- Czy ty będziesz się z nim dalej spotykać?

-- Tak.

-- A skąd wiesz, że to, co robisz, jest dobre?

-- Nie wiem, chyba to czuję.

-- Przecież on ci może zrobić krzywdę,

-- Nie robi.

-- Skąd to wiesz? -- Ścisnęła ją jeszcze mocniej.

-- Nie wiem, siostró, po prostu czuję.

-- A jak cię zostawi?

-- Obrzucam go słowami, może zamienią się w czary i pokocha mnie tak mocno jak ja jego.

-- Ale tak nie można!

-- A skąd wiesz, co można, a czego nie można? Kto wyznacza ten porządek rzeczy? Nasze babki, prababki, ojcowie, no kto? -- Patrzyły teraz na siebie tak, jakby dotykały najcieńszych strun duszy, utkanych z mchu i paproci. Tych, których delikatność tak łatwo jest zniszczyć.

-- Nie wiem.

-- Ani ja. Dlatego chwytam to, co każe mi serce. Słyszałaś? Ktoś tu idzie, schody skrzypią.

-- Babcia! -- wykrzyczały obie na głos.

-- Musimy się schować do łóżek! -- wyszeptała Traszka.

-- Ale ja nie mogę, miałam iść nad rzekę, co robić? Może obudźmy Bachirę, sprawi, że zniknę?

-- Zgłupiałaś! Prędzej powie, że nie wykonałaś polecenia, do szafy! -- Dziewczęta w panice, potykając się o własne nogi, ruszyły każda w swoją stronę. Traszka przykryła się szczelnie kołdrą. Tove nie zdążyła zamknąć drzwi szafy, gdy babcia weszła do pokoju. Kobieta rozejrzała się dookoła, skupiając wzrok na pościelonym łóżku Tove. Siano wystawało z siennej, a gruby lniany koc idealnie przylegał do jego powierzchni. Babka pociągnęła kilka razy nosem:

-- Mogłyby zamknąć okno, żeby kury im nie wleciały. -- Powłócząc nogami, podreptała w jego kierunku. Tove na chwilę wstrzymała oddech, patrzyła przez niewielką szczelinę w drzwiczkach na opiekunkę. Zaczęło robić jej się słabo. Wystraszona chwyciła amulet, który ozdobił jej szyję, i zaczęła głęboko oddychać. Kobieta podeszła do łóżka Traszki, obwąchując dziewczynę od stóp po głowę. Następnie przeszła do tej trzeciej. Nie wahała jej, wiedziała, że sen wnuczki jest silniejszy niż zapachy i zaklęcia. Westchnęła trzy razy, poprawiając gruby, siwy warkocz, skie-

rowała się do wyjścia. Gdy już zamknęła za sobą drzwi, Tove odczekała chwilę i trzymając się za głowę, wyszła z szafy, o mały włos z niej nie wypadając. Natychmiast skierowała się do siennika i padła na posłanie jak rażona piorunem. Gdzieś na tyłach pokoju usłyszała tylko:

-- Tove, wszystko z tobą jest dobrze?

-- Muszę spać, zaraz chyba umrę.

-- Nie gadaj głupot -- zgromiła ją siostra. -- Zaraz to my musimy wstawać.

Tove nakryła głowę poduszką, jakby nie chciała słyszeć słów siostry, i od razu zasnęła. Gdzieś we śnie zatęskniła za matką. Ta pewnie wiedziałaby, co robić. Zaciskając powieki, kręciła się we wszystkie możliwe strony. Coś nie dawało jej spokoju. "Dlaczego odeszłaś?" -- pytał ten sam głos, który zawsze stawiał niewygodne pytania. Dlaczego nigdy nie miałam matki? Dlaczego zawsze musiałam sobie radzić sama? Nagle poczuła na sobie czyjś mocny uścisk i szorstkie ręce dotykające jej ciała.

-- No już, już, wstawać! Proszę wyrzucić dziś z głowy wszystkie nie-mądre pomysły. Wstawać! Siłą was na dół nie sprowadzę.

Babka. Jak zwykle punktualna i systematyczna, z niekończącą się energią. Choć dźwigała na swych barkach kawał życia i jej ciało powoli odmawiało posłuszeństwa, to samodyscypliny miała w sobie za wszystkie trzy dziewczęta.

-- Tove! -- krzyknęła po raz ostatni, gdy powieki dziewczyny otworzyły się na moment. Tęczówki stały się jasne, prawie przezroczyste, a babka, choć bardzo nie chciała, dojrzała w nich całą wieczność. Usłyszała krzyki, tętent końskich kopyt i szum jeziornych fal przed burzą. Zastygła w bezruchu. Gdy oczy dziewczyny przybrały kolor bezkresnego nieba, potrząsnęła nią jeszcze raz, ale już delikatniej. Wiedziała, że nie może naruszyć porządku rzeczy. Właśnie przepływało przez nią przeznaczenie.



3.

Co widziała Tove?

Usiadły we trzy przy długim drewnianym stole, tym samym, który wczoraj widział okadzanie Tove. Miały dokładnie ten sam kolor oczu, jakby przez cały rok odbijała się w nich soczysta trawa, wydatną górną wargę ust, bujne brwi, trochę piegów na nosie i oliwkowy odcień skóry. Włosy rosły im w zaskakująco szybkim tempie, nawet jeżeli, któraś z nich chciała wyglądać inaczej niż jej siostra, to już po kilkunastu dniach od strzyżenia włosy osiągały dokładnie tę samą długość. W słońcu przybierały barwę ciemnego bursztynu o cieniu szlachetnego hebanu. Długie aż po pas, błyszcząc, zdobiły ich głowy jak korona wysadzana diamentami, wyglądały iście po królewsku. Te same szare suknie, przywdziewane na co dzień. Babka nie chciała, żeby się wyróżniały strojem. Widząc ich pełne biodra i tak samo dorodne piersi, obawiała się, że przykują do siebie wzrok pożądlivych mężczyzn. Aż do teraz... Odkąd Tove poznała smak miłości, nie mogła już im niczego zabronić. Mogła nauczyć je tylko, jak się chronić.

Usiadły więc teraz już we cztery i jadły śniadanie. Smarowały chleb grubą warstwą masła, posypując je mieszanką ziół z solą i pieprzem. Łapczywie rzucały się na korzonki mniszka lekarskiego, który o tej porze roku zaczynał zarastać ogrody i pola. Babka już od najmłodszych lat uczyła je, jak za pomocą ziół i wszystkich roślin naturalnie rosnących na ziemi leczyć i żywić siebie i innych. To nie była wiedza tajemna, to był obowiązek każdej opiekunki -- tak wyposażyć najmłodszą linię kobiet z jej pokolenia, aby z tej najprostszej wiedzy umiały zawsze skorzystać.

Babka coraz baczniej obserwowała ich każdy ruch. To już nie były małe dziewczynki ani podlotki. W każdej z nich manifestował się inny

rodzaj kobiecości. Choć wyglądały identycznie, poczęte z jednego łona, przyszły na świat, igrając ze śmiercią.

Bachira jako pierwsza zobaczyła matkę i dym z kadzielnicy. Krzyczała, łapiąc powietrze, ile sił w płucach. Była największa i najgrubsza. Wyglądała tak, jakby całą witalność wyssaną z matki chciała zamknąć w sobie. Miała mocno pomarszczone czoło, a dźwięk jej głosu potrafiłby postawić na nogi umarłego. Jako kolejną babka wyciągnęła Tove; była znacznie mniejsza, ale dużo bardziej ruchliwa. Już od pierwszych sekund poza łonem matki wierzgała rączkami i nóżkami, jakby od razu chciała stanąć i pobiec w świat. Co zadziwiło babkę najbardziej, urodziła się z otwartymi oczami. Powieki nie były ze sobą sklezione, a bielmo gałek przyprawiało o dreszcze. Obawiała się, że dziewczynka może być niewidząca, ale bardzo szybko okazało się, że jest w pełni sił. Po tych dwóch matka spowita ogromnym bólem kazała powoli wywoływać łożysko, żeby przejść do zamknięcia łona, ale gdy babka wsadziła w nią rękę, poczuła wątle ciało trzeciej.

Z nią było najtrudniej. Matka nie miała już sił, żeby przec, wiła się z boleści i rozpacz, ostatkiem sił łapiąc powietrze, aż zemdląa w szmatycznym skurczu. Traszka swoje życie zawdzięczała babce, która widząc, że córka niczego już nie czuje, podparła jej nogi krzesłami, tak żeby bezwiednie nie opadły na podłogę, i rozłożyła je na tyle skutecznie, żeby włożyć w nią drugą rękę. Gdy już to uczyniła, wprawnym ruchem chwyciła dziewczynkę i wyciągnęła na zewnątrz.

Traszka była sina i nie krzyczała tak jak jej siostry. Nie ruszała się w ogóle. Gdy babka przypomina sobie ten dzień, w którym musiała podjąć decyzję, czy ratować dziecko czy własną córkę, po jej całym ciele przechodziły dreszcze, a obrazy w pamięci były tak wyraźne, jakby to było wczoraj.

Klepała malutką w plecy, wkładała jej palce w usta, paliła anyż zmieszany z lawendą i wciągając dym do płuc, trzymała go tam tak długo, ażeby już po chwili przytknąć swe usta do drobniutkich warg wnuczki i wpompować w nią tę dziwną mieszankę oddechów. Za trzecim razem, widząc, że nie przynosi to zamierzonego skutku, wypowiedziała w złości

zakłęcie i prace z dymem wykonała jeszcze raz. Powoli zaczynała czuć smród spoconych ciał, krwi i kału. Wpatrywała się w dziecko, jakby rzeczywiście zobaczyła ducha. Miała krew na stopach, dłoniach i ubraniu. W tle słyszała krzyki głodnych noworodków i nie mogła się skupić. Kątem oka patrzyła na nieruchome wnuczkę i córkę. Nerwowo łapała powietrze. Świszczało między zębami. Wiedziała, że czas działa teraz na ich niekorzyść.

Podeszła do położnicy, usiadła za nią, kładąc jej bezwładne ciało między swoje nogi, położyła jej tułów na swoim, chwyciła nieruchome ręce córki, które teraz powinny tulić rozzłoszczone, maleńkie dzieci, i przyłożyła do jej nagiej piersi sine ciałko. Szeptala coś w przestrzeń i tuliła je obie.

Przytrzymała ręce córki, w których ułożone było dziecko. Kołysała się w tył i w przód, aż w końcu zaczęła płakać z bezsilności. Płakały teraz we trzy: Bachira, Tove i babka. Rozdzierały krzykiem i szlochem gęste od dymu i cierpienia powietrze, wreszcie wycieńczona babka otworzyła zapłakane oczy i zobaczyła, jak pod drzwiami od izby przemyka cień. Wyglądał zupełnie nienaturalnie. Gęsta, czarna ciecz rozlewająca się na podłodze przesunęła się tuż pod drzwiami. Pozostawiła po sobie tylko strach w sercu starszej kobiety.

Głowa babki opadła na ramię córki. I choć dobrze wiedziała, że zmory lubią karmić się widokiem strachu i krwi, nie dawała za wygraną, i dalej kołysząc, mówiła jakby sama do siebie, do świata i całej wieczności:

*Pomiędzy tymi słowami
Niech zagości prawdziwa magia
Naszych przodków
-- Ufnie oddaję się ich mocom.
One wiedzą, co robić
Dziś,
Jutro,
Zawsze.*

Powtarzała te słowa wielokrotnie z tak wielką siłą, że nie zauważyła, jak mocno zaciska swoje palce na rękach córki. Na przedramionach młodej kobiety pojawiły się sińce. W jednej z piersi kobieta dźwigała wichry i burze, w drugiej świat, który można było jedynie oglądać pod ziemią. Aż w końcu z jednej piersi zaczęło płynąć mleko. W tym samym momencie babka znów powtórzyła zaklęcie. Chciała wyśpiewać córce i wnuczce zdrową skórę, włosy, czyste serce, kobiecość, czyli wszystko to, co jest potrzebne dziewczętom. I nagle poczuła, jak ręce córki zaciskają się na wątłym ciele dziecka. Ledwie odczuwalny puls dał nadzieję starszej kobiecie, że jeszcze nic nie jest stracone. Córka najwyraźniej zemdlała i właśnie wracała jej świadomość, ale niemowlę już zbyt długo trwało w bezdechu. Babka dobrze wiedziała, że wszędzie, gdzie pojawia się życie, jest również śmierć, lecz wydarzyło się coś, co było zupełnie niezrozumiałe także dla niej. Wśród wrzasków noworodków i wszędo-bylskiego brudu, w tej, która przyszła na świat jako trzecia, poruszyło się tchnienie. Może stało się tak za sprawą czarów, a może brakło już miejsca dla kolejnych dusz tam, gdzie przebywają tuż po śmierci? Dziewczynka nie wybrała innej drogi, chciała dotknąć tego, co jest piękne w krainie zwanej życiem, dlatego jej wątłe płuca napełniły się powietrzem i nagle do wszystkich krzyczących dołączył trzeci głos. Traszka zaczęła cichutko i niepewnie płakać. Miała największe serce, które jeszcze nie chciało umierać po to, aby móc odrodzić się w wieczności.

Teraz już dorosłe i tak samo piękne siedziały przed nią, zającąc ze smakiem. Na tle ich ciemnych włosów babka wyglądała jak wiekowy anioł. Jedynym elementem, który pozwalał je odróżnić od siebie, był różnicowany charakter. Krnąbrna i pewna siebie Bachira, porywczą Tove, bardzo wrażliwa i pomocna Traszka.

-- No już, proszę szybciej, moje dziewczęta. -- Babka zacisnęła mocno powieki, aż wyraz jej twarzy z pogodnego zmienił się na bardziej ostry. -- Nie będę na was czekać w nieskończoność. Bachira, natychmiast zajmij się przemianą.

-- Byle nie zwierząt, babciu, proszę, tylko nie to! -- przerwała jej wpol zdania Traszka.

-- Dobrze, dziś zwierzęta zostawimy w spokoju. Co byś chciała przemienić? -- Babka skierowała spojrzenie w stronę Bachiry.

-- Może nie co, ale kogo? -- Zachichotała podstępnie. -- Chciałabym zamienić Tove w szczura. -- Pokazując palcem w stronę wybranej siostry, warknęła na nią jak pies.

-- To spróbuj. -- Babcia założyła na siebie ręce i podstępnie czekała na jej reakcję.

-- Co? Babciu, zwariowałaś! -- krzyknęła Tove. -- Przecież ona nigdy nie mogła się nami bawić, babciu!

-- Uspokój się, dziewczyno, i skup. Patrz na nią i siłą woli nie pozwól zrobić sobie krzywdy. Obyś nie musiała w przyszłości walczyć z własną siostrą.

-- Ale ja nie umiem -- szepnęła do babki zrozpaczona.

-- Już od dawna wszystko umiesz. Wymieszaj te uczucia z odrobiną wściekłości, własna siostra chce zrobić z ciebie nie jaskółkę, lecz szczura. Miło ci?

Tove nie wiedziała, co powiedzieć, czuła, jak narasta w niej fala goryczy i rozżalenia. Zastanawiała się, jakie emocje musi nosić w duszy najbliższy jej człowiek, skoro zachowuje się w ten sposób. Przecież złość, żeby się wylać, musi dojrzewać latami. Gniew nie jest jak kamień w rzece, byle szybszy nurt wody nie przeniesie go w inną stronę, on musi z dnia na dzień, jak ziarno, kiełkować.

Tove czuła, jak narasta w niej niepokój, wzburzenie zaczynało przerażać się we wściekłość.

-- Dobrze, siostro. Skoro taka jest twoja wola, przemień mnie w szczura. -- Patrzyła na Bachirę jak wilk na bezbronną sarnę.

-- Jesteś tego pewna? -- Uszczypliwy ton głosu siostry sprawił, że w Tove nie było ani grama spokoju. Cały jej wewnętrzny świat wrzał ze złości, lecz na zewnątrz nie było tego widać.

Bachira zaśmiała się jeszcze raz i siedząc naprzeciw siostry, patrzyła na nią przenikliwie, aż w pewnym momencie zaczęła podnosić ręce w jej kierunku, nucąc czarowne pieśni. Jednak Tove była nieustępliwa, odpie-rała atak siostry jedynie spojrzeniem. *Nie możesz mi niczego zrobić, nie*

masz w sobie tyle siły, ile mam ja -- powtarzała w myślach, zaciskając wzburzone usta. Pod przewodnictwem wewnętrznej mądrości docierała do tego, co w niej pierwotne, intuicyjne, prawdziwe. Nie musiała stosować żadnych zaklęć, wystarczyła silna wola i skupiony umysł. Dwie sprzeczne ze sobą energie kłębiły się nad stołem i przepychały raz w jedną, raz w drugą stronę. Gliniane kubki i talerze zaczęły podskakiwać, jakby poruszone trzęsieniem ziemi.

-- Babciu, zrób coś! -- szepnęła przerażona Traszka.

-- Nie przeszkadzaj im. -- Nie patrząc na wnuczkę, kobieta bacznie obserwowała sytuację.

Wtem srebrna łyżka leżąca tuż przy talerzyku podskoczyła tak wysoko, że przecięła swym końcem kotłujące się nad stołem zaklęcia, a skrzące się w niej światło poranka odbiło czary Bachiry, które uderzyły w nią tak mocno, że spadła z ławy na podłogę. Został po niej tylko dym i szczur z imponującym ogonem.

-- Bachira? -- Przerażona Tove wstała natychmiast od stołu i gdy tylko się wychyliła, zobaczyła biegające po klepkach stworzenie. -- Babciu, co ja najlepszego zrobiłam? -- Podbiegła do szczura i złapała go sprawnym ruchem.

Dziewczyna była zaskoczona obrotem spraw. Próbowała za wszelką cenę utrzymać zwierzę w rękach.

-- Puść ją. Niech pójdzie, dokąd chce. Musi się nauczyć pokory. Gdyby uciekła za daleko, Traszka ją umiejętnie przywoła.

-- A jak jej się coś stanie? Babciu, przecież może zjeść ją kot albo inne stworzenie. -- Tove nie mogła już dłużej utrzymać wijącego się w jej rękach szczura. Zeskoczył jednym susem i pobiegł w stronę pieca.

-- Nie martw się o nią. Ma w sobie tyle jadu, że nie będzie nikomu smakowała. Żadne zwierzę jej nie ruszy, a ty, Tove, musisz przestać być tak naiwna. Nie jesteś już młodym dziewczęciem. Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? Czy poczułaś, jak wielką masz w sobie moc?

Tove błędziła wzrokiem po rąbkach sukienki. Czowała, że jakaś nieopisana fala magii przebiegła przez jej ciało, ale nie umiała jej nazwać, nie wiedziała, jak nad nią zapanować.

-- Babciu, przecież dobrze wiesz, że ja nie umiem czarować, dokładnie tak samo jak Traszka.

-- Ale umiesz odeprzeć tę moc! Czy to mało? Wiesz, ile zła kryje się na świecie pod osłoną czarów? Rzucanie klątw, uroków, zabobony. Głupota ludzka nie zna granic. Żaden smród się do ciebie nie przyczepi, tylko musisz kontrolować swoją siłę i przede wszystkim nauczyć się wyczuwać to, co przychodzi do ciebie z zewnątrz. Do ciebie też kieruję te słowa, moja panno! -- Traszka jakby oprzytomniała, natychmiast wyprostowała się nad stołem.

-- Dobrze wiesz, że ja tak nie umiem -- odpowiedziała półszepem.

Babka westchnęła głośno, zaciskając na chwilę powieki. Światło poranka tańczyło na ścianach i suficie. W kącie izby znów pojawił się cień. Tylko babka wiedziała, że tu jest. Nie musiała otwierać oczu, żeby wyczuć jego zapach. Gdy przychodził, zdawało się, że ktoś przypalił garnek z owsianką. Woń spalenizny szybko rozeszła się po pomieszczeniu, ulatując przez otwarte okno.

-- Może i nie umiesz, ale twoją bronią jest czułość. Pamiętaj: jeśli jesteś czuła, jesteś potężna. Masz całe zastępy zwierząt za sobą. Wiesz, o czym myślą, czego chcą. Jesteś jedną z nich. Po co ci chcieć więcej? -- Babka z odrobiną dezaprobaty wstała od stołu i załamała rękę. -- Ile razy ja wam to wszystko muszę tłumaczyć? Dzień za dniem, noc za nocą. Jesteście już takie dorosłe... -- Podeszła do garnka, w którym wolno gotował się rosół. Tłuste oczka pływały na powierzchni, płynnie ocierając się o siebie, a kurze łapki wystawały spod metalowej przykrywki. -- Same musicie doświadczyć sytuacji, w których będziecie musiały umiejętnie wykorzystać swoje moce. Tego akurat was nie nauczę.

-- Babciu, nie mów tak! -- Traszka widząc smutek na twarzy kobiety, od razu podeszła, żeby ją przytulić.

-- Moje drogie, wystarczy tych czułości. Skoro jeszcze ze mną jesteście, to bierzcie się do roboty. Traszka, idź do kur i zobacz, czemu nie zniosły od wczoraj jajek, a ty, Tove, idź poszukać swojej przemienionej siostry.

-- A jak już ją znajdę? To co wtedy?

-- Zrób dokładnie to samo co przy stole.

Obie dziewczęta rozeszły się do swych zajęć. Traszka dobrze wiedziała, dlaczego kury przestały znosić jajka, ale przecież nie mogła wrócić z tą wiadomością do opiekunki. Postanowiła, że będzie siedzieć z nimi w kurniku i je głaskać tak długo, aż w końcu uda się jej w ten sposób przeprosić za dzisiejszy poranek. Kury to są bardzo dziwne zwierzęta. Współodczuwają ból wszystkich innych ptaków, być może dlatego się z nimi tak bardzo identyfikują, ponieważ same chciałyby umieć latać, a może ich małe rozumki uważają, że już to potrafią i przynależą do lotnego królestwa zwierząt? Trudno było je ocenić, a jeszcze trudniej przeprosić. Cały czas zmagła się ze słowami i oddechem. Musiała się bardzo mocno skupiać, żeby przekazać im swoje myśli; zwierzęta nie chciały jej słuchać, ale bardzo chętnie przyjmowały każdy rodzaj pieczyoty. Nagle podeszły bliżej, coraz mocniej tłocząc się przy niej, wchodziły prawie jedna na drugą. Traszka poczuła lęk przed ich dzikimi spojrzeniami, twardymi dziobami, mocnymi pazurami. Niczym nieuzasadniony lęk przed czymś, czego wcześniej nie doświadczyła i nie знаła. Kury były stłoczone wokół niej, jakby ktoś przewiązał je jakąś grubą liną, a dziewczyna pośrodku nich poczuła, jak napierają i dziwnie gdaczą. Chciała wstać, ale nie mogła, zwierzęta zaczęły ją obsiadać i tłoczyć się coraz bardziej. Nagle przed kurnikiem pojawiła się babka, rzuciła w przestrzeń jakieś słowo i zwierzęta się rozeszły. Przerazona Traszka patrzyła na babcię i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Nigdy wcześniej zwierzęta nie zachowywały się tak w stosunku do niej.

-- Wiesz, co to było? -- Starsza kobieta strzepała z nogi piasek, pocierając jedną bosą stopą o drugą.

-- Nie. -- Zdyszana i zaskoczona swoją bezradnością Traszka nie umiała powiedzieć nic więcej.

-- Urok połączony z twoim strachem. Tylko że ten był rzucony przeze mnie, więc łatwo można było go zdjąć. Przed chwilą tłumaczyłam wam, jak można nad tym zapanować. Czasami człowiek musi się również bronić przed tymi, których kocha. -- Dokończyła otrzepywanie nogi i nie słuchając tłumaczeń dziewczyny, odeszła.

Najpierw przeszukała wszystkie kąty domu, ale nigdzie nie mogła dojrzeć szczura. Czuła się winna zaistniałej sytuacji i obawiała się, że coś mogło się stać siostrze, jednak gdy przypominała sobie dźwięk jej zawistnego głosu i spojrzenia, poczucie winy zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bachira nie miała powodu, by obdarzać ją takim uczuciem.

Obeszła podwórze, kurnik i najbliższy jej las. Nie chciała zapuszczać się w te miejsca, gdzie były ludzkie domostwa, na takie odwiedziny było stanowczo za późno. Choć ludzie traktowali czwórkę kobiet z należytym szacunkiem, to zachowywali pewien dystans. Przychodzili w odwiedziny tylko wtedy, kiedy ktoś chorował i potrzebował lekarstw albo szukano pomocy przy porodzie. Pod tym względem babka była niezastąpiona. Potrafiła wyciągnąć dziecko z najwęższych bioder i odebrać najcięższy poród. Nie bała się rzucać zaklęć, palić ziół, przeklinać, polewać i okadzać spirytusem rozognione, kobiece łona. Mężczyźni lękali się jej. Najchętniej spaliliby ją na stosie, ale nie pozwalały im na to ich kobiety: córki, matki, babki i prababki.

Babcia nigdy nie pozwalała na wspólne pokazywanie się dziewcząt. Cały czas powtarzała, że to dla ich dobra. Chciała, by okoliczne wioski żyły w przeświadczeniu, że na wychowaniu ma tylko jedną wnuczkę, przecież wyglądały dokładnie tak samo.

Starsza kobieta strzegła tajemnic swojego rzemiosła. Tylko swoim spadkobierczyniom pokazywała, jak suszyć i mieszać ze sobą zioła, o której porze roku i gdzie ich szukać, w jaki sposób wymawiać zaklęcia i jak intonować pieśni. Cieszyła się, gdy Bachira jako pierwsza odkryła swój talent przemiany, z podziwem i troską słuchała, jak Traszka rozmawia ze zwierzętami. Była nią najbardziej zaskoczona, gdyż w całej linii przodkiń żadna z kobiet nie miała tego daru. Być może właśnie dlatego Traszce poświęcała najwięcej czasu.

Chciała nauczyć się od niej tego magicznego kunsztu, osiąść choć odrobinę wiedzy, która spłynęła na dziewczynę w dziwnych okolicznościach narodzin.

Dzień powoli chylił się ku końcowi. Babka cały czas tłumaczyła Tove, żeby nie przejmowała się zniknięciem siostry, ale dziewczyna nie dawała za wygraną. Dzisiejszej nocy koniecznie chciała zobaczyć się z Wilczanem, więc pod pretekstem poszukiwań Hanny wybrała się nad rzekę. Szła wyschniętymi od słońca polami. Szerokie trawy uginały się pod ciężarem dziewczyny, rękami odgarniała wysokie źdźbła, niektóre z nich raniły jej nogi i ręce. Syczała wtedy z bólu, ale szła dalej. Niosła w sercu strach i podniecenie. Lękała się o Bachirę, jednak w myślach cały czas przywoływała obraz swojego wojownika. To słodkie napięcie w ciele powodowało przyjemne dreszcze. Kotłowały się w niej przeróżne emocje, dając radość i przerażenie.

Już z oddali zobaczyła kłębiącą się nad wodą mgłę. Z minuty na minutę było jej coraz więcej, aż w końcu przysłaniała dziewczynie nogi, tak że patrząc na ziemię, nie mogła ich dojrzeć. Mgła pachniała jak świeże, ciepłe mleko, wymieszane z wonią lasu tuż po deszczu. W tej białej gęstwinie nie dojrzałyby nawet najdrobniejszego zarysu swojej siostry, mgła dość szczelnie ukryła przed nią kontury innych obrazów, bezpiecznie niwelowała poczucie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

Dziewczyna usłyszała odgłos szorstkiego piasku, wiatru i dźwięk przelewanej wody. Zrobiło jej się cieplej, gdy dostrzegła ledwie widoczny zarys rzeki. Szła jej brzegiem tak długo, aż w końcu doszła do miejsca, gdzie wpadała w toń ogromnego jeziora. Świat jakby zamarł na chwilę tuż przed nocą. Nie było słyhać dźwięków zwierząt ani ptaków, tylko szum wody. Nawet nie zauważyła, że ławica perlistych rybek, które towarzyszyły jej ostatniej nocy tuż pod pomostem, podążała za nią cały czas.

Kiedy znalazła się w ustronnym miejscu, rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt jej nie obserwuje, spojrzała w taflę wody i przyłożyła do niej rękę. Ciało stykało się z wodą, nie zanurzając się w niej całkowicie. W tej samej chwili połyskujące rybki podpłynęły na tyle blisko, żeby dotknąć wewnętrznej strony jej dłoni. Zaczęła się śmiać, kiedy poczuła, jak delikatnie ją skubią. W odbiciu widziała mieniące łuski na tle twarzy, której zarys rozmywał się pod wpływem maleńkich kręgów two-

rzających się na wodzie. Kim była tak naprawdę? Kobieta z krwi i kości, czarownicą nieznaną się na magii, dzieckiem wychowanym bez matki, ladaczną zakochaną w nieznanym mężczyźnie, siostrą, człowiekiem bez jasno wyznaczonej drogi? Kim była w całej swej istocie?

Dotknęła włosów i zamknęła oczy. Ściągnęła buty, halki, rozpięła sukienkę i bez najmniejszego oporu weszła do wody. Ból rozerwał jej najpierw piszczele, a dopiero potem kości udowe. Cała twarz zacisnęła się w nieprzyjemnym grymasie, ale nie umiała się temu oprzeć. Woda była jej ulubionym żywiołem. Kiedy wyszła na brzeg, drżąc z chłodu, zerwała garść żółtych kwiatów forsycji rosnących na dużym dorodnym krzaku i zmieszała je z jeziornym piaskiem. Tak powstała miksturę zaczęła wcierać w swoje ciało.

Robiła to niespiesznie, znów wchodząc po kolana do wody. Namaszczała każdy zakamarek swojej skóry i upajała się zapachem kwiatów, który nawet po zmyciu zostawał na jej ciele. Chciała pachnieć dla swojego wojownika. Zapomniała już nawet o siostrze, w jej myśli nieopatrzenie jak duch wkradł się Wilczan. Chciała mu dawać niebezpiecznie dużo i być z nim już na zawsze.

Wzięła kolejną garść piasku i kwiatów. Teraz weszła jeszcze głębiej, była na tyle oswojona z zimnem, że już go nawet nie czuła. Zanurzyła piersi i włosy. Te drugie zaczęły falować dookoła niej. Zamknęła oczy i poczuła, jak woda odrywa jej stopy od dna, jak ciało z wolna unosi się i zaczyna dryfować. Poczwała w sobie spokój, jakby woda otuliła ją szczelnie w kokon, nie było teraz w niej myśli o przyszłości ani przeszłości, nie była w tej chwili kobietą, tylko wodą. Poddała się jej i leżąc na plecach, pozwalała nieść się tam, dokąd chciały prądy. Gdy woda przykryła jej uszy, błędnik zaczął wariować. Tove zdawało się, że woda wsysa ją w swoją głębię, podobnie jak ona przyjmowała w siebie Wilczana. I kiedy opuściły ją myśli ze świata doczesnego, kiedy bezpiecznie zanurzona w sobie dryfowała, usłyszała głos gdzieś z głębi: *Zabija nie tych ludzi, co powinien, duchy przodków nie lubią rozlewu krwi*. Otworzyła oczy ze zdumienia, ale nie mogła ustać ani sprawić, by jej ciało chciało płynąć do brzegu, czuła się uwięziona. Dobrze wiedziała, że gdy się po-

ruszy, głos zniknie, a on teraz chciał mówić. *Drzewa nie lubią rozlewu krwi, powiedz mu, bo nie wie, co czyni.* Otworzyła oczy jeszcze szerzej... Nie wiedziała, czy to był głos z niej samej, z wody, czy z nieba. *Umarli mówią, moja droga siostrzo, oczywiście, jeśli chce się ich słuchać, podobnie jak drzewa, zwierzęta i wszystkie cztery żywioły. Nie może zabijać. W jego bronii znajdziesz to, czym go pokonasz.*

Tove zebrała się w sobie i poruszyła ciałem. Nie chciała już dłużej tego słuchać. Kogo miałyby chcieć pokonać, Wilczana? Przecież kochała go całą sobą, jak można walczyć z kimś, kogo się kocha? Kim był głos, który pojawiał się i znikał? Czym były obrazy, które widziała zeszłej nocy? Niewiele myśląc, dopłynęła na brzeg.

Włosy rozczesywała rękami, wystawiając je na podmuchy wiatru. Rozglądała się za czymś, czym mogłaby wytrzeć ciało, ale rośliny ledwo zbudzone do życia jeszcze nie były tak dorodne jak latem. Zerwała więc kępy dużej, zielonej trawy i z marnym skutkiem próbowała się nimi wytrzeć. Źdźbła przyklejały się do wilgotnej skóry, założyła więc na siebie ubranie i poszła tam, dokąd chciała najbardziej.

Była już prawie na miejscu. Zaczynało się ściemniać, a mrok zawsze potęgował niepokój. Dlatego gdy zobaczyła gdzieś w oddali ludzką postać, natychmiast schowała się za karłowate i gęste zarośla rokitnika. Obserwowała uważnie zbliżający się coraz większy cień. Zdało się, że już skądś знаła tę postać, ale w tym opadającym mroku nie mogła być jej pewna.

-- Nie chowaj się, to ja. -- Gruby głos wojownika dobiegł uszu dziewczyny. Natychmiast zerwała się do biegu, rozdzierając dolne falbany sukni o zarośla. Biegając, widziała już z daleka rysujący się uśmiech na jego zmęczonej twarzy. Rzuciła się wprost na niego, oplatając szyję ramionami.

-- Tęskniłam, Wilku! Tak się cieszę, że znowu jesteś!

Odwzajemnił jej uścisk. Jedną rękę położył na jej plecy, a drugą wplótł w jeszcze wilgotne włosy.

-- Ciszej bądź! Twoja radość nas kiedyś zdradzi, chodź do szopy. -- Jego stanowczy ton mocno zaniepokoił Tove. Dziewczyna natychmiast

oderwała się od niego i spojrzała mu w oczy. Były w nich strach i niepokój, na zmarszczonym czole zauważyła perlący się pot. Starła go ręką. Mężczyzna w tej samej chwili zamknął oczy. Dziewczyna czuła, że jej dotyki go uspokaja. Wojownik chwycił Tove za przedramię i bez słowa pociągnął ją ku gęstwinie, przez którą się przedzierali, kierując do szopy.

-- Coś się stało? -- zapytała Tove, pomagając mężczyźnie ściągnąć łuk z pleców. Odwrócił od niej twarz i udał, że nie słyszał pytania. Ściągnął skórzany pas, do którego był przymocowany kołczan, i bezsilny usiadł na sianie. Drobin kurzu się uniosły, wirując wkoło niego zuchwale. Osiadały na jego włosach, zaroście, ubraniu... Mężczyzna wyciągnął rękę po Tove i -- jak to miał w zwyczaju -- przyciągnął ją do siebie.

-- Nic się nie dzieje, mała, skąd to masz? -- Dotknął wisiora zdobiącego jej dekolt. Dziewczyna oblała się rumieńcem, ale było już tak ciemno, że nie zdążył tego zauważyć.

-- Znalazłam w lesie -- odparła zmieszana.

-- Nie noś tego, bo będziesz miała kłopoty. -- Jednym ruchem ręki zerwał wisior i rzucił go przed siebie w ciemność.

-- Coś ty zrobił? -- Zaskoczona przyłożyła rękę do szyi. Odwróciła się od niego i podbiegła do miejsca, gdzie zdawało się jej, że upadł amulet.

-- Nawet jeżeli ci się nie podobało, to było moje! Jak śmiałeś! Skąd w tobie tyle brutalności! -- Jej głos się załamał. Szukała po omacku wisiora, a łzy spływały po policzkach. Mężczyzna podszedł do niej i chwytając ją za ramiona, podniósł do góry:

-- Zrobiłem to dla twojego dobra. Wyglądało jak amulet, nie znając jego mocy, nie możesz go nosić. Nie wiesz, kto przed tobą był jego właścicielem. Wyglądał jak...

-- Jak co?! -- przerwała, krzyżąc mu prosto w twarz. -- Jak co wyglądał?! Proszę, dokończ!

-- Jak nic. -- Ścisnął coraz mocniej jej ramiona.

-- Jak coś, czego się boisz! Duchy przodków nie lubią rozlewu krwi, zabijasz nie tych ludzi, których powinienes! -- Tove uderzyła pięścią w jego mocny tors. Mówiła z taką siłą, jakby to nie jej własny głos wydo-

był się z wnętrza, jakby cały zastęp zmarłych czarownic odezwał się z zaświatów.

-- Coś ty powiedziała? -- Ciałem Wilczana wstrząsnął dreszcz niedowierzania.

-- Myślisz, że w tej mojej infantylnej czułości nie wiem, po co ci te strzały? -- odpowiedziała złowrogo. -- Myślisz, że jestem aż taka naiwna, że do tej pory nie zauważyłam, że nosisz w kołczanie niedoczyszczone od zaschłej krwi groty?

-- Muszę coś jeść, dobrze wiesz, że poluję na zwierzęta.

-- Kłamiesz -- prychnęła, ścisząc głos. -- Krew zwierząt ma inny odcień czerwieni niż ludzka. -- Oczy Tove znów zaszyły bielmem, ale Wilczan tego nie widział.

Dziewczyna chciała powiedzieć coś jeszcze, podeszła do niego na tyle blisko, że dotknęła piersiami jego torsu. Oddech Wilczana, przepełniony złością i agresją, przyspieszył, mężczyzna wyraźnie poczuł zapach poziomka. Tym razem był wymieszany z wonią świeżo ściętej trawy i kwiatów. Przypomnił mu ogród matki, w którym wygrzewał się na słońcu jako mały chłopiec. Poczul ogromne pożądanie.

-- Za jego sprawą mogłaś narobić sobie wiele kłopotów -- powiedział już nieco łagodniej. -- Zrobiłem to z myślą o twoim bezpieczeństwie.

-- Nie przedstawiaj tej sytuacji w odwrotny sposób! Dobrze wiesz, że nie powinienes się tak zachowywać! Gdybyś się o mnie martwił, to spotykałibyśmy się w zupełnie innych okolicznościach, wtedy mógłbyś mnie chronić a teraz? Teraz przychodzę tu z całą swoją czułością, oddaję ciało, a ty zachowujesz się jak drań! Jesteś brutalny! Jak mogłeś? -- Spojrzała w ciemną otchłań, gdzie przed chwilą upadł wisior. W tym momencie jego odnalezienie było zupełnie niemożliwie. -- To czego nie chcesz mi powiedzieć?

Tove zaczęła zadawać wiele pytań, ale Wilczan już na nie nie odpowiadał. Patrzył na nią i gładził jej włosy. Przysunął się jeszcze bliżej i zatopił w jej ustach swój wilgotny i ciepły język. Dziewczyna nie stawiała oporu.

-- Czujesz, co się między nami dzieje? -- szepnęła Tove.

-- Tak.

-- To jest ogień, Wilku. Ogień, który potrafi ogrzać, wykarmić, ale też zniszczyć. Proszę cię, przyjmij ten ogień, który ci daję. Przyjmij go jako największy dar. -- Wilczan zaśmiał się z jej słów. -- Śmiejesz się ze mnie?

-- Nie. Wręcz przeciwnie. Uwielbiam, gdy tak mówisz. To jest zupełnie inny język niż ten, którego słucham na co dzień. Twoje słowa są jak pieśni, koją moje uszy.

Nie zdążyła rozpiąć guzików sukni. Natychmiast zadarł ją do góry, zacisnął ręce na udach. Ścisnął je mocno, jakby chciał gołymi rękami rozszarpać dzikie zwierzę. Leżąc na sianie, Tove pomogła mu ściągnąć z siebie bieliznę, a kiedy poczuła między udami jego twarde członek, jeszcze szerzej rozchyliła nogi. Zły wilk, którego miał w sobie, teraz nie myślał, zaspokajał swoje zwierzęce żądze, a przy tym wiedział, że nie umiałby jej okłamać. Brudny świat, którego był zakładnikiem, przy niej całkowicie zniknął. Zostawały tylko pieśni jej słów. Karmił się jej zachłannością i opiekuńczością. Być może dlatego, że od chwili śmierci jego matki nikt nie dotykał go z taką czułością. Czuł, że jest dla niej najważniejszy.

Niczego nie obiecywał, niczego nie dawał, ale brał. Brał wszystkie jej gwiazdy i słońca. I kiedy już zadawał ostatnie pchnięcia, chciał krzyczeć z rozkoszy, a zarazem z rozpaczony nad swoim życiem, ale nie mógł, bo coś kurczowo ścisnęło go za gardło i nie pozwalało pokazać, jak bardzo emocje rozsadzają klatkę żeber. Nie wiedział o tym, że kiedy pierwotne energie nie znajdują odpowiedniego ujścia, zaczynają działać się rzeczy straszne.

Zszedł z Tove, opadł na siano i oddychał miarowo, źdźbła siana kłuły go w plecy. Chwycił rękę dziewczyny i leżeli w milczeniu. Obserwował gwizdy przez dziurawe sklepienie szopy. Tove czuła, jak soki, którymi ją obdarzył, zaczęły z niej wypływać. Znaczyły uda, były jak barwy ochronne, którymi babka czasami malowała swoje ręce. Wyciągała większe bryły niedopalonego drewna z dogaszonego ogniska i znaczyła czerwią palce rąk i nadgarstków. Mówiła, że w ten sposób nikt nie wyciągnie

z nich czarów, a Tove miała nadzieję, że tym gestem przykuje go do siebie na zawsze.

Rozmawiali o życiu, a może raczej o przeszłości, a każde z nich skrętnie pomijało swoje tajemnice. Wyczuwali to gdzieś podskórnie. Tove czasem chciała przełamać ten dystans, ale mężczyzna był jak skała. Najbezpieczniej było podzielić się opowieściami o dzieciństwie. Beztróskich ramionach babci, które wychowywały Tove, i zacisznej wsi, w której mieszkał Wilczan. Wraz ze słowami uchodził z niego gniew, stawał się spokojniejszy i czuły, czyli taki, jakim go zawsze widziała.

Nie puszczał jej ręki, przekręcił się na bok, podpierając na łokciu, i palcami pieścił jej szyję. Zobaczył wzgórze rysowane przez piersi, znów poczuł w sobie falę drapieżnego pożądania. Opuszkami wyczuwał, jak z każdym wydechem opadają, żeby potem zaraz znów się wznieść. Miał ochotę dotykać jej cieplej skóry, dlatego nie pytając o zgodę, rozpiął guziki i wraz z pomocą Tove ściągnął z niej suknię. Teraz była naga. Wilczan chciał się nią nasycić, dotykał jej łapczywie, mówił, że jest zbyt ciemno, żeby podziwiać jej nagość, ale przecież jego ręce też widziały. Zaciskał je na każdym zagłębieniu skóry, każdą fałdkę i szczelinę chciał dokładnie spenetrować, poznać jak niezbadany dotąd teren i kiedy kolejny już raz doszedł w niej, kiedy słony pot ozdobił skórę, szepnął:

-- Uwielbiam cię, coś ty ze mną zrobiła? -- Wpatrywał się w nieruchome oblicze Tove. Kropla jego potu spadła na jej policzek. Oddychał ciężko. -- Tove, boli cię coś? Czemu nic nie mówisz? -- Pochylił się nad nią i ugryzł ją w policzek. Skąd mógł wiedzieć, że znów jej oczy zaszyły bielmem i widziała przed sobą nie Wilczana, tylko rzekę pełną krwi i ciał wojowników. Zobaczyła ogień tak wielki i gorący, jakby chciał pochłonąć całą ludzkość. Okalał ją z każdej strony, języki ciepła lizały jej twarz i skwierczały paląc włosy. -- Tove! -- Wilczan chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Wróciła do siebie, zaciskając drobne ręce na jego przedramionach i powiedziała:

-- Nie możesz zabijać, Wilku, bo to cię doprowadzi do końca. Proszę, nie rób tego.

Mężczyzna natychmiast podniósł się i odkaszlnął. Podrażniły go drobiny kurzu wirujące w powietrzu.

-- Już ci mówiłem, że nikogo nie zabijam! -- Momentalnie zmienił ton głosu, znów stał się apodyktyczny i władczy. -- Zachowujesz się dziwnie, jakbyś postradała rozum! Co ty wygadujesz?!

Tove wsparła się na ramionach i usiadła. Szukała po omacku w ciemności sukni, zimne piersi dotknęły skóry brzucha. Przeszedł ją dreszcz. Nie lubiła, gdy przybierał to drugie oblicze. Znalazła swój ulubiony kawałek materiału, przykryła nim siebie i usiadła przy mężczyźnie. Objęła go i pocałowała w rękę, jak miała w zwyczaju.

-- Nie krzycz na mnie. Nic ci nie zrobiłam. Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego mnie nie chcesz. Chciałabym wiedzieć, co robią twoje ręce, poza tym, że codziennie naciągają łuk?

-- Nie robię tego codziennie... -- odburknął jak mały, obrażony chłopiec.

-- To skąd ta blizna na policzku? Przecież to od cięciwy, prawda?

Nie odpowiedział. Chwycił źdźbło i zaczął przeżuwać. Myślał o czymś bardzo intensywnie. Widziała, że chce coś powiedzieć.

-- Wilczan... Wilczaaan... -- wypowiedziała jego imię tak ciepło, że mogłaby tym dźwiękiem roztopić żelazo.

-- Tak wygląda prawdziwe życie, moja słodka, bez blizn nie ma wojownika -- odrzekł pewny siebie.

-- Bez miłości nie ma siły. Zginiesz od tego, z czym walczysz. -- Wstała natychmiast, bojąc się reakcji na te słowa. Założyła suknię, podeszła do łuku i podniosła go. Wilczan obserwował każdy jej ruch. Czuła się jak złodziej. Znów przy nim usiadła, dotykając broni najdelikatniej, jak tylko mogła.

-- Wiesz, z jakiego drewna jest zrobiony? -- Podniosła go do twarzy i zaczęła wachać.

-- Oczywiście. Każdy łucznik wie, z czego jest zrobiony jego łuk. To jest dąb.

-- Dąb... -- powtórzyła, gładząc drewno. -- Wiesz o tym, że w dawnych czasach na dębach wieszano czarnoksiężników i magów? Na drze-

wach, o których mówi się, że są praprzodkami magii i czarów. -- Wilczan zaczął szybciej oddychać, denerwowało go to, co słyszał, chciał jej przerwać, ale w dalszym ciągu słuchał, co miała do powiedzenia. -- Z tego drzewa robiono magiczne różdżki i laski, śmierć na ich konarach była największym poniżeniem dla czarowników i czarownic.

-- Wiem o tym! -- podniósł głos.

-- Twój łuk zawsze czuwa, nigdy nie odpoczywa, jak duchy zmarłych czarownic.

-- Przestań o tym mówić! -- krzyknął w czerń nocy z taką siłą, jakby Tove co najmniej go obraziła. -- Oddaj i nie dotykaj go więcej! To są jakieś głupie zabobony! -- Brutalnie wyrwał kawałek drewna z rąk dziewczyny. Nie wiedzieć czemu, nie chciał, żeby miała z tą bronią jakikolwiek kontakt.

-- Nie wiedziałeś o tym? -- Poprawiła włosy, upinając je w gruby kok na czubku głowy, w który włożyła leżący nieopodal patyk.

Rozwścieczony Wilczan, widząc w mroku zarys jej smukłej szyi i ramion, znów poczuł pożądanie. Był na nią zły. Za to, że zadaje tyle pytań, dziwnie mówi, a przede wszystkim dlatego, że znów miał ochotę zamknąć jej usta swoim językiem.

-- Dlaczego nie mogę go dotykać?

-- Bo to nie jest dla ciebie, jesteś za delikatna! -- Szukał w głowie odpowiedniej wymówki.

-- Czyli jednak zabijasz? -- powiedziała prawie do siebie, mrużąc oczy. -- Duchy przodków nie lubią rozlewu krwi, nie rób tego -- powtórzyła znów jak modlitwę. Wilczan wstał i z hukiem odłożył łuk na miejsce.

Tove czuła, że stąpa po cienkim lodzie, zadając szereg niewygodnych pytań, na które i tak nie dostanie odpowiedzi, więc znów wypowiedziała jego imię z czułością, jak zaklęcie przywołujące spokój:

-- Wilczaaan, chodź do mnie... Nie będę już o to pytać, nie denerwuj się. Ja tylko chcę być z tobą, nie chcę, żeby coś ci się stało, chcę żebyś był szczęśliwy. -- Wyciągnęła do niego rękę, drugą pokazując, żeby usiadł obok.

Poczuł ciepło jej skóry, dawało mu spokój. Gdy nie zadawała pytań, była jak balsam przynoszący ulgę gojącym się ranom. Jej widok wypełniał skamieniałe serce jakimś dziwnym rodzajem nadziei, którego nie umiał nazwać ani dookreślić. Już sama myśl o spotkaniu z nią przynosiła mu ukojenie. Nawet nie wiedział, jak bardzo jej potrzebował. Kiedy już ciało przestało reagować na złość, zalała go fala spokoju. Patrzyli w czerń, nasłuchując odgłosów nocnego lasu, myśleli o sobie, nie wypowiadając ani słowa. Tove nie chciała znów sprowokować go do kłótni, a Wilczan nie wiedział, do której kategorii kobiet ją przypisać. Do jakiego worka z tymi, którymi się co jakiś czas zadowalał, ją wrzucić. Nie była wiejską kurtyzaną, bo byłaby bardziej brutalna w swej miłości, brakowało jej też pewności siebie, która cechuje te kobiety, nie była dziewczycą, bo zauważyłby to już dawno. Nie była też tą, które nie mają nic do powiedzenia, a zaspokoiwszy swe cielesne potrzeby, nie chce się już do nich wracać na drugi dzień. Nie wiedział, co z nią zrobić. Czy się zakochać, czy rzucić jak każdą inną. Im więcej o niej myślał, tym bardziej chciał się z nią spotykać, ale kiedy patrzył na łuk i strzały, rozum podpowiadał mu co innego.

Łaknął więc jej ciała i naturalnych pieszczot, sycił się nią jak wodą z górskiego źródła. Nie chciał wiedzieć, co będzie dalej, dlatego bez chwili namysłu znów ją rozebrał. Chciał mieć ją nagą, chciał patrzeć, jak jej piersi falują, jak brzuch napręża się i rozkurcza pod wpływem jego męskości, aż w końcu nasyciwszy się jej blaskiem, zasnął spokojnie jak dziecko.

Tove jednak nie mogła zaznać całkowitego wyciszenia. Ta noc była inna od poprzednich. Nasłuchiwała pohukiwania sów i starała się zrozumieć, co mówią do niej jej zmysły. Miała ochotę jeszcze raz dotknąć łuku. Głaskała mężczyznę za uchem i po karku. Wsłuchiwała się też w jego oddech, a gdy już był miarowy i jednolity, subtelnie wymknęła się z jego objęć, zarzuciła na siebie brudną suknię i cichutko jak mysz, na czworakach, powędrowała w miejsce, gdzie leżał łuk.

Najpierw spojrzała na mężczyznę, niepewna, czy aby nie zbudziła go ze snu, ale jego spokojne ciało wskazywało na to, że nie ma zagrożenia.

Potem skierowała wzrok na broń. Czuła się jak złodziej.

Dotknęła drewna opuszkami palców, najdelikatniej jak umiała. Było zimne i twarde. Łuk miał mocno wytartą rękojeść, cięciwa przypominała grubą strunę instrumentu muzycznego, który pierwszy raz w życiu Tove widziała kiedyś na targu. Pociągnęła ją dość mocno, wydała cichy jęk, jakby ktoś szybko przeciągnął grubym kijem po metalowej blasze. Miała wrażenie, że w ten sposób łuk do niej mówił. Zrobiła to jeszcze kilka razy. Nie czuła lęku, co najwyżej ciekawość. Przejechała ręką po grzbiecie i brzuchu, zatrzymała się na rękojeści, to właśnie w niej biło serce broni. To miejsce było najczęściej dotykane i raz za razem musiało przeżyć się jak jej brzuch pod pchnięciami Wilczana. Jednak w mroku dostrzegła w końcu to coś, co nie pozwalało jej dziś spokojnie zasnąć.

Cały wieczór i noc spoglądała w ich kierunku. Nie wiedziała, cóż mogło tak pięknie się mienić w blasku księżyca. Spojrzała na mężczyznę, nadal spał. Przesunęła się w kierunku kołczanu i poczuła dziwne podniecenie. Szare lotki strzał mieniły się, jakby ktoś przeszył je złotą nicią. Ręce Tove same powędrowały do kołczanu i wyciągnęły kilka strzał. Były długie i smukłe jak palce pięknej dziewczyny. Jedna z trzech lotek, przymocowana prostopadłe do osady, miała czerwony kolor. Dziewczyna zauważyła tę dziwną różnicę we wszystkich strzałach. Być może Wilczan chciał nadać im charakterystyczny wygląd, a może to był celowy zabieg, którego znaczenia nie rozumiała?

Przyglądała się wszystkim z dużą ostrożnością. Groty połyskiwały jak zdobna biżuteria, ale jeden z nich był dość znacząco wyszczerbiony. Strzała, do której był przymocowany, wyglądała na mocno zużytą. Chwiejne lotki musiały nie spełniać swojej funkcji, a wyszczerbiony grot był najbardziej masywny ze wszystkich. Wyglądał, jakby wyszedł spod ręki pijanego kowala, metal był dość nierówno wypolerowany.

Tove opuszkami gładziła wyżłobienia; miała wrażenie, że na grocie wyryty jest jakiś napis. Było zbyt ciemno, żeby mogła go przeczytać. Potarła jeszcze mocniej, aż poczuła zapach ciepłego metalu w ustach, zrobiło jej się niedobrze. Grot wyglądał na bardzo stary. Dotknęła szpikulca, który zranił ją w opuszek, na tyle mocno, że krew natychmiast

kapnęła jej na ubranie. Szybko włożyła palec do ust, chcąc wyssać wyciekającą krew.

Zranione miejsce nie chciało się zasklepić. Gdy tylko wyciągała palec, drobne krople krwi znów wypływały z rany. Zaintrygowana napisem, za wszelką cenę chciała spróbować go odczytać. Wyszła na dwór i mrużąc oczy w blasku księżyca, obracała strzałę we wszystkie strony, jednak z marnym skutkiem.

Ciszę, która nagle zapadła, przerwał krzyk Wilczana. Dziewczyna zerwała się na równe nogi, schowała strzałę w falbany sukni i pobiegła.

-- Gdzie byłaś, Tove?! -- Stróżki potu zdobiły jego skronie i tors.

-- Musiałam siku, przecież nie będę robić tego w szopie -- kłamała jak z nut, cały czas przytrzymując strzałę w falbanach, w obawie, że wypadnie tuż przed mężczyzną. -- Coś złego ci się przyśniło?

-- Nie. -- Teraz on kłamał.

-- Wilczaaan... przecież nie krzyczałbyś tak z mojego powodu? -- Pogładziła jego tors, ścierając resztki potu.

-- Nie wiem, czasami mam wrażenie, że tylko przy tobie spokojnie zasypiam. -- Oderwał warkoczyk od spoconego policzka i zarzucił go na plecy.

-- Może jestem strażniczką twoich snów? -- zapytała zalotnie Tove, ale Wilczan nie miał ochoty na przekomarzenie i zaloty. Rozglądał się nerwowo. -- Myślisz, już o tym, że musimy wracać, prawda? Widzę to po tobie.

-- Tak. Chciałbym kiedyś móc zostać z tobą dłużej, ale teraz nie mogę.

-- Nigdy nie będziesz mógł... -- Tove wstała. Odwróciła się od niego i pod pretekstem układania falban sukni sprawdzała, czy strzała jest na swoim miejscu. Myślami chciała ją jak najszybciej odłożyć, ale nie miała jak tego zrobić.

Wilczan zaczął się ubierać i przygotowywać do drogi, założył już na siebie pas z kołczanem i łuk. Tove postanowiła potajemnie odłożyć ją na swoje miejsce kolejnej nocy. Nie chciała robić tego teraz, przy nim. Oba-

wiała się jego złości. Miała nadzieję, że do tej pory nie zauważy zniknięcia strzały.

Co i rusz spoglądała na poplamioną krwią suknię. Było tak ciemno, że nikt nie mógł tego zauważyć.

Rozstali się w atmosferze niewypowiedzianych słów. Patrzyła mu głęboko w oczy, w których czaiły się nostalgia i smutek. On, barczysty mężczyzna, którego postura przypominała ogromnego niedźwiedzia, teraz zgarbiony wyglądał jak mały chłopiec, który łaknie ramion matki. Gładził jej policzek i na pożegnanie pocałował ją najpierw w czoło, jak brat siostrę, a dopiero później w usta.

-- Wilku, zaczekaj... -- Nie pozwoliła mu jeszcze odejść, a słowa, które chciała wypowiedzieć, były jak kamienie opadające na dno studni. Rozbijały się w niej głuchym echem. -- Kim dla ciebie jestem?

-- A jak uważasz? -- odparł.

-- Nie odpowiada się pytaniem na pytanie, chcę to usłyszeć od ciebie. -- Jej oczy pytały go o miłość, którą chciała mu dać.

-- Jesteś nadzieją. -- Siła, z jaką to wypowiedział, prawie powaliła ją na kolana. W jego źrenicach coś zaśniło, ale nie była to łza.

-- Nadzieją? -- powtórzyła niepewnie. Ciężko trawiła w sobie te słowa, jak zepsute piwo, rozpychały jej brzuch i przyprawiały o mdłości. Skrzywiła się lekko.

-- Tak. Jesteś drobną iskrą nadziei w świecie pełnym okrucieństwa, bez niej poczyna się całe zło.

-- Zło pochodzi od człowieka, Wilczanie, nie myl pojęć.

-- Nieprawda. Zło było na początku wszystkiego, jako oddzielna siła, równoważąca świat. Jeśli odbierzesz komuś nadzieję, to jakbyś zabrała mu życie, gaśnie, zapada się w sobie, wpada w ciemność, chce niszczyć, plądrować, palić...

-- Czyli jestem dla ciebie wszystkim? -- przerwała mu. Próbowwała usłyszeć dokładnie to, co chciała.

-- Jesteś jak pokój, który nastaje po krwawej bitwie.

-- Tak się odpowiada możnowładcom, ale nie kobiecie -- zganiała go i naburmuszona chciała odejść. Zatrzymał ją szybkim ruchem ręki,

chwycił za ramię.

-- Tove, nie zachowuj się jak mała dziewczynka. -- Poglaskał ją po włosach. -- Jesteś wspaniałą kobietą.

-- Ale nie dość dobrą dla ciebie? -- Dziewczyna cały czas drażyła temat. Odpowiedzi Wilczana nie dawały jej spokoju, nie były odzwierciedleniem tego, co czuło jej serce. Chwycił ją za talię i przyciągnął do siebie, obdarzając pocałunkiem. Nie bronila się. Kiedy już oderwał się od niej, powiedziała:

-- Zawsze tak robisz, żeby zamknąć mi usta. Nie cierpię tego.

-- Moich pocałunków? -- Ścisnął ją jeszcze mocniej w talii.

-- Nie. Tego, że chcesz coś powiedzieć, a nie przechodzi ci to przez gardło. Ty mnie chcesz, ale nie potrafisz ze mną być. Zrób coś, żebym to zrozumiała, bo oszaleję.

-- Tove, nie będę się powtarzał, tłumaczyłem ci to wiele razy, a ty cały czas ze mną walczysz. Jesteś jak wojownik. Masz na sobie zbroję i walczysz, nie potrafisz jej zdjąć i przyjąć tego, co jest.

-- Bo tego nie rozumiem! -- krzyknęła mu w twarz. -- Dopiero, gdy ci mnie zabraknie, wszystko zrozumiesz!

-- Grozisz mi? -- Ściągnął mocniej brwi, wyglądał teraz jak orzeł, który wypatrzył swoją ofiarę.

-- Nigdy nie śmiałabym ci grozić, ale moja miłość do ciebie jest tak ogromna i jasna, że przyćmiewa twój brudny umysł. Z jednej strony łakniesz jej, a z drugiej się boisz.

-- Tove, przestań tak mówić, już nie mogę tego słuchać.

-- Nie oszukasz przeznaczenia, Wilczanie. Choćbyś wyruszył w najdalszą podróż i zabił tysiące ludzi, miłość do mnie będzie jak twój cień. Duchy przodków nie lubią rozlewu krwi, nie lubią też, jak próbuje się oszukać los, bo któregoś dnia i tak wraca się do źródła przeznaczenia, do jego samego początku, tylko częstokroć jest już za późno.

-- Ech... -- Wilczan westchnął, przewracając oczami na znak dezaprobaty. Złożył ręce jak do modłów, a później podrapał się po głowie. -- Tove, mówisz językiem grajków i poetów.

-- Jak wytłumaczyć działania i zasady kierujące przeznaczeniem komuś, kto nigdy nie miał z nimi do czynienia? -- mówiła sama do siebie.

-- Widzimy się jutro? -- Mężczyzna zmienił temat. Wtulił się w jej puszyste włosy.

-- Jeśli tylko przyjdiesz... Przecież wiesz, że jestem cała twoja, tak długo, jak będziesz na to pozwalał. Słyszałeś? -- Skierowała się w stronę odgłosów dobiegających z szopy.

-- Tak. Ktoś chodzi po sianie. -- Wilczan ściągnął z pleców łuk i odruchowo stanął przed dziewczyną, tym samym zasłaniając ją ciałem. W mgnieniu oka sięgnął po strzałę i przyłożył ją do cięciwy. Szmery były coraz wyraźniejsze i głośniejsze. Nagle stare deski skrzypnęły, Wilczan naciągnął cięciwę i już miał wycelować w postać wyłaniającą się z ciemności, lecz Tove ścisnęła go przerażona za ramię i krzyknęła:

-- Nie! Nie rób tego, to tylko szczur!

Zaklął siarczyście pod nosem, przez jej dotyk stracił równowagę i nawet gdyby puścił strzałę, nie trafiłby nią w zwierzę.

Szczur był ogromny. Przebiegł mu po nogach i z dziwnym piskiem uciekł w las.

-- Tove! Nie robi się tak. A gdyby tam był zbój, złodziej, bandyta, morderca? -- Serce waliło mu ze złości. Odwrócił się do niej twarzą, ciężko dysząc.

-- Ale nie był. To tylko szczur. -- Tove zaciskała ręce w pięści. Już nawet zapomniała, że trzyma pod falbanami strzałę. Dobrze wiedziała, co to było za zwierzę. Poznałaby ten długi ogon dosłownie wszędzie. Czy Bachira, używszy zaklęcia przemiany, była duszą człowieka w ciele zwierzęcia i zapamiętała wszystko, co widziała? Czy tylko przypadkiem znalazła się w szopie?, a co, jeżeli przypadków nie ma?

-- Nigdy więcej tak nie rób, dobrze?

-- Dobrze -- odpowiedziała przerażona.

-- To ja jestem łucznikiem i pozwól, że to ja będę decydował, w kogo wymierzać strzałę. -- Czowała jego złość i narastający gniew. Patrzyła w jego twarz i choć nie widziała jej w ciemnościach, wiedziała, że przybrała inny wyraz. Wyciągnęła ku niemu ręce, ale nie odwzajemnił piesz-

czoty. Przez krótką chwilę dojrzała w jego oczach ogień trawiący strzechy ludzkich domostw, krew spływającą z pól do strumieni i choć bardzo tego nie chciała, usłyszała krzyki ludzi. Głosy, w których brzmiały strach i rozpacz. Strzała w falbanach jej sukni znacząco się przesunęła, kłując ją w łydkę. Tove szybko otrzeźwiała.

-- Wilku... -- wyszeptała z największą czułością, na jaką było ją stać. -
- Kim ty jesteś?



4.

Szajka Laabana

-- Nie możemy tego już dłużej przeciągać, Laaban, na Boga, zlituj się. Spójrz na księżyc, niedługo nastanie kolejna pełnia. -- Rudobrody wskazał ręką zachmurzone, poranne niebo. Podrapał się po dużym sterczącym brzuchu i wyciągnął z kieszeni srebrne monety. -- Kończą się nam pieniądze, z czego będziemy żyć? -- Podsunął je pod nos mężczyźnie stojącemu naprzeciwko. -- Już dawno powinniśmy załatwić tę sprawę, zgarnąć zapłatę i wyruszyć w kolejną podróż, na co kazesz nam czekać?

-- Daj nam jeszcze kilka dni. Musimy zebrać siły i odpocząć po ostatniej wyprawie. Była jedną z najcięższych, jakie przyszło nam stoczyć, sam wiesz, co się wydarzyło -- Zakłopotany chwycił za cienki warkoczyk, który opadał na jego ramię.

-- Laaban, do licha! -- Rudobrody podniósł głos. -- Czy ty myślisz, że ludzie nie widzą, że co noc znikasz? Nie śpisz w namiocie, nie upijasz się z nami przy ognisku, przychodzisz nad ranem, w dzień udajesz, że wszystko jest w porządku, a tak naprawdę to ciebie nie ma! Wszyscy gadają, że chodzisz na dziwki, ale, do licha, dziwki są też tu, nieopodal, w wiosce! Żaden z nas nie widział cię z nimi w karczmie ani w obozowisku! Na moje oko to nie dziwki, tylko jakaś jedna i ta sama dziwka! Chcesz nas zostawić? Nie tak się umawialiśmy! -- Ze złości aż opluł swą płomiennorudą brodę.

Mężczyzna był dużo niższy od Laabana i posturą przypominał karłowatego, upasionego kuczka. Miał masywne nogi, wydatny brzuch, wypływający przez pasek u spodni, i rudą czuprynę. Broda opadała mu na klatkę piersiową, a z mięsistych uszu wystawały rzadkie, ceglaste włosy.

-- Przestań pieprzyć głupoty, Normanie! -- Laaban się zaczerwienił. -
- To, gdzie łązę i co robię, to jest wyłącznie moja sprawa.

-- Ale przez to łązenie opóźniasz nas wszystkich! Już tydzień temu powinniśmy stąd wyruszyć. Chłopaki powoli tracą cierpliwość, nasycili się dziewczuchami z karczmy, a teraz mają ochotę na panny ze wsi! Zaraz ściągną na nas jakieś kłopoty! Wojownicy, którzy nie walczą, po jakimś czasie zachowują się jak wygłodniałe psy, zaraz zaczną skakać sobie do gardeł! Trzeba też w końcu podjąć decyzję, w jaki sposób ją załatwimy. Przecież trzeba ją podejść. One nie są głupie. Nie możemy ot tak wjechać sobie do miasta, a jeśli mieszka w lesie? Sam wiesz, jak to jest. -- Norman na znak zrozumienia uderzył Laabana ogromną ręką w plecy. Ten aż podskoczył, a głos uwiązł mu w gardle.

-- Zastanowię się -- wycedził.

-- Psia krew! Myślałem, że sam pójdziesz po rozum do głowy! Przecież my wszyscy jesteśmy jak bracia. Nasi kompani zaczynają się martwić, niejednokrotnie chcieli cię śledzić, tylko dzięki mnie nie miałeś za sobą szpiegów. Chcesz, żeby chodzili za tobą krok w krok? Chcesz ich mieć tam, dokąd sam chodzisz? -- Laaban na chwilę zamarł. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Czyżby uczucie do dziewczyny przysłoniło mu rozum? -- Laabanie -- kontynuował rudobrody -- nie zmusimy cię do zmiany decyzji, ale mamy pewne zadania do wykonania.

-- Nie jestem głupi, nie musisz mi o tym stale przypominać.

-- A już zapomniałeś, co się stało z twoją matką? Co ją opętało, przez co zginęła?

Na sam dźwięk tych słów mężczyzna z warkoczykiem dostał gęsiej skórki na całym ciele. Tyle lat temu obrał kurs, z którego miałby teraz zboczyć. Miałby zawrócić ze ściśle wytyczonej drogi, miałby przestać szukać zemsty za śmierć własnej matki? W imię czego?

Rudobrody już miał odejść, Laaban słyszał, jak pod nosem miota na niego przekleństwa.

-- Masz rację, to trwa już zbyt długo, stoimy w miejscu. Wieczorem przy ognisku ustalimy strategię.

-- Bracie! -- Norman podniósł ręce, jakby chciał schwytać całe niebiosy -- Nareszcie podjąłeś słuszną decyzję!

-- Nie wiem, czy słuszną, ale już czas, nikt nie będzie na nas czekał. Sami musimy tam dojechać i zrobić to, co do nas należy. Musimy oczyścić ziemię przodków, póki jeszcze nie jest za późno.

Przymrużył ciemne oczy i znów poczuł w powietrzu zapach krwi i ludzkiego strachu. Zawsze powtarzał swoim kompanom, że kiedy człowiek się boi, wydziela specyficzny zapach podobny do podgrzewanego metalu i zapalonej siarki. Czuć go było w powietrzu, kiedy zabijał, kiedy śmierć pojawiała się jeszcze przy żywych ludziach, kiedy kładła swe ciemne skrzydła na ciepłych ramionach i konających głowach. Pierwszy raz ten zapach pojawił się przy jego matce, gdy konała. Otoczona wianuszkiem siwych wiedźm śpiewających zupełnie niezrozumiałe dla niego pieśni. Każda z nich trzymała w ręku tłące się niewielkim płomieniem zioła. Nie wspominał ich zapachu, jednak woń metalu i prześwietlające na wylot oczy nieznanym kobiet zostały z nim aż do teraz. Wtedy miał ochotę wyrwać im włosy z głów, obcęgami łamać paznokcie, przebić serca żelazną strzałą, wylać na nie gar z gorącą smołą. Był zbyt młody, żeby zrozumieć i żeby móc zrobić cokolwiek.

Ale teraz? Kiedy wrzała w nim chęć do walki, kiedy pierwszy raz poczuł, że jest sprawcą własnego losu, kiedy jego ramiona przypominały mocną i grubą linę, której nic nie jest w stanie przerwać? Schował do sajdaka wspomnienia o małym przerażonym chłopcu stojącym w kącie izby. Przecież mógł być silnym dorosłym mężczyzną wymierzającym sprawiedliwość. Mógł być gromowładnym panem, na widok którego rozstępują się tłumy ludzi, człowiekiem siejącym postrach i spustoszenie ale czy nim był? Czy chciał być właśnie takim człowiekiem?

-- Norman, ile już czasu przebywamy w tym obozowisku?

-- Prawie osiem tygodni! Zwierzyna w lasach już niemal wybita, zaraz nie będziemy mieli co do gęby włożyć! Sakiewki powoli świecą pustkami, musimy wyruszyć czym prędzej!

Norman wyczuł, że jest na wygranej pozycji. Co rusz zagadywał Labana, przedstawiał mu niepodważalne argumenty przemawiające za

tym, żeby niezwłocznie opuścić obozowisko. Drapał się przy tym po rudej głowie, która w świetle promieni słońca wyglądała jak przybrudzony bursztyn. Mężczyzna z jednej strony był pobudzony i wściekły, z drugiej łagodniał, gdy tylko widział niezadowolenie w oczach Laabana. To on tu dowodził, nie mógł przekroczyć tej cienkiej granicy, z której zbudowany jest szacunek do przywódców.

Laabanowi dzwoniło w uszach, słyszał szmery w głowie. Być może pojawiły się ze zmęczenia, być może coś zaczęło drapać jego sumienie. Jeszcze czuł zapach jej włosów i słyszał dźwięk wypowiedzanych słów, które -- choć ciskane ze złością -- miały w sobie słodycz i tak bardzo potrzebny mu spokój. Już więcej jej nie usłyszeć, nie spojrzeć w rozognione oczy, nie wysłuchiwać tych narzekań i marudzeń, nie przygarnąć jej ku sobie? Przecież będą inne mniej wymagające, ładniejsze, cichsze... Będą brunetki, blondynki, rude, te bardziej chętne i te mniej, przecież one wszystkie mogą być z nim wtedy, kiedy on będzie tego chciał, dlaczego więc upierał się, żeby być tylko z tą jedną? Przecież ona jest taka sama jak wszystkie.

-- Dziwka -- powiedział cicho pod nosem i splunął na ziemię. Odwrócił się do Normana i wspólnie odeszli.

Gdzieś pod skórą czuł, że nie powinien tak mówić, ale jakie to miało znaczenie? Było już za późno, słowa raz wypowiedziane szybują w przestrzeń i mają własną moc. Może dobrze, że nie usłyszał, jak ślina, którą wypluł, syczy, wypalając niewielką dziurę w ziemi.

Wieczorem mężczyźni rozpalili ogromny ogień i rozsiedli się wokół niego. Pomarańczowe języki podskakiwały ku górze, delikatnie liżąc opadające gałęzie drzew. Iskry przyjemnie strzelały, a piwo lało się jak zwykle strumieniami. Laaban wyciągnął starą, pożółkłą mapę, na której zawsze rysował miejsca już zdobyte i zakreślał cel przyszłych wypraw. Teraz wybierali się na północ, poszukując wsi o wdzięcznej nazwie Roztoka. Gdzieś na jej obrzeżach mieszkała starucha, podobna do tych, które wtedy przyszły po jego matkę. Kobieta parała się ziołami i zaklęciami. Schodziła się do niej cała okoliczna ludność po lekarstwa i dobrą

radę. Mówiono o niej "ta, która wie". Dlaczego po nią szli? Bo była wyzwolona od wszelkiej dominacji, a każdy, kto się z nią stykał, miał wrażenie, że otrzymał receptę na dobre życie i choroby. W dawnych czasach mówiono, że każda wieś powinna mieć swoją czarownicę, która sprawi, że krowie wymiona nie pokryją się parchem, a kury będą znosiły duże jajka. Były jak talizman, chroniły przed chorobami i nieszczęściem, aż do czasu, kiedy zaczęły być niewygodne. Kłuły w oczy szczególnie mężczyźni swą wolnością i brakiem uległości. To one stały na straży liczby poczęć i ograniczenia narodzin. To do nich chodziło się, by potajemnie wymierzyć sprawiedliwość oprawcy czy poznać przyszłość. Były lekarzami, uzdrowicielkami, wyroczniami, boginiami, sędziami, tymi, których łaska i błogosławieństwo przynosiły spokój. Z jednej strony przyciągały, z drugiej odpychały, bo miały moc, którą zabrać im mogła tylko śmierć. Dlatego urządzono na nie polowania i płacono hojnie za każdą głowę, w której kryły się tajemnice.

Każdy kompan szajki Laabana wiedział, że są różne rodzaje czarownic: stare i młode, koślawe i te z najdłuższymi nogami we wsi, takie, które mają dzieci i mężczyźni, ale też te, które czarownicami zostać nie chciały, jednak jakiś wewnętrzny głos skierował je na drogę osamotnienia. Najbardziej nie lubili zabijać tych ładnych, patrzyli na nie jak na swoje przyszłe kobiety, ale im dłużej świdrowali je wzrokiem, tym mocniej wzbierała w nich niechęć, bardzo szybko przeradzająca się w złość, a ono chciało zabijać.

Laaban dziś pił wyjątkowo dużo. Czasem strużki miodu ściekały po jego brodzie i bliźnie. W odbłasku płomieni wyglądały jak złote wisiory na piersi wojownika. Ledwo opróżnił jeden kufel, a zaraz kazał nalewać sobie kolejny. Patrzył na kompanów zamglonym wzrokiem, gdy mężczyźni zaczęli śpiewać, radował się z nimi i dawał ponieść chwili, ale gdy tylko zapadała cisza, przychodziły do niego myśli. Czy ona tam znów przyszła? Pewnie czeka i marznie? Włóczy się samotnie po lesie? A może by tak teraz wstać i pójść do niej choć na chwilę, pożegnać się i tu wrócić?

-- Gdzieś ty łaził Laabanie? -- Z zamyślenia wyrwał go głos Normana. Poczul jego piwny oddech na swojej szyi.

-- Niech cię to nie interesuje, to moja sprawa.

-- Oooh, ależ tajemniczy się zrobiłeś, bracie, tylko mi nie mów, że się zakochałeś! -- Roześmiał się tak doniośle, że aż brzuch zaczął mu podskakiwać. -- Każda kobieta jest taka sama, uwierz mi, druhu, nie warto. -- Przechylając kufel, wlał kolejny łyk bursztynowego płynu w usta. -- Chcą mieć dom, dzieci, ogródek i takie tam różności, my nie jesteśmy do tego stworzeni.

-- A do czego jesteśmy? -- W głowie Laabana wirowało, twarz gorzała od ognia i alkoholu.

-- Mężczyzna musi być wojownikiem, drapieżcą! Musi być silny i potężny, winien zdobywać, polować, palić ogień, strzelać z łuku, posiadać i rzucać, musi być męski i twardy jak jego konar, który który nigdy nie powinien zapaść korzeni w jednej kobiecie!

Kompani roześmieli się głośno. Norman krzycząc ostatnie słowa, podniósł kufel z piwem do góry, aż piana wylała się na jego ubranie. Mężczyźni uczynili ten sam ruch, w geście aprobaty. Tylko Laaban nie słyszał, o czym rozprawiali, siedział bez ruchu i patrzył w ogień jak za hipnotyzowany. Widział w nich swoje naprężone kości i ścięgna, muskularne ramiona i opadający na plecy warkoczyk, widział kasztanowe włosy Tove, które okalały jej twarz, słyszał jęki w uszach, rozkoszne zawodzenie spełnionej kobiety. Wbijał palce w ziemię, na której siedział, czuł, jak wgryza się pod jego paznokcie. Zaciskając szczęki i zamykając powieki, chciał odegnąć od siebie majaczące przed nim obrazy. Cały czas na próżno. Wziął kolejny łyk piwa, ale i ten nie uśmierzył bólu. Szalały w nim obrazy z dzieciństwa przeplatane widokiem ciała Tove, walczyły ze sobą jak dwa mityczne stworzenia, żadne z nich nie chciało dać za wygraną. Laaban chwycił się za głowę, która ciążyła coraz bardziej, chwiała się na boki. Próbował utrzymać ją w jednym miejscu, ale ręce miast podpierać brodę, opadały na piersi. Czuł jej zapach, widział przed sobą nabrzmiałe piersi i smukłe ramiona, wyciągał po nią ręce, ale wtedy głowa opadała jeszcze niżej. Zaglądał jej w oczy, była piękna i rześka niczym

świt, a zarazem stara jak kobiety zamawiające uroki. Nie cierpiał uczucia, które się przy niej pojawiało, tego, którego nie umiał nazwać. Zaczął bić się po policzkach, próbując odegnać te pijackie wizje, aż w końcu nie wytrzymał i na chwiejnych nogach wstał i zawył jak wilk:

-- Kooniec z tyym! -- Ledwo trzymał pion. -- Kooniec! -- krzyczał głośno, jakby chciał wypluć z siebie całą złość. -- Kooniec z picciem! Panowie! Wyruszamy o świcie, czas rozliczyć się z przeszłością! Będziemy zwycięzcami! Będą śpiewać o nas pieśni! Nie bójcie się zaklęć i czarów!

-- Ruszajmy jeszcze dziś! -- krzyknął, któryś z kompanów, a cała reszta zawtórowała zgodnie.

Wyruszyli dopiero trzy dni później, gdy ich głowy opuścił nieznośny ból. Zdążyli naprawić broń, przygotować konie i zapasy jedzenia. Lasy, którymi wędrowali, były owiane chłodem, nie zdążyły jeszcze nagrzać się od promieni słonecznych, natomiast od pół biło już nieznośne ciepło. Gdy zbliżali się do wyznaczonego miejsca, wiatr wzmógł się i dał prosto w ich klatki piersiowe. Zdawało się, że chce przeszkodzić w tej wędrówce lub nawet ich zawrócić. Częstokroć ciemne chmury nadciągały nad obozowisko i przychodził tak mocny deszcz, że przez kilka dni nie mogli się ruszyć z namiotów. Zrywali wtedy ogromne gałęzie i liście, tworząc naturalnych rozmiarów osłony nad sklepieniami namiotów. Nie mieli jak palić ognia, krzesiwo, choć suche, nie chciało rozpalić podmokłych gałęzi. Jedli wtedy resztki zapasów, a gdy już i te się skończyły, żywili się surowym mięsem. Nie było innego wyjścia. W nocy nawiedzały ich koszmary. Straszły ich mary senne, odwiedzały duchy przodków. Wtedy Laban dokładał kompanom do piwa suszonego ziela lulka. Otumaniał ich na tyle skutecznie, że potrafili przespać ten dziwny, złowrogi czas.

Cóż do nich przychodziło? Zaklęcia czarownic, po które szli jak nieustraszeni. Wypowiadały je bladym świtem lub tuż po odejściu zmroku. Miały za zadanie opóźnić przybycie wrogów choć o kilka dni. Najczęściej robiły tak starsze kobiety, które nie miały dokąd uciekać, bo nie pozwalała im na to duma bądź stare ciało odmawiało posłuszeństwa. Gotowały wywary, wywoływały mgłę w lesie, czasem udawało im się nakłonić mo-

kradła, aby rozwarły swe błotniste macki i wciągnęły w swe czeluście choć jednego z intruzów.

Ale Laaban nie był głupi, wiedział, z jakimi siłami przyszło mu walczyć.



5.

Gdy upomni się przeznaczenie

Pierwszego wieczoru, gdy nie przyszedł, została w szopie aż do rana. Rysowała kręgi pod stopami, rzucała zaklęcia, śpiewała do nieba i gwiazd, a serce rozrywała jej najpotężniejsza tęsknota, z jaką przyszło jej się mierzyć. Tuż nad ranem łkała tak mocno, że ciałem zaczęły władać nieznane jej dotąd konwulsje. Łzy spływały po delikatnej szyi, wpadając w rozkoszny dołek tworzący się podczas złączenia piersi, moczyły jej suknię. Bolała ją skóra w miejscach, które znaczyły. Chciała móc wykrzyknąć swój ból, ale nie mogła, zwijała się w kłębek i leżąc raz na piaszczystej ziemi, raz na sianie, krzyczała w siebie, wydając odgłosy podobne do tych, gdy ktoś ma zakneblowane usta. W najcięższej fazie cierpienia chodziła od deski do deski i drapała je paznokciami. Czuła, jakby ktoś zamknął ją w celi. Dusila się, nie mogąc złapać powietrza i uwierzyć, że została porzucona.

Jeśli tylko miała siłę, wybiegała przed szopę z nadzieją, że usłyszy jego kroki, ale na próżno. Gdyby tylko miała medalion, być może udałoby się go przywołać, jednak dobrze wiedziała, że czary akurat w sprawach miłości były kapryśne. Jednym pomagały, innym nie, czasem przynosiły więcej problemów niż dobrych rozwiązań. Babka uważała, że w miłość nie powinna się mieszać żadna zewnętrzna energia, bo to, co jest zbudowane na prawdzie, przetrwa, natomiast to, co na ułudzie i kłamstwie, rozpadnie się. Jeśli upada mimo usilnych starań, by przetrwało, to znaczy, że nie jest prawdziwe.

Myślała, że coś się stało. Zaatakowało go dzikie zwierzę albo rozbójnicy, jednak dobrze wiedziała, że był wojownikiem i umiał walczyć i zadbać o siebie. Wymyślała sobie najróżniejsze scenariusze, ale żaden

z nich nie pasował do niej tak jak ten o porzuconej kobiecie. Wracając do domu obolała, sina, spuchnięta, z podkrążonymi oczami. Powłóczyła nogami, zostawiając głębokie ślady na piasku. Patrzyła w niebo i księżyc, ale czuła tylko ból, żadnych nawoływań czy znajomych głosów. Zaciskała ręce na przedramionach, sama sobie robiąc siniaki, sprawiało jej to przyjemność.

W ciągu dnia tylko leżała w łóżku, nie chciała pobierać żadnych nauk, jakby wyparła się swojego pochodzenia i przeznaczenia na rzecz pielęgnowania bólu, który w niej co dzień rósł ze zdwojoną mocą. Ciemnymi nocami wychodziła przez okno i niczym lunatyk szła do szopy, sprawdzać, czy jest tam Wilczan. Wyglądała jak nocna mara; włosy straciły swój blask, a oczy iskrę.

Babka leczyła ją wyciągami ziołowymi, najbardziej jednak pomagała nalewka i olej z dziurawca. Rano i wieczorem dawała jej nalewkę, w ciągu dnia kazała ssać olej, który Tove z obrzydzeniem wypluwała. Czasem nie chciała nawet otworzyć ust, wtedy z pomocą wkraczała Bachira i próbowała nauki zakłębć na Tove. Jednak działania siłowe nie podobały się babce. Wymyśliła więc inny sposób na wnuczkę.

Rozmasowywała jej ciało. Tove od kilku dni zapadała się w sobie, miała przykurcze niczym wiekowa staruszka. Siostry rozciągały jej ręce i nogi, ale ta zupełnie nie chciała współpracować, więc babka paliła w pokoju szałwie, liście i korzeń mandragory. Już po kilku minutach wszystkim udzielał się jej rozkurczający wpływ. Ruchy babki były bardziej żywe, dwie siostry przestawały się kłócić, wymieniając jedynie spostrzeżenia, a Tove przestawała z nimi walczyć i bezwładnie leżała na łóżku, patrząc na sufit. Babka wtedy rozbierała ją do naga, nalewała w ręce olej z dziurawca i zaczynała masować nim ciało, intonując pieśni, mające wyciągnąć z dziewczyny to zło, które zaczynało ją niszczyć. Niestety, na próżno, gdyż cały czas wrzała w niej krew naznaczona niespełnioną miłością. Przykładała jej do nóg pijawki, aby upuścić trochę krwi, ale nie pomagało.

-- Cóż może jeden człowiek uczynić kobiecie? -- mówiła, kierując wykręcony od reumatyzmu palec w stronę pozostałych wnuczek. -- Nie ma

silniejszej ochrony przed złem niż wiara. -- Uderzyła się trzykrotnie w pierś. -- Wiara, że sam sobie jesteś najważniejszym ogniwnem, bez którego nie może istnieć ten świat! -- Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała: - - Nigdy nie pozwólcie doprowadzić się do takiego stanu jak wasza siostra! To mężczyzna ma klęczeć przed wami, nie na odwrót! Może gdyby miała swój amulet...

-- Babciu... -- Rozganiając ręką opary dymu, którymi przesiąkało już pomieszczenie, Bachira podeszła do starszej kobiety i wyciągnęła do niej zwiniętą pięść. -- Mam ten talizman. -- Rozwinęła niczym płatki kwiatu palce, a na delikatnej dłoni ukazał się piaskowy półksiężyc.

-- Dobry Boże! Jak mogłaś zabrać go własnej siostrze!

-- To nie ja. Babciu, to on jej go zerwał, ja tylko znalazłam. Pamiętasz, jak zamieniłam się w szczura? -- Oczy babki znów zaczęły zachodzić bielmem. Próbowwała nad tym zapanować, ale czuła w pobliżu ogromny przyływ magii, jakby wybijała z jakiegoś niewidocznego źródła.

-- Mów wszystko, co wiesz -- rozkazała nieswoim głosem staruszka. Zdawało się, że przez jej gardło przechodzą szepty, dużo niewyraźnych dźwięków skumulowanych w jednych strunach głosowych.

-- Rzucił amulet na siano, tam, gdzie akurat się schowałam, potem się kłócili, a potem no... sama pewnie wiesz... -- Nie potrafiła dokończyć.

-- Psiakrew!!! -- krzyknęła na całą izbę. -- Niech go stłumione głosy i wizje omamią, niech opętają go niczym bezbronne zwierzę! Psiakrew! - - Babka splunęła najpierw przez jedno ramię, a potem przez drugie.

-- Jak długo ona tam chodziła? Przez tydzień? -- pytała pogrążona w złości i jakimś dziwnym szaleństwie.

-- Babciu, dłużej...

-- Dwa?

-- Jeszcze dłużej...

-- Psiakrew!!! -- krzyknęła, aż cały dom zadrżał w posadach.

Babka zamknęła powieki i ścisnęła ręce w pięści. Starła się opanować, żeby nie wybuchnąć z krzykiem. Przecież nie mogła jej uchronić, nie mogła zakazać jej tam chodzić. Dobrze wiedziała, że nie ucieknie się

ani przed złym wyborem, ani przed konsekwencjami, które potem przyjdą.

-- Może jeszcze nie wszystko stracone -- mówiła do siebie. Podeszła do Tove i założyła jej na szyję amulet. Dziewczyna podniosła głowę i otworzyła oczy; były przeraźliwie białe, dokładnie takie jak jej babki.

Starszej kobiecie zaczęły trząść się ręce, dotknęła naoliwionej szyi Tove, wyczuwając jej zdrowy puls, później przejechała opuszkami do pach i macała węzły chłonne. Były powiększone. Piersi nie dotykała, wystarczyło, że na nie spojrzała, z tą dawką wiedzy, którą teraz miała, nie musiała tego robić. Jednak gdy zbliżyła się do brzucha, coś w nim poczuła. Ogromne ciepło, jakby biło z jakiejś świetlistej kuli.

-- *Alilllach sabatim nuaijama, katura sija* -- mówiła -- *sija, sija, si-jaaaa*. -- Nagle odskoczyła od Tove, jakby jakiś prąd uderzył ją wprost w klatkę piersiową.

-- Babciu! -- Traszka natychmiast podbiegła do kobiety -- Słyszałaś coś? -- Okryła ją młodym ramieniem.

-- Tak, dziecko, wiele głosów. -- Staruszka chwyciła się za korzonki.

-- To był szept?

-- Tak. Szept cieni.

-- Co się w niej dzieje? Rozumiesz to? -- pytała z zaciekawiona.

-- Dziecko moje, świat jest pełen prawd, których ludzie nie rozumieją, a kobiety są strażniczkami wiedzy tajemnej... -- Jej źrenice już wypełniły się kolorem. Podeszła do Tove i położyła jej jedną rękę na brzuchu, mówiąc: -- Żywych i zmarłych dzieli bardzo cienka granica, to kobiety stoją na jej straży. -- Spojrzała się dość wymownie na Traszkę. -- Nie zdążyłam zamknąć jej łona, gdybym wiedziała o tym wcześniej...

Dalej trzymała rękę na brzuchu dziewczyny.

-- Czy to znaczy, że ona...

-- Nie wiem, a może po prostu nie chcę wiedzieć... -- Babka bezradnie podniosła ramiona. -- Ale jest na to sposób, zaraz się upewnimy, leć do kuchni i przynieś ze słoja Ziele Płaczek.

Traszka, zbiegając na dół, przewróciła się na schodach. Donośny upadek był słyszalny w każdym zakamarku domu, ale babka zajęta oglą-

daniem brzucha Tove zbytnio się tym nie przejęła.

-- Już mam, proszę... -- Zziajana i ledwie łapiąca oddech w okamgnieniu znów znalazła się przy staruszce, do której wyciągnęła trzęsącą się ze strachu rękę z niewielkich rozmiarów słoiczkiem. Babka jednym pociągnięciem otworzyła wieko, ze środka natychmiast wydobył się żółty pyłek, którego słodkawy zapach rozniósł się po pokoju.

-- Co to jest?

-- Sproszkowane liście malin, krwawnika, piołunu i chmielu. Zapach palonej mandragory jest przyjemniejszy dla zawitki niż to, co trzymam w słoiku.

-- Dla kogo?

-- Dla zawitki... Tak mówi się o kobietach, których dzieci nie będą miały ojców. -- Babka mówiąc to wysypała sobie na rękę proszek i przyłożyła otwartą dłoń do nosa Tove. Dziewczyna zupełnie nieświadomie zaciągnęła się pyłkiem, jedną ręką złapała za dół brzucha i natychmiast odwróciła głowę na bok i z wymiotowała na podłogę.

-- Tak, jest szczenna, że też ja tego wcześniej nie wyczułam, psia-krew!

-- Babciu, nie mów o niej tak brzydko! -- Traszka stanęła w obronie siostry i dokańczając zdanie, pobiegła po wiadro z wodą. Jeszcze na schodach dało się słyszeć. -- Sama cały czas nam powtarzasz, że słowa mają ogromną moc!

-- A jak mam mówić? Przecież nie wiemy, czyje to będzie dziecko, nie wiemy, jak się poczęło, a przede wszystkim z kim! -- Ostatnie słowo zaakcentowała z taką siłą i niechęcią, że ciało Tove znów drgnęło. Kolejny haust wymiocin rozlał się po podłodze, ale Traszka już zaczynała sprzątać. Jedną ręką osłaniając swój nos przed nieznośnym swądem, mówiła:

-- To będzie dziecko Tove i nie wolno o nim mówić inaczej! Ono będzie z naszej krwi, z krwi naszych przodków. Czy to ważne, kim jest jego ojciec?

-- Zawsze jest ważne, kim jest ojciec. -- Babka wymierzyła palcem w kierunku Traszki. -- To dziecko kiedyś zacznie zadawać pytania, w na-

szych żyłach płynie domieszka magii, to nie jest zwykła krew. Z tego dziecka może wyrosnąć bardzo zły człowiek.

-- Z każdego może wyrosnąć zły człowiek, bez względu na to, czy para się magią, czy nie, na pewno nie urodzi się z rogami i krowim ogonkiem!
-- mówiła oburzona, wycierając podłogę.

-- Auaaa... -- Głośny jęk przerwał w pół zdania wypowiedź Traszki. Tove chwytając się za dół brzucha, zwiwała się teraz w konwulsjach.

-- Do stu tysięcy grzmotów! Żeby nie poroniła! Odsuń się z tym wiadrem! -- Staruszka natychmiast zaczęła badać brzuch Tove. Delikatnie ugniatała go z każdej strony, dziewczyna wierciła się na łóżku, zasłaniając rękoma krocze. Babka zauważyła krew na wewnętrznej stronie ud. Dotknęła jej, rozcierając w swoich palcach:

-- Ognista maź, parzy mnie. Traszka, szybko biegnij do kuchni i zaparz dla siostry gwiazdosza. Tylko nie zalewaj wrzątkiem. Na pół szklanki suszu, pół szklanki bardzo gorącej wody, przynieś również czyste chustki lniane, leć, ale to prędko! Bachira! Zostaw te księgi, pomóż siostrze! -- Na głos staruszki trzecia siostra również poderwała się na nogi.

Kiedy dziewczęta nerwowo krzątały się w kuchni, babka trzymała ręce na brzuchu Tove. Z zamkniętymi oczami mruczała pod nosem jakieś pieśni. Tove nieznacznie się uspokoiła. Teraz leżała bez ruchu, głośno oddychając, oczy miała nadal pokryte bielmem. Wyglądała, jakby całkowicie straciła kontakt ze światem, jakby jej serce zajęła martwota, przejmująca stery nawet nad jej ciałem. Niespodziewanie rozlała się w niej, zajmując każdy organ. Babka chwyciła rękę wnuczki. Dziewczyna odwzajemniła ten gest bardzo mocnym uściskiem, ale źrenice nadal miała zakryte bielmem. Wyglądała tak, jakby ktoś rzucił na nią urok albo klątwę. Żyła, ale nie było z nią żadnego kontaktu.

-- Babciu, proszę, sprawdź, czy nie jest za gorące. -- Traszka wyciągnęła przed siebie ręce. Bachira stała tuż za nią, trzymając płótno.

Staruszka upiła łyk naparu, sprawdzając, czy temperatura jest odpowiednia, kazała siostrze nieznacznie podnieść głowę Tove, otworzyła jej usta zgrabiałymi palcami i kropla po kropli wlewała w nią płyn. Począ-

kowo Tove się zakrztusiła i wypluła wszystko na swoje piersi, ale babka nie dawała za wygraną. Kazała jednej z dziewcząt podnieść głowę jeszcze wyżej, a drugiej włożyć palce w usta ciężarnej i rozchylając je, nie pozwolić na bezwiedne zamknięcie. Po kilku próbach się udało i dziewczyna przełknęła. Resztę naparu babka wylała na lniane ściereczki i zrobiwszy z nich kompres, przyłożyła do krocza Tove.

Ciało Tove się uspokoiło. Teraz wyglądało, jakby zapadło w głęboki, przyjemny sen. Staruszcze pot spływał z czoła, usiadła na krześle obok siennika i opadła z sił. Kazała siostróm przykryć derką ciało dziewczyny, żeby nie wyziębło.

-- Babciu i co teraz będzie? Ona śpi? Co jej się stało?

-- Jest ciepła, nic jej nie będzie. Coś się w niej wydarza, tylko nie bardzo wiem co... -- odpowiedziała zgodnie z prawdą, patrząc w kierunku Tove. -- Cały czas ma oczy zasłonięte bielmem, dzieje się tak, kiedy przechodzi przez nas magia.

-- Ale my z Bachirą nigdy tak nie miałyśmy -- odpowiedziała nerwowo dziewczyna.

-- Bo widocznie macie inne dary.

-- A jakie ona ma? -- pytała, patrząc w kierunku siostry.

-- Nosi w sobie chaos początku, na pewno będzie matką... A co do reszty, nie wiem. -- Staruszka chwyciła się za korzonki i z trudem podniosła się z krzesła. Jej kroki nie były tak rześkie jak godzinę temu. Szurając stopami po podłodze, podeszła do okna, by jeszcze szerzej je otworzyć. Zaciągnęła się świeżym powietrzem.

-- Pełnia... Muszę nad nią czuwać. Śpijcie dziś w kuchni na podłodze albo na moim sienniku -- pociągnęła nosem, jakby znów poczuła jakiś zapach. -- Ja będę musiała nad nią czuwać.

Dziewczęta nie protestowały, babka zawsze wiedziała, co robi, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Wnuczki przyniosły jej do pokoju kolację i cały dzban ciepłego naparu z lipy. Gdy już siostry opuściły pomieszczenie, staruszka przesunęła krzesło w najdalszy kąt pokoju i usadowiła się na nim wygodnie. Siedziała bez ruchu w zacienionym miejscu i obserwowała śpiącą dziewczynę.

Z każdą godziną powietrze, które wpadało przez otwarte okno, stawało się chłodniejsze, z każdą chwilą w pokoju pojawiało się coraz więcej czerni, którą przynosiła noc. Babka siedziała nadal na swoim miejscu, niczym niewzruszony posąg. Aż w końcu pełny księżyc przepłynął nad domem, znacząc jasną łuną swoją drogę. Oświetlał go z każdej strony, a gdy już pojawił się na wysokości okna, jego promienie niczym burzowe błyskawice wdarły się do pokoju i spoczęły na ciele Tove. Babka nieznacznie poruszyła się na krześle, gdy wtem usłyszała trzeszczenie drewnianej podłogi, jakby ktoś stapał po niej delikatnie. Natychmiast wyprostowała plecy i odchyliła głowę. Wyglądało to tak, jakby chciała się jeszcze bardziej schować. Czekwała, ale oprócz tych dziwnych trzasków nic się nie działo. Jednak po chwili coś zaczęło skrobać w klepki. Pomyślała, że to myszy gdzieś harcuja, jednak gdy mocniej przymrużyła oczy, skupiając wzrok na śpiącej wnuczce, dostrzegła przy jej łóżku cień. Wstrzymała na chwilę oddech.

Cień z wolna zaczął pełznąć od drzwi do wezglowia, wlaził pod łóżko i wspinał się na ścianę. Przyglądała się tej szaro-granatowej plamie z zaciekawieniem, aż wreszcie cień postanowił zająć miejsce na podłodze na wysokości głowy Tove. Spoczął zupełnie nieruchomo, jakby w końcu znalazł dla siebie miejsce.

Babka zaczęła trząść się z niepokoju i lekkiego chłodu, który przebiegł przez jej kark. Starła się opanować to nieznośne drżenie, wbijając paznokcie w poręcz krzesła, ścisnęła je tak mocno, że traciła czucie w rękach, udało jej się zapanować nad ciałem dopiero wtedy, gdy zobaczyła kolejne ciemne plamy spływające po promieniach księżycy do pokoju. Najpierw przyczały się tuż przy wezglowiu, wyglądały jak ława sędziów rozprawiających nad oskarżonym. Znów wstrzymała oddech. Teraz już liczną gromadą rozproszyły się wokół siennika i tylko co jakiś czas zmieniały położenie.

Jeden z cieni, ten najbardziej ruchliwy, wskoczył Tove na klatkę piersiową. Ciało ugięło się pod jego niewidocznym ciężarem, dziewczyna zaczęła z trudem oddychać, jej żebra powoli zapadały się w sobie.

Babka poruszyła głową, jakby ocknięta z letargu, zamrugła powiekami, wyteżyła jeszcze mocniej wzrok, by móc dostrzec rozlane zarysy, i westchnęła na tyle głośno, żeby nocni intruzi zorientowali się, że nie są tu sami. Nastąpiło wśród nich poruszenie, tajemnicze kształty zaczęły kłębić się między sobą, podłoga skrzypiała coraz mocniej, jednak babka nie wstała z krzesła, czekała na rozwój wydarzeń.

Skłębiły się wszystkie u jej stóp, zlały w jedną, ciemną masę i ponownie wstąpiły na księżycowy promień, by znów świetlistą ścieżką powędrować tam, skąd przyszły. Dopiero teraz, kiedy zniknęły z ich domu, staruszka zaczęła normalnie oddychać, jakby ktoś wyjął jej krępujący knebel z ust. Trzykrotnie próbowała wstać z krzesła, ale nogi i ręce nie chciały współgrać z poleceniami wysyłanymi przez mózg. Udało się jej to zrobić dopiero za czwartym razem. Z trudem poczłapała do okna i zamknęła je szczelnie z wielkim hukiem, dopiero później podeszła do Tove i sprawdziła, czy oddycha.



6. Dar

-- Widziałaś coś? -- Babka pytała wnuczkę już dziesiąty raz. Tove z nadnaturalnie jasnymi tęczęwkami milczała. Siedziała na łóżku, Bachira stała obok, patrząc niepewnie. Traszka usiadła za plecami siostry i próbowała ujarzmić jej niesforne włosy, splatając je w gruby warkocz. - - Dziecko, nie możesz milczeć -- kontynuowała babka. -- Nie możesz się cały czas obwiniać, przecież ty jesteś niewinna! Spójrz na mnie, proszę cię, spójrz na mnie. -- Schyliła się do jej poziomu, tak żeby mogły swobodnie patrzeć sobie w oczy. -- To była jego decyzja, powtórz. -- Tove milczała jak zaklęta, po jej policzkach płynęły łzy. -- Proszę cię, dziecko, zaklinam się na moje życie, jak nie powtórzysz tych słów za mną, to będziesz winna mojej rychłej śmierci. -- Tove po tym, co usłyszała, ruszyła głową i otworzyła spierzchnięte i suche wargi.

-- To była jego decyzja. -- Znów wbiła wzrok w ścianę, babcia nie dała za wygraną.

-- To była jego decyzja, jestem niewinna, chcę zaufać swojej historii. Powtórz tak dziesięć razy i powiedz, co widziałaś, inaczej będziesz miała mnie na sumieniu. -- Położyła drugą rękę na jej ramię. Dziewczyna wyglądała, jakby nad czymś myślała, trochę się ocuciła, ale niezbyt wiele.

-- To była jego decyzja. Jestem niewinna. Chcę zaufać swojej historii.

-- No dalej, dalej, jeszcze raz i jeszcze raz -- rozkazywała babka. Kiedy dziewczyna powtórzyła słowa dziesiąty raz, odetchnęła ze łzami w oczach, chwytając warkocz w ręce. -- Widziałaś coś? Jeżeli miałaś jakieś widzenia, sny, o wszystkim musisz mi opowiedzieć.

-- Widziałam ogień, czerwony i piekielny. Paliły się im stopy, dłonie, ręce, a na samym początku włosy. Potem ciała rozrzucone w nieładzie,

oplute, brudne, a dokoła było mnóstwo krwi. Najgorsza była ta krew zaschnięta, niektóre z nich próbowały ją z siebie zdrapać, bo nie miały jak tego zmyć i drapały się aż do krwi, i znów czekały, aż zaschnie. Miały brudne twarze i zęby, babciu, to było takie przerażające. Widziałam też ogień, który trawił ludzkie domostwa, a potem ten sam ogień trawił wrzucone weń groty strzał, miecze, noże, broń wszelaką, która wyginała się nienaturalnie pod wpływem tego gorąca... -- Tove schowała głowę w dłonie i zapłakała tak głośno, że aż kury na podwórku poderwały się do nieudolnego lotu.

-- Mów, jeśli widziałas coś jeszcze, mów.

-- Najwięcej było tych nieżyjących. Ciała leżały wszędzie, czasem w lesie, czasem na brukowanych miejskich traktach. Ciała leżały, a ludzie udawali, że ich nie widzą, do tych w lasach przychodziły zwierzęta i próbowały padliny. Chciałam im pomóc, ale nie mogłam nic zrobić, ja je tylko widziałam jakoś tak z góry, frunęłam nawet nie wiem, czy swoim ciałem pomiędzy nimi, przysiadalam na uboczu i chciałam coś zrobić, ale byłam tylko niewidzialną powłoką, babciu, a one, te jeszcze na wpół żywe, były takie bezbronne, niewinne, były takie jak ja, bo przecież to była jego decyzja, nie moja, babciu, ja jestem niewinna... -- Tove rozplakała się, kwiląc jak zwierzę wzięte na rzeź.

Nawet Bachira, najbardziej krnąbrna z nich trzech, okazała siostrze współczucie i przytuliła ją do siebie bardzo mocno i ścierała jej łzy z policzków. Traszka masowała plecy, a myśli babci poszybowały gdzieś daleko. Zadumana patrzyła w okno, ściągała brwi, drapała się w głowę i uszy. Dreptała od okna do ściany i myślała. Czas przez nią przepływał jak woda w rzece, jak wiatr między gałęziami wysokich drzew, nie sposób było go zatrzymać.

-- Tove nie możesz żyć tą rozpaczą, jesteś brzemienna... -- Siostry na dźwięk tych słów nieznacznie odsunęły się od dziewczyny. Puls ciężarnej przyspieszył, wszystkie słyszały, jak mocno bije jej serce, a może już nawet dwa serca.

-- Wiem. -- Znów opuściła głowę. Wyglądała jak zbity pies. -- One mi to powiedziały, te, które przyszły do mnie we śnie. Myślałam, że uda mi

się to przed tobą ukryć choć na jakiś czas.

-- Po co chciałaś coś ukrywać, wnuczko? Dobrze wiesz, że każdy sekret, który w sobie skryjesz, będzie cię trawił od środka, wyżerał niebezpieczną dziurę w twoim istnieniu, dopóki o nim głośno nie powiesz. Nosisz w sobie życie, czy chcesz, żeby ono było niechcianym sekretem? Jaki los chcesz zgotować temu dziecku, Tove? Przecież nie muszę ci tego wszystkiego tłumaczyć, bo jesteś czarownicą.

-- Nie jestem czarownicą! Znam się tylko na ziołach jak każda inna zielarka, nie mam żadnego daru, więc nią nie jestem! -- wykrzyczała, jakby chciała dać upust całej swojej złości.

-- Każdą kobietę, która ma niezwykłą moc, można wyczuć, jeszcze zanim się ją zobaczy, tak samo jak dojrzałe poziomki latem. Słowami niewiary możesz tylko sprowadzić na siebie umarłe oczy praprzodków, chcesz tego? Niewiara jest najgorszą zbrodnią wymierzoną przeciwko samemu sobie. -- Babka mówiła ostrym tonem, grożąc dziewczynie wskazującym palcem. -- Dziecko, które nosisz w swoim łonie, musi mieć serce przepelnione miłością, a dar? To magiczne uzdolnienie, na które nawet nie można sobie zasłużyć. Nie możesz go do siebie przekonać, przekupić, wyprosić, a mimo to jest zrodzone z niewyjaśnionej tajemnicy. Obserwuj świat dookoła przez najbliższy czas. Drzewa, rośliny, zwierzęta, kamienie, one wszystkie będą do ciebie mówiły, a może raczej będą chciały rozmawiać z twoim darem, nie z tobą. Ty możesz być jedynie pośredniczką. Jeżeli to, co spotkało cię we śnie, przyszło z mórz księżycowych, to ja już wiem -- jęknęła, wkładając ręce w kieszenie sukni.

-- Wiesz już? -- Oczy Tove na chwilę wypełniły się radością.

-- Wiem albo nie wiem. Idźcie na dół i zróbcie coś do jedzenia, wszystkie jesteśmy głodne. Przez najbliższe dni niczego was już nie nauczę. Musimy odpocząć. Bachira, Traszka, macie pilnować siostry, to jest teraz wasze zadanie.

Tove wstała z trudem. Bolało ją całe ciało od niewyspania i dziwnych snów. Przepelniał ją ogromny żal za mężczyzną, który wzgardził jej miłością, ale dobrze wiedziała, że niebo i ziemia będą jej sprzyjać, gdyż nie znają bardziej płacznego żalu nad bezsilnością pogardzanej kobiety.

Dziewczęta wzięły pod ramię Tove i pomogły jej zejść na dół. Próbowały ją rozweselić i zagaić rozmową. Czasem im się to udawało i można było dostrzec na twarzy dziewczyny nikły ślad uśmiechu, który bardzo szybko znikał. Wyrabiając mąkę z wodą na podpłomyki, starały się różnymi opowieściami rozgonić duszną atmosferę, niestety, tylko Tove dostrzegała w płomieniach palone kości praprzodków. Pomarańczowe języki zajmowały całe połacie, skóra skwierczała, a kości strzelały. Ciepło ognia sprawiało dziewczynie przyjemność, hipnotyzowało ją. Po kryjomu, tak żeby nie widziały tego siostry, kładła ręce na brzuchu, mówiąc: *nie mam nic oprócz nadziei.*

-- Powąchaj. -- Traszka podsunęła siostrze pod nos garstkę pietruszki wymieszanej z ziarnami czarnuszki. -- Czujesz, jak pachnie? Zaraz ugotujemy kartofli, pokroimy cebulę. Przyniosłam dziś rano specjalnie dla ciebie śmietanę z miasta, schowałam za tymi wielkimi kamieniami, które są przy kurniku, tak żeby Bachira nie znalazła. Pewnie zaraz by zjadła chi, chi. -- Zaśmiała się niepewnie. -- Siostro, proszę, uśmiechnij się. Urodzisz kolejną z nas. Nie możesz być teraz taka smutna. Przecież ona, ta malutka, wszystko czuje. -- Próbowwała z nią rozmawiać, ale miała wrażenie, że mówi tylko do siebie. Tove złapała ją mocno za rękaw.

-- Widzę, że się starasz, ale ja muszę przez to przejść sama. Jak każdy. Nie weźmiesz na siebie tego smutku, który mnie trawi. Nikt go nie udźwignie, tylko ja.

-- Nie mów tak, przecież wiesz, że zawsze stałam za tobą murem.

-- Wiem, ale nie możesz urodzić za mnie. To moje brzemię.

-- To nie jest żadne brzemię, siostro, to dar!

-- Myślisz, że to jest właśnie ten dar? -- Zaciekawiona Tove spojrzała w oczy Traszki, jakby chciała zobaczyć w nich odpowiedź.

-- Jedno, co wiem, to to, że teraz musimy zjeść, a ty nawet za dwoje!
-- Chwyliła siostrę za rękę, uśmiechając się do niej szczerze. -- Teraz musisz być sama dla siebie jak konwalie czy poziomki, one nie rosną dla nas, one są dla samych siebie. -- Pogładziła jej policzek.

Bachira stała w oddaleniu i patrzyła na nie z nieukrywaną zazdrością. Toczyły w jej wnętrzu walkę różne emocje. Z jednej strony współczuła siostrze, z drugiej zazdrościła tak niewyobrażalnie mocno, że aż zaciskała ręce w pięści i nieświadomie marszczyła czoło. Czemu to nie jej los zesłał kochanka? Czemu? Przecież była najsilniejsza z całej trójki. Władowała talentem przemiany, posiadała największą i zarazem najniebezpieczniejszą sztukę, więc czemu to nie ona? Tylko ta druga, która nie miała żadnego daru? Przecież wyglądały prawie identycznie, więc czemu to nie ją gdzieś na leśnej ścieżce spotkał ten mężczyzna?

-- Nie możesz tak myśleć, bo zgnijesz, będziesz wypełniona jadem jak żmija. -- Babka szturchnęła ją ramieniem.

-- Ale, ale, babciu, przecież ty nie posiadasz talentu wiedzy utajonej? Jak to...?

-- Nie muszę go znać, wystarczy, że spojrzę w twoje oczy i skurczone ze złości ciało i już wiem, o czym myślisz. Musisz nad tym panować, żeby zło nie przysłoniło ci dobra. To jest historia twojej siostry, nie twoja, ty napiszesz inną.

-- Ale, ale, ja wcale tak nie myślę, to nie tak...

-- Może i nie myślisz, ale twoje ciało daje zupełnie inne sygnały. Nie możesz jej zazdrościć ani złorzeczyć, bo wszystko to, co dajesz, wróci do ciebie -- mówiła, biorąc głęboki wdech.

-- Daj mi spokój! -- krzyknęła i wybiegła z chaty.

Babka nawet nie próbowała jej zatrzymać, wiedziała, że każda z nich musi w samotności pochylić się nad swymi emocjami, jednak najbardziej obawiała się o Bachirę. Jej brak pokory i chęć wyrażania krzywd mogły z czasem przerodzić się w coś groźniejszego. Ktoś, kto nie umie zapanować nad własną złością, jest zgubiony. Z dnia na dzień może stać się wielką, czarną kulą zła. To tak, jakby zawrzeć pakt ze śmiercią i pozwolić jej, żeby powoli wypełniła całe ludzkie wnętrze.

Zdyszana Bachira przystanąła na zarośniętej drodze do lasu, ścisnęła ze złości suknię i próbowała powstrzymać strumień łez. Obiecała sobie, że już nigdy więcej nie zapłacze. Łzy były dla niej oznaką słabości, choć wielokrotnie babka powtarzała całej trójce, że razem z nimi wypływa

z człowieka złość, ale Bachira była zupełnie innego zdania. Wytarła brudnym rękawem sukni mokry jeszcze policzek i weszła do lasu szukać roślin leczniczych. Ona nie miała zamiaru odpoczywać. Chciała osiąść wiedzę, której nie miała żadna z pozostałych.

Od tej pamiętnej nocy, kiedy dom nawiedziły nocne cienie, a pamięć o Wilczanie zaczęła się nieznacznie oddalać, Tove rozpoczęła dziwne nocne wędrówki, które z niepokojem zauważyła Traszka.

-- Babciu, martwię się o Tove -- zagadnęła babcię któregoś dnia dziewczyna w przydomowym ogródku. -- Ja już nie mogę tego dłużej w sobie nosić. Ona gdzieś wychodzi nocami, otwiera okno i schodzi po winorośli. Raz próbowałam za nią iść, ale było tak ciemno, że szybko zniknęła mi z oczu. Zawsze idzie w stronę kurnika, ale mam przecucie, że ona chodzi, no wiesz gdzie... -- Zmierzyła babcię pytającym wzrokiem.

Staruszka natychmiast wstała z kolan. Wycierając pobrudzone ręce w roboczy fartuch, odpowiedziała:

-- Do licha..., ale ją trzyma. Myślisz, że chodzi do tej stodoły, w której się widywali?

-- Nie wiem. Pytałam ją, ale odburknęła, że nie może mi powiedzieć. Zapytałam ją dlaczego. Odrzekła, że cienie jej nie pozwalają. Myślisz, że to ma związek z tym, co się działo tamtej nocy? Babciu, o co w tym wszystkim chodzi? Zaczynam się o nią bać. Próbowałam też wysłać za nią puszczyki, ale tylko się na mnie spojrzały i odleciały, a kury są zbyt głupiutkie, więc nie próbowałam.

-- Hmm... -- Staruszka położyła rękę na ustach. -- Trzeba będzie to sprawdzić. Wychodzi każdej nocy?

-- Nie wiem. Czasami budzę się dopiero rano.

-- Bachira o tym wie, zauważyła coś?

-- Wątpię. Każdej nocy śpi jak kamień. Ostatnio w ogóle z nami nie rozmawia. Tu się dzieje coś dziwnego. Babciu, ja wyczuwam napięcie w powietrzu i między nami wszystkimi. Takie samo uczucie towarzyszy

mi w trakcie burzy na kilka sekund przed błyskami piorunów albo uderzeniem grzmotu. To jest nie do wytrzymania.

-- Wiem, ja też to czuję. -- Babcia znów uklękła. Położyła dłonie na ziemi, wbiła w nią palce i zbliżyła twarz, obwąchując grządki, dopiero później przyłożyła policzek do czarnoziemu i z zamkniętymi oczami zaczęła czegoś słuchać. -- Ziemia pulsuje, słyszę jak drzewa coraz głębiej zapuszczają korzenie, źródła rzek nabrały niebezpiecznego tempa. Krety i ryjówki wychodzą z nor na powierzchnię... Coś się dzieje, wnuczko. -- Oderwała się od ziemi. -- Musimy sprawdzić, dokąd chodzi.

-- Ale jak chcesz to zrobić?

-- Dziecko, normalnie. Pamiętaj, że we dwoje zawsze można działać więcej niż w pojedynkę. Ty dziś nie pójdziesz spać, będziesz ją obserwowała spod przymkniętych powiek, a jak już Tove się zbudzi, to przypadkiem zrzucisz wprost z kołdry na podłogę gliniany kubek. Położysz go na pościeli tuż przed snem. Dla mnie ten hałas będzie oznaką, żeby przygotować się do drogi. Nie mamy co liczyć na Bachirę, ona jest potwornie zazdrosna o waszą relację, a najbardziej o miłość, którą przeżyła Tove. Musimy działać we dwie. Podejrzewam, że Bachira niedługo nas opuści.

-- Ale jak to? -- zapytała zatroskanym głosem.

-- Zapewne pójdzie tam, dokąd powinna każda z was, czyli na posługę.

-- Babciu, ja nie chcę nikomu służyć, już kiedyś o tym rozmawiałyśmy. To jest okropne. Przecież ja nie umiem czarować. Czasami coś mi wyjdzie, ale to nie jest talent przemiany.

-- A czy ja mówię, że ty pójdziesz służyć? Bachira aż się rwie, żeby czarować, tylko boję się, że zło, które w niej siedzi, może przysporzyć więcej problemów, niż wcześniej przewidziałam. -- Zadumana spojrzała w niebo, podpierając ręce na biodrach. Oddychała dość mocno i głęboko, przy każdym wydechaniu powietrza coś świszczowało jej w ustach i płucach.

-- A co ja mam ze sobą zrobić?

-- Czy ja umiem przepowiadać przyszłość? -- Postukała się palcem w czoło, patrząc dziewczynie w oczy. -- Dziecko, nie wiem. Jeszcze nie

wiem, to jest wasza droga, nie moja. Na razie musimy zobaczyć, dokąd chodzi Tove.

-- Dobrze, babciu. -- Traszka pokiwała głową.

-- A ty nie bądź całe życie taka grzeczna! Narozrabiałabyś coś! -- Zaśmiała się, a po chwili dodała: -- Ty masz tak czyste serce jak źródłana woda, dlatego zwierzęta do ciebie mówią. Żyj zawsze w swojej prawdzie. Nie ma nic gorszego niż udawanie kogoś, kim się nie jest. To tak samo, jakby któraś z was została obdarowana talentem ponad swoje siły. Można od tego jedynie zgorzknąć albo postradać zmysły.

Ponad ich głowami na jasnym niebie pojawił się jastrząb. Spostrzegły go od razu. Zakreślił na niebie trzy koła. Po kilku silnych uderzeniach skrzydłami nabrał wystarczającej prędkości i wydając z siebie bardzo donośny, długi pisk, zniknął. Próbowały go jeszcze namierzyć wzrokiem, ale zapadł się jak kamień w wodę. Poleciał ponad lasem i zniknął za horyzontem. Jeszcze przez jakiś czas słyszały jego ochryple, syczące pogwizdywanie.

-- Zobacz, jakie to dziwne. Już go nie widzimy, ale dobrze wiemy, że gdzieś tu jest. -- Babka spróbowała go przywołać, wydając z siebie podobny dźwięk. -- Jeżeli nie jesteś w stanie czegoś zobaczyć, otwórz się na dźwięki i rozpoznaj ich głos. Jakbyś ciemną nocą widziała kolorowy świat za pomocą zmysłów. Nagle wszystkie bariery przestają istnieć, zmieni się powietrze wokół ciebie i cała przestrzeń, zaczniesz widzieć inaczej. To, że czegoś nie widzisz, nie znaczy, że tego nie ma. Rozumiesz, co chcę ci przez to powiedzieć?

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, co babcia ma na myśli, używając tych pokrętnych słów, ale dała znać, że ją rozumie. Jeszcze przez chwilę ustalały nocny plan działań. Kiedy doszły już do porozumienia, obie spojrzały w niebo, szukając na nim jastrzębia.

Kubek spadł z impetem na drewnianą podłogę. Głuchy odgłos rozszedł się po całym domu.

Traszka szczelniej zaciągnęła kołdrę na głowę, zasłaniając nią nos. Udawała, że śpi, ale powieki miała na wpół otwarte. Tove nie zwróciła

uwagi na dźwięk toczącego się po podłodze naczynia. Podeszła do okna zupełnie bosa, w koszuli nocnej. Wyglądała, jakby ją ktoś omamił, może nawet zahipnotyzował. Kiedy już pchnęła okna na zewnątrz, a do pokoju wpadło chłodne nocne powietrze, wiatr rozwiał jej włosy na boki. Uderzył w nią jak miecz w tarczę, ale nie ugięła się pod nim. Delikatnie odwróciła się tyłem do ciemności nocy i przełożyła najpierw jedną, potem drugą nogę przez framugę, aż w końcu zniknęła. Traszka natychmiast poderwała się z łóżka i chwyciła gliniany kubek, który przeturlał się aż pod drzwi wejściowe, i uderzyła nim jeszcze dwa razy o podłogę. To był znak.

Teraz szły już we dwie. Babcia i jej wnuczka, a może raczej we trzy? Tylko ta idąca przodem nie wiedziała, że jest śledzona, a może wiedziała, ale coś w środku niej kazało jej nie reagować na tę sytuację? Babcia czasem wyciągała ręce i machała nimi przed sobą, jakby chciała w ten sposób rozgonić ciemność, kreśliła w powietrzu koła lewą ręką, a drugą trzymała na wprost. Raz babcia zatrzymała się bardzo szybko, Traszka tego nie zauważyła zderzyła się z nią. Staruszka syknęła z bólu, chwyciła rękę dziewczyny i ściskając je bardzo mocno, mamrotała coś sama do siebie.

Gdy ból w nogach stawał się dość uciążliwy, Tove nareszcie się zatrzymała i zaczęła rozglądać dookoła siebie. Tym razem staruszka z wnuczką czmychnęły niepostrzeżenie w bujne zarośla i bacznie przyglądały się temu, co rysowało się tuż przed ich oczami.

Tove stanęła na środku leśnej polany, lecz co chwilę zniknęła w zaroślach, targając za sobą dość dużych rozmiarów gałęzie drzew i patyki, które gubiła, rozrzucając na prawo i lewo.

Kiedy uzbierała już wystarczającą ilość, ułożyła z nich duży stos. Wyglądała tak, jakby chciała w środku nocy rozpalić ognisko pod rozgwieżdżonym niebem, ale nie zrobiła tego. Stanęła na środku polany i obserwowała gwiazdy. Co jakiś czas przemieszczając się w innym kierunku, podnosiła, jak czapla, głowę wysoko. Wyglądała tak, jakby wahała nadlatujące z różnych stron powietrze. Lecz nagle poderwała się jak ptak do

lotu, biegnąc w odwrotnym niż ukryte kobiety kierunku, i zniknęła w lesie. Nie pojawiała się przez pół godziny, godzinę, dwie...

-- Babciu, wracajmy... mnie już zupełnie nogi zdrętwiały -- szepnęła Traszka.

-- Nie, moja droga. Skoro tu przyszyliśmy, to znaczy, że coś ma się wydarzyć. Inaczej los by nas tu nie przyprowadził.

-- Mnie już jest tak strasznie zimno, chce mi się spać.

-- Jak chcesz, możesz wrócić. Ja do rana się stąd nie ruszę.

-- Wiem, wiem, że masz rację, ale może ona po prostu lunatykuje w nocy? Może nawet nie wie, że ułożyła ten stos? Może już śpi w swoim łóżku? Babciu...?!

Jednak potok słów Traszki przerwał powrót Tove. Obie wstały z kolan, próbując się wyprostować i znaleźć sobie nowe, bezpieczne miejsce za krzewami. Rozchylając delikatnie gałęzie, ze zdumienia coraz szerzej otwierały oczy. Tove miała umorusaną od ziemi i krwi twarz, brudną od błota suknię i bose stopy, poskręcane w nieładzie włosy przypominały ogon wilka. Doleciał do nich charakterystyczny swąd rozkładającego się zwierzęcia czy nieświeżej ryby, a dziewczyna, dość mocno się garbiąc, z wielkim trudem ciągnęła za sobą coś, co przypominało truchło zwierzęcia. Potykała się o własną suknię, ale nie chciała się poddać. Z mozołem wlokła to coś za sobą, trzymając je za jedną nogę. Pozostałe trzy kończyny, które ciągnęły się po ziemi, były idealnie obgryzione aż do białych kości.

-- W tym czasie babcia schowała rękę w kieszeń narzuty, przypominającej coś na kształt swetra, i wyciągnęła z niej sproszkowane zioła wymieszane z czymś, co połyskiwało w niemym świetle gwiazd jak drobinki złota. Babcia przyłożyła rękę do ust, wyprostowała dłoń bardzo dokładnie, jakby chciała na niej położyć jabłko dla konia, i z całych sił w płucach dmuchnęła w ten niewytłumaczalnie piękny pył. Świeące drobinki, poszybowały w górę, mieniając się jak woda w krystalicznie czystej rzece tuż po wschodzie słońca. Traszka patrzyła weń jak zaczarowana i wodziła oczami za pyłkiem, który z wolna zaczynał już opadać. Staruszka szturchnęła dziewczynę łokciem:

-- Piękny, prawda? Ten to akurat mi się udał. Mam nadzieję, że uchroni nas przed ciemną mocą, chociaż nie wyczuwam jej w powietrzu. Co ona robi? -- szepnęła sama do siebie, nie zwracając uwagi na Traszkę.

A Tove położyła przy stosie padlinę i zmęczona na chwilę przysiadła obok niej. Długo na nią patrzyła, gdy w końcu zbliżyła się, by pogłodzić miejsca, w których ostała się skóra. Robiła to z wielkim oddaniem i namaszczeniem, wodziła po zaschniętych od krwi miejscach opuszkami palców, odganiała od niej wścibskie robactwo i muchy, potem dłoń przeniosła na kości. Zagłębiała palce w niewielkich rozmiarów szczelinach pomiędzy nimi, zdrapywała paznokciami zaschniętą ziemię, aż wreszcie przeniosła swoją uwagę na łeb zwierzęcia. Czaszka była pęknięta, oczodoły świeciły czarną otchłanią. Dziewczyna położyła dłoń w miejscu, gdzie skroń stykała się z płatem czołowym. Trwała nieruchomo przez jakiś czas. Następnie podwinęła suknię i spod przyszytej do niej cienkiej haleczki zaczęła wyciągać niewielkich rozmiarów kości. Niektóre z nich wyglądały jak półksiężyc, inne niczym nie różniły się od starych, powykręcanych korzeni drzew, kolejne były proste i kształtem przypominały białą broń. Wyłożyła je wszystkie na ziemię, przeciągnęła po nich ręką, obwąchała z każdej strony. Wyglądała jak pies, który zapoznaje się z innym, wchodzącym na jego terytorium. Raptem wstała i podeszła do chrustu. Pewnym siebie ruchem dłoni strzeliła o siebie krzemieniami, by już po chwili ogrzewać dłonie w blasku ognia. Gałęzie bardzo szybko się zajęły, ogień zagarnął je z każdej strony jak spragniony ciała kobiety kochanek. Wirował nad stosem pomarańczowym płomieniem, by zaraz przeistoczyć się w szmaragdowozielony cień.

Tove siedziała, trzymając dłonie na udach. Wpatrywała się w blask i trwała w milczeniu. Pogrążała się w czymś, czego nie można było ani nazwać, ani dotknąć, wypełniało ją i otulało jak ogień, na który patrzyła. Nikt oprócz jej samej nie mógłby przeniknąć tego, co zaczynało rodzić się w tej chwili. Pogrążona w zadumie oparła ręce na ziemi i nie wstając z niej, na czworakach przypelzła do kości. Te rozrzucone zaczęła zbierać z ziemi. Przykładała je do truchła zwierzęcia i szukała im odpowiedniego

miejsca. Liczyła je, podnosząc do góry, a w blasku ognia ukazywał się ich kolor przypominający najbrudniejszą biel. Niczym się nie różnił od widoku listopadowego śniegu. Dziewczyna nareszcie się podniosła i szybkim ruchem wrzuciła je do paleniska. Słup ognia wystrzelił wprost w granatowe niebo. Teraz zamierzała się na padlinę, ale było widać, że jest już zmęczona. Próbowала ją podnieść dwa razy, bez skutku, dopiero za trzecim chwyciła mocno zwierzę za dwie tylne łapy i przyciągnęła truchło bliżej ognia, wkładając je dość niezgrabnie. Płonące konary rozsypywały się po bokach, ale Tove zagarniała je żelaznym prętem, który pojawił się w jej dłoni, nie wiadomo skąd. Przysypywała w ten sposób również resztki pozostałe po zwierzęciu.

-- Babciu ja chyba zaraz zwymiotuję, strasznie te jej rytuały śmierdzą. -- Traszka chwyciła się za usta.

-- Milcz! Ona nie może nas tu usłyszeć! -- Staruszka była bardzo pobudzona, oglądając całe to przedstawienie. Nie wyglądała na zmarzniętą, głodną czy wystraszoną.

-- Ale ja już nie mogę! -- Dziewczyna odwróciła się od babci, ale nie zdążyła zrobić ani jednego kroku, gdyż płyn, który wzbierał w niej od pewnego czasu, musiał w końcu opuścić jej brzuch. Przeleciał jej przez palce trzymane na ustach i wylądował tuż obok babci, choć ta w ogóle na to nie zważała. Zachowywała się tak, jakby Traszki z nią nie było. Dziewczyna zaczęła już nawet dławić się i charczeć, ale babcia tylko dała jej kuksańca nogą.

Tymczasem Tove jakby zaczynała się budzić z marazmu. Gdy ogień coraz bardziej trawił zwierzę, wyciągała długą szyję do nieba i zaczynała kręcić się wokół własnej osi. Nie przeszkadzał jej zapach palonej padliny. Nagle, wirując wokół ogniska, zaczęła intonować jakąś melodię. Głosy łączyły się ze sobą w jedną zbitą całość, babcia starała się nasłuchiwać, lecz nie mogła rozróżnić słów. Raz za razem wydawała z siebie skowyt niczym przestraszone zwierzę. Nie była to jedna z tych pieśni, które staruszka uczyła dziewczęta, było to coś innego, bardziej mrocznego, ale za tą ciemną otchłanią kryła się jasność dźwięków i formy. Jakby wytrawny grajek pomylił tekst piosenki, by zaraz po chwili znów

sobie ją przypomnieć. Jedno było pewne, śpiewała głosem smutnej i bardzo silnej duszy. To, co wydobywało się z jej gardła, było potężne, wręcz gromowładne. Echo roznosiło się wyraźnie po lesie, odbijało od kory drzew, zdawało się, że dziewczyna śpiewa przez metalową tubę.

Babcia nerwowo poruszała nogami w miejscu, skubała falbany sukni i czuła, jak po ciele rozlewa się nieznośny chłód. W jej starej głowie słowa rozsypywały się, by znów na powrót ułożyć się w jedno określenie. *Zbieraczka kości, zbieraczka kości.*

-- Nie, to niemożliwe -- mówiła do siebie. -- W naszej rodzinie to niemożliwe, nie ona, jest zbyt krucha, za młoda, i to jeszcze z dzieckiem?

Chwyciła się rękoma za skronie, jakby ten gest miał ją uspokoić i wyciszyć. Odnosiła wrażenie, że gdy zamyka oczy, słowa nabierają dziwnie szybkiego tempa i galopują bez ustanku. Gdy tylko je otwierała, nieznośny mętlik się uspokajał, ale oczy patrzyły na dziwnie znajomy obraz młodej dziewczyny wirującej nad ogniem. To wszystko zaczynało mieć głębszy sens, ale taki, który można było jedynie przeczuć, nie można go było jeszcze teraz, w tej chwili zrozumieć. Wiedziała o tym babka i ryby w rzece, wiedziały o tym cienie księżycowe, wiedziały o tym nawet przydrożne psy, ale nigdy nie chciał zrozumieć tego zwykły człowiek. Być może właśnie dlatego cała ta dziwna rodzina bez matek i ojców zrodzona była z ognia i wody, miłości i smutku, czarów, magii, grzmotów i jasnych gwiazd.

Obudziły się z potężnym bólem głowy, już w chacie. Żadna z nich nie wiedziała, jak do niej trafiły. Jakby odurzone nocnymi widziadłami albo miodem pitnym wierciły się we własnych łózkach. Babcia jak zwykle przy piecu, dziewczęta w swoim pokoju, ale tylko dwie z nich chodziły nocą po lesie. Zdradzały je brudne stopy, po kostki umorusane w zaschniętej ziemi i dość nieprzyjemny zapach, który na dobre rozgościł się w ich włosach. Bachira od razu wyczuła, że tej nocy coś się wydarzyło, ale nie podpytywała sióstr. Co rano brała księgi, zioła i uczyła się tak dużo, jakby zamierzała zostać najpotężniejszą z ziemskich czarownic. Przestała z nimi rozmawiać, nawet nie droczyła się z nimi jak dawniej. Zamknęła się w sobie ze złości, a może bardziej ze zgrzyoty. Staruszka

nie reagowała na jej zachowanie, zaprzątnięta myślami o Tove, próbowała zrozumieć, po co to wszystko wydarza się właśnie teraz i czy jest tym, co przeczuwała już dawniej.

Cały dzień obserwowała Tove. Co robi, jak wygląda, kiedy je, w jaki sposób rozczesuje włosy, zakłada szmaciane buty, jakie zioła pali i zbiera, co robi w ogrodzie, kiedy chodzi zbierać jajka. Jednak gdy wieczorem dziewczyna zaczęła wydobywać z połaci i falban ubrań drobne, białe kosteczki, by układać je w niezrozumiałe wzory na stole w kuchni, babka przestała krzątać się przy palenisku i podeszła bliżej do dziewczyny, by znów dojrzeć, jak jej oczy pokrywają się mglistym bielmem.

-- Po co to robisz?! -- grzmiała babka, jakby nie wiedząc, że do takich spraw trzeba podchodzić ze spokojem.

-- Nie wiem. To samo do mnie przychodzi. Widzę te wszystkie kości porozrzucane po ziemi, ukryte w zaroślach czy pod kamieniami, i nie mogę, po prostu nie mogę przejść obok nich obojętnie. Ostatnio widziałam w lesie ludzkie. To były tylko niedbale rozrzucone szczątki, ale jak one do mnie wołały, babciu! Nie wiedziałam, co mam zrobić.

-- A te tu, na stole? -- zapytała srogo.

-- Te są zwierzęce. Trzeba je porządnie wyszorować i wyparzyć, zrobię z nich naszyjnik.

-- Chcesz zrobić amulet? -- Babcia przysiadła na krześle obok, trzymając się za korzonki.

-- Nie wiem, babciu. Ja nic nie wiem. Jediną rzeczą, którą obecnie wiem, jest to, że jestem w ciąży i że coś mnie wzywa i każe zbierać te kości.

-- Ale wiesz, że kości są tak mocne, że bardzo trudno sprawić, by uległy całkowitemu zniszczeniu. Nawet jeżeli spróbujesz je spalić, i tak nie uda ci się tego zrobić. Możesz je silnie przepalić, ale nie uda ci się z nich zrobić jednolitego prochu. -- Tove nie słuchała już staruszki. Znów obracała kostki w palcach, przykładała je pod światło i słyszała w sobie ten nieznośny głos.

I może by on ucichł w jednej i w drugiej kobiecie, gdyby mieszkały w dużej wsi zaprzęgnięte do ciężkiej pracy w polu, albo przy gromadce

dzieci, z których każde potrzebowałoby oddzielnej miłości. Może umiałyby wtedy podzielić się na troje, żeby każdemu z nich dać tę samą odrobinę siebie, która goiłaby rany i karmiła głodne brzuchy. Urodziły się jednak tam, gdzie powinny, w miejscu, w którym powinny, przyszły na świat zrodzone z tej, a nie innej linii przodków. Są tu, gdzie być powinny, i jeśli darem wiejskiej kobiety jest bycie matką, to jest nią od świtu do głębokiej nocy, z niewielką przerwą na bycie samą dla siebie. A jeśli darem Tove jest umiejętne wnikanie w rzeczy zgoła niezrozumiałe, poprzez zbieranie rozrzuconych kości, to tak właśnie jest.

Staruszka czasami przystawała i patrzyła na nią w zamyśleniu. Długie, lśniące i grube włosy połyskiwały w promieniach słońca mocniej niż u pozostałych sióstr. Czasami miała wrażenie, szczególnie wtedy, kiedy słońce wychodziło zza chmur po gwałtownej burzy, że nad jej głową pojawia się jasny promień przypominający obręcz. Od czasu, kiedy na jej szyi oprócz półksiężyca zawisły również kości, twarz nabrała dużo poważniejszego wyrazu. Babcia miała wrażenie, że wokół oczu wnuczki pojawiły się również drobne, podłużne zmarszczki, jakby kury swymi łapami zostawiły ślad na jej twarzy.

Jednak magia, która do tej pory była cicha i uległa, nareszcie chciała wybuchnąć kaskadą gwiazd i tysiącem niezrozumiałych symboli. Szukała w niej swego miejsca, nie chciała już dłużej czekać na ten właściwy dzień. To wszystko, co było pod jej skórą, pochodziło z lasu i ziemi, wiedziała o tym przez milczącą obserwację, bo czasem milczenie znaczy więcej niż tysiące słów. Twarz Wilczana zadomowiła się na stałe w zakamarkach jej snów, ale z dnia na dzień coraz bardziej bledła. W każdy jej dzień zakradała się wątpliwość i pytanie, na które nie знаła jeszcze odpowiedzi. Dlaczego przydarzyło się to właśnie jej? Staruszka jednak bardzo umiejętnie i całkiem niepostrzeżenie wkradała się pomiędzy jej myśli, sny i słowa, mówiąc, że to niebezpiecznie chcieć wszystko wiedzieć.



7.

Pogoń

Pewnego dnia babcia dostała gorączki. Na początku udawała, że nic się nie dzieje, ocierała ściereczką pot z czoła, chodziła do ogrodu, żeby posiedzieć wśród zieleni, piła napary z kory wierzbowej i kwiatów bzu, ale nawet to nie pomagało. Bolała ją głowa, czasem tak mocno, że oblewały ją zimne poty, lepkie niczym plastry miodu, ogarniały całe ciało. Nie mogła gotować. Denerwowały ją zapachy i opary, a kiedy wyciągała ręce po zioła, trzęsły się jak liście na wietrze. Od czasu do czasu robiła się cała czerwona z nerwów i bólu. Kładła się na sienniku i przykrywała lnianym cienkim kocykiem, mającąc niezrozumiale pod nosem.

Wnuczki pierwszy raz w życiu poczuły, jak smakuje lęk o przyszłość. Nie mówiły o tym głośno, bo wiedziały, że słowa nawet raz wypowiedziane mają ogromną moc, ale oczyma wyobraźni widziały najgorszy scenariusz. Pielęgnowały staruszkę jak nigdy dotąd. Przygotowywały dla niej najznamienitsze przysmaki, potrawy z ziołami, śmietaną z cukrem, wypiekały chleb z ziarnami i bułki ze słodką kruszonką, wszystko na darmo. Babcia jadła mniej niż wróbelek, znikła w oczach, ale nie mówiła, że jej czas nadchodzi, tylko że traci energię, jakby ktoś lub coś dzień po dniu wysysało z niej życie. Jej twarz robiła się kamienna. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że już nie przybędzie jej więcej zmarszczek, że to, co miało się przez całe życie pojawić, już na niej zastygło.

Znały się we cztery od zawsze i były na siebie skazane tak jak kwiaty lipy na pszczoły gorącym latem. Dziewczęta czuwały przy babci na zmianę. Nie zostawiały jej samej nawet w nocy, bały się, że straci całko-

wicie świadomość, pójdzie dokądś po ciemku i nie wróci, bały się również, że wyda swój ostatni oddech, kiedy nikt tego nie zauważy.

Czasem sypały rozmaite zioła wokół jej siennika. Mówiły, że to przyjęta na cienie księżycowe. Wiedziały, że babcia jest z nimi zaprzyjaźniona. Gdzieś w półcieniu wciśnięte w kąt izby, noc w noc oczekiwały tych nocnych gości, otwierały okna, ale nikt się nie zjawiał.

W tym czasie Tove zaczęła zachowywać się tak, jakby powoli godziła się ze swym losem. Coraz mniej płakała, a więcej obserwowała rzeczywistość. Nie ukrywała się już ze swą nową zdolnością. Codziennie przynosiła do domu nowe kości. Robiła im specjalne miejsca w glinianych garnuszkach, niektóre paliła w piecu, a jeszcze z innych tworzyła bransolety, wisior, przekładki do włosów. Nie spuszczała po sobie lęklive oczu, tak jak miała to w zwyczaju do niedawna.

Bywały dni, że babcia wstawiała z łóżka na dłużej. Nogi zawsze prowadziły ją w to samo miejsce, czyli do ogrodu. Stawała pośrodku grządek i mówiła, że przygląda się, jak rosną migoczące nici roślin. Podnosiła ręce do góry, a wtedy zdawało się, że wystające z ziemi pną się do góry jeszcze bardziej. Przebierała palcami w powietrzu, jakby wygrywając dla nich melodię na niewidocznych strunach. Potem wracała do domu pod opieką którejś z wnuczek i znów kładła się przy piecu.

Ale pewnego dnia było zupełnie inaczej. Babcia wstała gdzieś około południa, a w jej oczach tliły się iskry, które przeradzały się w płomienie.

-- Palą mnie plecy jak żarzoną węglem, coś musi tu być. Żadna z nas nigdy nie umierała w tak beznadziejny sposób! -- krzyczała, czyniąc nieporządek wokół siebie.

-- Jak możesz tak mówić! Zostaw te szmaty -- jęknęła Tove, widząc, jak babcia niezgrabnie przekłada stosy gałganów.

-- Nie przeszkadzaj mi! Przecież muszę z godnością skończyć to, co zaczęłam! -- grzmiała, jakby nigdy nie dosięgła jej żadna choroba. -- Albo mi pomożecie znaleźć to, co zabiera mi życie, albo choć nie przeszkadzajcie! -- mówiła z zaostrzającym się z chwili na chwilę wyrazem twarzy.

-- To jest nieprawda! Bzdura wyssana z palca! -- protestowała Tove.

-- A co ty, dziecko, możesz wiedzieć o życiu i umieraniu? Wróciły do mnie sny, które przepędzałam latami, coś w tym domu jest, co nie zaważa się wypalić wam dziur w plecach! No już, już! Szukajcie! -- Magia wrzała w całym domu jak kocioł wody postawiony na ogniu. Starsza kobieta miała ochotę powyrywać deski z klepiska i wydrapać dziury w ścianach, cały czas mówiąc, że słyszy, jak pulsuje w jej plecach nieznośny płomień. Słowa z trudem przechodziły przez jej zaschnięte gardło, palce sztywniały podczas każdego ruchu, a ubranie przesiąkało jakimś dziwnym zapachem. Tove zauważyła, jak na rękach staruszki zaczynają się pojawiać sine plamy i wybroczyny. Starła się je przemywać zaparzoną rumianką, ale staruszka krzyczała, że dopóki nie znajdzie źródła cienia, nic nie jest w stanie jej pomóc. Dwie pozostałe siostry szeptały, że postradała zmysły, a babka nadal czegoś szukała, przysiadła na sienniku albo kładła się na wół przytomna, mówiąc:

-- Poziom jezior i rzek znacznie się podnosi, woda już nie jest jak kiedyś spokojna, nie płynie leniwym strumieniem.

Oddech babci już nie trzymał się ciała, niewidoczny przysiadł na klatce piersiowej, swym ciężarem co jakiś czas dusił staruszkę -- powtarzała babcia.

-- Woda nie jest aż tak zimna, ziemia dudni, kurczy się i zaciska.

Tove na dźwięk tych słów podniosła się nieznacznie. Czyżby babcia przechodziła już na drugą stronę?

-- Kto snuje nici przeznaczenia ludzi? Gdy zapominasz, po co żyjesz, odcięta od źródła? -- Delikatnie machała ręką w powietrzu. Wodziła za nią oczami, czując zmęczenie w całym ciele. Ręka bezwiednie opadła na ciało, babcia została ze sobą sam na sam w swojej wiotkiej, ziemskiej powłoce. Zaniepokojone siostry chciały podejść do siennika, ale Tove wstrzymała je, jednym gestem pokazując, że klatka piersiowa unosi się i opada, unosi się i opada, na znak, że jeszcze tli się w niej życie. Ciało poddawało się zmęczeniu, a myśli szaleństwu.

-- Ziół potrzebuję. Wczesnego nagietka i mięty, parzcie szybko! -- Tove zerwała się jako pierwsza. Podbiegła do kuchenki, drżącymi rękoma trzymała metalowy garnek z gorącą wodą. Syknęła z bólu, zalewa-

jąc suche listki, woda spłynęła po naczyniu wprost na jej drobne ręce. Odczekała dłuższą chwilę, przez cały czas trzymając się za dół brzucha. Nieznośne skurcze rozpychały jej ciało już od kilku dni. Nie mówiła o tym nikomu, bo i po co. Miały już wystarczająco dużo problemów z babcią.

-- Babciu, pij, przestudziłam trochę. -- Powiedziała Tove, klęcząc przy sienniku. Krew wściekle pulsowała jej w skroniach, czuła ją, gdy wyciągała ręce z kubkiem pełnym naparu. Staruszka podciągnęła się na przedramionach, siadając w półleżącej pozycji. Każdy ruch sprawiał jej ból, a na twarzy pojawiał się nieznośny grymas.

-- Wody dołałaś?! -- zgromiła ją słowem i wzrokiem.

-- Nie! -- odpowiedziała natychmiast -- przecież wiem, że zioła tracą swe właściwości, jeśli dolewa się do nich wody; jak mogłaś tak w ogóle pomyśleć?

-- Ja już sama nie wiem, co myślę, zobacz... -- Wyciągnęła jedną bosą nogę spod pierzyn. Na zwiotczącej skórze rysowały się siatki zmarszczek, palce nienaturalnie wygięte, powykręcane jak korzenie drzew były całe sine, jakby wyciągnęła je wprost z atramentu. Tove odjęło mowę, chciała wykrzesać z siebie słowa, ale na próżno. Odłożyła kubek z naparem na podłogę i chwyciła babciną nogę w ręce. Była zimna jak lód. -- Daj mi tych ziół, wnuczko. -- Poglaskała ją po włosach -- Ze mną już nic nie zrobisz. Krew mi z nóg odchodzi, dusza z ciała jeszcze wyjść nie chce, ale coś ją ciągnie ku górze, daj naparu -- szeptała -- daj mi wody, daj naparu, daj pić... -- Tove trzymała gliniany garnuszek, wprost przed ustami babci. Przechylała go co chwilę, by kropla po kropli płyn, jak strudzony wędrowiec, rozgaszczał się na jej ustach.

-- Oj, jakie to dobre, jakie dobre... -- szeptała, a każde słowo było jak szelest kwiatów lipy na wietrze, powolne i spełnione, choć niepewne i kruche, a każda pauza słyszalna przed kolejnym wyrazem wydłużała rozmowę w nieskończoność. Była jak półmrok, przesycony zapachem ziół i czymś jeszcze. Czymś, co trudno było nazwać, a tym bardziej uchwycić. Napar ciekł po brodzie, mocząc pierzyny, a staruszka trzęsąc głową, zadała pytanie:

-- Tove, dziecko, a co z twoimi kośćmi? Po co ci to? Jak je czujesz? To są tylko kości zwierząt czy coś więcej? -- Zamilkła i wbiła oczy w sufit.

-- Czy mamy syrop z babki?

-- Z czego? -- Tove niedosłyszała.

-- Z babki lancetowatej, no chyba nie ze mnie... -- Kąciki ust podniosły się, ale zaraz opadły, jakby w obawie, że ktoś mógłby zobaczyć nieznaczny zarys uśmiechu.

-- Tak, jeszcze coś zostało z ostatniej rozlewki. -- Wnuczka przyniosła kolejny garnuszek. Tym razem po brzegi wypełniony lepką mazią. Babka piła syrop jak wodę, a gęsta ciecz oklejała jej policzki, brodę, nawet wyblakłe, krótkie rzęsy i siwe brwi. Tove przetarła oczy i czoło babci rękawem sukni.

-- Tak, tak, to wystarczy, żeby odpuścił ten ból za oczami, a teraz odpowiedz na moje pytanie. Wołają mnie, wysyłają jakieś ciemne sygnały, ja się wciąż bronię, ale to już niedługo. Czujesz, jak ziemia drży? Czujesz? -- Złapała Tove za rękę, mocno ściskając, wbiła w nią sztylety wyblakłych źrenic. Dziewczynę przeszedł dziwny dreszcz. Nigdy nie doświadczyła takiego uczucia przy własnej babci. -- Ziemia faluje w ciemnym półmroku, drży na całej rozciągłości, nie czujesz? -- Znów spojrzała w ten wymowny sposób. -- Odpowiedz na moje pytanie! -- Źrenice wbiły się w dziewczynę jak gwoździe w drewno. Mijały kolejne minuty, ale Tove jakby zastygła w czasie. -- Proszę... -- odezwała się staruszka, jeszcze mocniej ściskając jej nadgarstek. -- Babka lancetowata jest najlepsza na złe czary, pamiętaj, a teraz, proszę, odpowiedz na moje pytanie, po co ci te kości?

Tove patrzyła na jej zmarszczki i przygasłe oczy, słowa wzbierały w niej jak rzeka, aż wreszcie otworzyła usta i zaintonowała:

-- Stoję na kościach przodków,

Jem owoce ziemi, na której przelano strumienie krwi.

Oddycham tym samym powietrzem.

Dotykam tych samych drzew,

A oni dalej tam leżą,

W ziemi,

*Bez domów,
Bez głów,
Z powybijanymi zębami,
Zniekształceni i poranieni.
Przecież ktoś musi oddać im należną cześć.
Tym oczom, które od lat nie widziały słońca,
Tym duszom, które mogą nigdy nie zaznać spokoju.*

Staruszka patrzyła na wnuczkę, jakby zobaczyła istotę z zaświatów. Oczy dziewczyny znów zaczęły zachodzić bielmem, ale było widać, że z tym walczy. Mrugała nienaturalnie powiekami, podobnie jak wiatr stuka okiennicami tuż przed burzą. Wzrok przeszywał Tove na wylot, świdrował, nie można było już go cofnąć. Nie patrzyła na nią tak po prostu jak przy zwykłym śniadaniu, oczy iskrzyły czymś dziwnym, to nie był płomyczek zainteresowania ani żar zrodzony ze złości. Raczej światło budzące się w człowieku, który na nowo odzyskuje nadzieję. Nie były wypełnione zmartwieniami ani dotychczasowym bólem, tylko czystą, niezbadaną, ludzką ufnością. Mierzyły się teraz tymi spojrzeniami, a między ich twarzami trwała wieczność. Chwile nakładały się jedna na drugą, a w głowach jak refren piosenki rozbrzmiewało słowo *wieczność*, *wieczność*...

-- Ale ty chcesz, czy musisz, oddawać im hołd? -- Głos staruszki przybrał na sile, zmienił się nie do poznania. -- To jest bardzo ważne, chcesz czy musisz? -- powtórzyła kilkakrotnie.

-- A jakie to ma znaczenie? Z jednej strony chcę, z drugiej muszę. Czasem słyszę w głowie głosy, które nakazują mi zachowywać się tak, a nie inaczej, z drugiej strony jest we mnie jakiś dziwny poryw serca. Babciu, gdy widzę kości, coś we mnie wzbiera, jakaś nostalgia, uczucie, tajemnicza tęsknota. Czasem się zastanawiam, jak to było, kiedy ich nie było. Co ja robiłam, dokąd chodziłam, co zbierałam, kiedy nie było jeszcze we mnie kości? Gdybym nie wyciągała po nie rąk, to tak, jakbym zmieniła imię i wyparła się samej siebie. Czasem budzę się w nocy, bo coś we mnie woła i każe je zbierać. Budzę się i mam wrażenie, że to

z mojego brzucha, że to moje dziecko, rośnie i mnie woła, ale to nie ono. To jest zupełnie inny głos, on pochodzi z kości.

Babka słuchała uważnie, wciągając głęboko powietrze. Poczwała skurcz w całym ciele, miała smutne, szkliste oczy, w jednej chwili stała się jeszcze starsza, niż była w rzeczywistości. Zmarszczyła brwi.

-- Duchy cię prowadzą -- mówiła z trudem. -- To duchy przodków wybrały cię na opiekunkę cieni. Nie masz już nic do stracenia, ten głos będzie w tobie zawsze, choćbyś próbowała go stłamsić na wiele sposobów, nie pozbedziesz się go. To sny cię wybrały, sny i cienie, czasem nie mamy nic wspólnego z tym, co nas wybiera.

-- Kim się stałam, babciu? Czy wiesz, kim teraz jestem? -- W jej oczach pojawiły się zdumienie i gniew. Sama nie bardzo rozumiała, co się z nią w ostatnim czasie działo, ale czuła, że są to zmiany nieodwracalne. Czuła, że raz powstałe, zostaną już na całe życie.

-- Stałaś się kobietą żyjącą na krańcu czasów, jesteś piastunką kości, jedyną, która może przynieść ukojenie zmarłym, tym, którzy zostali pochowani bez godności bądź porzuceni. To jest bardzo odpowiedzialne zadanie. Zahartują cię poczucie zagrożenia i moc największa z możliwych, głęboka i pełna, płynąca wprost z trzewi.

-- Piastunka kości... -- powtórzyła Tove i zadumała się na chwilę. -- Dlaczego ja? -- zapytała niepewnie.

-- A dlaczego nie? -- syknęła staruszka. -- Tylko pamiętaj: ofiarowując im swój czas, zaczynasz z nimi relację, to dzięki nim rozpalil się w tobie ten dar.

-- Dar? Czyli to jest mój dar? Już zawsze będę miała połamane paznokcie, ręce i kolana brudne od ziemi? Babciu, czy ja jeszcze kiedyś znam prawdziwej miłości? -- Przed jej oczami pojawiła się twarz Wilczana, jego zwichrzony wiatrem warkoczyk, blizna i ciężkie dłonie. Poczwała, jak zaciska palce na jej biodrach, mocno i łapczywie, jak wpija się w jej piersi na tyle mocno, by zęby zostawiły czerwony ślad przy sutkach.

-- Babciu, niech ktoś mi powie, że to przejdzie, bo ja tego dłużej nie wytrzymam. -- Zacisnęła ręce na udach, a spod powiek wydobyło się kilka łez.

-- Ale chcesz, żeby przeszło? Bo jeżeli zrzekniesz się daru, to tak, jakbyś wydała na siebie wyrok. Nie można odrzucić czegoś, co przychodzi spoza nas, nie igra się z siłami, które są wieczne.

-- Nie, babciu, ty nic nie rozumiesz! -- Zupełnie nieświadomie podniosła głos. -- Chodzi mi o tego mężczyznę, o ojca mojego dziecka, on mnie tak skrzywdził. Przecież ja go tak kochałam, choć zapominam już o tym, to czasem wszystko tak bardzo boli, babciu. Otwiera się to we mnie tak boleśnie, jakby ktoś grzebał zardzewiałym nożem w świeżej ranie.

-- Słyszysz to? -- Staruszka nagle przerwała dziewczynie, nie bacząc na jej zranione uczucia; natychmiast zmieniła temat, coś ją wyraźnie zaniepokoiło. Z trudem podniosła głowę, by nadśluchiwać. -- Ziemia drży wyraźnie i mocno, przecież wy też musicie to czuć! Tak potężnych drgań, jak żyję, jeszcze nie doświadczyłam. -- Staruszka poczuła w piersi ból tak silny, że pociemniało jej w oczach. Tove przyłożyła ręce do drewnianej podłogi, zaraz potem schyliła się i nadstawiła ucho. -- Jeżeli to oni, to przyjadą nie w porę -- kontynuowała, co chwilę pojękując z bólu. -- Ogień zawsze myje ich ręce splamione krwią, ach... -- Westchnęła, a oczy miała już całkiem przeźroczyste. Powieki opadały, by po chwili znowu się z trudem otwierać.

Wnuczka nie wiedziała, co ma robić. Chciała babcię poić, ta nie otwierała ust, chciała okadzać szałwią, ta odganiała ją od siebie, chciała jej zmienić pościel na świeżą, ta mówiła, że już nie trzeba.

-- Babciu! Co się z tobą dzieje? -- Siostry zbiegły się wokół siennika, a strach zaczął wykrzywiać ich twarze. Staruszka coraz wolniej nabierała powietrza w płuca.

-- Musicie uciekać, dziewczynki, musicie szybko uciekać, oni są coraz bliżej.

-- Babciu, co ty mówisz? Przed kim miałybyśmy uciekać i dokąd? -- odezwała się Bachira. -- Nawet jeżeli ktoś tu wtargnie, potraktujemy go magią. -- Oczy zalśniły jej złowieszczym blaskiem. -- Przecież mogę każdego zamienić, w co tylko zechcę. -- Mrugnęła okiem do Tove. Dziel-

czyna natychmiast odwróciła wzrok. Od czasu historii ze szczurem nie miała do niej ani krztyny zaufania.

-- To nie jest kwestia magii, dziecko -- babcia charczała jak zwierzę prowadzone na rzeź. Na języku pojawiła się już krew. -- Zamienisz jednego, dwóch, a co z całą resztą? Każda przemiana pozbawia cię sił, przecież nigdy nie próbowałaś wykorzystywać jej w prawdziwej walce. -- Przyłożyła rękę do ust, by kaszlnąć, w ułamku sekundy na jej powykręcanych palcach pojawiła się czerwona maź.

-- Nie wierzysz w moją siłę? -- obruszyła się wnuczka. -- Uczyłam się więcej od nich!

-- Wierzę, ale nie masz jeszcze doświadczenia -- szepnęła staruszka z trudem.

-- A niby kiedy miałabym je zdobyć? Siedząc tutaj, w ciepłym domu?

-- Dziecko, nie wiesz, co mówisz. Możesz iść w świat i zacząć od uzdrawiania ludzi, niesienia pomocy, ale ze złem trudno jest wygrać. Obawiam się, że tu kończy się nasze zrozumienie.

-- Jakim złem? Babciu, mów jaśniej -- odezwała się tym razem Tove.

-- Z tymi, co zabijają, z tymi, co nie znają litości wobec takich jak my. Oni tu idą, słyszycie, jak ziemia drży?

Siostry spojrzały niepewnie po sobie, lecz żadna z nich nie odczuwała zagrożenia. Okiennice znów trzasnęły od podmuchu wiatru, a drzwi wejściowe otworzyły się z łoskotem.

-- Czujecie, jak zmieniło się powietrze? Zawsze się tak dzieje, gdy obok pojawia się zło. Wszystko gęstnieje, zapachy mieszają się ze sobą. Ono tu przyjdzie. -- Staruszka podniosła rękę, zgrabiętymi palcami próbowała łapać powietrze, aż w końcu dłonie bezładnie opadły na pościel. - - Spokojnie, jeszcze żyję... Musicie uciekać, oni nie będą czekać, zaraz tu przyjadą, zamknijcie drzwi!

Tove, choć zupełnie nie rozumiała, co mogłoby się wydarzyć, zarygłowała drzwi, zamknęła okna i okiennice. W izbie nastał niepewny mrok, rozganiany światłem wpadającym z niewielkiego lufciku na tylnej ścianie.

-- Czy każda z was wie, jaki ma talent? -- pomrukiwała babcia, nie patrząc już w przestrzeń.

-- Ze mną sprawa jest oczywista: posiadam największy i najważniejszy talent przemiany. -- Bachira mówiła tak pewnie, jakby chciała tymi słowami sprawić ból innym siostram, jednak trudno było wywołać w nich uczucie zazdrości.

-- Znam język zwierząt. -- Jako druga odezwała się Traszka.

Teraz czekały we trzy, w niemym skupieniu, aż odezwie się Tove, ale dziewczyna milczała, patrzyła tępo przed siebie, dotykając kości naszyjnika.

-- Co z tobą? -- Bachira szturchnęła siostrę łokciem. W jej głosie zabrzmiało coś bliskiego rozbawieniu.

-- Z daleka nie widzę ludzi, lecz cienie, siostrze, nie musisz być aż tak zgryźliwa, wiem, co mam mówić. -- Wymierzyła w nią spojrzeniem, w którym była i miłość, i groźba. Bachira odsunęła się od niej, jednak nie spuszczała siostry z pola widzenia, znowu mierzyły się wzrokiem, iskrzyło między nimi. -- Jestem piastunką kości i widzę to, na co twoje oczy są zamknięte... -- dokończyła.

-- Zawitka... -- Bachira przerwała siostrze ze śmiechem.

-- Milcz, wiedźmo! -- Tove krzyknęła, przeciągając głoski. Wyraźnie wrzała w niej niezgoda na zachowanie siostry, ale nie miało to nic wspólnego z groźbą. -- Nawet nie próbuj, niech ci przez myśl nie przejdzie, że uda ci się rzucić na mnie jakieś uroki.

-- Cóż ty wygadujesz za głupoty? -- odpierała zarzuty.

-- Już ja swoje wiem. Nie tłumacz się. -- Opuściła lekko ramiona, a babcia wyciągnęła szyję ku Bachirze. Wyglądała tak, jakby chciała jej coś powiedzieć na ucho. Zdezorientowana Bachira nieśmiało nachyliła się ku staruszce.

-- Złap mnie za rękę, czujesz, jak ziemia drży?

Dziewczyna ścisnęła babcię, mówiąc:

-- To nie ziemia, to twój puls.

-- Widocznie jesteście jeszcze za młode, niczego nie rozumiecie. Czego jej zazdrościsz?

-- Ja? Niczego! -- prawie wykrzyczała w złości.

-- Właśnie słyszę! -- Staruszka znów zacharczała, a na jej brodzie pojawiło się jeszcze więcej plam krwi, które wnuczka od razu wytarła mokrą szmatką. -- Nie możesz nigdy nikogo skrzywdzić magią, bo zamienisz się w kamień. Czego jej zazdrościsz? Dziecka?

-- Jak możesz tak mówić! -- odparła ostro, a całe ciało się spięło, jakby przestawało mieć nad sobą kontrolę. -- Niczego jej nie zazdrościsz, wręcz przeciwnie, co to za dar, zbieranie kości? Babciu, co ona wymyśla? I do tego jeszcze kurwiła się z jakimś wieśniakiem, a teraz stroi z siebie wielką panią! To mnie denerwuje najbardziej! My z Trąską całe życie uczyliśmy się pilnie, potrafimy robić rzeczy, których zwykły człowiek nie umie, a ona? Jest kurewską zawitką i grzebie w ziemi, żeby znajdować kości? Szuka ich po polach, lasach, krzakach, jak wściekły pies pożywienia. Dobrze, że w zębach ich nie przynosi. O co w tym chodzi? -- Jej oczy płonęły złością, a wydęte usta wyglądały, jakby szykowały się do przeraźliwego wycia. Ciało zaczęło się pocić, czuła spływające krople potu pomiędzy piersiami.

-- Jesteś uwięziona w chłodzie nienawiści i zazdrości, jeszcze masz dobre ręce, piękną skórę, bystre oczy, ale jeśli nie opanujesz tego, co tobą włada, staniesz się kamieniem. Już błędzisz pomiędzy życiem a śmiercią.

-- Ja? Babciu, co ty mówisz? Jak możesz wypowiadać takie słowa? -- Bachira doznała dziwnego ukłucia w sercu. Ledwo stała na nogach, poczuła, jakby została zdradzona.

-- Kiedy prostak posiada wielką moc, może wyrządzić wiele szkód, ale kiedy najmądrzejsza z czarownic jest przepelniona nienawiścią, potrafi zniszczyć wszystko.

-- Ale ja nie chcę nikogo krzywdzić! -- krzyknęła głośno i tupnęła nogą. Założyła ręce na biodra, wypuszczając dłoń babci. Na jej twarzy rysował się grymas zranionego dziecka.

-- Nikt ci nie będzie mógł pomóc, jeśli twoje serce będzie mściwe, wnuczko. -- Znów odchyliła głowę w jej stronę. -- Obiecuj mi, że nigdy nie zrobisz krzywdy żadnej swojej siostrze, obiecuj.

Bachira nie rozumiała, o co prosi ją staruszka. Czuła w sobie jedynie wściekłość, że była najpilniejszą z uczennic, nigdy nie sprawiała kłopotów, wręcz przeciwnie, swoimi zdolnościami pomagała pielęgnować dom, ogród i całe obejście, a nikt nigdy jej za to nie podziękował, nie skupił na niej uwagi, tylko na tych dwóch, które wyglądały tak jak ona. Po cóż miałyby je chcieć zranić, skrzywdzić? Wystarczyłby jej sam widok upadku jednej z nich, tej brzemiennej. To ucieszyłoby ją najbardziej. Miała nadzieję, że babka przepędzi ją z tym brzuchem na cztery strony świata, że będzie w domu więcej miejsca dla niej i dla jej magii, ale nic takiego się nie stało. A teraz, gdy zbliża się do ich domu zło, słyszy słowa, które ranią na tyle skutecznie, że nie może utrzymać się na nogach? I to od kogo! Od tej, która jest dla niej niemal jak matka, bo tej nigdy tak naprawdę nie miała?

-- Babciu... -- wyszeptała z żalem i łzami w oczach. -- Babciu... Jak możesz?

-- Ty zawsze umiałaś zadbać o siebie, dbaj również o swoje siostry. Jesteście trojaczkami, to może być waszą przewagą. Nikt nie wie, że wyglądacie identycznie. W oczach ludzi jesteście jedną osobą, mam nadzieję, że to wystarczy. -- Jej głowa zapadła się w poduszkę. Wyglądało to tak, jakby uleciały z niej myśli, oczy miała otwarte, a jedyną oznaką życia było mruganie powiekami. Na drobną chwilę położyła ręce na sienniku, próbując się na nich wesprzeć. Chciała wstać, ale przeszkodziły jej słowa.

-- Otwierać! -- Ktoś silną dłonią uderzył kilkakrotnie w drzwi. Głęboki dźwięk powtórzył się jeszcze kilka razy. Ciało staruszki natychmiast opadło na pierzyny. Wnuczki przystanęły w osłupieniu, patrząc po sobie, nie poruszyły się nawet o milimetr. -- Otwierać! -- Ten sam głos domagał się natychmiastowego spełnienia prośby. Babcia znów zaczęła poruszać ustami, ale jej słowa jakby ucichły na dobre. Wnuczki szybko podeszły do siennika.

-- Musicie uciekać. Ziemia do tej pory drżała, a już teraz pali się pod ich stopami -- szepnęła bardzo cicho.

-- Może to jest ktoś z miasta, może powinniśmy otworzyć? -- zapytała Traszka.

-- Czy tak puka ktoś, kto chce ci przynieść dobrą nowinę? -- Babcia wymownie spojrzała na wnuczkę. -- Nie przestraszyłaś się tego głosu? Co czują wasze serca? Musicie natychmiast uciekać!

-- Otwórzcie, dobra kobieto. -- Dźwięk zza drzwi jakby nieco zmienił barwę, a strach rozgościł się w dziewczętach i zaczął żyć własnym życiem; straszliwie szeleścił, zmieniał położenie, przepływał z rąk do brzucha, a potem meandrował do nóg.

-- Co mamy zrobić? -- pytała Bachira babci. Traszka nerwowo drapała palcami dłoni, jakby chciała wywiercić w niej dziurę. Tove wsłuchiwała się, jak o dach nad ich głowami zaczynają uderzać krople deszczu.

-- Nie ma na co czekać, musimy uciekać -- odezwała się stanowczo Tove.

-- Ale po co? Któż do licha to jest? -- Bachira szarpnęła ją za rękaw. Jej oczy płonęły złością.

-- Nie wiem, kto to ale czuję, że są źli, ziemia mi o tym już od kilku dni mówiła. Nie mogą was zobaczyć razem! Uciekajcie! Mnie nie ruszą, jestem już za stara. Poradzę sobie albo w końcu umrę.

Mętne, żółte światło padające od świec zaczęło rzucać dość niewyraźne cienie. Tove przyglądała się im z ogromnym skupieniem. Zaczęło jej się kręcić w głowie, potrzebowała świeżego powietrza. Zaczęła poganiać siostry, już nawet nie bacząc na schorowaną babcię. Głos zza drzwi domagał się uwagi i natychmiastowego wpuszczenia. Tove pobiegła do pokoju na górze. Schowała strzałę pod falbany sukni, wyjrzała za okno, deszcz tylko niemrawo kapał, ale chmury były już ciemno granatowe. *Zaczekajcie na mnie, proszę jeszcze nie teraz* -- pomyślała, patrząc błagalnie w niebo. Chwyliła worek, który zawsze zakładała sobie na plecy, gdy chodziła zbierać zioła, pachniał jasnotą, jedną z niewielu roślin, która przypomina ducha. Jej białe kwiaty, wydzielające słodkawy sok, każdego lata wysysała ze smakiem. Teraz musi trzymać się od niej z daleka, mogłaby źle wpłynąć na ciążę.

Słyszała, jak na dole wzmogło się poruszenie. Siostry nie wiedziały, co mają ze sobą zabierać. Tove krzyczała, stojąc na schodach, i poganiała je wyraźnym gestem. Musiały jak najszybciej wyjść tylnym oknem, które było w ich pokoju.

Kiedy Tove z trudem je otworzyła, wychyliła głowę za okiennice i próbowała wciągnąć do płuc małe krople deszczu, dopiero potem rozejrzała się dookoła. Teren był czysty, tylko kury podniosły lament i gdakały jak szalone. Traszka mówiła, że się boją, patrząc błagalnie z góry na ich opierzone ciała, ale Tove nic sobie nie robiła z tych słów. Na jej czole zarysowywała się poprzeczna zmarszczka. Jako pierwsza zaczęła powoli schodzić po dzikim winie.

-- Tu nie ma czasu na kury! Zostaw je w spokoju! -- Uderzyła ręką w plecy siostry, gdy ta schyliła się ku zwierzętom, by je ostrzec. -- Uciekaj! Szybciej. Obie biegniecie za mną do lasu!

Poprawiła wór na plecach, w którym udało jej się schować resztki pożywienia. Prawie przewróciła się o swoje nogi, biegnąc co tchu. Mijała krzewy i drzewa. Głosy mężczyzn odbijały się echem, nie oglądała się za siebie, nie sprawdzała, czy nadal biegną we trzy, czy już może któraś z nich pomyliła drogę. Kosmyki włosów przyklejały się do spoconych skroni, z trudem łapała powietrze w płuca. W głowie miała tylko jedną myśl, aby przetrwać. Nagle raptownie się zatrzymała. Traszka nie zdążyła wyhamować i wpadła jej na plecy, uderzając głową tak gwałtownie, że rozcięła sobie górną wargę o własne zęby.

-- Co ty wyprawiasz! Zwariowałaś? -- Rozgniewana wysysała krew z rozciętej wargi, lekko ją przygryzając. Chciała w ten sposób zatamować rozlew, ale szło dość topornie. Wystarczyło tylko, że odchyliła zranione usta, a czerwone plamy zaczynały zdobić jej suknię na piersiach. -- Do licha -- westchnęła. -- Ale się ze mnie leje.

Tove w ogóle nie zwracała na nią uwagi, niepostrzeżenie zmieniła drogę, którą do tej pory prowadziła, mocno skręcając w prawą stronę. Zeszły z subtelnie zarysowanej ścieżki i szły, przedzierając się przez gęstwiny. Krzewy malin raniły kolcami ich ręce, ciągnęły za falbany suknie, jakby chciały je zawrócić. Deszcz był delikatny, prawie mżył, ubra-

nia od wilgoci zaczynały robić się coraz cięższe. Odgłosy wrzawy z siedliska coraz wyraźniej dobiegały ich uszu.

-- Idziemy z powrotem do domu? -- zapytała Traszka. Bachira podążała za nimi, ale trzymała bezpieczny dystans. Mimo strachu, który odczuwała, obserwowała siostry z pewną dozą nieufności, jakby to one stanowiły dla niej większe zagrożenie aniżeli szajka, która wtargnęła na ich podwórze.

Tove nie odpowiadała na pytania. Szła pewnie przed siebie, jakby wiedziona instynktem. Dokładnie wiedziała, co ma w tej sytuacji robić. Nagle zatrzymała się za potężnymi świerkami. Siostrom kazała zostać i czekać na nią, a sama weszła pomiędzy drzewa. Przeszła kilkanaście metrów w głąb lasu i zatrzymała się. *No, pokażcie mi się, zbójcy* -- mówiła w myślach. Oddech miała już miarowy i spokojny, co chwilę kładła ręce na wisior z kości, jakby dodawał jej wiary, mocy i sił. Słyszała różne głosy dobiegające z siedliska, ale nie było ich wiele. Można było rozróżnić ich tonację i w ten sposób na palcach jednej ręki oszacować liczebność intruzów. Podeszła jeszcze bliżej i odchyliła ręką ogromne źdźbła czeremchy, by móc jak najwyraźniej dojrzeć postacie.

Głosy należały do dwójki mężczyzn. Jeden z nich był dość gruby. Chodził dookoła domu i uderzał w niego ogromnym kijem, jakby chciał wygonić z budy przestraszonego psa. Kiedy natrafiał na zamknięte okiennice, dźwięk przeciągał się i natychmiast urywał, jakby ktoś chciał zagłuszyć nieprzyjemny pogłos. Mężczyzna był bardzo pewny siebie, mimo dużej otyłości miał zwinne ruchy. Jego twarz zdobiła długa, ruda broda, opadająca na wystający brzuch.

Tove mrużyła oczy, chcąc w ten sposób wyostrzyć wzrok, by móc zobaczyć jego znaki szczególne, ale deszcz zaczynał coraz mocniej padać, trudno było w tej szarzyźnie dostrzec cokolwiek. Kiedy obok rudego pojawił się bardzo wysoki mężczyzna z nienaturalnie długimi rękoma, dziewczyna starała się zapamiętać wszystko: kolor spodni, koszul i włosów, chód.

Rudy zaczął kłąć i obwąchiwać dom, aż w końcu wrócił pod drzwi i kilka razy uderzył w nie całym sobą, krzycząc:

-- Iii raz.... -- trzask rozległ się dokoła. -- Za moją świętą matkę! I dwa... Za mojego psa! -- Kolejny raz uderzył, a zawiasy lekko popuściły. Tove złapała się za brzuch, myślała tylko o babci, i o tym, co mogą jej zrobić. Podeszła kilka kroków bliżej. -- I trzeecia blać...! -- Uderzył swoim barkiem tak mocno, że nie było już czego ratować. Przeciętny człowiek od takiego naporu miałby roztrzaskane ramię, ale nie on. Drzwi rozpadły się na trzy części.

Zdało się, że rudy nawet tego uderzenia nie poczuł. Siła, jaką w sobie nosił, roztrzaskała drewniane drzwi chaty czarownic i może nie byłoby w tym nic dziwnego, ale duchy drzew, z których drzwi zostały wykonane, zawsze chroniły swoich miejsc. Tove zaczynała być przerażona, robiło jej się niedobrze, czuła chłód od ziemi. *Przecież babcia już nie będzie umiała się ochronić* -- myślała. Zrobiła kolejny krok i syknęła z bólu. Ostrze strzały, którą nosiła pod spódnicą, zraniło ją boleśnie w łydkę. Czuła, jak po nodze płynie krew, zaczęło jej się robić słabo. Nagle z lewej strony usłyszała szmer, szept słów: *Musisz mu powiedzieć, żeby sprostał siłom, które wzywa, bo rozlew krwi rozwściecza duchy drzew i przodków.* Potrząsnęła głową i uderzyła się rękami w policzki, jednak szept wrócił teraz z prawej strony. *Musisz mu powiedzieć, żeby sprostał siłom, które wzywa, bo rozlew krwi rozwściecza duchy drzew i przodków.* Zatkła uszy palcami i zamknęła powieki, głos zaczynał ją atakować z każdej strony, był nie do wytrzymania. Nie widziała, co się dzieje w chacie, nie słyszała nawoływania Traszki, trzęsła się, a ostrze strzały po tysiackroć raniło jej nogę.

-- Auuu! -- usłyszała wycie gdzieś w oddali. Podniosła natychmiast głowę, nie wiedząc, czy dźwięk wydobył się z krtani ludzkiej, czy zwierzęcej.

-- Tam! W krzakach! Tam ktoś jest! -- Nagle zobaczyła przed sobą długą dłoń chudego chłopaka wymierzoną prosto w jej twarz. Choć dzieliło ich dobrych kilkadziesiąt metrów, miała wrażenie, że widzi ją tuż przed sobą. Odwróciła się i zaczęła uciekać. Czuła, jak wiatr uderza ją w plecy. Miała wrażenie, że popędza ją lub dodaje sił. Słyszała ich głosy coraz bliższe, głównie tych dwóch mężczyzn. Chwyliła suknię w rękę

i podniosła ją ponad kolana, tak biegło się znacznie wygodniej i szybciej. Mijała liście, gałęzie drzew, nawet ptaki próbowały się z nią ścigać. Gdyby tylko wiedziała, co chcą jej powiedzieć, ale czuła, że nie może się już zatrzymać. W końcu dobiegła do sióstr.

-- Zamień nas! -- krzyczała, patrząc Hannie prosto w oczy. -- Zamień nas w ptaki, trawę, mech, w cokolwiek!! -- Potrząsała mocno jej ramionami, a deszcz spływał po ich twarzach. -- Oni zaraz tu będą! Zamień nas!

W Tove rósł strach i napięcie, potrząsała siostrą coraz mocniej. Traszka w osłupieniu ścierała deszcz z twarzy, gdy nagle usłyszały przeraźliwy śmiech Bachiry. Tove błagała, żeby przemieniła je w drzewa, ale Bachira popadła w szaleńczy śmiech, który na pewno słyszeli już z daleka zbójcy, gdy wtem Tove straciła czucie w rękach. Patrzyła w osłupieniu przed siebie, ale nikogo przed nią nie było, tylko pod nogami kręciła się ruda wiewiórka... Siostra wymownie spojrzała na Traszkę. Nie musiały już nic mówić, zaczęły uciekać.

Pędziły przed siebie już tylko we dwie. Tym razem przywództwo przejęła Traszka, gdy pojawiła się obok niej piękna młoda sarna, która bardzo chciała im pomóc. Tove przestała się sprzeciwiać. Kiedy czarownica jednoczy siły z naturą, nie można jej w tym przeszkadzać. Teraz przemierzały las już we trzy. Sarna prowadziła, czasem zbyt szybko znikając z oczu, ale Traszka przywoływała ją skutecznie. Często skręcały raptownie i przewracały się, co chwila grzęzły w błocie, ale pędziły jak wiatr, na złamanie karku, ze spódnicami podwiniętymi już tak wysoko, że jedna drugiej podglądała bieliznę. Kiedy głosy mężczyzn całkowicie zamilkły, sarna stanęła w miejscu. Dziewczęta ledwie zdążyły złapać oddech.

Doprowadziła je w miejsce, w którym rozpoczynał się mroczny, świerkowy las. Siostry miały wrażenie, jakby ktoś tuż przed nimi posadził niezliczone roje świerków. Bił z ich wnętrza chłód jeszcze mocniejszy niż ten, który dawało przemoczone ubranie. Obie wiedziały, że jeśli do niego wejdą to będą już bezpieczne. Tove jeszcze na chwilę rozłożyła ramiona i z otwartymi oczami patrzyła ku górze, na korony drzew, przez

które przebijał kolor ciemnego błękitu nieba. Krople spadały na jej twarz, wciekały w ciało wszystkimi możliwymi otworami, przywracając siły, oddech się uspokajał, puls wyrównywał. I chociaż Tove wiedziała, że krople nie dotrą do sedna serca, to wystawiała się na nie i nagle wszystko w jej głowie jaśniało i stawało się bardziej zrozumiałe.

-- Czy ona nas zostawiła? -- Traszka nie patrząc na siostrę, wypowiedziała słowa, które już dawno paliły jej język.

-- Tak. Uratowała swoją skórę, mając nadzieję, że nas złapią. Żadna z nas nie była w stanie tego przewidzieć.

Stały w milczeniu i wsłuchiwały się w skrzypiące gałęzie świerków. Drzewa, które miały przed sobą, rosły w niewielkich odległościach. Były ściśnięte jak ryby w ławicach. Konary wystawały z ziemi, przepychając się jeden o drugi. Wzmógł się lekki wiatr, który przepływał pomiędzy drzewami jak woda w rzece. Dziewczeta wsłuchiwały się w ten delikatny poszum, przeradzający się co jakiś czas w nieustanne zawodzenie, dzięki niemu gałęzie zaczynały opowiadać swoje własne historie. Trzeszczały, łamały się pod naporem, stukały jedna o drugą. Traszka zaczynała opadać z sił. Jej smutny wyraz twarzy i drżące ręce niepokoiły Tove.

-- Nie miałyśmy na to wpływu. To był jej wybór.

-- Ale to jest nasza siostra! Łączy nas krew, więzy z przodkami, ta sama matka i ojciec, ta sama historia i dom! Jak ona mogła? -- Traszka bez chwili namysłu zakryła twarz dłońmi, spod których wypływały słone łzy, zostawiające białe stróżki na zakurzonych policzkach. Tove złapała się za dół brzucha, poczuła nieznośny skurcz, przysiadła na chwilę na ziemi, zaciskając z bólu powieki. Traszka natychmiast przestała się mazać i przylgnęła do siostry, otaczając ją ramieniem.

-- Spokojnie, nic się nie dzieje, musimy odpocząć i zdjąć z siebie te mokre ubrania. Nie oceniaj Bachiry zbyt pochopnie, jej serce przepelnione jest zazdrością i czymś dziwnym, dla mnie zupełnie niepojętym. -- Tove dotknęła prawej łydki, natychmiast poczuła nieznośne pieczenie. Rany, które spowodował grot strzały, zdobiły jej nogę. Powinna je jak najszybciej przemyć i odkazić. Podwinęła suknię, halka była cała ubroczone krwią.

-- A kto nas ścigał? Co z naszą babcią? Powinnyśmy do niej wrócić, ona sobie sama nie poradzi!

-- Śmierć zawsze będzie zaglądała nam do oczu. Nie wiem, kim byli i po co przyjechali, ale skoro musiałyśmy uciekać, to znaczy, że nie byli dobrymi ludźmi. Wielokrotnie ktoś do nas przychodził, ale nikogo babcia się nie bała aż tak jak dziś. Bardziej zmartwiłaby się, gdybyśmy wróciły, aniżeli zostały w lesie. Na pewno nie wysłałaby nas tu bez konkretnej przyczyny. -- Tove znów przymknęła powieki. Dokuczał jej ból pochodzący z ran, jak i ten wydobywający się z dołu brzucha.

-- Słyszałaś!? -- Traszka natychmiast obejrzała się za siebie.

-- Tak. Jakby ktoś nadepnął na gałąź. Mogły to być zwierzęta albo ci mężczyźni są tuż za nami. Szybko! -- Tove natychmiast wstała z ziemi. -- Idziemy prosto w las!

Biegły, znów potykając się o falbany i własne nogi a nie było to łatwe, ponieważ las był tak gęsty, że wielokrotnie musiały zawracać z wcześniej wytyczonej ścieżki i szukać innej. Krople deszczu nie dosięgały najniższych partii lasu, osiadały na wysokich czubkach drzew, których splątane gałęzie formowały się w najróżniejsze kształty. Pochłaniały światło, oddając dziewczętom jedynie nieznośny chłód i mrok. Schładzały i tak już zimne powietrze. Nawet nie zauważyły, kiedy zastał je głęboki wieczór. Ich oczy przyzwyczyły się do ciemności. Szły teraz żwawym krokiem, ich nogi trzęsły się ze zmęczenia i zimna. Poczwały słabość w rękach i ciele, niedługo pewnie nie będą mogły ze zmęczenia podnieść głów

Tove przystanąła na chwilę. Jej zziębnięte ciało otuliła woń prastarego, rozkładającego się świerku. Zapach świdrował w nozdrzach i dawał chwilowe ukojenie. Znów usłyszała w głowie jakieś głosy, szepty, szmery, ale nie miała na nie sił. Prosiła, żeby dziś nie przychodziły do niej żadne cienie i mroczności. Wiedziona dziwnym instynktem i nieśmiałym wyobrażeniem o ciepłym i suchym łóżku doprowadziła Traszkę do niewielkiego miejsca, zadaszonego jedynie świerkowymi gałęziami. Drzewa rozsiane w kształcie okręgu, a w środku nich sucha, nieporośnięta krzewami ziemia.

-- To tu -- wskazała trzęsącą się z zimna ręką -- rozpalimy ognisko.

-- Ognisko? -- powtórzyła z niedowierzaniem siostra. -- A jak nas wyczują, zobaczą, co wtedy?

-- Jeśli nie rozpalimy ognia, to się rozchorujemy. Musimy wysuszyć ubrania i włosy, inaczej będzie nam trudno uciekać w tak szybkim tempie jak dziś. Nie mam siły na dalszą drogę.

Zrzuciła z pleców worek i wygrzebała z niego krzesiwo. Traszka w tym czasie szukała w miarę suchego drewna na opał. Kiedy już ułożyła je w dość pokaźny stosik, Tove wprawnym ruchem ręki rozpalila ogień. Roztrzęsione spojrzwały sobie głęboko w oczy, żadna z nich nie chciała wypowiedzieć ani słowa, dopóki ogień nie zajął całego paleniska. Kiedy poczuły na policzkach przyjemne ciepło, natychmiast rozebrały się do naga. Na gałęziach drzew porozwieszały mokre ubrania, bieliznę, halki, suknie. Tove wyciągnęła z plecaka cały dobytek, który niosła ze sobą, w tym niewielką emaliowaną miskę. Plecak położyła blisko ognia, a w miskę nabrała wody, która nazbierała się nieopodal w niewielkim zagłębieniu. Postawiła ją na rozżarzone gałęzie, dosypała suszu z czarnego bzu i jarzębiny, które w ostatniej chwili zabrała z kuchni zawinięte w płócienną szmatkę. Strzałę schowała za niewielkim kamieniem, który leżał tuż przy palenisku. Zastanawiała się, czy powiedzieć o niej siostrze, ale jednak wybrała milczenie. Kość z wędzonym mięsem podała najpierw Traszce, a ta, niewiele myśląc, zaczęła ją dość zachłannie obgryzać. Kiedy już zaspokoila pierwszy głód, oddała ją siostrze.

Wreszcie strudzone usiadły obok siebie, ogrzewając się własnym ciałem. Tove zdobyły jedynie amulety półksiężycy i dość niedawno nawleczonych kości. Całkiem naga Traszka podkuliła kolana pod brodę i patrzyła w ogień. Dopiero gdy siostra sięgnęła po wrzący napar, zobaczyła rany na jej nodze.

-- Jak to się stało?

-- Jak biegłyśmy, zraniłam się o cierniste krzewy... -- Natychmiast zasłoniła rany ręką.

-- Ale to nie wygląda jak zwykłe zadrapanie, raczej jakby ktoś pociął twoją nogę nożem, i do tego dość brutalnie! -- Traszka chciała opatrzyć sączące się krwią rany.

-- Zostaw! -- Tove warknęła jak pies i odsunęła się. -- Sama to zrobię.

-- Oj, już dobrze. Powiedz chociaż, czy boli? Bo wygląda paskudnie. Szkoda, że nie mamy liści babek, w tym lesie na pewno nie rosną, a nawet jeśli, to nie zobaczą ich w takiej ciemnicy.

-- Przecież sobie poradzę... Zaraz będziemy miały popiół z ogniska, poczekam, aż trochę przestygnie, i obsypię nim nogę, a teraz się przybliź, to będzie nam jeszcze cieplej. Tylko, proszę, nie dotykaj mojej łydki.

-- Tove wyciągnęła ją przed siebie i zaczęła opatrywać. Miały wrażenie, że ktoś je obserwuje. Niepewnie rozmawiały, cały czas szeptem.

-- Myślisz, myślisz, że babcia... nie żyje? -- Patrzyła w ogień, nie miała odwagi spojrzeć w oczy Tove. -- Umiesz rozmawiać ze zmarłymi? Przecież widzisz cienie, zbierasz kości, może coś ci powiedzą?

-- Nie wiem.

-- To zapytaj ich -- podniosła głos.

-- Ciszej bądź, bo jeszcze nas usłyszą.

-- Oj, przestań. Prędzej by nas zauważyli, aniżeli usłyszeli.

-- Masz rację. -- Tove zamknęła powieki i wystawiła policzki do ciepła bijącego od ognia.

-- I nie zmieniaj tematu -- kontynuowała Traszka. -- Zapytaj ich! -- Szturchnęła siostrę łokciem. Tove udawała, że nie słyszy. -- Och, przestań! Nie ignoruj mnie i zapytaj przodków, co z babcią! -- Tove otworzyła oczy, płomień ognia strzelił jej prosto w twarz, ale zdążyła zasłonić się rękoma.

-- Nie umiem.

-- Jak to: nie umiesz? Mówiłaś, że słyszysz ich głosy.

-- Ale one same do mnie przychodzą. Pojawiają się wtedy, kiedy chcą.

-- A próbowałaś kiedyś je przywołać?

-- Nie.

-- To skąd możesz wiedzieć, że nie przyjdą?

-- Ale nie wiem jak. -- Rozłożyła ręce w geście dezaprobaty i spojrzała na wysokie gałęzie drzew.

-- Wiesz, tylko się boisz. No już! Spróbuj! My nawet nie wiemy, przed kim uciekamy!

-- Skoro babcia kazała, to znaczy, że trzeba było, w tej kwestii akurat nie ma co dyskutować. Już same ich głosy nie były przyjemne. Brzmieli tak, jakby nie jedli nic przez cały dzień, ten agresywny ton i to gardłowe buczenie...

-- Może chcieli nas ugotować w kotle z gorącą smołą. -- Traszka zachichotała filuternie.

-- Albo chcieli zrobić z nas rosół -- dokończyła Tove. Obie zaśmiały się dość głośno, ale już po chwili jedna uciszała drugą. Obie patrzyły w ogień, wyciągając do niego zmarznięte stopy i ręce. Krępowała je nagłość. Co chwilę kulily się, obejmowały ciała ramionami, jakby każda z nich chciała przytulić samą siebie. Kątem oka obserwowały swoje pośladki, ręce, piersi. Ich kształty były prawie takie same, jednak Traszka była szczuplejsza od siostry.

-- A jak ty się czujesz? Jak twoje dziecko?

-- A jak mam się czuć? Na pewno gorzej od ciebie. Jestem czarownicą wygnaną z własnego domu przez bliżej mi nieznaną ludzi, a pod sercem noszę dziecko mężczyzny, który mnie wykorzystał i zostawił. Myślisz, że jak się czuję? Jak rozkwitający pąk róży? -- Wrzuciła do ognia kamień, który od dłuższej chwili trzymała w dłoni. Płomień podskoczył wysoko, jakby ktoś chciał je rozgonić i zagasić. -- Nie mamy domu, nie mamy babci, nie mamy nic. Nawet nie wiemy, dokąd powinniśmy iść, kto nas szuka i po co? Jesteśmy czarownicami, mamy nadprzyrodzone talenty, o których może nawet nie śniło się zwykłym ludziom, a tak naprawdę nie wiemy nic i nie możemy nic robić. Widzisz w tym jakiś głębszy sens? -- Rzuciła kolejnym kamieniem w ogień. Po co nam te wszystkie moce, skoro nie mogłyśmy nimi uratować babci, skoro nie mogłam przewidzieć, że będę miała bękarta i to jeszcze nie wiadomo z kim.

-- Nie mów tak! -- Traszka przyjęła bardzo poważny ton. -- To jest twoje dziecko, ono wszystko słyszy. Przecież nikt cię nie zgwałcił, sama tego chciałaś! Zakochałaś się tak mocno, jakby ktoś rzucił na ciebie ja-

kieś czary, byłaś dzień w dzień rozpalona, aż do nieprzytomności. Cały czas opowiadałaś tylko o tym mężczyźnie. Czy on mówił, że chce mieć z tobą dziecko, rodzinę?

-- Nie.

-- Sama siebie oszukiwałaś, siostrze! Zakochałaś się nie w tym człowieku, w którym powinnaś! I to nie jest twoja wina! Miłości podobno się nie wybiera.

-- Ale ja chciałam z nim być... -- Tove próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo jej ciało przebiegł skurcz zimna, który spowodował kichnięcie.

-- Proszę, pij. -- Siostra wyciągnęła misę z naparem w jej kierunku. -- Teraz nie możemy się rozchorować, nawet nie miałybyśmy się gdzie leczyć.

-- I co teraz zrobimy? -- zapytała Tove, raczej samą siebie, nie oczekując odpowiedzi. -- Nie wiem.

-- Zapytaj przodków!

-- Nie umiem, jestem zbyt mocno pochłonięta tym, co się teraz dzieje, rozumiesz? Nie umiem się na niczym skupić, mam rozbiegane myśli. Jestem zawitką. Mam wrażenie, że świat ze mnie zakpił. W jednej minucie zmieniło się wszystko. Ty powinnaś porozmawiać ze zwierzętami, może nas przed czymś ostrzegą. Może wiedzą coś, czego my nie wiemy. Ja nie mam sił wzywać przodków. -- Uśmiechnęła się z zakłopotaniem i sięgnęła po napar, zbliżając się niebezpiecznie do ognia. Policzki miała rozgrzane, a w oczach czuła suchy żar. Zaczynały ją szczypać, jakby ktoś nasypał w nie gorącego piasku.

-- Myślisz, że niektóre rzeczy w naszym życiu przeminęły już na zawsze? No wiesz, dom babci... Myślisz, że tam jeszcze wrócimy?

-- Nie wiem, siostrze -- odparła Tove. -- Jutro się nad tym zastanowimy. Nad przywołaniem przodków i twoją rozmową ze zwierzętami. Dziś musimy iść już spać, choćby na chwilę.

Dołożyły drewna do paleniska, założyły bieliznę, która już zdążyła się wysuszyć, i położyły się wtulone w siebie, na ziemi. Zanim zasnęły, słuchały odgłosów lasu, szmeru gałęzi poruszanych wiatrem, trzasku roz-

grzanych polan i nawoływań zwierząt. Każda z nich bardziej czuwała, niż spała. Przestraszone otwierały oczy, gdy tylko do ich uszu dobiegał choćby najmniejszy, nieznany dźwięk, jak chociażby ten przed chwilą przypominający dudnienie wydobywające się spod wody. Tove czasem budziła się targana jakimś dziwnym niepokojem, patrzyła na zanurzone w ciemnościach drzewa i gałęzie, były dosłownie wszędzie. Miała wrażenie, że w lesie nocą pojawiło się ich dużo więcej. Była zdziwiona, że potrafią tak nagle, licznie wyrosnąć, jak grzyby po deszczu. Noc jednak zawsze rządziła się własnymi prawami. To, co kolorowe za dnia, pod jej płachtą całkiem zniknęło albo przeradzało się w monstrualnych rozmiarów straszdyło. Tove już od dziecka wiedziała, że nie można bać się kształtów nocy, ten kto by się im zachłannie przyglądał jak gołym dziewczynom w karczmie, mógłby stracić i wzrok, i rozum.

Czasem wstawiała i gładziła Traszkę po włosach, przebierała pasmo po paśmie, zaplatając je między swoimi palcami. Dokładała drewna do ognia i myślała o tym, że w ogóle nie pożegnały się z babcią, bo nie było na to czasu. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić, a jedyny głos, jaki słyszała w głowie, odpowiadał: *urodzić*. Co do tego nie miała wątpliwości, chociaż różne myśli przez nią przechodziły, przepływały jak krople wody w strumieniu. Mogłaby ten płód spędzić, tak jak robiła to babcia, pomagając innym kobietom, które co jakiś czas do nich przychodziły, ale nie miała odwagi narażać się ceniom. Mogłoby im się to nie spodobać; babcia zawsze mówiła, że nie można ingerować w przeznaczenie, a skoro zaczynało już kiełkować w niej to ziarno, nie mogła sama ingerować w jego ścięcie.

Wczesnym rankiem, jeszcze pod osłoną nocy, wstały mocno zziębnięte. Ogień zdążył się już dopalić, rozgarnęły palenisko kijami, nie chciały rozniecać nowych płomieni. Kiedy przykryły chłód ciał ciepłymi, wysuszonymi ubraniami, zrobiło im się na chwilę przyjemniej. Wypełniły żołądki strawą, popijając ją naparem z igliwia.

Tove opatrzyła swoje rany, dyskretnie schowała strzałę pod falbany sukni. Tym razem miała czas bardziej przyłożyć się do tego zadania. Ostrze nie powinno już ranić jej nogi.

Traszka mocno wyteżala umysł, żeby rozmawiać ze zwierzętami, szukała wśród nich jakiejś, wskazówki czy porady. Dowiedziała się, że najbliższa wioska, w której mogłyby otrzymać schronienie, znajduje się trzy dni drogi stąd, a do domu babci nie powinny już zawracać. Więc wyruszyły, nie oglądając się za siebie. Babcia zawsze im powtarzała, że "ten, co patrzy na swoje plecy, jest jak pies, który goni swój ogon".

I tak szły niepewne każdej nadchodzącej godziny. Tylko noc i leśne zwierzęta były świadkami ich rozmów. Ruchy dziewcząt zaczęły nabierać płynności, oswajały się z nowym otoczeniem. Z każdym krokiem nogi niosły je same. Dookoła wirowały drzewa iglaste, rozpościerały potężne ramiona, trochę rozedrgane i chwiejne. Igły wbijały się w ciała dziewcząt, kłując je niemiłosiernie. Siostry na początku jeszcze starały się je wyciągać, ale później już nie zwracały na nie uwagi. Chodziły różnymi ciemnymi drogami i rozmawiały o różnych dziwnych sprawach. O tym, czy można zaklinać pioruny, ilu ludzi jest zamienionych w drzewa, najczęściej w dzikie jabłonie, które rodzą kwaśne owoce. Szły dłużej, niż przewidziały, noce nad ogniskami były głębokie jak studnie.

Podczas jednej z nich Tove zobaczyła między drzewami twarz Wilczana, oczy jej się zaszklily, policzki zarumieniły, a w łonie poczuła to przyjemne ukłucie, za którym tęskniła już od tyłu tygodni. Stał, patrzył w jej kierunku, wyciągając do niej ręce. Niewielki warkoczyk opadający na plecy drgał ruszany podmuchem wiatru, a łuk na jego plecach mienił się w blasku płomieni. Podbiegła natychmiast, rzucając się na niego jak dziecko na worek cukierków, ale zamiast mocnych, ciężkich ramion przywitał ją chłód ciemnej kory. Przez moment w jej głowie mignęło, że przybiegła nie tam, gdzie trzeba, więc nerwowo i w zupełnym popłochu zaczęła rozglądać się dookoła, a w jej oczach pojawił się błysk, jakim zaznaczone są źrenice szaleńców. Biegała od drzewa do drzewa, jak w obląkańczym tańcu, i widziała ukochanego dosłownie wszędzie. Traszka przyglądała się jej niepewnie, chwyciła ciało zajęcia, którego przed godziną sama przywołała, by go uśmiercić i uczynić z mięsa kolację. Grzebała w jego wnętrzościach, zalewając się krwią, którą nieumie-

jętnie wcześniej upuściły, i gdy już wymacała to, co chciała, podeszła do siostry i złapała ją brutalnie za ramiona:

-- Stój! Nie ruszaj się! -- Po twarzy Tove spływały jej krople potu. Połyskiwały w blasku ognia jak najszlachetniejszy kryształ. -- Jego tu nie ma, rozumiesz! -- Uderzyła ją w policzek, powtarzając: -- Nie ma i nie będzie! Tu go nie ma! To tylko wspomnienie!

-- Ale ja go widzę...

-- To nie on, sama rzucasz na siebie jakieś dziwne czary.

-- Ale ja nie umiem czarować, więc skąd...? -- Patrzyła pustym wzrokiem.

-- Oddałaś mu serce? -- Traszka zacisnęła zającą na tyle mocno, że stróżka krwi sączyła się z jego tylnych łap ciurkiem wprost na ziemię.

-- Całe. Każdej nocy rozkładałam przed nim swoje serce, a ono łomotało i szamotało się jak ptak więziony w klatce.

Siostra patrzyła na nią innym wzrokiem niż zwykle, nie było w nim troski ani żalu, tylko złość i to coś jeszcze, co nie pozwala obojętnie przejść obok takiego stworzenia. To coś potrafiłoby swoją mocą wzniecić ogromne fale na morzu i zawrócić ławice ryb. To coś było wewnętrzną mocą, która pojawia się w chwilach zagrożenia, niezgodą na zastaną rzeczywistość, zamieszkującą w kimś już od dnia narodzin po jego kres. Takiej mocy można się wyuczyć, obserwując tych, którzy posiadli jej dar i władają nim na co dzień.

-- Nie mogę już na to patrzeć. Trzymaj, weź to i wrzuć teraz do ognia. -- Traszka na otwartej dłoni podała siostrze jeszcze ciepłe, ociekające krwią, spętane tysiącami maleńkich żyłek serce królika.

Tove zakręciło się w głowie i ugięły nogi, ale nie pytała o nic więcej, tylko przechwyciła maleńkie serce i ścisnęła je w rękę z całą złością, jaką nosiła w sobie. Mięsień rozlał jej się pomiędzy palcami i taką rozgniecioną masę z impetem wrzuciła do ognia. Płomienie rozlały się gorącym ponad sklepieniem gałęzi, wirowały w tańcu, wtulając się jeden w drugi, aby już po chwili zniknąć na tle rozgwieżdżonego nieba.

-- I co teraz? -- Tove, trzymając się za dół brzucha, pustym wzrokiem patrzyła w palenisko.

-- A skąd ja mam wiedzieć?

-- Myśmy rzuciły teraz jakiś urok, czy to były czary? -- Tove podeszła do siostry i chwyciła ją mocno za rękę.

-- Nie wiem!! -- krzyknęła Traszka, rozcinając swoim głosem leśną wieczorną ciszę. -- Zrobiłam to, co podyktowało mi serce.

-- Ale jedno serce spaliłyśmy?

-- Daj spokój, nie myśl już o tym. Spalone to spalone, nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Idźmy spać. Nawet nie wiemy, jak mamy dojść tam, dokąd idziemy, jaką ścieżką, co będziemy jadły i kto po nas przyszedł. Nie wiemy niczego!

Piekły zająca w zadumie, a gdy już nasyciły się dość mdłym, bo nieprzyprawionym mięsem, znów pod osłoną nocy wtuliły się w siebie. Tym razem jednak zdjęły suknie, pozostawiając na sobie jedynie bieliznę i halki. Jedną z nich ułożyły pod głowami w coś na kształt poduszki, drugą przykryły swe zmęczone ciała.

Każdy ich sen był czuwaniem, ale gdy już któregoś z sióstr udało się choć na chwilę zamknąć powieki, pojawiały się w nich najróżniejsze sny. Widziały w sobie falujące jeziora i wezbrane wylewające rzeki, leśne zwierzęta zrzucające swe skóry jak węże, wysokie góry i strzeliste skały porośnięte jaskrem karłowatym, kosatką i lilią, rozgwieżdżone komety z ognistym czerwonym ogonem na tle czarnego nieba, wilki wyjące wprost do księżyca. Może przychodziły do nich właśnie takie, dziwne sny, bo szukały przeróżnych rozwiązań dla swojej sytuacji, a może właśnie w ten sposób wnikała w nie głęboka mądrość, która miała za zadanie wskrzesić to, co chciało obumrzeć?

Obudziły się tuż przed wschodem słońca, żar ogniska jeszcze się tlił. Nie dokładały drewna. Palenisko zasypały igliwem, ziemią i kamieniami. Pierwszy raz od kilku dni nie ubierały się w pośpiechu, nie czuły już na sobie niewidzialnego wzroku, który do tej pory czaił się za każdym krzewem i leśnym ostępem. Oparły się plecami o wiekowy świerk i jadły resztki pożywienia. Zmizerniały przez czas wędrówki, lęk i niepewność dały się we znaki. Tove miała pod oczami sińce, a Traszka narzekała na bóle w kościach. Rozmawiały jak zwykle o babci i zdradziec-

kiej siostrze, gdy nagle coś zaczęło poruszać się w zaroślach. Obie zmarły ze strachu.

Pierwsze, o czym pomyślały, to żeby uciekać, ale szelest był coraz głośniejszy i nie było już sensu zrywać się na równe nogi, gdy wtem cały strach uleciał jak chmury na wietrze, gdyż przed ich oczami ukazała się mała wiewiórka...

-- Ty zdradziecka gnido! -- Tove rzuciła się z rękami do zwierza, siostra w czas złapała ją za ramię, mówiąc:

-- Zostaw! Nie wiesz, czy to ona... Skąd masz pewność?

Tove głośno oddychała, marszcząc czoło w złowrogim grymasie. Wiewiórka odskoczyła na bok. Teraz już przyglądała się dziewczętom z bezpiecznej odległości.

-- Porozmawiaj z nią, to się dowiemy!

-- Nie chce ze mną rozmawiać, już próbowałam. -- Traszka podczołgała się trochę na kolanach, ukręciła kulkę z chleba i poturlała pod łapki wiewiórki. Ta rzuciła się na pokarm i obracając kulkę jak szyszkę w łapkach jadła na ich oczach.

-- Karmisz ją? Przecież to jest gnida! Tfu... -- Tove splunęła wprost na zamaskowane palenisko.

-- To jest zwierzę, bez względu na to, czy jest w niej nasza siostra, czy nie. Nie zapominaj, że ty też nim jesteś -- mówiła, związując włosy grubą nitką wyciągniętą z miejsca, w którym zaczynała pruć się jej suknia. Już po chwili mocny, ciemny warkocz zdołał jej plecy.

Jednak wiewiórka zaczęła nerwowo kręcić się wokół ich nóg. Tove ze złością próbowała ją przepędzić, raz nawet wymierzyła w nią mocnego kopniaka, ale na całe szczęście musnęła butem jedynie puchaty, ognisty ogon.

-- Nie rób jej tak! Ile ty masz lat? Zachowujesz się jak czteroletnie dziecko.

-- A ty mi nie mów, co mam robić! Już jej wybaczyłaś? Tak szybko zapomniałaś, co nam zrobiła?

-- Nie zapomniałam, ale powtarzam ci już któryś raz, że nie wiesz, czy to rzeczywiście ona.

-- Och, przestań! Przodkowie jej tego nie wybaczą! Nie wiem, kogo mi bardziej żal, żywych, tfu... -- znów splunęła w wygasłe palenisko -- czy umarłych tfu...! -- Powtórzyła czynność jeszcze cztery razy.

-- Przemawia przez ciebie jad i nic więcej. Zastanawia mnie, czemu ona tak się kręci nam pod nogami? -- Wiewiórka wyraźnie była czymś zaniepokojona, nie zwracała już uwagi na kulki chleba rzucone przez Traszkę, które zaczynały zbierać się w niewielkich rozmiarów kopczyk, przestępowała z łapki na łapkę, popiskując przy tym jak nowonarodzony szczeniaczek szukający sutków matki. Nagle zerwał się wiatr i rozdmuchał chleb we wszystkie strony. Dziewczęta spojrzały na siebie z niepokojem, a wiewiórka czmychnęła w zarośla. Zatrzymała się przy liściach paproci i patrzyła czarnymi jak węgiel oczkami.

-- Idźmy za nią. Czujesz ten wiatr? Czujesz ten dziwny zapach? Jakby ktoś palił metal w ogniu, jak opiłki żelaza.

-- Tak, uciekajmy stąd.

Schowały ostatnie rzeczy do worka i poszły za wiewiórką w las. Przechodziły przez wąwozy, by zaraz wspinać się po omszałych zboczach, a wiatr, gdy tylko udało mu się prześlizgnąć pomiędzy drzewami, chłostał ich twarze niczym bat. Tove coś kłuło pomiędzy mostkiem a wątrobą, cały czas przykładała palce w to miejsce. Dotyk koił ból na chwilę, aby zaraz potem wrócić ze zdwojoną mocą. Czasem przystawały przy drzewach, delikatnie odginały palcami korę i szeptały wprost w drewnianą duszę swoje życzenia, tym samym wprawiały w ruch jakieś pradawne, potężne moce, a z mocami to już tak jest, że jak kto w nie nie wierzy, to ich nie ma, a kto poświęci im serce i czas, ten nimi włada.

I znów szły cały dzień, i ze zmęczenia przysiadły na runie leśnym, szukały miejsc słonecznych, żeby choć przez chwilę móc wygrzewać twarz w promieniach. I kiedy tak siedziały na poszyciu, chciały przeniknąć las, wsłuchując się w jego szeleszczące opowieści, jakby zamieniały się w pachnące sosnowe szyszki, ściekały lepką żywicą z drzewa, a ciała wypuszczały maleńkie zielone pędy i liście. Aż przyszedł czas, kiedy stare drzewa zaczęły zagarniać całe światło, i nie było już w całym lesie widocznych promieni. Słońce schowało się gdzieś za horyzont, a las zda-

wał się nie mieć ni końca, ni początku. Dzisiejszego dnia nie wiedziały, czy idą na północ. Nie wyznaczały drogi, obserwując mech na korach drzew oraz spadzistość kopców mrowisk właśnie od tej strony. Szły za niegodziwym leśnym zwierzęciem, które co jakiś czas dostawało kuksańca od Tove, ale w końcu postanowiły, że już skończą z wędrówką i osiadły właśnie w tym miejscu.

Traszka odpoczywała w milczeniu, a Tove wybrała się na poszukiwania młodej pokrzywy, o tej porze roku można było śmiało zapchać nią pusty żołądek. Uszła zaledwie kilkanaście metrów, by już dostrzec dorodne, zielone skupisko. Rwała je zawzięcie przez rąbek sukni, drugą ręką trzymając falbany w coś na kształt worka, do którego je wkładała. Gdy już zebrała pokaźną ilość, zwabiona świeżym, soczystym zapachem liści malin, podeszła do krzewów z nadzieją, że zerwie kilka dorodnych, zielonych owoców, ale na próżno ich szukała, raniąc o cierniste łodygi ręce, o tej porze roku było dla nich jeszcze za wcześnie. Schyliła się niżej, kości amuletu zaszczękały, uderzając kością w kość. Tuż przy samej ziemi zauważyła niewielkich rozmiarów zawiniątko, coś na kształt małego bochenka chleba zawiniętego w płaty skóry. Dotknęła znalezi-ską ręką, ale odsunęła ją natychmiast, gdy poczuła woń spalonego mięsa. Odgarnęła ręką gałązki, gęsto pokryte kolcami, i utkwiała niepewnie wzrok w czymś, co z daleka przypominało dwa skrzące, błękitne kamienie. Spojrzała jeszcze uważniej, ale delikatna niebieska poświata zaczęła się rozlewać na boki i już nie przypominała szlachetnych kamieni, tylko brudny nurt rzeki. Te dwa skupiska zaczęły ją przyciągać na tyle skutecznie, że prawie całym ciałem weszła w maliny, niepokoił ją tylko ten dziwny zapach, który już teraz był bardziej smrodem niż jakkolwiek choćby najdziwniejszą wonią świata, i gdy już prawie miała te dziwne kamienie na wyciągnięcie ręki, coś mocno złapało ją za nadgarstek, dziewczyna poczuła okropny ból, jakby wnyki zaciskające na skórze.

-- Mam cię!

Ból na ściskanej dłoni przybrał na sile, Tove dopiero teraz spostrzegła, że jest w pułapce, krzyknęła z przerażenia.

Wypuściła rąbek sukni, rozsypując na ziemi zielone pokrzywy, i niewiele myśląc, ugryzła intruza w rękę. Poczowała w ustach słodką krew i gorzki smak ciepłej skóry. Mężczyzna syknął z bólu, dziewczyna się uwolniła i czym prędzej pobiegła w stronę siostry, usłyszała za sobą głośne uderzenie, jakby ktoś rzucił beczką pełną kapusty o ziemię, i wiankę przekleństw. Przestraszona potykała się o własne nogi, w jednej chwili przestała czuć głód, bardzo szybko wypełniła żołądek strachem o własne życie. Traszka zdążyła się zorientować, w jakim są położeniu.

Gdy ich wzrok spotkał się ze sobą, uciekały już obie, czując za plecami kwaśny oddech zbójców. Z sekundy na sekundę czuły przewagę. Tove zorientowała się, że już nie słychać za nimi grubego głosu mężczyzny o niebieskich oczach. Do jej uszu dobiegał tylko szelest, szmer i trzask łamanych gałęzi przez kogoś, kto bardzo zwinnie umiał poruszać się po leśnych ostępach.

-- W lewo, tam jest wiewiórka! -- krzyknęła przerażona Traszka.

Obie rzuciły się w tę stronę. Tove przystanęła schowana za urwiskiem skalnym i ledwo łapiąc oddech, próbowała go wyrównać tak, żeby nikt jej nie słyszał. Serce w klatce piersiowej łomotało jak ptak na uwiesi. Rozejrzała się dookoła z nadzieją, gdyż w lesie pojawił się mrok dużo szybciej, niż wskazywałoby na to zachodzące słońce a jak wiadomo, ciemność od wieków zawsze sprzyjała tym, którzy pragnęli się w niej ukryć. Gdzieś nieopodal w dole dojrzała bardzo wysokiego młodzieńca o włosach koloru pszenicy. Przez plecy miał przewieszony łuk i na pierwszy rzut oka nie wyglądał groźnie, ale poruszał się ze zwinnością lisa, przeskakiwał przez ogromne paprocie jak zając, a przez zwalone drzewa niczym rozpędzony wilk. Obserwowała go uważnie, co chwilę zerkając w stronę siostry, która całkowicie zniknęła jej z pola widzenia. Trochę ją ten fakt zaniepokoił, dlatego gdy upewniła się, że za młodzieńcem nikt nie idzie, ruszyła za nim, bezdźwięcznie niczym kot.

Ledwo za nim nadązała, chowając się za drzewa i ogromne kamienie, aż wreszcie ciemność zapanowała nad lasem i chłopiec zniknął. Tove stanęła zgarbiona pod wielkim dębem, bo im ciemniej robiło się w lesie, tym mocniej coś w nim hukalo i dudniło, jakby samej strzydze ktoś ła-

mał szpon za szponem. Usiadła więc przestraszona i samotna, płacząc cicho w rękaw sukni.

-- Nie rycz! -- Traszka wyskoczyła zza drzewa i usiadła obok Tove. Natychmiast położyła jej rękę na ustach, widząc, jak ta chce krzyknąć z radości. -- Ciii -- wyszeptała. -- On gdzieś tu jest. Jest z nim jeszcze taki mały, rudy grubasek, cały czas mówi, że go boli noga. Kiedy to się wszystko skończy? -- szepnęła bardziej do siebie. -- Czy my będziemy tak całe życie uciekać? -- Tove nie odpowiedziała, przytuliła ją do siebie na tyle mocno, że ta zaczęła się wyszarpywać z jej objęć. -- Puść, siostró, udusisz mnie zaraz! -- odsunęła od siebie jej rękę, całując ją w palce. -- Siedzmy tu bez zbędnych słów, może nas nie zauważą.



8.

Wprawiając w ruch pradawne moce

Przez chwilę wpatrywały się w ciemność, a każdy nocny odgłos przyprowadził je o nieprzyjemne dreszcze. Trzymały się za ręce, widząc jedynie ich delikatny zarys. Obie były głodne i zmęczone, bały się nawet wyciągnąć resztki jedzenia ze szmacianego plecaka, który udało się IM, tuż przed pogonią pochwycić w ostatnim momencie. Noc leżała nad nimi bezgwiezdna, ale nie mogły o tym wiedzieć, gdyż gałęzie i drzewa ściśle zasłaniały dostęp do nieboskłonu.

-- Szassst... -- Usłyszały nieprzyjemny dźwięk, jakby ktoś szybko machnął wierzbową gałązką w powietrzu. Obie natychmiast podniosły opadające ze zmęczenia głowy. -- Szassst... -- Coś świsnęło nad uchem Traszki, aż zadrżały pod jej nogami kamienie. -- Szassst, szassst... -- Ciężki od złej energii świst ciał nabrzmiałe od strachu powietrze.

-- Uciekajamy! -- krzyknęła Traszka, a kolejna strzała przecięła jej suknię.

Nie bacząc na nic, poderwały się na równe nogi i znowu zaczęły uciekać, potykając się o konary drzew. Widziały, że mężczyźni są tuż za nimi. Czuły zewsząd odór spoconych, brudnych ciał, ale już same nie wiedziały, czy pochodził od nich, czy od zbójców? Biegły przed siebie na oślep.

Czemu dopiero teraz się ujawnili, skoro kroczyli ich śladami już tyle czasu? Może chcieli je wykończyć zmęczeniem i głodem i właśnie dlatego obrali taką taktykę? -- Szassst... -- Dźwięki puszcanych strzał były coraz bliżej.

-- Nie dam rady! -- mamrotała Tove. -- Moja noga coraz mocniej do-
skwiera, uciekaj! -- dyszała nierówno, a pot spływał jej ze skroni. -- Za

mocno boli mnie brzuch, nie dam rady dalej. Jeżeli postawię jeszcze kilka kroków, to coś rozerwie mi podbrzusze, jakiś dziwny skurcz ciągnie mnie od pępka w dół! Proszę, choć ty się uratuj! -- Z pomocą Traszki dopełzła tam resztką sił. Poczowała wilgoć między udami. Od razu wsadziła rękę pod suknię, opuszki palców pokryły się ciepłą krwią. -- Nie dam rady, krwawię.

A Traszka wirowała wokół siostry, krzycząc na nią, próbowała pchać ją przed siebie, choć dobrze wiedziała, że nic tym nie wskóra. Oglądała się w lewo, w prawo, okręcała wokół własnej osi niczym wariatka w tańcu, próbowała dostrzec zbójców, ale było tak ciemno, że równie dobrze mogli stać kilka metrów od nich, śmiejąc się z ich bezsilności.

-- Przestań mnie popychać! To już koniec! Albo wezmą nas dwie, albo tylko mnie! -- krzyczała, nie bacząc na okoliczności. Tove była już tak zmęczona, że było jej wszystko jedno. Lecz nagle usłyszały, że ktoś szybko biegnie w ich stronę. Leśne runo szeleściło złowrogo, drzewa i gałęzie uginały się pod naporem czyich kroków.

-- Nic nie widać, są gdzieś tu, czuję to, strzelaj! -- Tove na dźwięk tych słów zamarła z przerażenia. Ten sam głos wygnał je z ich rodzinnego domu i ten sam czyhał na nią pośród liści malin. -- Strzelaj na oślepie! Jaromir, naprężaj łuk, póki mamy strzały!!

Po tych słowach rozległ się ostry świst przecinający powietrze. Strzały szybowały na oślepie, świszcząc niczym wiatr pomiędzy szparami okien. Traszka rzuciła się na Tove całym ciałem, jakby chciała schować ją przed tym złowrogim światem. Siostra nie miała sił ściągnąć jej z siebie, jej ciało przygniatało dziewczynie brzuch do ziemi. Skurcz rozerwał jej brzuch, poczuła, jak całe ciało zalewa ciepła krew, maż była dosłownie wszędzie, a Traszka leżała na niej niczym niewzruszona.

-- Zejdź ze mnie, siostró, zaraz się uduszę! -- wymamrotała przez łyżki, które zaczęły spływać z jej policzków. Płakała już tak głośno, łapczywie łapiąc powietrze, że mogłyby ją usłyszeć pramatki w zaświatach.

Mężczyźni czaili się tuż obok, znów czuła ten nieznośny swąd. W ostatniej chwili wypełzła spod Traszki. Dookoła było ciemno jak w najczarniejszych snach. Próbowała ocucić siostrę, uderzając w jej ciało

rękami, ale to, czego dotykała, nie było aksamitnym puchem pokrywającym ludzkie ciało, tylko raczej mieszanką jakiejś twardej psiej szczeciny z gęsim pierzem. Uderzyła w nią jeszcze kilka razy, chciała zaciągnąć ją ze sobą w inne miejsce, ale nie mogła znaleźć nawet kawałka jej sukni. Naraz usłyszała za sobą męskie głosy wyzywające wszystkie wszechświaty od kurew i czarcich psów, więc czołgając się po ziemi, przedostała się na drugą stronę kurhanu, gdzie znalazła głęboką szczelinę w pniu starego spróchniałego dębu, który od dawna leżał bez życiodajnych soków. Schowała się w jego wnętrzu wyściełanym mchem i pajęczynami, zastygła w bezruchu, prosząc wszystkie pramatki czarownice o szybką śmierć, a cienie, żeby wessały w siebie jej ostatni oddech.

-- I co? Widzisz coś? Kurwa, tu nic nie ma! -- Basowy, złowrogi głos rozniósł się po lesie.

-- Czuję zapach krwi, muszą gdzieś tu być, auaaa! -- Mężczyzna potknął się o wiekowy dąb, w którym ukrywała się Tove. Uderzenie było tak mocne, że dziewczyna ze strachu od razu złapała się za głowę, która natychmiast zaczęła ją boleć. Czuła się, jakby utkwiała wewnątrz rozegranego ogromnego dzwonu.

-- Norman! Coś tam leży! -- Ktoś podbiegł kilka metrów. Tove nie widziała przed sobą niczego oprócz ciemności. Strach przysłonił jej rozum, skuliła się wewnątrz i obgryzając paznokcie, nasłuchiwała słów i ciężkich kroków mężczyzn.

-- Musi gdzieś tu być! Przecież słyszeliśmy obaj, jak wyła z bólu!

-- No tak, tak, ale z czarcim pomiotem to sam wiesz, jak jest. Tak naprawdę nie wiesz, co w niej siedzi. O tam, tam jest!

-- I co, masz ją? Do licha, nic nie widzę.

-- Daj krzesiwa, Jaromir, trzymaj to... -- Już po chwili charakterystyczny stukot kamieni połączył się z zapachem palonej ściółki. Tove przestała się poruszać, była tak wystraszona i wycieńczona, że zapadła się w sobie. Czuła, jak pot i brud oblepiają jej ciało, a rozwichrzone włosy przyklejają się do policzków i czoła.

-- Sarna? To tylko sarna? -- Zdziwienie jednego ze zbójców przerozdziło się w złość. -- Do stu tysięcy piorunów! To niemożliwe!?

-- Niestety -- odrzekł jeden z nich. -- Tu nie ma nad czym się rozwodzić, trzy strzały w brzuchu. -- Młodzieniec oświetlał ciało zwierzęcia prowizoryczną pochodnią zrobioną ze spróchniałej gałęzi. Nad zielonymi oczami sarny rysowały się długie czarne rzęsy, a z nosa wydobywała delikatna para. Zwierzę, już prawie bez tchu, mrugnęło dwa razy powiekami.

-- Ale widziałem ją w krzewach malin! Nie mogła uciec daleko!

-- Widocznie mogła. Pamiętaj o tym, że to nie jest zwykły człowiek, tylko czarownica, a to truchło dobij, niech się nie męczy.

Jaromir natychmiast wyciągnął nóż z pochwy, podszedł do sarny od tyłu, jednym ruchem ręki chwycił ją za żuchwę, podnosząc łeb, i poderżnął gardło z taką wprawą, jakby robił to codziennie od stu lat. Krew obryzgała mężczyzn. Sarna nie zakwiliła, nie poruszyła nawet kopytkami, po prostu w jednej chwili opadła na ziemię, jakby duch opuścił jej ciało.

-- Co z nią? -- Norman kopnął zwierzę w brzuch.

-- Przestań! -- Jaromir stanął w jej obronie.

-- Toż to i tak już padlina, nie rozczulaj się tak, gówniarzu. Co z nią robimy? Pytam raz jeszcze.

-- A chce ci się tyle cielska dźwigać aż do obozowiska?

-- No ja nie dam rady, boli mnie noga, jest zwichnięta, więc bierzesz to na siebie.

-- A w życiu! Nie mam na to sił! Przecież będziemy wracać ze trzy dni!

-- No to zostaje tutaj. Zostawimy ją wilkom na pożarcie. Ech... tyle dobrego mięsa. -- Młodzieniec obszedł zwierzę dookoła, przyświecając pochodnią.

Z lasu dobiegały dziwne odgłosy, jęki i pohukiwania. Mężczyźni byli przyzwyczajeni do tego typu nocnych wędrówek i nie zrobiło to na nich wrażenia, natomiast Tove ukryta w konarze drzewa słyszała całą rozmowę, ale nie miała sił, by analizować każde usłyszane słowo. Ból brzucha i skroni przybierał na sile. Czuła, jak coś chodzi jej po policzku, a potem to samo coś poczuła na rękach i nogach. Zaczynały być ich tysiące.

Z trudem wytrzymała bez poruszenia. W zalegającej ciemnicy nie była w stanie dostrzec zupełnie niczego. Mogła się tylko zastanawiać, czy zainteresowały się nią pająki, mrówki czy zgoła inne owady. W głowie miała obraz przestraszonych oczu Traszki. Jeszcze czuła na sobie ciężar jej ciała. Chciała użyć całej swej mocy, żeby stąd wyjść i pobiec na jej poszukiwania, chciała krzyczeć, by ją do siebie wezwać, ale to były tylko myśli, które przepływały przez nią jak rzeka, ciało nie chciało się poruszyć, struny głosowe całkowicie wyschły. Chciała podnieść powieki, ale były ciężkie od porastającego ją mchu. Poczula w ustach gorzki smak liści, który na próżno próbowała wypluć, nie mogła już nic zrobić. Obrosły ją pnącza i bluszcz. Utulił mech i porosty, a ze stóp zaczęły wyrastać korzenie. Małe żyjątka zamieszkały w zagięciach skóry i fałdach brudnej sukni. Splątane włosy stały się domem dla maleńkich nornic i żmij. Czuła na sobie zapach zaschniętej krwi i znów usłyszała w sobie głos: *Rozlew krwi rozwściecza duchy zmarłych i przodków*. Najmniejszym ruchem ręki dotknęła wisiora z kości, poczuła, że dzięki tym słowom może zaglądać poza czas i przestrzeń.

Myślami wzywała imię Wilczana, prosiła go, żeby jej pomógł, obmył ciało z zaschniętej krwi, przyjął na swoje ręce dziecko, które w niej było albo już nie, żeby wyszarpał z niej tę potężną tęsknotę. Zaklinała chmury i gwiazdy na niebie, by nie widzieć go w sobie, ale w pewnym momencie była już tak zmęczona tym, co zobaczyła jej dusza, że zasnęła. I wtedy coś ciężkiego usiadło na jej płuca, coś mocnego ścisnęło za gardło i odgarnęło włosy, coś niewidzialnego dotknęło łagodnie niewielki zakrwawiony brzuch, otworzyło usta, wlewając w nią swój oddech, który zaczął wirować we wnętrzu jak trąba powietrzna. Zabierał ze sobą przeszłość, przynosząc w to miejsce przyszłość, szarpał niczym wiatr zboża przed burzą, a potem ten sam wirujący cień znów otworzył jej powieki.

Obudziła się nad ranem, gdy przez szczeliny pnia zaczęło wpadać słońce. Twarz dziewczyny usiana niewielkimi cętkami światła, rozpromieniła się na chwilę, a zastygłe kości chciały się wyprostować. Dziewczyna przypominała sobie o nocnym zajściu, więc przestraszona najpierw wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Jednak do jej

uszu dobiegały tylko ptasie śpiewy świadczące o tym, że słońce nadal wschodzi i za nic sobie ma jej ból i smutek.

Mozolnie i powoli wyczołgała się z pnia. Zastygła krew odpadała z jej ciała drobnymi płatkami, wyglądała jakby zrzucała skórę. Pogoda była piękna, w całym lesie sucho, promienie słońca przedzierały się przez gałęzie, kolory dojrzalej wiosny wirowały w powietrzu, przeplatane podmuchami raz zimnego, raz ciepłego wiatru. Myślała tylko o tym, żeby się umyć i znaleźć siostrę, wyglądała niczym zmora bagienna. Rozejrzała się badawczo dookoła, po zbójcach nie było ani śladu, nie zdążyła się złąknąć, gdy niepostrzeżenie z drzewa zeskoczyła na nią wiewiórka. Odbiła się od jej ramienia i zeskoczyła natychmiast na ziemię. Dziewczyna zdążyła ją przepędzić, ale zwierzę kręciło się niespokojnie, popiskując u jej nóg. Skakała w tę i z powrotem, z jednej nogi Tove na drugą, podgryzała ją w łydki, aż w końcu odpuściła i pobiegła w stronę miejsca ostatniego postoju zbójców.

Dziewczyna podwinęła suknię i podążyła za nią, a zaledwie kilka kroków dalej jej oczom ukazała się martwa sarna. Z trzech dziur na prawym boku nie sączyła się już krew. Rany były dość mocno rozszarpane, widocznie łucznicy długo i z trudem wyciągali z nich strzały. Ciało Tove przebiegł zimny dreszcz i ugięły się pod nią nogi; przecież te strzały były przeznaczone dla niej... Zamknęła na chwilę oczy, które zakryły się bielmem, pod powiekami zawirowała jej noc, podczas której spaliła sarnę, tylko ta leżąca przed nią pachniała inaczej, w powietrzu zamiast smrodu rozkładającej się padliny unosił się zapach szaławii, dziurawca i mocno wyczuwalnego geranium.

Podeszła bliżej do truchła i ukłękła, muchy nie zdążyły jeszcze złożyć w nim jaj. Poglądziła brązową sierść zwierzęcia, wyglądającą jak ciepły bursztyn, czarne kopytka i smukłe racice. Dotknęła również pyska i zawirowało jej w głowie, może ze wzruszenia, a może zmęczenia, spojrzała jej w oczy i natychmiast się odsunęła. Patrzyła w nie długo i nie mogła się nadziwić, dlaczego są zielone. Miały taki sam kolor jak jej, a przecież każda sarna ma oczy czarne jak ziemia.

Nie przerażały jej wnętrzności leżące dookoła głowy, chciała tylko zanurzyć się w spojrzeniu tych przedziwnych źrenic, które hipnotyzowały ją coraz bardziej, więc podchodziła bliżej i bliżej, aż w końcu w ich blasku zobaczyła szmaragdową toń jeziora, w której ciepłym latem beztroško kąpały się z siostrami, poczuła zapach zsiadłego mleka i słodycz kartofli wyciąganych wprost z ognia, zapach truskawek zrywanych z grządki, świeżych ogórków oprószonych piaskiem, smaki agrestu i porzeczek. Widziała delikatne dłonie Traszki, które rozczesują jej skołtunione włosy i piorą lniane suknie, przysła do niej również krucha postać siedząca na ogromnym kamieniu, otoczona z każdej strony wróblami, sikorkami, gołębiami, ptactwem przeróżnego rodzaju i gatunku.

Tove trzymała się tych obrazów, wypełniały ją szczerze nieopisanym spokojem i bezpieczeństwem. Zdrętwiała jej ręka, więc przeniosła ją w inne miejsce, podłożyła prawie pod zwierzęce kopyto i naraz poczuła w jej wnętrzu zimne ukłucie. Ból podobny do użądlenia przez osę wypełnił cały nadgarstek, podniosła rękę i zobaczyła, że na ziemi leży medalion Traszki. Czarny, okrągły obsydian, o dość nierównomiernym kształcie, był pęknięty, a z jego wnętrza zaczęła unosić się niewielka smuga dymu jak z pogorzeliśka.

-- Nie, to nie możliwe! Nie, nieee! -- Tove chwyciła go w rękę, a potem przyłożyła do martwych, zielonkawych sarnich oczu. -- Niecee! -- Wściekły ryk dziewczyny przeciął powietrze. Przeszedł ją lodowaty chłód, czuła się tak, jakby wpadła do zimowego przerębla.

Chwyciła w dłonie pysk sarny, potrząsała nim to w lewo, to w prawo, przykładając swoje czoło do zwierzęcych oczu, zbierała łzy z policzków i namaszczała nimi głowę sarny, wcierała niczym wonne, święte olejki. Próbowwała podnieść martwe ciało, ale było zbyt ciężkie, myślała o tym, żeby ją spalić. Gdy znów oczy zaczynały zachodzić jej bielmem, widziała w sobie ogromny płonący ogień, który szeptał tysiącem niezrozumiałych słów. Jej oczy, choć były jasne, przybrały odcień szalejącej burzy, rozgrywał się w nich prawdziwy dramat, którego nie potrafiła oddać żadnymi słowami. Krzyczała tak głośno, że aż krew wrzała jej w żyłach. Kiedy przytulała się do sarny, kości amuletu zdobiącego jej szyję zaczynały

podskakiwać. Tove próbowała je uspokoić, kładąc na nich swoją rękę, ale nie przynosiło to zamierzonego skutku, bowiem w kościach ludzkich czy zwierzęcych nadal żyją duchy zmarłych, a te pilnują innych dusz i wyrwywają się ku nim, jeśli czują, że nie zostały odpowiednio pożegnane.

Zauważyła też na gałęzi w oddali znieruchomiałą wiewiórkę. Zwierzę, niczym nieporuszone, oglądało całe zdarzenie z wysokości, aż w końcu drgnęło, uciekając przed deszczem kamieni.

-- Ty łajzo piekielna! Co z nią zrobiłaś, jak mogłaś? Jak?! -- Tove co chwilę schylała się ku ziemi w poszukiwaniu większych kamieni, którymi mierzyła w swój cel. -- Jak ci nie wstyd? Najpierw nas zostawiłaś, a teraz co? Zamieniłaś ją w sarnę? Siedzisz tam i patrzysz, przemień się na powrót! I stań tu przede mną! -- Wiewiórka zgrabnie przeskoczyła na wyższą gałąź. -- Czy widzisz, jak wyglądam? Chciałaś tego dla nas? Żebyśmy trafiły w ręce zbójców? Byłyśmy twoimi siostrami, ale już nie jesteśmy! Wynoś się stąd! -- Krzyk zamienił się w głęboki dźwięk dzwonów. - - Wyyynoś się stąd! -- Kątem oka zauważyła szary cień. Na początku myślała, że to rzuca go drzewo albo ptak, ale plama była coraz bliżej i bliżej. Znow zaczęła krzyczeć: -- Nie zabierajcie mi jej! Nie teraz, gdy zostałam zupełnie sama! Jestem krwią wszystkich pokoleń czarownic, kością z kości, materią najczystsza, nie podchodź! -- Tove zachowywała się, jakby postradała zmysły, w jej oczach czaiło się zło, kiedy wyciągnęła rękę ku cieniowi. Plama zatrzymała się, falując niczym gałęzie na wietrze. Dziewczyna znow spojrzała w kierunku wiewiórki. -- Przeklinam cię, siło nieczysta! Nie jesteś moją siostrą i nigdy nią nie byłaś! -- Wokół ust Tove pojawiła się biała piana, a na jej skronie wystąpił pot; karminowe spierzchnięte usta pękły, zaczęła sączyć się krew. Dziewczyna wyglądała jak nocna zmora, jej rozwścieczony głos było słychać w najdalszych zakątkach lasu. Zaczęła charczeć, jak zwierzę, uklękła przy sarnie i włożyła obsydian w dziurę pozostawioną po strzale, w dwóch pozostałych umieszciała wskazujące palce dłoni. Uderzała głową o tułów sarny jak ryba wyciągnięta z wody, cały czas krzycząc: "nie!", "nie!", "nie!".

Ale Prząśniczki, które plotły życia ludzkie i czarownicze, już kręciły na wrzecionie duszę sarny, a cień nie podszedł bliżej aniżeli do miejsca,

w którym zatrzymała go Tove.

Dziewczynę obudził dziwny dreszcz, który przeszedł po jej karku. Twarz miała zamkniętą i nieruchomą. Cień zniknął, podobnie jak wieiórka. Obejrzała się kilka razy dookoła. Była sama, a z każdej strony dopadała jej uszu wszędobylska, nieznośna cisza. Nie było słycać śpiewu ptaków, wiatru grającego na konarach drzew, słońce również świeciło niepewnie, jakby specjalnie przeganiane przez chmury promienie pojawiały się tylko po to, żeby zaraz zniknąć. Oczy Tove były zupełnie suche i jakby nieobecne.

Myślała o tym, żeby natychmiast spalić siostrę, ale czuła się tak potwornie brudna i śmierdząca, że postanowiła najpierw wyruszyć na krótkie poszukiwanie wody. Przypomniało jej się, że nieopodal miejsca, w którym zbierała maliny, widziała bardzo mokre podłoże wyglądające jak źródła rzeki.

Długo szła mokrymi ścieżkami i było jej wszystko jedno, czy zastanie ją noc w lesie, czy zdąży się umyć za dnia. Wiedziała tylko jedno: musi się spieszyć, gdyż leśne zwierzęta bardzo szybko zwietrzą padlinę i nie będą czekały z jej rozszarpaniem na powrót Tove. Mijała stare dęby, spróchniałe pnie, ogromne głązy porośnięte mchem, nie czuła niczego prócz bólu, który ulokował swoje miejsce pomiędzy żebrami i rozsadał jej klatkę piersiową. Szła bezwiednie, jak zahipnotyzowana, ciągnęła za sobą swoje cierpienia i cienie, aż w końcu poczuła na twarzy chłodną bryzę, która przyniosła chwilowe ukojenie.

Stała nad brzegiem leśnego oczka wodnego. Niewielka ważka o skrzących się skrzydłach przysiadła jej na ramieniu, ale Tove nawet na nią nie spojrzała. Machnęła ręką, żeby odgonić kilka latających przy twarzy komarów, zdjęła buty, podeszła do bujnie porastającej brzegi zielonkawo-sinej turzycy, uklękła na niej i błyskawicznie sięgnęła po wodę. Piła łapczywie, nabierając ją w koszyczek zrobiony z obydwu dłoni, raz za razem ochlapywała policzki i przecierała spocone czoło. Kiedy już ugasila pragnienie i uspokoiła oddech, zobaczyła odbitą w tafli wody twarz..., ale to nie były jej rysy. Zdążyła tylko przeraźliwie głośno krzyk-

nąc "nieee!", przeciągając nad wyraz mocno głoski i zapadła się w ciemną, czarną otchłań, w której ogarnęła ją z każdej strony cisza. Piękna, dobra, obezwładniająca cisza.



9.

Bałabuch

Obudził ją zapach gotowanej kaszy, świeżego prania wysuszonego wprost na słońcu, dymu ognisk i czegoś jeszcze. Zapach wirował w nozdrzach i nie chciał zniknąć tak szybko jak pozostałe. Woń zwierzęcych, mokrych skór nacieranych tłuszczem przyprawiał o mdłości. Podniosła głowę i zobaczyła, że leży na czystym sienniku w świeżo wysprzątaney izbie, gdzieś w tle majaczył obraz bardzo grubej kobiety, głośno stukającej drewnianymi chochlami w metalowe miski i garnki. Była biednie ubrana, ale nad wyraz schludnie. Troje małych dzieci przebiegło z głośnym impetem, kłócili się między sobą, ale gdy spostrzegli Tove, schowali się za ścianę oddzielającą pomieszczenia i patrzyli na dziewczynę. Tove wyciągnęła rękę wprost przed swoje oczy, o dziwo, miała czyste paznokcie, a na sobie za dużą niebieską koszulę. Zakręciło jej się w głowie i wymiotowała wielkim haustem żółci na podłogę.

-- Ooo, masz ci los! -- Gruba kobieta, kołysząc na boki biodrami, podszła i wytarła jej usta mokrą szmatką, a potem tym samym gałganikiem zaczęła wycierać kamienną podłogę. Przyniosła zimnej wody, odchyliła dziewczynie głowę i kazała pić.

-- Pij, pij, będziesz kraśniejsza. -- Woda spływała po brodzie i szyi. Tove nie miała sił, by stawiać opór. Dzieci obserwowały całe zamieszanie w nieznanym im dotąd skupieniu.

-- Moja siostra... -- wyszeptała, kiedy po chwili już wrócił do niej rozum. -- Tam jest moja siostra... -- Pokazała ręką na okno, za którym kołysały się drzewa.

Ale gospodyni już nie słyszała, wróciła do swych spraw i zajęta przyrządzaniem strawy, odwrócona do niej plecami, znów mieszała w ga-

rach.

Tove opadła na posłanie. Mieszały się w niej sny z obrazami rzeczywistych zdarzeń. Szybujące strzały nad buchającym ogniem, głos babci i dziecięcy płacz. Gdy usłyszała w sobie ten ostatni, sięgnęła ręką do podbrzusza, było miękkie i aksamitne, jak włoski porastające liście pomidorów. Dotknęła krocza -- suche. *Jesteś we mnie jeszcze?* -- zapytała samą siebie, chcąc usłyszeć głos własnego dziecka, ale usłyszała zbliżające się ku niej kroki. Mocny, potężny stukot, który mieszał się z zapachem wapna, jakim babcia malowała drzewa owocowe na zimę.

Mężczyzna pochylił się nad nią i dotknął ręką jej czoła, pachniał popiołem. W tej samej chwili Tove otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą tę samą twarz, która jeszcze przed chwilą odbijała się w tafli wody.

-- Nie bój się. Kim jesteś? -- rzekł stanowczym, lecz dość piskliwym jak na mężczyznę głosem. Był średniego wzrostu, o szczupłej budowie ciała, na twarzy rysowała się sieć zmarszczek, jakby ktoś go pociął nożem.

-- Wolmirze! Dałbyś dziewczynie spokój! -- Przy łożu pojawiła się gospodyni, znów odchyliła jej głowę do tyłu, ale tym razem wlała w jej usta ciepły rosół.

-- Jeszcze... -- poprosiła dziewczyna, przełykając ostatnie krople.

-- Już, już, moja kochana, już polewam -- odpowiedziała słodko -
- A tobie mówiłam, żebyś dziś dał jej spokój. Nie widzisz, w jakim jest stanie? -- Postukała się palcem w czoło, patrząc w kierunku mężczyzny. Odwróciła się i podeszła znów do kuchenki, nucąc:

Czy kto widział młode jagnię

Baby jagnię,

Jagi baby -- Baba Jagi,

Czy widział kto bladożółty

Kościec dawny, amuletu wyrzeźbiony rdzawy kurz,

A tu nagle, jak po diable,

Zamęt wielki, bo z panienki

Pozostanie jagnię złote

Jak na kopcu śmierci nóż.

*Czy widział kto młodą Jagę
Babę Jagę, jak pod spichrzem
Chłepce miód.*

*Przyszła do mnie wycieńczona, nagusieńka,
Odegnalam śmierci chłód.
Teraz dług ma rubinowy,
A w jej sukni długi nóż.*

-- Moja suknia! -- Przypomniała sobie Tove. -- Suknia... Siostra... Ja muszę iść! -- Wskazała głową w kierunku okna. Podparła się na przedramionach i już miała wstać, ale Wolmir przytrzymał ją za ramię. Miał spracowane, potężne dłonie, dość smukłe palce, prawie czarne paznokcie i opuszki. Wyglądały, jakby wyjął je wprost z sadzy.

Obecność gospodyni sprawiała, że Tove czuła się w miarę bezpiecznie. Wolmir patrzył na nią spokojnie. W młodości musiał mieć bardzo ciemne oczy, a teraz, gdy promienie słońca padały na jego twarz, zdawało się, że blakną, przyjmując odcień szarości.

-- Co cię tu przyгнаło, w nasze strony? -- zapytał stanowczo.

Tove, nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczała.

-- Przecież to Jaga widać z daleka -- rzuciła znad kuchni gospodyni.

-- I co? Teraz nasze krowy przestaną mleko dawać, a kury znosić jajka? -- odparł z przekąsem. -- Rzuci na nas urok albo i co gorszego?

-- Nie, mój drogi, teraz to wspólnie mamy do wypełnienia jakiegoś posłannictwa. Wiedzmy nie zjawiają się ot tak, bez powodu, nawet jeśli jeszcze teraz nie wiemy jakiego. -- Gospodyni odgarnęła kołdrę z dziewczyny, chcąc opatrzyć jej rany na nogach. Tove poczuła zimny podmuch powietrza otaczający jej ciało od pasa w dół.

-- Gdzie są moje rzeczy?

-- Wszystko jest, jak należy, ileś ty krwi na sobie przyniosła! -- Gospodyni wyciągnęła z wielkiego kufra srebrną strzałę, szmaciany worek, w którym dziewczyna miała cały swój dobytek: wisior z półksiężycem i amulet z kości.

Tove natychmiast założyła naszyjniki, a ledwo dotknęły jej skóry, dziewczyna zyskała nową siłę. Usiadła na łóżku, opierając plecy o zimną

ścianę, i patrzyła to na dzieci, które nie mogły już wytrzymać w cichym skupieniu, obserwując całe zdarzenie, to na chłopca. Gdy tylko przenosiła wzrok na maluchy, chichotały, chowając się za siebie, w końcu dostały od matki po pszennej bułce i czmychnęły z domu, a gospodyni cały czas krzątała się, podśpiewując: *Czy widział kto młodą Jagę, Babę Jagę, jak pod spichrzem chłopce miód.*

-- Mów -- nalegał mężczyzna, pomimo upominań żony -- czyją krew z ciebie zmyła? Ktoś cię skrzywdził?

-- Nie. To krew zabitego zwierzęcia, gonili nas zbójcy, byłam z siostrą i muszę po nią wrócić. Dziękuję za pomoc, muszę już iść. -- Stała gołymi nogami na podłodze, ale zastąpili jej drogę. Kobieta trzymała ręce na biodrach i ani drgnęła, mówiąc:

-- Chcemy ci pomóc, ale nie wiemy jak.

-- Ja sama nie wiem, jak mam sobie pomóc... -- odparła. Zobaczyła swoją suknię suszącą się na oparciu krzesła. Ominęła kobietę i chwyciła materiał w dłonie. Była czysta, ale podarta w wielu miejscach, niektórych plam nie dało się usunąć.

-- Nie możesz w tym chodzić, musisz wyglądać jak zwykły śmiertelnik. -- Gospodyni wyrwała jej suknię z rąk.

-- Ale ja jestem zwykłym śmiertelnikiem...

-- Jak wyjdiesz w tych wisiorach i sukni na dwór, od razu przyciągniesz ludzkie spojrzenia. Może tam, skąd pochodzisz, to było normalne, ale nie tu.

Tove zastanawiała się nad tym przez chwilę i przyznała jej rację. I tak nie miała dokąd wracać, ani pojęcia, dokąd dalej iść. Gospodyni wyciągnęła z szafy zieloną suknię, była zupełnie prosta bez zbędnych zdobień. Ciemnozielony kolor swą głębią przypominał wyściełaną mchem dziuplę w drzewie.

-- Załóż ją, amulety schowaj pod materiał, jak widzisz, jest wysoko szyta, wszystkie bezpiecznie zasłoni.

-- Dlaczego mi pomagasz? -- spytała speszona.

-- Kiedyś ktoś pomógł mi, mam dług do oddania, lepiej mi się będzie żyło, wiedząc, że już go spłaciłam. A co z twoją siostrą? Jest w lesie?

-- Tak, muszę do niej iść.

-- Wolmirrr! -- krzyknęła do męża, który dokądś wyszedł. -- Pójdiesz z dziewczyną!!!

-- Nie. Ja sobie poradzę sama, mnie nikt nie jest potrzebny -- odparła oschle, schowana za szafę, gdzie pospiesznie wkładała ubranie. Od razu zauważyła, że z dość muskularnych ud i łydek przez tych kilka dni zrobiły jej się patyczki, tylko piersi nadal miała krągłe i duże, zdało się, że są jeszcze większe niż przed pogonią. Dotknęła brzucha, ale niczego w nim nie czuła.

Wyszli na dwór, ich twarze dotknęły ciepłe promienie słońca, a Tove poczuła zapach dobrze wysuszonego zeszłorocznego siana. Przypomniał jej o miłosnych schadzках z Wilczanem, naraz poczuła zapach jego spoczonej skóry i ciepło bijące z podbrzusza. Znów zakuło ją serce. Szli dość żwawo brukowaną drogą, a wirujący w nozdrzach zapach się nasilał. Tegoroczne łąki jeszcze nie zaczęły się kłosić, ale lato nadchodziło już wielkimi krokami. Do uszu Tove dobiegł ludzki gwar, który do tej pory tłumiony był kamiennymi ścianami domu. Płacze i wrzaski dzieci, stukot chodaków o bruk, śmiechy, krzyki, pogwizdywania, rżenie koni, gdakanie kur. Całe to wiejskie życie, które widywała tylko od czasu do czasu, żyjąc z babcią na uboczu, było dla niej jednym wielki hałasem. Nie przywykła do takiego gwaru, ale nie obchodziło ją to zbytnio. Teraz chciała tylko znaleźć siostrę.

Dziewczyna patrzyła na mężczyznę z ukosa. Wyciągnął papierowego lulka z metalowego pojemniczka trzymanego w kieszeniach spodni, zwinnym ruchem ręki podpałił go, ciosając kamień o kamień, i podał dziewczynie:

-- Chcesz?

-- Nie.

-- To zwykły tytoń. -- Mężczyzna zmierzył dziewczynę wzrokiem. -- Ładna jesteś -- dodał, a Tove objęła się ramionami, jakby chciała schować w nich samą siebie. -- Nie boisz się tak sama podróżować? Już nie patrz tak złowrogo, przecież nic ci nie zrobię! -- Znów zaciągnął się lulkiem. Tove nadal milczała.

-- Jak chcesz tu zostać, to musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie. Mogłybyś piastować dzieci, kucharyć w oberży albo tkać krosna, ręk do pracy potrzeba jak w każdej wiosce, ale nie baw się ziołami, bo już tu taka jedna była i choć stara i brzydka, to ją ludzie przegonili. -- Znów zaciągnął się lulkiem. Tove pomyślała, że zapach tytoniu jest nawet przyjemny. -- Przyszła Szajka Laabana i przegonili ją na cztery wiatry, nie wiem nawet, czy nie ubili staruchy, bo zniknęła. U nas nie będziesz mogła długo mieszkać, bo ludzie zaczną gadać, a moja stara ma jakiś sentyment do różnego rodzaju guseł i przepowiedni, jej babka ponoć była wielką znachorką, ale odkąd pojawili się zbójcy polujący na czarownice, to przestała o niej mówić, a teraz ciebie do domu przyniosłem. Odpowiedz mi coś, czy będę gadał sam do siebie?

-- Nie wiem, czy mogę ci ufać -- wyszeptwała.

-- Uf, uf... -- zakpił i wypuścił w jej kierunku kilka chmur dymu. -- Gdybyśmy mieli ci wyrządzić krzywdę, już dawno byśmy to zrobili. -- Zacharczał i splunął do rowu, a dziewczyną aż wstrząsnęło z obrzydzenia. Nie przywykła do takich zachowań, w jej domu mieszkały tylko kobiety.

Po jakimś czasie szli już w milczeniu, bo Tove nie była rozmowna. Zauważył, że gdy weszli do lasu, dziewczyna nabrała wigoru i szła tak pewnie, jakby jaki duch jej drogę wskazywał. Po drodze mijali marzanek wodną, pszeniec gajowy i łubin. Las zaczynał pachnieć prawdziwym latem, ale w sercu Tove nadal była zima. Szli jeszcze kilka dobrych chwil, mijając zielone zagajniki, a mężczyzna ledwo nadążał za Tove, gdy wreszcie z jej ust padło:

-- Jest! Tam!

Chwyła suknię w dłonie, podtrzymując na wysokości kolan, pobiegła, nie bacząc na jego zdziwioną minę. Nad padliną unosiły się roje much. Tove w pierwszym odruchu zasłoniła nos ręką, truchło zaczynało się rozkładać. Uklękła i jęła wyciągać larwy much z sarnich oczu. Były jeszcze bardzo malutkie, owady nie zdążyły się zadomowić. Zaszła krew wydawała nieprzyjemny zapach, ogon i zad były lekko rozszarpane, widocznie leśna zwierzyna już zwietrzyła pożywne znalezisko.

-- Co to jest? Ależ tu śmierdzi! -- Obszedł padlinę dookoła, zasłaniając nos rękawem.

-- Muszę ją spalić -- rzekła dziewczyna, głaszcząc tułów sarny.

-- Oszalałaś? Gdzie chcesz to zrobić? Tutaj? -- Spojrzał na nią, pukając wymownie palcem w czoło. -- Będzie śmierdziało jeszcze gorzej niż teraz, cała wioska się tu zejdzie. Może ta twoja siostra ukrywa się gdzieś w lesie, poszukajmy jej lepiej, toż to jest zwykła padlina!

Ostatnie słowo prawie wykrzyczał, ale Tove nie zwracała na niego uwagi. Zajęta odganianiem robactwa myślała tylko o tym, żeby godnie pochować Traszkę. Po pewnym czasie zaczęła zbierać chrust, chodziła po lesie niczym otumaniona, mężczyzna biegał za nią i próbował przekonywać do innych pomysłów, ale bezskutecznie.

-- Ściągniesz na nas złe ludzkie spojrzenia! Będą gadać we wsi jeden przez drugiego, z tego zrobią się poważne kłopoty! -- Zastąpił jej drogę swoim ciałem. -- Poza tym to jest tylko zwierzę, człowiek nie może zamienić się w sarnę! Postradałaś zmysły?

-- Człowiek to też zwierzę, nie sądzisz? W czym niby jesteśmy od nich lepsi? Tak samo jak one żyjesz, jesz, wydalasz i walczysz o przetrwanie, a jak chcesz, to możesz i na czworakach biegać po lesie! Zejdź mi z drogi! Ścieżki takich jak ja -- wskazała na siebie palcem -- tylko na chwilę przecinają się z takimi jak ty.

-- Uratowałem cię, więc nie myśl tylko o sobie. Trochę szacunku mi się chyba należy. Jak cię na rękach zemdloną niosłem, taka pyskata nie byłaś. Mam dom i dzieci -- uderzył się dwa razy pięścią w pierś -- jak mnie oskarżą o czary, to cała rodzina zginie. Jestem tu tylko dla mojej starej i przez te jej durne zabobony. -- Płowłosy mężczyzna złapał Tove za ramiona i znów zatrzymał, ciężko dysząc. Patrzyła na niego prawie nieprzytomnie, przez chwilę trwała w milczeniu, jakby się nad czymś zastanawiała, aż w końcu rzekła:

-- Mów, jaki masz inny pomysł.

-- Możemy ją zagrzebać w ziemi, wtedy nikt niczego nie zauważy.

-- Wilki ją wykopią.

-- Zrobię dół tak głęboki, że aż korzenie sosen będzie widać.

-- Dla nich to nie stanowi żadnej przeszkody. -- Trwała zaciekle przy swoim.

-- To wrzucimy ją do jeziora albo do starej studni, która jest w środku lasu. Nikt z niej wody nie czerpie, jest przeklęta.

-- Żeby napuchła i jeszcze szybciej zgniła? Wtedy już nawet zwierzęta nie będą miały z niej pożytku, będzie tylko smród. -- Kości amuletu schowane pod suknią zagrały, ocierając się o siebie. Dźwięk był tak donośny, że mężczyzna ze strachu odsunął się od Tove.

-- Kim ty jesteś? Szatanicą, czarownicą, zmorą?

-- Piastunką kości.

-- Co ty pieprzysz, dziewczyno, ściągniesz na nas nie lada nieszczęście! -- Pogroził jej palcem. Co z tym truchłem? Co z tym zrobić? -- Podał się po głowie i przez chwilę wyglądał jak półrozumny człowiek, ale to było tylko złudzenie; na dnie człowieczej skorupy nosił wrażliwe serce. -- Na czarach się nie znam, ale nic na tym świecie nie jest takie, jakie być powinno, a że cię nie rozumiem, to nie znaczy, że mam nie pomóc. Ani jej nie zakopiemy, ani nie spalimy, ani zimna woda jej nie zabierze. Twoja siostra pewnie gdzieś się schowała, a jeśli tak ci na tej sarnie zależy, to chodź. -- Pociągnął ją mocno za rękę, a sam z wielkim trudem podniósł truchło z ziemi.

Sarna była nader ciężka, podnosił ją na trzy razy, zanim udało mu się przewiesić ją sobie przez barki. Śmierzące flaki zwisające z poderżniętej szyi dziewczyna na powrót wsadziła, gdzie ich miejsce. Chwytał zwisające z ramion dwa kopyta w prawą rękę, pozostałe w lewą i ruszyli przez las, a chmara leśnych owadów krążyła nad nimi jak pszczoły nad ulem.

Szli długo albo i krótko, trudno było ten czas zmierzyć, aż w końcu do ich nozdrzy doleciał dość nieprzyjemny zapach, dokładnie ten sam, który Tove poczuła w ich chacie, jakby ktoś gotował padlinę w ogromnym kotle. Smród był nie do wytrzymania, Tove zaczęły szczypać i łzawić oczy, aż w końcu wiatr zmienił kierunek i mogła samodzielnie iść dalej. Po kilku krokach znaleźli się na skraju lasu, gdzie ich oczom uka-

zał się dom zbudowany z niedbale osadzonych na sobie kamieni. Tove poczuła chłód na ramionach, a jej amulet znów odezwał się stukotem.

-- Jesteśmy na miejscu, ależ bolą mnie plecy, muszę ją szybko z siebie zrzucić.

-- Nie mówiłeś, że tu będzie, aż tak śmierdziało. -- Tove znów zasłoniła ręką nos. Podobny zapach kiedyś poczuła od babci, gdy ta, już schorowana, nie mogła wstawać z łóżka, ale wtedy było to tylko raz, a ktoś, kto zamieszkiwał w tym domostwie, musiał przesiąknąć nim na wskroś. -- Po co mnie tu przyprowadziłeś? Chcesz ją spalić w tym miejscu? Tu będzie bezpiecznie? -- zapytała niepewnie, dostrzegając w oddali wykopane na polu ogromne doły. Jakby ktoś wykopał je tylko po to, żeby coś w nie włożyć i znów z powrotem zasypać, ale gdy podeszli dużo bliżej, zauważyła, że doły są wyłożone ogromnymi, drewnianymi belkami, a na nich leży jakaś dziwna, płaska konstrukcja przypominająca rozwinięty z belki materiał, który z każdej strony jest przysypany białym, sypkim roztworem przypominającym resztki topniejącego śniegu.

-- Tak. To jest jedyny teren, na którym nie będziesz wzbudzała większego zainteresowania.

-- Ale czy musi tu tak śmierdzieć? Skąd ten zapach? -- pytała ze skrzywioną miną, odganiając od siebie roje wszędobylskich much. Unosiły się chmarami nad dołami i dookoła domu, do którego oni skierowali swe kroki.

Wolmir nie odpowiedział; skupiał się jedynie na tym, żeby sarna nie spadła mu z ramion, tracił powoli siły.

-- Zapukaj, bo ja nie mam jak -- powiedział do dziewczyny, kiedy stanęli tuż przed ogromnymi, drewnianymi drzwiami. -- Mam nadzieję, że będzie.

-- Ale kto?

Uderzyła kilkukrotnie knykciami w drzwi, a echo rozniosło się dookoła, jednak nikt nie nadchodził. Powtórzyła czynność, ale tym razem zwinęła palce w mocną pięść i nagle mosiężne zawiasy zatrzeszczały, drzwi, jakby pchnięte podmuchem, otworzyły się przed nimi, zapraszając do ciemnej przestrzeni. Tove poczuła mrowienie na karku.

Próg domostwa jako pierwszy przestąpił Wolmir, wszedł dosyć pewnie i zdawało się, że nie był tu pierwszy raz.

-- Bałabuch, wyłaź! Mam coś dla ciebie!

Tove schowała się za plecami mężczyzny, już samo imię, które usłyszała, wywołało w niej strach. Gdzieś w oddali majaczył ogień na palenisku dający słabe światło, coś w rogu izby poruszyło się, dorzuciło kilka drew do ognia i niczym wielka czarna plama zaczęło podążać w kierunku przybyszów.

Znów poczuła nieznośny smród, ale nie miała odwagi, by zasłonić nos, bardziej obawiała się tego, co może ją tu spotkać, gdyż kości amuletu przygrywały coraz częściej i poruszały się szybciej. Nie wiedzieć czemu, oczy zaczynały zachodzić jej mgłą i pokrywać się bielmem, próbowała z tym walczyć, potrząsała głową, odrzucała ją tak, żeby nikt nie widział, to w przód, to w tył. Usłyszała szepty, wiele ludzkich słów zbijało się w jedno dobrze jej znane zdanie. *Duchy przodków nie lubią rozlew krwi.* Wiedziała, co oznacza, ale nie chciała, żeby pojawiało się tu, nie w tym momencie, nie teraz. Schowała się za plecami Wolmira i obserwowała nadchodzący cień, który okazał się bardzo grubym człowiekiem.

Bałabuch stanął przed nimi, głośno oddychając. Miał okrągłą twarz i wypchane policzki, jakby schował w nie pęta kiełbasy. Na łysej głowie połyskiwały cienie rzucane przez ogień na palenisku. Jego duży brzuch wylewał się na boki, palce grube niczym serdelki zaplótł na tłustej piersi. Oczy miał niewyraźne, Tove nie mogła rozpoznać, jakiego dokładnie są koloru.

-- Ile za nią chcesz? -- Gruby człowiek patrzył to na sarnę, to na dziewczynę.

-- Nie jest na sprzedaż, muszę ją spalić, a nie mam gdzie.

Bałabuch podszedł jeszcze bliżej, odepchnął Tove od Wolmira i zaczął obwąchiwać sarnę. Dotykał jej skóry delikatnie niczym matka niemowlę. Podniósł ogon, oglądając naderwany zad, aż w końcu doszedł do łba i zatrzymał się na wysokości oczu.

-- Nic nie będzie palone -- odezwał się w końcu.

Dopiero teraz Tove zobaczyła, że mężczyzna nie ma zębów. Odsunęła się jeszcze dalej, potykając o długi stół wciśnięty w zagłębienie domu, prawie by upadła, ale podtrzymała się o niego ręką i poczuła coś gładkiego, tak delikatnego jak jej własna skóra na brzuchu. Obejrzała się niepewnie i gdy blask ognia kierował się w jej kierunku, wyteżala wzrok, aż w końcu jej oczom ukazała się rozłożona na stole sterta zwierzęcych skór. Były przeróżne: lisie, borsucze, a te większe należały do dzików i kóz, ale były też takie, które przypominały... ludzkie. Tove podeszła jeszcze bliżej i chwyciła jedną z nich, a gdy ogień strzelił w kominie, a jego blask rozbłysnął, spojrziała na swe stopy. Posadzka, na której stała, była wyłożona delikatnymi kośćmi małych zwierząt oraz szkielecikami wyglądającymi na ludzkie. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia i poczuła strach, ale już wiedziała, że nie może się bać, bo wtedy myśli zaczynają odgrywać szaleńczy taniec i głowa szybko tumanieje, a nie można wierzyć we wszystko, co się pomyśli.

-- Ja jej nie spalę, bo to nie są zwierzęce oczy -- wyseplenił mężczyzna. Dopiero teraz Tove usłyszała, jak niewyraźnie mówił.

-- Przysługa za przysługę, już nie pamiętasz? -- Wolmir zrzucił z siebie sarnę, która upadła z łoskotem na kamienną podłogę. -- Ktoś pomógł mnie, potem ja tobie, teraz ty potrzebny jesteś mnie. Tak to działa, zapomniałeś? -- Podeszedł do Bałabucha, a ten podrapał się najpierw po brzuchu, a potem po łysej głowie.

-- A ta mała? -- Bałabuch pokazał palcem w kierunku Tove.

-- Ona jeszcze nie spłaciła swojego długu, przyjdzie i na to pora.

-- Podejdz do mnie. -- Głos Bałabucha zagrzmiął w całej izbie, a Tove wiedziała, że chodzi o nią. Skuliła twarz w ramionach, by już po chwili znaleźć się obok mężczyzn. Bałabuch obserwował ją uważnie. -- Ma takie same oczy jak sarna -- rzekł niczym niewzruszony.

-- I chuj ci z tego -- odpowiedział z narastającą złością Wolmir. -- Pomóżesz czy nie?

-- Może tak, a może nie... -- Grubas natychmiast podeszedł do sarny, zanurzając w jej poderżniętej szyi niezgrabne dłonie; jednym ruchem

wyrwał wszelkie przynależące do tej partii cielska wnętrzności i rzucił je wprost na rozbuchany ogień.

Tove zdążyła tylko krzyknąć, żeby tego nie robił, że to ona musi, że to jej siostra, ale Bałabuch rozpostarł swe olbrzymie ramiona nad ogniem i patrzył, jak skwierczą wszystkie ścięga.

Oczy Bałabucha były zupełnie nieobecne. Nie patrzył na przybyłych, spoglądał tylko w płomień, nad którym majaczyły dziwne obrazy, jakby ogromne fale pełzające po wzburzonym jeziorze, w którym nie widać ni początku, ni końca, a pod tymi głębinami majaczyła spokojna, głęboka i ciemna toń wody, w której pływała ogromna, jasna ryba. Otwierała usta i skrzela, jakby ją ktoś wyciągnął z wody, poruszała wargami szybko i chełpliwie, a im bardziej dziewczyna się w nią wpatrywała, tym jej kontur stawał się jaśniejszy i coraz większy, jakby ryba pęczniała w swym majestacie, aż w końcu stała się biała niczym mleko i przejrzysta jak krople rosy bladym świtem.

Bałabuch opuścił ręce, a Tove usłyszała w głowie szum jeziora smaganego wiatrem, odgłosy dzikiego ptactwa i śmiech Traszki. Był tak wyraźny, że natychmiast obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy aby na pewno siostra nie zjawiała się w tej chacie, ale zobaczyła tylko zwłoki sarny, którą trzeba było naprawdę szybko się zająć. Gdy powróciła wzrokiem do ognia, nie zobaczyła w nim już niczego oprócz gorących, czerwonych płomieni.

-- Widziałaś coś? -- Słowa Bałabucha zasyczały w powietrzu. Tove złękła się, bo jeszcze nie tak dawno podobne padły z ust babci.

-- To samo co ty -- odpowiedziała buńczucznie, jakby strach przed tym człowiekiem w jednej chwili minął.

-- Nie dostrzegłem niczego tajemniczego.

-- Ja też, oprócz tych ludzkich kości w rogu izby. -- Wskazała ręką na miejsce, z którego przyszła.

-- A te, co masz na szyi, też ludzkie? -- Uśmiechnął się krzywo, dopiero teraz Tove dostrzegła, że miał twarz człowieka, który w życiu narobił dużo złego i gotowy byłby to zrobić jeszcze raz.

-- Sarnie -- odparła, a Bałabuch podszedł do niej i wyciągnął schowany za materiałem sukni wisior. Mężczyzna cuchnął tłuszczem i opalaną skórą prosięcia.

Dziewczynie w jednej chwili zrobiło się niedobrze, poczuła mdłości. Odkręciła głowę na bok, żeby nie musieć patrzeć mu w oczy, ale pozwoliła obejrzeć amulet. Bałabuch okręcał kosteczki między wielkimi palcami, aż w pewnym momencie syknął z bólu i odskoczył na bok. Na jego dłoni pojawiła się krew, skaleczył się jedną z nich. Na jego twarzy pojawił się grymas wściekłości, już miał otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, ale Wolmir rozdzielił tych dwoje swoim ciałem.

-- Dobra, wystarczy tego. Sarna mocno śmierdzi, zaraz z niej nic nie będzie. Ostatni raz pytam, czy pomożesz, a jak nie, to sami spalimy ją w którymś z dołów.

-- W dołach nie można palić. Czy jak ci teraz pomogę, to dług będzie już spłacony? -- spytał, trzymając zakrwawiony palec w bezzębnych ustach. Wysysał z rany krew, która nie chciała przestać lecieć. Miał umorusaną koszulę, a na brązowych spodniach widniały duże plamy tłuszczu, jakby wylał na siebie olej.

-- Tak. -- Bałabuch po tych słowach znów skierował się w stronę paleniska, przestępował z nogi na nogę, wywracał oczami, rozmyślał nad czymś nieustannie.

Dziewczyna, wykorzystując chwilę nieuwagi, znów ruszyła w kąt izby, gdzie leżały skóry. Amulet ciągnął ją w tamtym kierunku i kiedy mężczyźni bardzo żywo rozmawiali ze sobą, ich słowa przelewały się przez nią jak woda przez kamienie. W półmroku próbowała dojrzeć, co też leży na stole a gdy już zdobyła się na odwagę i chwyciła jedną z najdelikatniejszych skór, poczuła, jak ktoś -- a może raczej coś -- nadepnęło jej na nogę. Odsunęła się w bok i nadal oglądała znaleziska, które coraz bardziej ją intrygowały. Kościany amulet prawie tańczył na jej szyi, poruszając się to w lewo, to w prawo, kostki uderzały o siebie, wydobywając pusty dźwięk. I znów poczuła ciężar na stopach. Spojrzała w dół, a jej oczom ukazały się pełzające cienie, dokładnie te same, które weszły przed chwilą do ognia. Zaczęły wspinać się po jej nogach, przyssane ni-

czym pijawki, strząsnęła je z siebie, odskoczyła w tył, ale gdy podniosła wzrok wyżej, dostrzegła ludzką twarz z czarnymi dziurami w miejscach oczodołów. Kolejna ukazała się Tove po lewej stronie, tuż nad skórą, którą trzymała w ręku. Było jeszcze kilka innych postaci, siedziały na stole, machając kościstymi nogami, a na kolanach trzymały skóry, te najdelikatniejsze, wyglądające na ludzkie. Żałobne twarze i czaszki patrzyły na dziewczynę, a teraz już wydawało się jej, że nie mają nawet oczodołów, bo w jednej minucie jakby przegniły, przypominając spleśniałe, brązowe jabłka. Podniósł się gwar, trupy coraz szybciej machały kończynami, nic sobie nie robiąc z obecności Tove, nagle jeden z nich, ten siedzący najbliżej, odezwał się:

-- Połącz nas pomiędzy tym, co było kiedyś, a jest dziś.

Wyciągnął w kierunku Tove palec, na którym wisiała odrobina rozkładającego się ciała, ale dziewczyna nie uciekała, coś wewnątrz niej każało jej stać w miejscu i słuchać, to coś było silniejsze niż strach.

-- Ale co ja mam zrobić? -- zapytała.

-- Żaden z nich nie ma nawet połowy twojego rozumu. -- Palec trupa przeniósł się wolno, wskazując na kłócących się mężczyzn. -- Pozwól nam odejść, pozwól... -- Trupia twarz rozsypywała się z każdym wypowiedzianym słowem. -- Wszystko ma swój czas i dobry, i zły, a ty pomóż nam odejść... -- Ostatnie głoski rozmywały się już w powietrzu, ledwo zasłyszane uchodziły z tajemniczej postaci jak para znad wrzącej wody, a krew Tove pulsowała tak mocno, jakby chciała z niej wypłynąć. Jednak nie bała się ich odstręczającego widoku. Gdyby przyszły, gdy wiodła spokojne życie u boku babci, pobiegłaby do niej z krzykiem po pomoc, ale dobrze wiedziała, że skoro przychodzą do niej tu i teraz, to znaczy, że chcą ukazać się właśnie jej, a nie nikomu innemu.

-- Czy to już nasz czas, Tove? -- zasyczały słowa z innej głowy.

-- Nie wiem -- odparła.

-- Czy w końcu będzie spokój nad umęczoną duszą? -- zapytała inna.

-- Kto wolę naszą wypełni? -- rzekła kolejna, wijąc się smagłym cieniem wokół postaci dziewczyny, oplatając ją niczym powój.

-- A czego ty potrzebujesz? -- wyszeptała niepewnie Tove.

-- Ognia i słońca -- odpowiedziała jeszcze inna.

-- Ale czy waszych spraw nie trzeba załatwiać w całkowitej ciemnicy?

-- Śmierć potrzebuje jasności jak strudzona głowa ciszy i blasku czystego serca.

-- Ale ja nie mam czystego serca -- zatrwożyła się.

-- Pochodzisz z krainy mroku i jasności, a nami włada już tylko ciemność. -- Z jeszcze innej strony dopadł ją głośny pomruk, a już chwilę później wydobywały się śpiewy z głębi kościstych gardeł.

Nucili jakieś podziemne pieśni, a może raczej było to tylko melodyjne szeptanie. Poruszyło to w dziewczynie jakieś tęskne struny, zapragnęła nagle promieni słońca i świeżego powietrza. Naraz pomyślała, że nie ma już babki, Traszki, a łapiąc się za brzuch, uświadomiła sobie, że być może jego też nie ma. Dziecka poczętego z męskiej zachcianki i prawdziwej kobiecej miłości a może to i lepiej dla mnie? Cóż może się dobrego zrodzić z kłamstwa i ślepego zauroczenia? Cóż mi pozostało prócz sarniej padliny i żyjącej gdzieś w oddali wyrodnej siostry?

-- Głupiaś. Pamiętaj o korzeniach zanurzonych w ziemi, inaczej głową nie dosięgniesz gwiazd. -- Znow otoczył ją dźwięk jednego z głosów, trupie oczodoły zaczęły jarzyć się białym ogniem, pióropusze płomienia oblały jego kościstą głowę, a Tove poczuła w ciele napływający potok słów, chciała odeprzeć obelgi, ale babcia nauczyła ją kiedyś języka ciszy.

Duchy zmarłych znały myśli nie tylko jej, chwyciła więc najdelikatniejsze ze skór i dyskretnie stawiając kroki w tył, jednocześnie patrząc w stronę Bałabucha i Wolmira, pchnęła nogą drzwi i wyszła na dwór. Powędrowała w stronę lasu, omijając głębokie doły.

Kiedy uznała, że to właśnie tu jest jej miejsce, usiadła pod drzewem rosnącym na skraju polany. Położyła skóry na ziemi i przyglądała się im z każdej strony, zupełnie nie wiedziała, co ma z nimi zrobić. Najpierw chciała je spalić, nawet ułożyła je w mały kopczyk, ale zaraz potem porzuciła ten pomysł. Próbowwała też zasięgnąć rady u samych cieni, ale nie chciały znow się ukazać. Siedziała oparta o brzozę. Myśli kłębiły się w głowie: *Powinnam pilnować sarny, nie mogę tu siedzieć, czy ja na-*

prawdę widziałam cienie? Czy te skóry są ludzkie? Powinnam jak najszybciej wrócić do domu, żeby odnaleźć babcię, a co, jeśli Traszka żyje i czeka na moją pomoc gdzieś w lesie, a ta sarna to tylko mój wymysł? Kim jest Wolmir i o jakim długu do spłacenia mówi? Gdzie jest teraz mój dom? Co z moim dzieckiem? Jestem głodna, jestem tak bardzo głodna...

Obudziło ją przeraźliwe zimno. Przetarła oczy ze zdumienia, odrzuciła skołtunione włosy na bok. Cała była pokryta białą rosą, jakby świt pomylił ją ze źdźbłami traw, na których tak pięknie układał krople. Pierwsze, o czym pomyślała po przetarciu oczu, było to, że bolą ją piersi. Wezbrały jak woda w rzece po roztopach, ale nie miała czasu, żeby się nad tym rozwodzić, tylko dotknęła jednej z nich i zauważyła, że pierś nie mieści się nawet w jej dwóch rękach, które uprzednio zaplotła w koszyczek. Podkasła suknię i w te pędy pobiegła do chaty Bałabucha.

-- Gdzie sarna?! -- Otworzyła drzwi z impetem, wtargnęła do pomieszczenia niczym letnia burza na pola, ale nie dostrzegła ciała zwierzęcia niedbale rzuconego przed wygasłym paleniskiem. Na stole piętrzył się stos obgryzionych z mięsa kości oraz puste butelki po nalewkach.

Tove chwyciła jedną z nich i przystawiła do nosa. Zapach w niczym nie przypominał tych słodkawych trunków przyrządzanych wspólnie z babcią, poczuła ostry ból brzucha; była tak głodna, że bez większego zastanowienia chwyciła jedną z niedokładnie obgryzionych kości i zanurzyła zęby w mięsie. Nie było smaczne, słabo przyprawione i na wpół surowe, ale nie zważała na to i nim dostrzegła śpiącego w kącie izby na podłodze Wolmira, kość była obgryziona z każdej strony.

-- Wolmir! -- Szturchnęła go w plecy kilkukrotnie. -- Zbudź się, gdzie jest sarna?! -- Schyliła się nad nim, czując wokół chłopca woń sfermentowanego alkoholu. Zamruczał coś pod nosem, przekręcił się na drugi bok i spał dalej.

-- A niech cię piorun trzaśnie! -- powiedziała głośno, ale mężczyzna na pewno nie usłyszał; był pijany do tego stopnia, że nie szło go dobu-

dzić.

Widząc, że nie wydusi z niego ani słowa, wyszła na dwór w poszukiwaniu Bałabucha. Skierowała się najpierw do najbliższej położonej dość marnej konstrukcji drewnianej chatki, ale wewnątrz niej oprócz drewna na opał i jakichś dziwnych metalowych narzędzi przypominających widły i dwóch zardzewiałych sierpów nie dostrzegła nic szczególnego. Dopiero potem skierowała się do chatki wyglądającej jak ogromny kopiec mrówek, tylko zamiast piasku i leśnego poszycia do jej zbudowania wykorzystano glinę. Im bliżej niej się znajdowała, tym coraz mocniejszy odór czuła. Jakby ktoś palił kurze pierze nad ogniem, a potem wsadzał je do gorącej smoły. Zauważyła, że w oknach chaty nie było szyb. Framugi posiadały tylko przymocowane zwykłe drewniane okiennice. Z wnętrza domu dobiegał hałas, jakby kilku zbrojnych nożowników walczyło między sobą, i ten wszędobylski smród, który przyprawiał o zawroty głowy.

Dopiero gdy pchnęła drzwi i stanęła w półmroku pomieszczenia, dostrzegła na środku izby ogromny, jakby wykuty w stali kocioł, w którym pomieściłoby się z dziesięciu zbrojnych mężczyzn, a wewnątrz niego w oparach parującej szaroburej, ciepłej wody namaczały się skóry, po prawej stronie piętrzył się stos szyszek olchy, a po lewej na potężnym kamieniu rozciągały się inne, te z tak bardzo charakterystycznym włosem na pewno były dzicze. W miejscu racic przymocowane były sznury, których końce Bałabuch powbijał do klepiska. Pomieszczenie wyglądało jak sala tortur. Pomiędzy różnymi dziwnymi urządzeniami metalowymi i drewnianymi spornikami, linami zwisającymi z sufitu, przepotężnymi kołami wyglądającymi jak ostre noże, dziewczyna dostrzegła Bałabucha. Pochylony nad kamiennym stołem za pomocą niewielkiego ostrza pozbywał się ostatnich resztek mięsa, błon i tłuszczu, a powstałe ścinki wrzucał do misy zasypywanej ogromnymi ilościami soli, której opary unosiły się w powietrzu, aż schło w gardle i bolały od niej oczy.

Nadgarstki Tove oraz jej twarz pokryły się białym nalotem. Już wiedziała, dlaczego w tym pomieszczeniu nie ma okien, tu nie dałoby się oddychać w zamknięciu, szyby były do niczego niepotrzebne i tak pewnie Bałabuch nie zamykałby ich na noc.

Podeszła do niego jeszcze bliżej, by przyjrzeć się jego pracy, ale gdy zauważyła tak charakterystyczne nadszarpnięcie na skórze, którą oprawiał, dokładnie w tym samym miejscu, w którym zwierzęta rozszarpały ciało jej ukochanej sarny, nie wytrzymała i rzucając się na plecy Bałabu-cha, krzyknęła:

-- Nieee, zostaw ją!

Gryząc mężczyznę w ramię niczym pies, próbowała bronić skóry siostry. Bałabuch krzyknął z bólu, naraz syknął jak wąż i wypuścił nóż na klepisko. Krew z rany poląła się wartką stróżką na podłogę, gdzie zmieszła się z sarnią. Dziewczyna chwyciła skórę i wybiegła z nią wprost na podwórze. Dobiegła do miejsca, w którym niedawno zasnęła, zatrzymała się na chwilę, żeby wyrównać oddech. Jej umysł cały czas pracował w skupieniu. Najchętniej chciałaby uciec jak najdalej od tych wszystkich dziwnych ludzi, ale w domu Wolmira zostawiła cały swój dobytek, połatany worek, w którym przechowywała zioła i parę innych rzeczy, starą suknię i najważniejszą pamiątkę po Wilczanie, czyli strzałę. Kiedy o niej pomyślała, znów poczuła skurcz w dole brzucha.

Jednak nie miała czasu o tym myśleć, musiała podejmować decyzje, znów była cała umazana we krwi, cuchnęła odorem spowijającym całe to mroczne gospodarstwo i traciła siły. Postanowiła wrócić do żony Wolmira, nim ten wytrzeźwieje, zapewne minie jeszcze kilka godzin, a ona zdąży się przygotować, żeby opuścić ich dom. Chwyciła więc wszystkie skóry i poszła w las.

Ciażyły jej do tego stopnia, że musiała co jakiś czas robić postój, żeby odpoczywać. Skórę sarny niosła przewieszoną przez jedno ramię, nie chciała, żeby pozostałe zabrudziły się od jej krwi. Nieustanne myśli o tym, że będzie musiała coś z nią zrobić, nie dawały jej spokoju ale na razie chciała tylko znaleźć drogę powrotną, gdyż klucząc po lesie, zdążyła zgubić się w nim kilka razy. Jednak gdy po długiej wędrówce dojrzała w oddali szutrówkę, uśmiechnęła się sama do siebie, ale i tak postanowiła iść poboczem. Nie miała przy sobie znanego już we wsi Wilkomira, a jej wygląd pozostawiał dużo do życzenia. Raczej przypominała

zmoreę wracającą z nocnych wojaży aniżeli zwykłą dziewczynę niewzbudzającą żadnych podejrzeń.

Kiedy wycieńczona drogą weszła na znane jej podwórze, dzieci bawiące się beztrosko kamykami w piasku uciekły z krzykiem na jej widok. Żona Wolmira wieszająca pranie na sznurach przy chacie rzuciła szmatami w misę i złapała się za głowę. Podeszła do Tove i natychmiast wepchnęła ją przez tylne drzwi do chaty.

-- Jak ty wyglądasz? Gdzie Wolmir? Widział cię jeszcze ktoś, zanim tu weszłaś? Gdzie mój mąż? -- Potok słów wylewał się szybko, gospodyni załamała ręce, każąc dziewczynie natychmiast rozebrać się z sukni, która już wyglądała jak łachmany.

-- Pijany leży u garbarza z lasu, ledwo zipie, miałam go tu przyprowadzić czy sama po niego pójdziesz? -- powiedziała z lekko wyczuwalnym wyrzutem w głosie, idąc do wyznaczonego jej pomieszczenia.

-- Psi pomiot! -- wrzasnęła, pomagając zdjąć ubranie z Tove. Tak zawzięcie nim szarpała, że rozerwała ramię sukienki. -- Upił się? Poszedł szukać twojej siostry i zapił?

-- Tak, cóż miałam zrobić? Siedzieć w tym garbarskim smrodzie i czekać, aż wróci do żywych?

Gospodyni zmarszczyła czoło i przepędziła dzieci podglądające przez szparę w drzwiach całe to widowisko.

-- A kysz, a kysz! -- rzuciła w ich stronę i na dodatek trzepnęła kilkakrotnie szmatą w ich kierunku. -- Nagotuję wody, żebyś się umyła, a suknia jest do spalenia. W czym ty będziesz chodzić? Nie mam innej, co to za skóry? Przecież ta wielka jest nieskończona? Gdzie twoja siostra? -- gderała jak nakręcona, obie kobiety spojrzały na siebie z jakimś niedowierzaniem.

-- Nie ma jej, nie znaleźliśmy, nie wiem, gdzie jest -- kłamała i choć Wolmir znał prawdę, nie chciała jej tu wyjawić. Miała nadzieję, że już z nim się nie spotka, że nie będzie musiała się znowu tłumaczyć.

-- Dureń, jak każdy chłop! Jak tylko piwo zobaczy, to jakby rozum stracił! Oczy mu się świecą, ręce trzęsą i choć drżą, to przecież wyciąga je po dzban albo kufel. Oni wszyscy tacy sami! Zapamiętaj! Tylko jeść

chęcią, pić, a jak który jeszcze może, to i na babę wlezie, a przyjemności dla nas z tego żadnej! -- mówiła podniesionym głosem, lejąc wodę do ogromnej balii.

Tove milczała, nie wiedząc, jak dalej prowadzić tę rozmowę, chciała jak najszybciej stąd uciec. Kiedy już została sama, dotknęła ręką łona kolejny raz i poczuła wydobywające się ciepło, czyli krew. Nie wiedziała, w jaki sposób ma sprawdzić, czy dziecko jeszcze w niej jest, a jedyne, co przyszło jej do głowy, to złapać strzępy nierozcieńczonej jeszcze przez wodę krwi i połknąć je z powrotem. Zrobiła więc tak, jak pomyślała, woda zmieszana z krwią przelewała jej się przez ręce, a ta chleptała ją jak kot mleko. Pomyślała, że mogłaby wypić całą balię, wody byle tylko zatrzymać je w sobie.

Myła się prędko. I ciało, i włosy ługiem. Woda w balii robiła się coraz brudniejsza, Tove zwykłą szmatką ścierała z siebie resztki fetoru. Z włosami miała duży problem: skołtuniły się w coś, co przypominało raczej ptasie gniazdo niż dziewczęcy, lśniący warkocz, nie mogła go nawet rozpleść, ale gdy gospodyni niepostrzeżenie weszła do pomieszczenia i bez pytania oblała jej głowę olejem, poszło znacznie szybciej. Kobieta rozmieszała w misie łój zwierzęcy z popiołem i tak wykonaną mazią umyła dziewczynie włosy, na koniec spłukując je odwarem z łopianu i skrzypu polnego. Mikstura nie pachniała zbyt przyjemnie, babcia Tove do mycia włosów miała zawsze przygotowaną mieszaninę popiołu z drewna bukowego z tłuszczem kozim. Dziewczynę na samą myśl o babci i domu, który do tej pory miała, zalala potężna fala tęsknoty. Chwyciła głowę w ręce, myślała tylko o tym, żeby się nie rozplakać przy obcej kobiecie, która tak bardzo pragnęła z nią kontaktu.

-- Co robimy z tą największą skórą?

Robimy, a cóż u licha ją to obchodzi?, pomyślała Tove i spojrzała na gospodynię, która chwyciła pozostałości po sarnie w ręce. -- Mam ostry, maleński nóż, zetnę z niej pozostałe resztki. Skąd ją masz? -- Gospodyni utkwiała wzrok w dziewczynie, czekając na szybką odpowiedź, ale nie do czekała się jej. Tove patrzyła na nią wielkimi oczami i milczała.

-- Straciłaś mowę, czy co się stało? -- Zakasała rękawy i próbowała dociec. Tove nadal się nie odzywała. -- Co się w tym lesie zadziało?

Ale Tove milczała jak zakłeta. Miała ochotę zanurzyć się w świeżym powietrzu z dworu, jednakże gdyby wyszła, mogłaby już nie wrócić. Zakładała więc swoją starą, szarą suknię, którą pod jej nieobecność gospodyni załatała, gdzie było trzeba, i nawet całkiem ładnie przerobiła. Długie włosy Tove opadały na plecy. Pozostawały po nich mokre plamy, ale dziewczyna na to nie zważała. Pomyślała, że to może nawet całkiem dobrze by było przestać mówić, pogрузić się tylko w siebie, nie odpowiadać na zawołania ludzi a tak w ogóle, po co jej ludzie? Myślała i patrzyła, jak gospodyni na podwórzu za domem ściąga resztki ze skóry, jak koty łaszą się do niej, zwabione niecodziennym zapachem łożu, jak do brudnej wody, którą po sobie zostawiła, dolewa gorącej i rzuca do balii szyszki olchy. Po co jej te szyszki? Takie same były u Bałabucha.

Patrzyła, jak kobieta robi coś jeszcze ze skórą, oblewa ją jakimś brązowym tłuszczem, myje, obkłada drzewnymi trocinami, kładzie na ogromnym kamieniu jak na ołtarzu, ubija materiał innymi, mniejszymi, które raz po raz wydają dźwięki, jakby głązy spadały z wielkiego szczytu, aż w końcu przygniata skórę widłami i wiadrem, mrużąc pod nosem i grożąc, żeby silny wiatr nie porwał jej gdzieś daleko.

-- Szybko wyschnie. Nie znam innego sposobu. Musi ci to wystarczyć, inaczej nie umiem jej sprawić ani się nią zająć. Co z tymi mniejszymi?

Tove milczała. Być może tą ciszą chciała rozgonić wszystkie wewnętrzne mroki. Oczami tęsknoty, która złamała jej serce, widziała jeszcze stos rozrzuconych po lasach kości ni to ludzkich, ni to zwierzęcych, dopiero zapach pieczonego chleba przyniósł jej chwilowe ukojenie. Gospodyni grubą warstwą masła smarowała chrupiące kromki, nad którymi unosiły się miodne pszczoły.

Aż przyszła noc. Tove leżała przykryta grubym płótnem na sienniku. Obserwowała gospodynię, która przy kilku zapalonych świecach tłukła młotkiem w gwóźdź, przebijając na wylot sarnią skórę. Kiedy już spod jej rąk powstały tysiące maleńkich otworków wkładała w nie grubą igłę

z równie mięsistą nicią. Przeciągała igłę przez oczko, powtarzała szycie ścięciem pętlowym, by jak najmocniej w wewnętrzną skórę sarny wszyć skóry mniejsze.

Nieraz raniła się w palec, ale nie klęła, tylko zszywając je w jedną wielką całość, wyśpiewywała dobrze już znaną pieśń: *Czy widział kto młode jagnię, baby jagnię, Jagi baby -- babę Jagę, czy widział kto bladeżółty, kościec dawny, amuletu wyrzeźbiony rdzawy kurz, a tu nagle, jak po diable...*, a Tove słuchała i patrzyła martwym wzrokiem, przygryzając zębami materiał, którym była otulona. Tuż nad ranem, gdy za oknami panowała wiejska cisza i ciemność, dziewczyna postawiła na zimnej posadzce najpierw prawą, potem lewą nogę i z wielkim bólem w klatce piersiowej złapała głęboki oddech. Zabrała swój plecak, sprawdzając, czy są w nim najważniejsze rzeczy, chwyciła skórę i wyszła z domu cichuteńko niczym kot, wyruszyła w nieznane.



10.

Tęsknota za drogą, którą się nie po- dąża

-- I co ze staruchą? Ubiliście ją? A strzała? Wpadliście na jakiś trop?

Laaban siedział w najciemniejszym kącie karczmy, wspierając ręką wezglowie, obserwował wiejskie dziewczki, co rusz przynoszące tace z parującym mięsem. Jedna z nich potknęła się o niedbale wystawioną nogę jednego z biesiadników. Kufle z piwem, które dzierżyła w dłoniach, wyśladowały na jej piersiach, tym samym wylewając całą zawartość na jej dekolt. Mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem, Laaban od razu zauważył, jak brodawki ciepłych piersi zareagowały na zimną ciecz, stanęły dęba niczym rozjuszony ogiery.

Mężczyzna obserwował dziewczynę. Młoda blondynka zarumieniła się i również wtórowała śmiechom. Spodobało się jej, że wszystkie oczy spoczęły na jej kibici, z oczu płynął młodzieńczy żar, dobrze wiedziała, jak zwrócić na siebie uwagę. Pośpiesznie odniosła puste kufle do ponownego napełnienia, a sama chwyciła szmatę i klęcząc nad rozlaną kałużą piwa, ścierała ją, poruszając ramionami to w przód, to w tył. Dobrze wiedziała, że w tym rytmie, który sama sobie wyznaczyła, falują piersi, a sutki sterczą i uśmiechają się do przybyłych.

Laaban przygryzł wargi i nie słuchał tłumaczeń Normana, dziewczyna była skierowana w jego stronę, sznurki bluzki się poluzowały, odsłaniając mokry dekolt, który w ciepłych oparach biesiady wyglądał jak perlista ikra na tarle. Laaban dostrzegł świeżą, jędrną, gołą pierś, oblizał wargi i poczuł, jak narasta jego męskość. Krew napłynęła mu najpierw

do stóp, rozgościła się w łydkach i udach, a potem wrzała już w nim wszędzie.

-- Teee... słuchasz, co mówię? -- Laaban poczuł, jak coś ciężkiego odbija się od jego czoła. Norman rzucił w niego drewnianą łyżką, która skutecznie wybiła mężczyznę z fantazji. Zacisnął nogi, żeby zaraz potem je poluzować, i wyszedłszy z erotycznego amoku, nareszcie spojrział w twarz rozmówcy. -- To powtórzę raz jeszcze. Strzały nigdzie nie było, żadnych śladów, a w łóżu staruchy leżały zbite w pięść jakieś szare prochy, wyglądały jak popiół, więc jej nie mamy, ale co najgorsze: mieszkała z nią jakaś młoda dziewczucha, zdążyła uciec, więc ruszyliśmy za nią w pogon, ale szybka była niczym łania, pewnie stara wiedzę jej przekazywała, jak to mają w zwyczaju.

-- Czyli nie macie ani starej, ani młodej? -- Laaban wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

-- Nie mamy. -- Norman przechylił cały kufel piwa, wypijając trunek na raz. Wytarł pianę osiadłą na rudych wąsach i odbeknąwszy grubym, gardłowym dźwiękiem, kontynuował: -- Jak ruszyliśmy za nią, to здавало mi się, że uciekają we dwie. Czasem słyszałem jakieś rozmowy z oddali, ale być może gadała sama do siebie, albo rzucała jakimis czarami we wszystkie strony.

Naraz pojawiła się przy stole prząsna blondynka, która z łoskotem postawiła przed mężczyznami kolejny dzban trunku. Spojrzała wymownie na Laabana i odchyliła wargi, pokazując białe, duże zęby. Przez głowę Wilczana przeszła myśl, że musi być bardzo młoda, skoro zęby ma białe i niewyszczerbione życiem jak u większości. Dziewczyna przysunęła się do rogu stołu i prawie usiadła na nim okrakiem, obie ręce trzymając po bokach krawędzi, nacierała na narożnik tak mocno swym łonem, że aż pisnęła. Mokra koszula przyklejała się do jej piersi, pot spływał po łabędziej, smukłej szyi, aż Laabanowi zakręciło się w głowie. Rozbierał ją wzrokiem.

Dziewczyna coraz śmieiej nacierała na stół, wypinając pośladki ku górze, Norman zaniemówił, a Laaban, czując się dość pewnie i bezpiecznie przy najbardziej schowanym w całym pomieszczeniu stole, szybko

niczym błyskawica wsadził jej rękę pod spódnicę, zaciskając ją na łonie, a może raczej bawełnianej bieliźnie, którą miała na sobie. Dziewczyna krzyknęła, ale tak, żeby usłyszało ją tylko dwóch najbliższych siedzących rozmówców, i wypięła się jeszcze mocniej. Laaban jednym, mocnym ruchem posadził ją sobie na kolanach. Blondynka czuła pomiędzy pośladkami, jak wezbrało w nim pożądanie, mężczyzna przełożył rękę na jej udzie i z tej pozycji trzymał ją tam, gdzie sprawiało jej to przyjemność. Norman w końcu nie wytrzymał i krzyknął:

-- Rozmawiasz ze mną czy się z nią pieprzysz?! Bo nie rozumiem?!

-- Jedno i drugie, a co, nie mogę?

-- Możesz, tylko teraz mieliśmy omówić warunki nowej wyprawy, a ty łajdaczysz się na oczach innych ludzi! -- Znów podniósł głos. -- A wiesz, kim ona jest? -- Wskazał na blondynkę, która coraz mocniej zaciskała udami rękę Laabana. -- Bo jeśli to córka karczmarza, to lepiej się do niej nie zabieraj.

-- Może być córką samego diabła, byle nie uciekła tej nocy. -- Znów zacisnął palce. Poczł, że robi się wilgotna, więc masując palcami jej krocze, kontynuował: -- Słyszałem, że córka karczmarza jest chętna jak suka w rui. -- Cały czas patrzył na piersi dziewczyny, które, choć niewielkich rozmiarów, to wielkimi i sterczącymi sutkami przyciągały go do niej jeszcze bardziej. -- Czyli staruchy z młodą nie macie, a ile skrzyń złota dała starszyzna za uбиcie leśnej baby? -- Znów odwrócił wzrok od Normana i ugryzł dziewczynę w sutek, ta zaskamlała ponętnie, a Laaban poczuł wylewającą się z niej falę nowej wilgoci.

-- Z tym też będzie problem. Powiedzieli, że następnym razem mamy przyjechać z głową wiedźmy, bo inaczej nie będą nam płacić. Zrobili się jacyś nieufni, podważali każde moje słowo, a na samym początku rozmów zanegowali całą naszą wyprawę, jakby w ogóle do niej nie doszło. Teraz będą chcieli dowodów.

-- Mamy im łby ućinać? Poszaleli? Jak wiedźma zdechnie wskutek próby, to co wtedy? Mamy ją wylawiać, odrąbywać łby i znów wrzucać do wody? Nie ma mowy! Byłoby to pogwałceniem odwiecznych praw!

Najłatwiej i najskuteczniej zabijać poprzez wystrzał z łuku specjalną strzałą, której oczywiście nie mam! -- Uderzył ręką w stół.

-- Bo jesteś dureń i ją zgubiłeś -- dokończył Norman.

-- Ale znajdę...

-- Ciekawe kiedy i jak.

-- Na razie zostają nam starodawne sposoby uśmiercania, żadnego odrąbywania głów nie będzie! Ile mamy złota!? -- krzyknął, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o najważniejszej sprawie.

-- Mało...

-- Do stu tysięcy diabłów! Ile!?

-- Mała skrzynia złota, duża srebra. -- Norman pociągnął kolejny łyk piwa.

-- Co? Mała złota? Jak żeś interesów przypilnował!? -- Oczy zapłonęły mu ze wściekłości. -- Zawsze było na odwrót: duża ze złotem, a mniejsza ze srebrem! Czy ja zawsze i wszędzie muszę być z wami? Czy wy sami nie umiecie przypilnować interesów? Z łuków trzeba było do nich mierzyć, wyciągać topory i noże, a nie brać, co dają! Nie na taką zapłatę się umawialiśmy! -- Laaban był wściekły, krzyczał na Normana, aż mu ślina ciekła z ust, zupełnie nieświadomy machał głową tak mocno, że aż warkoczyk mu podskakiwał. Blizna na policzku przybrała odcień krwi, stała się czerwona jak rozżarzona stal, tylko karczmarce nie przeszkadzał humor Laabana.

Siedząc już teraz tylko na jego lewym udzie, naciskała na nie, wypinała się jak kotka w rujce; dobrze wiedziała, że wściekły mężczyzna potrzebuje ciepłego łona, aby dać upust szalejącym emocjom, więc uniosła się nieznacznie i przeniosła na prawe udo Laabana, a że chciała już dojść do celu, to znów wierciła się zgrabnie.

Laaban już nie patrzył na Normana; czuł bezwład w kończynach, odrzucił dziewczynie włosy na plecy i zaczął ją dotykać. Był gotów, od tak dawna przecież nie miał kobiety, ale chciał jeszcze patrzeć na jej bladą cerę i zarumienione policzki. Mężczyzna nalał kolejny kufel piwa i go wypił. Głowa już mu ciążyła i zaczynały wirować myśli. Zdało się mu, że blondynek jest dwie, drugą chciał odepchnąć ręką, ale rozplynęła się jak

we mgle, a że zamachnął się dość porywczo, to trafił w twarz tej, co siedziała mu na udach. Norman widząc całe zdarzenie, wpadł w histeryczny śmiech, prawie spadł z ławy, a blondynka miast zareagować, rozwarła karminowe usta i powiedziała:

-- Noo co... żem dostała, i co?

-- Głupia, jakaś ty głuuupia. -- Przywódca ścisnął ją za kark i zrzucił z siebie, dziewczyna upadła na podłogę. Biesiadujący w karczmie nawet nie zauważyli całego zajścia, prawie wszyscy byli pijani albo podchmieni, rozmawiali bardzo głośno, czasem nawet obrzucali się resztkami jedzenia, które upadając na podłogę, były szybko przechwytywane przez wszędobylskie koty. Pewnie latami dochodziły do perfekcji, pojawiały się znikąd i równie bezszelestnie opuszczały karczmę. Ludzki gwar zagłuszał słowa dziewczki, która chyba nawet nie zauważyła swojego upokorzenia, bo siedząc na podłodze natychmiast rozchyliła nogi.

Laaban, patrząc na jej spocone uda i krocze, znów poczuł wrzącą w żyłach krew, podniósł się natychmiast, ale zrobił to na tyle szybko, że zachwiał się na nogach i upadł na ławę.

-- Jutro wrócimy do tej rozmowy. Dziś wszyscy śpimy w karczmie, a nie w lesie, jak to mamy w zwyczaju. Zapłać srebrem i zajmij się ludźmi, mnie głowa pęka -- rzucił oschle.

-- Chyba kutas... -- zakpił kompan i w tej samej chwili zakrztusił się, nie mogąc złapać oddechu. Laaban nachylił się nad stołem i klepnął go trzy razy w plecy.

-- Coś mówileś, bracie? Żałujesz mi? -- Spojrzał na niego wymownie.
-- Widzimy się jutro rano -- powtórzył.

Wychodząc, zatrzymał się przy rozkraczonej dziewce. Głowa mu się kiwała na prawo i lewo, dziewczyna szybko wstała, podpierając się o jego twarde niczym skała łydki, i kiedy już znalazła się na wysokości jego torsu, mężczyzna zapytał:

-- Ile masz lat?

-- Siedemnaście.

-- A zachowujesz się, jakbyś miała przeszło trzydzieści.

Złapał ją mocnym uściskiem za szczękę i zaczął oglądać jej twarz pod przydymionym światłem. Nie miała ani jednej zmarszczki, krople potu na lekko zadartym, malutkim nosku połyskiwały w przyćmionym blasku ognia i świec. Miał wrażenie, że szafirowe oczy już kiedyś widział, próbował sobie przypomnieć gdzie i kiedy, ale na próżno. Ścisnął dziewczynę jeszcze mocniej, jakby wskutek tej czynności miała wrócić do niego pamięć i choć całą jego uwagę przykuwały oczy, to im dłużej w nie patrzył, tym bardziej zdawały się puste, jakby zupełnie nieobecne w tym czasie i przestrzeni. Nie kryła się w nich żadna ekspresja ani siła przekazu, dziewczyna była jak w czarownym transie, chciała tylko jednego. W kącikach ust pojawiły się krople śliny, Wilczan wytarł je kciukiem i nim zdążył się odwrócić, dziewczyna chwyciła jego palec mokrymi ustami i zaczęła ssać, nie zamykając przy tym oczu, pustym wzrokiem obserwowała mężczyznę.

Laabana ogarnęła żądza tak silna, że już nawet nie chciał jej powstrzymywać. Szepnął coś dziewczynie na ucho, ta zachichotała filutecznie i wypuściła jego palec, na koniec muskając delikatnie wargami.

Gdy tylko przekręcił klucz drewnianych drzwi, które przy mocniejszym trzaśnięciu pewnie by się rozleciały, zdarł z niej ubranie. Dziewczyna nic nie mówiła, tylko poddawała się temu czego od niej wymagał. Pomieszczenie było skromnie urządzone: zamiast wytrawnego siennika czy łóżka tuż pod nieszczelnym oknem stał dość niewielki zydel, przy którym leżała sporych rozmiarów wiązka słomy, dwie duże do połowy wypalone świece zdobiły dębowy stolik, który się chygotał, przy najmniejszym stąpnięciu. Dwie szare myszy z piskiem przebiegły przez pokój, uciekając przez wyszczerbioną dziurę w drzwiach, pozostawiły po sobie jedynie niewielkie ślady odchodów.

-- Ale ścierwo! To już spanie w lesie jest przyjemniejsze! Po co płacę za taki brud? -- Laaban dopiero teraz rozejrzał się po pomieszczeniu, odrywając wzrok od dziewczyny.

-- Gdybyś tam został, nie miałbyś mnie -- odparła blondynka, odrzucając ruchem głowy włosy na plecy i ukazując Laabanowi wysmukłą szyję.

-- Czyli za ciebie płacę?

-- Hi, hi, hi... -- Dziewczyna utonęła w pąsach, kładąc rękę na męskim przyrodzeniu. Dotykała go z taką wprawą, jakby robiła to codziennie. Laaban, nie czekając ani chwili, rozłożył niedbale wiązki siana i rzucił dziewczynę na prowizoryczne posłanie. Przywarł do niej całym ciałem i zamiast całować, ściągnął z niej mokrą bieliznę ochraniającą krocze i brutalnie włożył w jej pochwę kilka palców. Dziewczyna aż krzyknęła z bólu, ale Laaban się tym nie przejął. Kilka razy poruszył w niej palcami, aby po chwili tę samą dłoń skierować ku swej twarzy.

-- Co robisz?

Zdumiona blondynka obserwowała każdy jego ruch, ale mężczyzna nie odpowiedział. Wstał z kolan i prostując z trudem plecy, zapaliwszy jedną ze świec, chwycił ją i zbliżył się do dziewczyny. Znów zatopił w niej wzrok. Upadł na kolana i bezlitośnie mocno rozchylił jej uda, płomieniem świecy oświetlając miejsce między udami.

-- Chcesz mnie podpalić! Durniu! -- blondynka zaczęła wierzgać nogami, ale Laaban położył swoją prawą nogę na jej lewym udzie i warknął:

-- Zamilcz, dziewczko! Kurwisz się nie od dziś, sprawdzam, czy jesteś czysta.

Blondynka uspokoiła się na te słowa, ale na jej twarzy pojawił się grymas. Nieco przestraszyła się słów Laabana, więc potulnie rozwarła nogi jeszcze mocniej, a gdy mężczyzna odstawił świecę i szybko zaczął zdejmować spodnie, obserwowała go w jej blasku. Nie zdążył nawet ściągnąć koszuli, był tak naprężony, że szybko uklęknął przed jej rozchyłonymi udami. Jego członek stał niczym ogromny nóż w rękach barbarzyńcy, a w uszach wybrzmiewały słowa leśnej baby: *Kapłanka cieni, bogini pustkowie, ulegniesz jej pożądaniu Laabanie, Laabanie, Laabanie.*

Jego imię świdrowało mu w uszach, potrząsnął głową, jakby chciał strzepać z siebie ten złowrogi refren, w brutalnym odwecie do zasłyszanych słów zaczął ogromnymi dłońmi szukać piersi dziewczyny. Uciskał je mocno, zostawiając czerwone ślady na skórze dziewczyny, przyssał się wargami do jej sutków. Otworzył szeroko wargi, pierś była tak nie-

wielka, że prawie mieściła mu się do ust. Ssał ją łapczywie, ale znów przyszły te natrętne myśli. *Tove miała piersi jak kościelne dzwony, rozbijały się o siebie, gdy wkładałem w nią członek, falowały pod moim naciskiem, układałem na nich twarz jak na wyścielanej mchem poduszce. Tove...* Ze złości, że o niej pomyślał, przygryzł mocno sutek blondynce i potrząsnął nim, jakby chciał go wyrwać, natychmiast wszedł w dziewczynę i pchał w nią siebie tak mocno, że aż krzyczała, żeby przestał, więc uspokoił się, ale tylko na chwilę. Krew w nim wrzała, alkohol parował z jego skóry. Uderzał w nią już spokojniej, a gdy zaczął opadać z sił, położył się na jej ciele, myśląc, że leży na drewnianej kłodzie, bo gdy pokrywał sobą Tove, czuł, jakby wchodził w wilgotną i miękką leśną szczelinę, a na swoim torsie czuł piersi ogromne jak dwie wielkie poduszki. Położył rękę na biodrze blondynki, miał wrażenie, że dotyka szorstkiego i wyschniętego konaru drzewa.

-- Nie! To nie może tak być! -- wykrzyczał jej prosto w twarz ze złości, teraz już opanowała go wściekłość natrętnych myśli i wspomnień.

Kompulsywne ruchy stawały się coraz szybsze. Laaban otworzył oczy tuż nad jej twarzą spojrzał w zielonkawe oczy, które na wpół przytomne tak bardzo przypominały wejrzenie Tove.

Niezrozumiale wykrzyczał coś na koniec, zadając dziewczynie ostatecznie pchnięcie. Głoski obelg załamały się w jego głosie, gdy już prawie spełniony dochodził, ale coś natychmiast kazało mu wyjść z dziewczyny i upuścił białe nasienie wprost na jej łono.

Dziewczyna oddychała nierówno i szybko. Nie wiedziała nawet, czy było jej dobrze, czy zaspokojona mogła odetchnąć. Młoda twarz wyrażała raczej strach, jakby zupełnie nie wiedziała, co się przed chwilą stało.

Mężczyzna opadł na jej brzuch, a czując na swym policzku kości żeber, które boleśnie uwierały go w twarz, natychmiast osunął się z niej na bok. Patrzył w sufit, wycierając ręką pot z czoła, przypomniawszy sobie, jak zapadał się w Tove, całkowicie miękko i bezpiecznie.

Właśnie teraz, leżąc obok dziewczyny, która niewiele miała mu do powiedzenia, a którą trzeba było sprawdzić, czy nie zarazi go jakimś syfem, nim wejdzie w jej penetrowane już przez innych łotrów ciało, w której

bał się zasiać ziarno swego nasienia, której chudość przypominała bladego, lecz pięknego trupa, odtworzyła w nim wspomnienie jurnej, krągłej dziewczyny z jakimś dziwnym wisiołem na szyi, długimi włosami mocnymi jak okrętowa lina i miłością tak ogromną, że aż przelewała się przez jego stopy i ręce. Naraz pojawił się w nim niewyraźny lament ciała i słów, niezliczonych pocałunków, morza dobroci, ufnych rąk, przy których zasypiał jak przy matce.

Co ona teraz robi? Co się z nią stało? Czyją była córką, gdzie był jej dom? Czy przychodzi do szopy, czy szuka go pomiędzy leśnymi drzewami? Czy jej ciało nadal pachnie niedojrzałą truskawką? Dlaczego miałyby o nim myśleć, przecież zostawił ją bez słowa, bez najmniejszego wyjaśnienia ale czy może mieć sobie coś do zarzucenia? Przecież był wobec niej szczery, cały czas powtarzając, że przyjdzie na nich kres i żeby się nie zakochiwała w takim człowieku jak on, bo nie warto. Mówił jej to każdej nocy, więc czemu teraz powraca do niej w tak bardzo przyjemnych wspomnieniach? Dlaczego do tej pory nie pojawiały się w nim te pytania?

Czy można oszukać w sobie ten głos, który pojawia się jak nieproszony gość i tak mocno kłuje w serce? Wilczan myślał bez ustanku. *Mogę oszukać człowieka, psa, ojców, ale czy uda się oszukać ten głos? Mogę zabijać dla rozrywki i w imię sprawiedliwości, pogrążyć się w rozpuszcie, harować na polu jak wół, mogę wyruszyć w podróż, mogę polować bez opamiętania od świtu do ciemnej nocy, mogę próbować zachlać się na śmierć, ale on i tak przyjdzie. Bo noszę go w sobie codziennie, jak serce.* I nagle wyrwał się z niego złowrogi, tępy i pusty bez najmniejszego echa czułości krzyk.

-- Wynoś się stąd!!!

Nawet nie spojrział na dziewczynę, usłyszawszy, jak pospiesznie się ubiera i klnie, rozdeptując bosą stopą mysią kupę, odwrócił się od niej plecami i zasnął, a może raczej czuwał, bo jeśli oszukuje się samego siebie, to trudno o spokojny sen.

Dni upływały prędko, Laaban nie nadążał ich odliczać, nie pamiętał już, ile wschodów i zachodów słońca spędził w karczemnej izbie. Całe ranki przesypiał, a późnymi popołudniami kazał sobie polewać piwa. Ciętym językiem i krnąbrnym stylem bycia rozniecił kilka bójek z przejezdnymi handlarzami i pewnie właściciel karczmy przegoniłby go na cztery wiatry, ale płacił sownie i na czas, więc był dość cennym gościem. Wpadłszy w pijacką furję, wybił karczemne okna i rozciął toporem największą ławę w izbie. Był silny i mocny jak żubr, wystarczyło mu trzy razy zamachnąć się nad stołem, żeby rozłupać go jak orzech. Jaromir naprawiał wszystkie straty, Norman próbował hamować jego impulsywny charakter już u samego źródła. Gdy tylko widział ten diabelski błysk w oku przywódcy, zagadywał go rozmową, próbując namówić do jak najrychlejszego wyruszenia w kolejną podróż. Czasem udawało się zagadać Laabana na tyle skutecznie, że odprowadzany do swojego pokoju zasypiał na sianie, nie sprawiając problemów nikomu.

Uwielbiał zajadać się jagnięciną z kaszą i wątróbką z jabłkiem, cenił też słodkie placki z marmoladą. Lubił pić, jeść i głośno mówić, grzeszył też urodą. Pomimo tego że krzyczał i często chodził rozwścieczony, rotaczając wokół siebie aureę niebezpiecznego łotra, kobiety łąsały się do niego nader często, a on wiedział, jak wykorzystać ten urok -- gdy tylko wchodził do pomieszczenia, prostowały plecy, poprawiały włosy i rumieniły się im policzki.

Po pamiętnej nocy z blondynką już więcej jej nie spróbował, chociaż pijany wodził za nią oczami, czasem nawet się otarł ramieniem, jakby przypadkiem, ale gdy tylko przypominał sobie jej kościste uda i małe piersi, których kształty chowały się pod chłopskim ubraniem, przechodziła mu ochota na figle, jednak upodobał sobie inną dziewczkę, aż sam się sobie dziwił, że wcześniej jej nie zauważał.

Postawna kobieta, dużo starsza od poprzedniej, z piersiami rozsadzającymi suknię i szerokimi biodrami, w których można by ukołysać dziecko. Palce miała pulchne i niedługą szyję, jakby urwaną w połowie, na czubku której trzymała się krągła buzia z malutkim noskiem i nad wyraz wydatnymi ustami. Głowę okalały popielate włosy ni to białe, ni

to siwe, a czarne oczy patrzyły na świat, jakby były nim wiecznie zdumione. Nie przejawiała zainteresowania Laabanem, zajęta pracą ganiła gości, gdy brudzili w izbie. Najbardziej nie lubiła tych, co napici nie zdążają wybiec na dwór i wymiotują pod stołami. Przynosiła im wtedy wiadro z wodą, szmaty i nakazywała sprzątać po sobie. Wielu chłopom się to nie podobało i wyciągali ku niej rozwścieczone ręce, grożąc i wrzeszcząc, że od sprzątania są baby, tym bardziej karczemne. I podczas jednej z takich awantur Laaban wziął ją w obronę, wylewając wiadro z pomyjami na łeb jednego z najgłośniejszych krzyczących, a potem, gdy ciemną nocą przywódca zastał ją samą, jak przemierzała drogę z wychodka do karczmy, włożył jej rękę pod spódnicę i przyciskając ciałem do drzewa, zrobił to, na co miał ochotę już od dawna. Kobieta nie protestowała a i on, zatapiając twarz w ogromnych piersiach, ślinił je, mlaskając i mruczając, wykorzystywał sytuację do woli i choć wiedział, że wiekiem i urodą kobiecina do niego zupełnie nie pasowała, to używał sobie tyle, na ile mu pozwalała.

Aż nadszedł dzień opamiętania, bo kiedy wojownik za długo przebywa w jednym miejscu i ciała w bitwie nie ćwiczy, to zaczyna gorzknieć jak źle uwarzone piwo. Mięśnie słabną bez walki, a umysł zanurzony jedynie w trunkach i chętnych dziewczkach traci na bystrości, ze spojrzenia znika iskra waleczności, ręce słabną, a dumna i wyprostowana do tej pory pierś zapada się jak ziemia na torfowisku. Przywódca musi nieustannie podtrzymywać ducha walki w kompanach, prowadzić ich nocami pewnie, jakby umiał widzieć w ciemności, krzepić słowami i czynem, a ten, który jedynie oddaje się rozpuście, nie stanowi wzoru do naśladowania, więc kiedy Laaban któregoś dnia przechodził rankiem po podwórzu i dostrzegł w przydrożnym rowie unurzanego we własnych szczyinach i rzygowinach Normana, nie wytrzymał ze złości i podszedł do niego z taką agresją, jakby chciał mu obić twarz. Rudy zasłonił się ręką przed niewidocznym ciosem, zastawił ramieniem i trwał, ale Laaban potrząsnął nim tylko kilka razy, uderzając ręką w policzek, a gdy Norman otworzył czerwone z przepicia oczy, nie umiał utrzymać ich w miejscu. Przywódca zobaczył w nich siebie, a lęk, który w sobie poczuł, stał się

bardziej groźny. *Przecież oni robią dokładnie to samo co ja. Dlaczego mieliby zachowywać się inaczej? To ja jestem przywódcą, ja ich uczę i karmię, na mojej mądrości się opierają, więc gdy mi jej zabraknie, co mądrzejszy ucieknie, a głupszy unurza się w tym łajnie po uszy?* -- myślał nieprzerwanie.

-- Jaromir! Jaromir! -- wołał młodego, próbując ocucić Normana, ale przyjaciel znany ze swojej nadwagi był tak ciężki, że nawet Laabanowi, było trudno wyciągnąć go z rowu. -- Wstawaj durniu! Nie chcę, żeby ludzie o nas mówili, że jesteśmy pijacką bandą!

Norman nie odpowiadał, zabelkotał tylko coś pod nosem, że każdy chłop pije. Laaban strzelił mu w policzek z otwartej, mocnej dłoni, myśląc, że sam wstanie. Norman zacharczał obrzydliwie i nim Laaban zdążył zobaczyć mokre, oślinione i tłuste pijackie usta przy swej twarzy, już miał na spodniach ciepłe rzygowiny przyjaciela.

Norman przekręcił się na drugi bok i ani myślał, żeby się ruszyć.

-- Ty psi synu! Ty pijaku! -- Zdążył zakląć, nim pojawił się Jaromir.

-- Jestem! Co się dzieje? Co z nim? -- Chłopak wskazał na rudego, poprawiając pas od spodni, nad wyraz zdyszany, rozgarnął palcami czuprynę, którą zdobiły trzy suche liście. Wyciągnął je szybko i przyglądził włosy. Patrząc na przywódcę, zaczął zapinać guziki od koszuli, nagi nieowłosiony tors jak biała skała odbijał od siebie promienie, co rusz chowającego się za chmury słońca, podrapana do czerwoności szyja chłopca zaciekawiała rozmówcę.

-- Chciałem z tobą mówić. Zobacz, jak on wygląda, jak kupa łajna i jeszcze do tego przeraźliwie śmierdzi. Tylko je, pije, je, pije i rzyga.

-- No tak jak my wszyscy, Laabanie. -- Młody zarechotał jak żaba.

-- Gdzie nasze srebro i złoto? -- powiedział ściszym głosem, tak żeby nikt z przechodzących obok nie słyszał.

-- W lesie, zakopane jak zwykle. -- Młodzieniec wkładał kieszenie do środka spodni. Wyciągnięty na zewnątrz materiał przypominał królicze uszy. Poprawił nogawki od spodni, aż w końcu się wyprostował i stanął prawie na baczność.

-- Mapę masz? Sporządziłeś? Pamiętaj, że tam, dokąd wędrujemy, zawsze są rozległe lasy i pustkowia. Wszelakiego dobra i złota nie możemy trzymać w jednym miejscu, najwyżej rozkradną kilka skrzyń, ale nie wszystkie. Musimy pamiętać, gdzie co jest schowane, a najważniejsza mapa zawsze jest, ooo tuuu. -- Pokazał palcem na czoło. Najważniejszą mapą jest nasza pamięć, a na papierach też trzeba spisywać, jakby komu się pomarło.

-- Tylko nam już się trochę tych map narobiło. Niezdrowo z nimi tak chodzić. Jak ktoś nas napadnie... -- Laaban od razu mu przerwał.

-- A któż może nas pokonać chłopcze, znasz silniejszych?

-- To nas może pokonać. -- Kiwnął głową w kierunku Normana.

Mężczyzna wyglądał obrzydliwie. Upasiony brzuch wystawał mu ze spodni, wylewając się na ziemię, w długiej brodzie znajdowały się resztki rzygowin i pokarmów z nocnej biesiady, jeden skórzany but wisiał mu do połowy stopy, drugi leżał tuż przy głowie.

-- Dlatego ty, choć jesteś od niego dużo młodszy, nosisz je ze sobą, a drugą połowę map mam ja. -- Jaromir kręcił głową na znak, że mu się to nie podoba, wkładał koszulę w spodnie.

-- Coś ty taki zdyszany i rozmemłany, przecież nie piłeś tyle co my?

-- A bo sam wiesz, jak to jest... -- Zarumienił się nagle i na samą myśl o czymś, czego na głos nie wypowiedział, jego twarz się rozpromieniła, a wszystkie zmarszczki powstałe ze wzmożonego skupienia rozluźniły się w jednej chwili. Spodnie w kroczu nieznacznie się podniosły, Jaromir podrapał się po udzie równocześnie zakrywając przyrodzenie ręką.

-- Z babą byłeś? -- Laaban zaśmiał się, pytając patrząc w oczy młodzieńca, aż przygryzł wargi na wspomnienie o swej ostatniej puszystej dziewczce, której z rąk wypuszczać nie chciał, a czasem nawet spał przy niej dobrze, ale krótko.

-- Ano! Aleś mi przerwał i mnie tu zgonił.

-- Smakowała ci, czy tylko żeś umoczyć musiał?

-- W tak wielkim gnieździe to i sam jastrząb musiałaby przysiąc, a i nie ma mowy, żeby dobrze nie odpoczął.

-- Ale wiesz, młodziku, że baba babie nierówna. Ja to nie lubię ich chędożyć w kości, w mięsie wolę się zatopić dziko.

-- Wiem, wiem, Laabanie, sam mięś tego uczył, moja największa z całej karczmy, a jak ją na brzuch przewracam, to pośladki jej się trzęsą jak wzburzone jeziora przed burzą, tylko zatopić w niej chcę i głowę, i ręce, i wszystko inne a jak na plecy ją wywrócę, to cycki jej rozlewają się po bokach jak nieuformowane jeszcze z drożdży bochny chleba, tylko gniesć i lizać, aby od ciepła większe rosły. Ja żem młody, nie znam sztuki ciała, ale jak ona mię przyciśnie, jak każe usiąść, przygnieść, dotknąć, opluć, przystawić... Czasem nie wytrzymuję i kończę, nim dobrze zacząłem. Śmieje się ze mnie wtedy i mówi: "Chodź do mnie, mój synku, ja cię wszystkiego nauczę", i każe usta do piersi przystawić i ssać, jakby matka dziecko mlekiem poila, i mnie wtedy znowu ochota bierze, i tak w kółko mógłbym bez końca...

Laaban znieruchomiał. Jakieś chłopki obok nich przechodząc, pokazywały po sobie i wzrokiem, i palcami, a od śmiechów jednej chusta z głowy spadła tuż pod brudną nogę Laabana. Schylił się, żeby podnieść, i podając dziewczynie, otarł się o rzygowiny. Młódka widząc to, wyśmiała go głośno, zakrywając chustą usta, i pobiegła do swych koleżanek.

-- Co za wstyd! Ja, przywódca, unurzany w takim ścierwie! Nie może tak być!

Młody nawet nie zobaczył tego zdarzenia, oczy mu w kierunku lasu wyglądały, a ze spodni w kroczu robił się namiot. -- To mówisz, że wielka ta twoja baba? -- zapytał, kierując rozmowę na bardziej interesującą Jaromira tory.

-- Oj tak. -- Oczy mu się zaświeciły.

-- A jak wielka?

-- Całego mnie zasłonić potrafi, a nogami to i nas dwóch objąć by mogła, toż mówię, że to ta rumiana, starsza, większej chyba w tej karczynie nie wiedziałem. -- Laaban na te słowa jakby spochmurniał, słuch wyostrzył, zastrzygł uszami, brew ściągnął, a i nozdrza zaczęły mu cho-

dzić pod naporem wdechów jak u rumaka. Rozszerzały się i zwęźały, bliźna na policzku zaczerwieniła jak topiona stal.

-- To ta, co pieprzyk ma na policzku brązowy?

-- Nie brązowy tylko czarny -- odpowiedział z dumą. -- Żem na niego wczoraj patrzył, to wiem.

-- Nie może być, że to ta sama... -- Nabrał powietrza w płuca i jakby wypuścić ich z powrotem nie mógł, nadymał się jak duża ryba, a młody chłopak rósł w barkach, stojąc dumnie, ale nie mogąc ustać w jednym miejscu. Zachowywał się niczym porywczy, młody ogier. Rwał się całym sobą, żeby wrócić do lasu, a w Laabanie zawrzała zepsuta krew, oczy wypełniły się jakimś dziwnym zamgleniem, usta i pięści zacisnęły, jakby je ktoś żywicą skleił.

-- Coś mówiłeś? -- zapytał młody. -- Coś się wydarzyło, coś mam zrobić? -- dopytywał, przeskakując z nogi na nogę. Widać po nim było, że sprawę z babą ma jeszcze niedokończoną, cały czas drapał się po przyrodzeniu, chyba nawet nie wiedział, że to robi.

-- Nie, nic szczególnego. Chciałem sprawdzić, czy choć ty trzeźwy jesteś, bo Norman będzie dochodził do siebie ze dwa dni jeszcze.

Jaromir, zaskoczony odpowiedzią, rozluźnił powstałe w skupieniu zmarszczki na czole. Młodzieniec był na każde jego zawołanie, dobrze pamiętał, co dla niego zrobił, zawdzięczał mu całe swoje życie, każde słowo przywódcy było dla niego jak słowo ojca.

Czyli my we dwóch chędożyliśmy tę samą babę? Ja -- przywódca drużyny, odpowiedzialny za czystki czarownic i wiem wszelakich, najmężniejszy ze wszystkich, czujący w nozdrzach śmierć i stal, ten, o którego sile dzieci bajki sobie opowiadają, dzielił jedną babę z chłystkiem, który mu jest jak syn? Jedną i tę samą?

I choć dobrze wiedział, że nie ma o co się złościć, bo jak baba chętna, to komu chce, da swe wdzięki, a tym bardziej te, co na posługach, których zadaniem jest na dłużej wędrowców w karczmie zatrzymać dla pieniędzy. Zostanie taki, będzie musiał zjeść, napić się i wyspać, choć kwatery obskurniejsze i dużo gorsze niż miękkie i pachnący mech w lesie, to ciągnie jednego z drugim do ciepłych i miękkich ciał a gdy jeden z dru-

gim po ciężkiej pracy, to jeszcze bardziej się chce odpocząć w kobiecie. *Tylko czemu tak mnie kłuje serce! Jedną babę z synem? Toż to niegodne mej chwały i splendorów!, a może i Norman ją ruszał?* Spojrzał na śpiącego w rowie przyjaciela i nic więcej już mu do głowy nie przyszło aniżeli setki wyzwisk i przekleństw.

-- Powinienem mieć babę najlepszą, a nie ścierwo, co się do każdego klei! -- Teraz już mówił sam do siebie, wracając do swoich czterech ścian, w których tylko, brud, myszy i cuchnąca ludzkim potem słoma. -- Cóż to dla mnie za wstyd, co ludzie gadać o walecznym Laabanie będą, że pijaczysko i rozpustnik, co jedną babę z trzema dzieli!?

Splunął z obrzydzeniem na podłogę, jakby wypluć pogardę chciał z siebie. Usiadł więc na słomie i wzrokiem przemierzał ciemne zakątki pokoju. W uszach poświstywał wiatr i słowa jak małe kłębiące się stada owiec. *Gdzie jest Tove?*

Żądliły go wspomnienia, miejsca dla nich znaleźć nie umiał, odkąd bowiem przytulił tę dziewczynę do piersi, nie lubił przy niej wracać myślami do zbójeckiego życia.



11.

Gdzieś na skraju czasów

Chodziła po lasach i polach, w nieznane, tam, dokąd oczy ją niosły a że przez kilka dni ludzkiej duszy nie widziała, to i uspokoiła się sama w sobie. Aż zawędrowała do prastarej puszczy, w której rosły lipy tak ogromne, że swym majestatem przypominały prastare dęby, i postanowiła choć przez chwilę w niej zostać. Siadywała w cieniu olszy czarnej w dolinach łągowych, piła wodę z zimnych strumyczków, zbierała korzenie oraz liście komosy białej, która pozwalała jej przetrwać w tym trudnym czasie.

Gdy tylko pojawiała się nieopodal jezierek, szukała wzrokiem pałek wodnych, której wiosenne pędy jeszcze niezdrewniały i włókniste jadła surowe bądź razem z ich korzeniami gotowała na ogniu w jedynej, jaką miała metalowej misce. Pewnego ciepłego poranka, kiedy słońce przebiło się przez chmury, znalazła marchew zwyczajną, a straciwszy raczkę czasu, właśnie po jej dojrzałym korzeniu wiedziała, że do pełnego lata pozostało zaledwie kilka dni. Najbardziej lubiła siadywać w cieniu krzewów i drzew porośniętych dokoła leśnych oczek wodnych. Rozkładała wtedy sarnią skórę, kładąc się na niej tak, aby choć przykryć nogi, i nasłuchiwała dźwięków kumaków, rzekotek i zielonych żab, które nad wodami tworzyły melodyjne chóry godowe. I tak pewnego dnia zasnęła nad stawikiem, a że nie zdążyła przygotować odpowiedniego schronu, najczęściej przykrywając się gałęziami albo liśćmi, usadowiona w niewielkiej grocie albo ziemnym dole, usłyszała gdzieś z oddali głosy ludzkie.

-- Tu straszy! Ona tam gdzieś pływa. Ryby ją zjadają, podszczypują z każdej strony, płyną rzekami do wielkich jezior, a potem my je łowimy i zjadamy. Ta rodzina z białej chałupy się nie bała i ryby jadła, mówiąc,

że bujdy jakieś rozpowiadamy, a zeszłej niedzieli piorun w chałupę strzelił i spaliła się cała. Zdążyli w porę uciec i teraz nie wiadomo, co z nimi robić, bo może te ludzie to już przeklęte.

Tove szybko zebrała swoje rzeczy i schowała się za sitowie. Buty unurzała w bagnie, ale nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, za krzewami słuchała uważnie.

-- Skoro ryby przeklęte, to i woda jest zatruta! Tylko patrzeć, jak niedługo zdychać wszyscy zaczniemy, mój pies jej pić nie chce, krowy mleko z krwią dają, a sok z brzozy w tym roku był słony, a nie słodki jak zawsze!

-- Trzeba oczyścić -- odezwał się drugi głos, ten jakby niższy, kobiecy.

-- Głupia jesteś!? Jak oczyścić? Kto tam wlezie w to jezioro, trupa na łódź wyciągniesz? Mówią, że nad tymi wodami cały czas mgła się unosi, a i ducha tej baby w szuwarach widziano, jak ryby wprost z wody wyciągała i prosto do ust wsadzała, a że duchem jest, nie człowiekiem, to przełatywały przez jej przezroczyste suknie i z chlupotem powtórnie do wody wpadały. Rozumiesz?

-- Trzeba jej duszę uspokoić, inaczej nie idzie żyć.

-- No nie idzie! Trzeba będzie wioski zmieniać, tylko gdzie tu iść, jak rzeki podobno wszędzie do tych samych jezior prowadzą? Gdzie? I kto to zrobi? Żeby czarownicę ubić, to wiadomo o kogo prosić, ale jak jej życie odbiorą tak, że spokoju dusza nie zazna, to po chuj taka robota!? To nie robota tylko oszustwo! Tfuuu, psia mać! -- Mężczyzna zaklął siarczyście, a Tove nadal słuchała.

-- I co teraz poczniemy?

-- Nie wiem! Tylko jakiś cud może nas uratować! Chodź już, babo! Czas na nas, dzieci trzeba dopilnować, tylko co z tą wodą, ta ze studni pewnie też zatruta?

Cholerny czas, nie wiem, dokąd iść i co robić -- myślała Tove, znów przysiadłszy na skórze. Ludzie tu chodzą znaczy jakaś wioska niedaleko, a może bym ja o pomoc te dwa światy prosić mogła? Jeżeli czuję kości zwierząt i dusze ich odprowadzam, a i cienie z zaświatów do mnie przychodzą, to może bym i swoim pramatkom pomogła? Gdzież

jest ta niewidzialna linia pomiędzy tym, kim jestem, a kim bym być chciała? Czy ja sama stworzyć się nie umiem, czy ktoś z góry nakazuje mi żyć według innych prawideł? Jestem kobietą, nie wiem, czy matką, byłam kochanką, jestem wygnana i niekochana, więc czemuż nie mogłabym spróbować? Cóż mam do stracenia? Najwyżej i po mnie poławiacze przyjdą, przecież nie mogę cały czas sypiać w lasach, a co zrobię jesienią, mroźną zimą? Igliwia się najem i zasnę w niedźwiedziej bursie? Cóż robić?

Złapała się za kościany wisior, tym razem nie przyszły do niej cienie, ani głosy wszelakie, oczy też bielmem nie zasły, a jedyne, co czuła, to ból piekący w miejscu ran na łydkach i szept serca. *Duchy przodków nie lubią rozlewu krwi...*, a skoro nie lubią, to czym ich karmić, spokojem?

Już podjęła decyzję. Nie zajęło jej to wiele czasu, miała do stracenia tylko swoje życie, na które nikt nie czekał. Wielokrotnie kładła ręce na brzuch i prosiła wszechświat o jakiś znak. Dziwna to była świadomość, żeby mieć na świecie siostrę, której tak naprawdę nie było. Czas płynął, zdarzenia przybierały dziwny obrót, jakby ktoś jej powiedział, kilka miesięcy temu, że straci dom i rodzinę, nie uwierzyłaby. Odparłaby, że babka czarami ich całą czwórkę ochroni.

Im bliżej podchodziła do wsi, tym mocniej czuła jakiś dziwny niepokój. Narastał z każdym krokiem, pachniał jak czarna, zatęchła plama krwi. Gdy tylko przeszła przez bramy miasta, zgromadzeni na dziedzińcu obrzucili ją spojrzeniem. Nie miała tu przychylnych sobie, przecież wchodziła zupełnie obca do małej, wystraszonej zabobonami społeczności. Od razu obeszły ją cztery psy, ale nie szczekały. Obwąchały jej nogi i ręce, które łagodnie na znak pokoju wyciągnęła w ich kierunku, zwierzęta tylko skuliły ogony i uszy po sobie. Gdzieś posłyszała kwilenie dziecka, nagle zrobił się zamęt. Głosy ludzkie przechodziły jeden przez drugi, kobiety dziwnie odwracały głowy, mężczyźni wręcz przeciwnie, zrobiło się jakieś zamieszanie, starszce stojącej nieopodal rozsypał się worek z ziemniakami, starsze dzieci przechodzące obok zamiast pomóc jej pozbierać warzywa, zaczęły kopać je byle dalej, ziemniaki turlały się jak zabawki, a one śmiały się przy tym, dopóki nie przybiegł jakiś czło-

wiek z przekleństwami na ustach. Najpierw zbeształ dzieci, a potem kazał pomóc w zbieraniu.

Tove stała nieporuszona, paraliżował ją wzrok obcych ludzi, czuła go na sobie z każdej strony. Wiedziała, że z każdą sekundą milczenia jej pozycja słabnie, musiała w końcu zareagować, czuła gdzieś w sobie, że mimo wszystkich przeciwności, należy wykonać jakiś krok, że musi wznieść się ponad to wszystko i zacząć radzić sobie samej.

-- Słyszałam, że mnie wzywaliście. Słuchy o zatrutej wodzie rozeszły się po miastach i wsiach. Jestem tą, która może wam pomóc -- mówiła z taką pewnością, jakby robiła to codziennie, a mimo to się bała.

Spotkało ją milczenie. Tove nie przewidziała takiego obrotu spraw, więc pokonując swój lęk przed nieznanym, kontynuowała:

-- Duchy przodków nie lubią rozlewu krwi, a ja jestem po to, żeby go nie było. Wszystkimi kośćmi, niezależnie od tego czy są ludzkie czy zwierzęce, należy się odpowiednio zająć, pamiętajcie, że to właśnie kości dźwigają duszę i ciało, więc należy im się szacunek. Dopóki nie zostaną odprowadzone do świata cieni, nie będzie spokoju. Jak długo to ciało leży na marach?

-- Ono nie leży -- krzyknął ktoś z tłumu.

-- W wodzie dalej pływa, każdy się boi ręką po nie sięgnąć! -- inny głos dokończył.

-- Choć widać je z brzegu? -- zapytała dziewczyna, ale odpowiedziała jej cisza. -- Widać je czy nie?! -- Zmarszczyła czoło, skupiając wzrok na ich zmartwionych twarzach. Ludzie coraz śmielej wychylali się jeden z drugiego ale żaden z nich nie zabrał głosu. -- Prowadźcie mnie do jakiej izby, dajcie napitku i schronienie, ale niczego za darmo nie zrobię. -- Wyciągnęła ku ludziom wskazujący palec i przejechała nim w powietrzu, tak aby każdy z przybyłych myślał, że mówi bezpośrednio do niego. -- I przyślijcie do mnie najstarszego z wioski, tego, który posłuch wśród was ma najlepszy i o życiu wie najwięcej. Kto w wiosce najważniejszy?

-- Młynarz! -- krzyknęli prawie chórem.

-- To niech i on przyjdzie. -- Dotknęła kościstego wisiora, a gdy rękę od niego odrywała, zatrzęsł się przed ludźmi, jakby jaka niewidzialna

ręka nim podrzuciła. Gnat za gnatem uderzyły jeden o drugi, zachręściły tak głośno, że aż sama Tove podskoczyła z niedowierzaniem.

Ludzie jeszcze przez chwilę stali nieporuszeni, lustrowali ją wzrokiem, zastanawiając się, co zrobić, narastało między nimi jakieś dziwne napięcie, nic naprężała się z wielką mocą, jakby zaraz miała pęknąć, ale nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

-- Proszę za mną -- powiedział mężczyzna, który najgłośniej krzyknął. Chciał od niej zabrać torbę i skórę, która już ciążyła na chudych rękach, ale jednym mocnym gestem dała mu znać, żeby jej nie ruszał.

Zaprowadził ją do szopy połączonej ze stajnią. Drewniany budynek mieścił dwa piętra. Na samym dole znajdowały się pomieszczenia dla koni, było ich niewiele, zaledwie pięć boksów. Siwa klacz parsknęła głośno, dając tym samym znak innym koniom, żeby miały się na baczności, odrzuciła białą grzywę na bok tak dostojnie, jakby była dumną i pewną siebie królową, wypełnioną honorem i godnością. Wysoko podniesiony łeb z piwnymi rozstawionymi po bokach oczami obserwował całe zgromadzenie. Ludzie weszli do stajni tłumnie i posadzili Tove na dużych, drewnianych, zimowych saniach, które stały w przejściu pod samą ścianą. Dziewczyna była trochę zaskoczona miejscem, do którego ją przyprowadzili. Myślała, że ugoszczą ją w jakiejś izbie, podobnie jak zrobił to Wolmir, ale widocznie nie ufali jej tak jak poprzedni ludzie. Położyła skórę na siedzisku, materiałową torbę z całym ekwipunkiem w nogach tuż obok siebie. Starła się suknią zasłonić rany na łydce, gdyby ktoś je zobaczył, mogłaby wzbudzić niepokój, a przecież nie o to chodziło. Ludzie obeszl ją dookoła, ustawiając się w czymś, co przypominało okrąg, ale gdy tylko usłyszeli słowa rozeszli się natychmiast.

-- Kim jesteś? -- Zgarbiony starzec przeszedł przez zgromadzonych. Szedł wolno, krok za krokiem, podpierając się na bukowej laseczce, drugą ręką zasłaniał korzonki. Jego głowa była prawie łysa, z kępkami pozostałości po czymś co mogło być kiedyś włosami, zdobiły ją również starcze, brązowe plamy występujące na trzęsących się rękach i nadgarstkach. Starzec doczłapał do sań, stanął naprzeciw Tove i wymierzył do niej z laski.

-- Wiem o tej wiosce od napotkanych ludzi, wieści szybko się niosą, więc mogę wam pomóc, ale będzie mi potrzebna jeszcze jedna osoba, najlepiej silny mężczyzna. -- Pośród ludzi zrobił się gwar, szeptali między sobą, starzec nadal milczał. -- Nie jestem czarownicą ani zwykłą kobietą jestem kimś pomiędzy -- powiedziała i zeskoczyła z sań. -- Jestem piastunką kości i mogłabym wam pokazać, na których gałęziach opuściły ciała dusze wisielców! -- podniosła głos. -- Myślicie, że chcę je widzieć? Potrzebowałam zajęcia, szukałam go sobie na siłę, tkalam ubrania na krosnach, sprzedawałam jajka i mleko, a i tak zawsze je widziałam, jak przechadzają się nieproszone, niechciane, jak przypadkiem wymiatane są przez gospodynie za progi domów -- szare cienie, słyszałam ich szepty i nawoływania.

-- Ja z tobą pójdę -- usłyszała mocny głos za swoimi plecami. Gdy się odwróciła, dostrzegła niewysokiego mężczyznę, przedzierającego się przez tłum. Ludzie się rozstąpili, mężczyzna podszedł do niej pewnym krokiem, a Tove poczuła, że tymi słowami zjednał jej przychyłność ludzi i dał przyzwolenie na działanie. -- Mam dla ciebie świeże bułki ze słodkim twarogiem i butlę ciepłego jeszcze mleka. -- Wyciągnął podarunek ku Tove. Włosy i brwi miał przyprószone mąką, tak samo jak ręce. Oczy, dziwnie jasne, mogłyby rozświetlić każdą noc, a i skóra nad wyraz biała przypominała raczej ducha niż ludzkie ciało. Pachniał zbożem wypalonym od słońca i wiatrem znad rozlewiska. -- Będiesz spała na strychu, cały jest wyłożony sianem -- powiedział twardo, wskazując ręką ku górze. -- Kiedy chcesz wypłynąć?

Dziewczyna szukała myśli, ale przyszły szybko.

-- Najlepiej jutro, ciało trzeba będzie osuszyć, im szybciej wyciągniemy, tym lepiej. Będzie mi potrzebne ususzone ziele piołunu, szałwi, lawendy, wrzосу i igieł sosnowych, potrzebne też będą nosze, jeśli ich nie macie, to zróbcie przez noc. Wystarczy przewiązać siatką albo jakimś materiałem dwie dość dużych rozmiarów gałęzie. Nie wiem, w jakim stanie jest ciało, nie wiem również, jakiej postury była, chuda czy raczej gruba.

-- Będzie jeszcze ktoś potrzebny? -- zapytał młynarz.

-- Nie, im mniej osób, tym lepiej, poradzimy sobie we dwoje, ach... -- zwróciła się do tłumu: -- ...proszę również o korę brzozy i korzeń pokrzyku.

Odprowadzali ją wzrokiem, kiedy młynarz pokazywał jej, gdzie jest wejście na strych. W szopie nie było schodów, a być może już dawno zmurszały. Żeby wejść na piętro, musiała postawić stopę na zwykłej drabinie, której jeden koniec opierał się na podłodze, a drugi na daszku strychu. Drabina stała tuż przy saniach, ale początkowo Tove nie zorientowała się dlaczego. Kiedy już weszła na górę, zobaczyła, że siano jest rozłożone w dość dużym nieładzie, ale na całej powierzchni. W jednym miejscu było go więcej, w innym mniej, zajmowało całą kondygnację, ale nie miało to żadnego znaczenia w porównaniu z tym, jaki wydzielało zapach... Tove aż zakręciło się w głowie od tych wonności, jakby ktoś zmieszał zieloną trawę ze świeżo zerwanym mleczem. Delikatnie, jakby szła po izbie wyściełanej jedwabiem, stawiała krok za krokiem, a siano odpowiadało jej delikatnym trzeszczeniem. Zapach siana przypominał spokojne, słoneczne popołudnie w małej wsi, brakowało tylko treliskowronków gdzieś w oddali.

-- Twój plecak i skórę, gdzie mam położyć? -- Tove nawet nie zauważyła, że mężczyzna podążał za nią.

-- Gdziekolwiek -- powiedziała skromnie.

-- Mówiłem ludziom, że mają tu do ciebie nie wchodzić, żebyś się nie przestraszyła. Jak będziesz szła spać, wciągnij drabinę na górę, wtedy będziesz miała pewność, że nocą nikt się nie zakradnie, podejrzewam, że nikomu nie będzie się chciało.

-- Dobrze, zrobię tak. Dziękuję za pomoc.

-- Teraz nie wyglądasz na zbyt pewną siebie. Już kiedyś to robiłaś?

-- Nie rozumiem pytania. -- Dobrze wiedziała, o co chce ją zapytać, ale próbowała tylko zyskać na czasie.

-- Czy już kiedyś zajmowałaś się odprowadzeniem dusz?

-- A twój młyn cały czas miele ziarna? -- zapytała.

-- Gdybym przestał, nie byłoby mąki ani chleba.

-- No właśnie.

-- Tylko że jak woda nieczysta, to niedługo tego chleba nie będą chcieli jeść -- mówił, nie patrząc na rozmówczynię, uciekał wzrokiem.

Tove patrząc na niego, zastanawiała się, ile może mieć lat? Wysoki, szczupły mężczyzna, z trzema poprzecznymi zmarszczkami zdobiącymi czoło, dwoma bruzdami przy ustach i ponad brwiami, uśmiechał się w lekkiej zadumie. Włosy krótko przycięte koloru pszenicy, mocne i gęste, lekko opadały na oczy, rozgarniał je ręką albo mocnym machnięciem głową do tyłu.

-- A ty wierzysz im? Dajesz wiarę temu, że jedno ciało jest w stanie zatruć wodę? -- pytała go podchwytliwie, moszcząc sobie wygodne miejsce w sianie. -- A co, pierwszy raz w wiosce macie topielca? Ilu pijanych wieśniaków utopiło się w jeziorach i rzekach, i co? I wtedy też trzeba było oczyszczać?

-- Ale to nie jest człowiek! -- Młynarz natychmiast się obruszył.

-- Tylko kto?! -- Tove stanęła w obronie. -- Czarownica, wiedźma, leśna baba, zielarka, możesz ją nazwać, jak chcesz, przecież ta kobieta to też człowiek! A co, ona z krowim ogonem się urodziła? Nawet jeśli, to czy ten ogon w czymś przeszkadza? Nie sika, nie sra, nie je, dzieci nie rodzi? Gdzie jest ten problem, o którym mówisz?

Mężczyzna przez chwilę milczał, wywracał oczami, szukał w sobie słów.

-- Przecież krowy w naszej wsi dają krew zamiast mleka!

-- Może chore są! Czasem i człowiek z krwią sika, nie wiedziałeś o tym?

-- W wiosce straszy! Młyńskie koło mi się zacina, turbina wodna równo nie pracuje, a woda przepływa tak samo! Zbiorniki nie wysychają, bo to jeszcze nie pełne lato, więc czemu? Całe życie miałem i oddycham kurzawą, a nigdy przez nią nie kaszlałem, a teraz płuca mnie zatykają! Pić dużo muszę, a skąd wody? Mleć trzeba delikatnie! A chłopcom moim ręce trząść się zaczęły, lin trzymać nie mogą, maszyn ustawiać, a młode są, nie przepite jeszcze, więc skąd ta trzęsiawa w nich? Skąd? Ostatnio kamień młyński pękł na moich oczach! Gruby jest jak moje udo, nie było żadnej ku temu sposobności, ot tak sobie, pękł jak szyba. Umiesz mi to

wytłumaczyć? Ludzie boją się, a i ja nawet zaczynam. Wieś się wyludni, to i młyn racji bytu mieć nie będzie! A ty co? Chcesz mi coś wmówić? To po coś tu przyszła? -- W młynarzu zagotowała się krew.

-- To, co teraz słyszę, to już zupełnie inna prawda. Jeśli woda jest trucizną, to dzikie zwierzęta by trupem padały, bo oczko wodne w samym sercu lasu jest, z tego, co mówicie. Skoro bydło domowe trupieje, to chore być musi.

-- Ale kamień pękł! -- powtórzył, myśląc, że dziewczyna nie słyszała.

-- Tak, bo jeśli dusza zmarłej spokoju nie zaznała, to może go szukać nawet w twoim młynie. Dusza ludzka od tej czarowniczej niczym się nie różni, z tym, że ta pierwsza może mieć w sobie więcej dobrych uczynków. Ludzkie też po śmierci straszą, jak spokojnego pochówku nie miały! Takie dusze są jak młyn bez mąki, możesz próbować wszystkiego, drzwi i okna ryglować, szafwią palić, kozieradką, maciejką, dusze odejdą na chwilę, a potem i tak wrócą, bo szukają pomocy, one nie są jak miłcząca obecność, z nimi trzeba zostać na chwilę bez pośpiechu, trzeba się pożegnać. Jestem łącznikiem pomiędzy tym, co ziemskie, a tym, co niewidzialne dla ludzkiego oka -- mówiąc, trzymała kościany amulet.

-- O której jutro wyruszamy? -- młynarz zapytał, jakby specjalnie chciał zmienić temat.

-- Skoro świt, zanim jeszcze kogut zapieje. Wystarczy, że mnie zawołasz, na pewno usłyszę. Tylko musisz dopilnować, żeby ludzie zrobili nosze i przygotowali zioła, bez tego nie mamy po co iść.

-- Dobrze, zadbam o to.

-- A teraz już idź, chcę położyć się spać, choć na chwilę.

-- Ale jak ją wyłowimy? Przecież potrzebna jest nam łódź?

-- Ach! -- Tove położyła dłonie na otwartych ze zdziwienia ustach. -- Zapomniałam o tym, i co teraz? Przez noc nikomu nie będę kazała jej nosić, zresztą baliby się nawet podejść do tego jeziora. Pójdziemy jutro tylko z noszami, może pływa gdzieś przy brzegu, a jak będzie za daleko, to wrócimy z łodzią na drugi dzień. Na dziś już wystarczy, niech ludzie tylko przygotowują to, o co prosiłam.

Kiedy młynarz odszedł, Tove natychmiast wciągnęła drabinę na górę. Odczuwała niepokój, ale nie przed jutrzejszym zadaniem, tylko przed ludźmi. Dusza, którą chce się odprowadzić do świata zmarłych, może tylko podziękować, natomiast człowiek jest zupełnie nieobliczalny. Potrafi się uśmiechać, mówić piękne słowa, a w głębi siebie tylko czeka, aż się komuś noga powinie. Tylko ludzie potrafią być tak przebiegli, dusze chcą tylko jednego -- spokoju.

Zjadła ze smakiem drożdżówkę i pomyślała, że ktoś, kto swymi dłońmi jest w stanie wykonać tak pyszne pokarmy, nie może być złym, a kto inny, kto potrafi ścisnąć tak delikatnie krowie wymiona, żeby popłynęło z nich mleko, też musi pielęgnować w sobie choć odrobinę dobra. Pierwszy raz od dłuższego czasu zasypiała w pełni syta, nasłuchiwała leśnych puszczyków i świerszczy, które już zbudziły się do wieczornego grania, a gdy zrobiło się już całkiem ciemno, patrzyła na gwiazdy przez dziury w dachu. Przecież dokładnie te same jakiś czas temu świeciły dla niej i Wilczana, a teraz? Kochanka nie ma, a gwizdy tak samo pięknie świecą i przypominają o zupełnie innym, tak odległym czasie.

Co teraz się z nim dzieje? Czy kto inny całuje mu ręce i patrzy z nim na gwiazdy? Czy ma co jeść, czy choroba się jakaś do niego nie przywlekleła? Czy mnie wspomina choć czasem, a może już zapomniał o naszych nocach? Czy byłam jedną z wielu, czy tą, której się nie wspomina? Co teraz robisz Wilczanie? Jak mogłeś mnie tak skrzywdzić? Niczego nie obiecywałeś, a jednak twoje odejście było jak zimna woda wylana na rozżarzone węgle. A ty, maleńki pierwiosnku, przebijający się przez skutą do niedawna lodem ziemię, jesteś jeszcze we mnie czy też nie? -- myślała patrząc w niebo i głaszcząc ręką brzuch. Siano pachniało zeszłorocznymi sianokosami, przykryła się skórą sarny i zrobiło jej się tak ciepło, jakby sam promień słońca ułożył się z nią do snu.

Coś jednak się zmieniło, gdy z trudem otworzyła oczy. Nie przyśnił jej się żaden sen, pogrążyła ją bezpieczna ciemność. Po przebudzeniu wróciła do niej świadomość i przypomniała sobie, gdzie jest, myślała już tylko o swoim zadaniu, więc gdy usłyszała głos młynarza, związała włosy

w gruby warkocz zasupłany sznurkiem wyciągniętym z torby i szybciotko spuściła na dół drabinę, by już po chwili znaleźć się obok mężczyzny.

Dziś wyglądał lepiej niż wczoraj, nie był oprószony mąką, a i zmarszczki na jego twarzy się wyprostowały. Trzymał w rękach butelkę mleka i kilka drożdżówek z makiem. Już na sam ich widok Tove zaczęła się uśmiechać. Obejrzała nosze, była bardzo zadowolona, wyglądały na solidne, ktoś, kto je robił, przyłożył się mocno do pracy, a i zioła zapakowane w oddzielne duże wory, bo na woreczki nie wyglądały, wprawiły dziewczynę w zachwyt. Spakowali prowiant w plecak Tove, który młynarz założył sobie na plecy, a ogromne pakunki z ziołami położyli na nosze, jak rannego, bo brakło im rąk, aby je nieść. Każde z nich chwyciło swoją stronę leżyska, młynarz dwa drewniane kije z przodu, dziewczyna z tyłu, i pomaszerowali.

Kilkukrotnie gubili drogę, młynarz prowadząc, sugerował się zasłyszonymi opowieściami wieśniaków. Jedni mówili, że oczko wodne jest tuż przed mokrymi terenami, inni, że zaraz za nim, a i tuż nad ranem krążyły pogłoski, jakoby wyszło na wieść o tym, że pojawił się ktoś, kto chce duszę czarownicy w zaświaty odprowadzić. Gdy już stąpali po mokradłach, strach ich obleciał, że ziemia się pod nimi zapadnie, a gdy stopy stawiali na suchym gruncie, że rozpęknie się pod naporem i wpadną w szczeliny świata. Czasem przystawali, bo czuli jej drzenie. Tove mówiła, że korzenie drzew z ziemi wychodzą, ale nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Wszystko to razem przyspieszało oddech młynarza, ale Tove powtarzała mu cały czas, że kogoś, kogo mąka się słuca i potrafi z niej chleby rodzić, zło się nie trzyma, więc szedł, posłuszny jej słowom, bo cóż innego miał robić.

Po długiej wędrówce byli już nieco znużeni, więc przysiedli na urwisku leśnym i nareszcie zjedli śniadanie. Bułki były miękkie o słodko słonym posmaku, mak chrząścił między zębami przyjemnie, a mleko smakowało jak słodka śmietana. Patrzyli z góry na polankę i budzący się do życia las, zioła pachniały najznamienitszymi wonnościami. Młynarz opowiadał, dlaczego poranek jest jego ulubioną porą dnia, podobno

mąka wtedy w młynie pachnie zupełnie inaczej niż ta mielona popołudniem, a smak wypieków domowych różni się od tych wyciąganych z pieca nad ranem. Te pierwsze są bardziej gorzkie w smaku, napełniają brzuchy tych, którzy wyruszają do pracy w polu czy lesie, a te drugie są o wiele słodsze, bo mogą spokojnie przeleżeć noc. Kiedy wracał nocami do domu, starał się przemykać przez wieś tak, żeby nie robić hałasu, nawet jak pił i nogi myliły kierunki, a głos z gardła sam wychodził, bo chciał śpiewać, dobrze wiedział, że sen ludzki to rzecz tak samo ważna jak dobrze wypieczony chleb. Jak chłop niewyspany, to słabo pole wyorze, a jak baba słania się na nogach, to dzieci nie upilnuje.

I prawil młynarz te swoje zwyczajne prawdy, które Tove bardzo się podobały, bo nie znała ich ze swojego życia. Daleko jej było do gwarnej wsi i ludzi, przypomniła sobie o spokoju i tajemnicy, która mieszkała w ich domu... No właśnie, w domu, którego nie miała. Jeszcze tak do niedawno były cztery kobiety, dzieliły te same kąty i powietrze, a w niespełna jeden wieczór została tylko jedna... Przeszło jej przez myśl, żeby wrócić i poszukać babci, ale najpierw musiała wykonać zadanie, którego się podjęła, bo wszystkie swoje sprawy trzeba prędzej czy później doprowadzić do końca, więc gdy słońce ostrzyło promienie, czas im było iść dalej.

I w końcu doszli do olbrzymiego oczka wodnego, dookoła swych nierównych brzegów obrośniętego trzcina, trawą i tatarakiem. Tove najpierw odgarniała zielicho ręką, ale coś mówiło jej, że zarośla bronią wejścia do wody, więc wycofała się, wzięła kilka głębokich oddechów i postanowiła obejść je dookoła, szukając najwygodniejszego zejścia. Nosze ciążyły wędrowcom już dosyć mocno. Ręce Tove, nieprzywykłe do nadmiernego dźwigania, zaczynały boleć, mięśnie kurczyły się, a przez kości wewnątrz palców przechodził dziwny chłód, który utrudniał mocne chwytanie. Tove jednak w przeciwieństwie do młynarza, na którego twarzy rysował się strach, nie bała się zupełnie. Czuła, że w jeziorzku panują siły, które znała od pokoleń. Prędzej przestraszyłaby się ludzi z wioski, aniżeli tajemnic ukrytych w głębinach.

-- Jest. Zobacz tam, w oddali -- powiedziała do mężczyzny, kładąc swój koniec noszy na ziemi. Ten uczynił dokładnie to samo, wytarł pot z czoła i wyostrzył wzrok. Na niewielkim pagórku stał drewniany dom, który okalał spróchniały płot, na którym powbijane były zwierzęce i ludzkie czaszki. Przeszedł go dreszcz.

-- Myślisz, że to jej dom? -- zapytał dość niepewnie.

-- A ty chciałbyś tu mieszkać? -- Zaśmiała się, zdejmując buty.

-- Co robisz? -- Młynarz w końcu spojrział w stronę Tove.

-- Przecież będziemy musieli wejść do wody, a to są jedyne buty, jakie mam, skóra, z której są zrobione, długo schnie. Nie mam zamiaru ich stracić.

-- Nie boisz się? -- Młynarz był wyraźnie zdezorientowany. Widok domu leśnej baby, a może raczej trupich czaszek, wywołał w nim emocje, nad którymi nie umiał zapanować. Trzęsły mu się nogi i ręce, nawet usta zaczęły drżeć.

-- A czego? -- Podeszła do trzciny i przedarła się przez nie. Nabrała wody w dłonie i obmyła twarz ze zmęczenia. Odrywając od siebie powieki, spojrzała na trzciniowisko. Pałki wodne, delikatnie muskane przez wiatr, obijały się o siebie, wydając przyjemny szeleszczący pogłos, spojrziała na stopy, niewielkie płotki uciekały przed nią z popłochem. -- No chodź do mnie -- wyciągnęła ku młynarzowi rękę -- ta woda nie gryzie. - - Zachichotała. -- Zobacz, tam w oddali jest dość przyjemne zejście. Nie jest aż tak mocno zarośnięte. Chodź -- nie czekając na jego reakcję wyszła z szuwarów i podążyła w wyznaczonym kierunku, a kiedy już stała bosymi stopami w wodzie po kostki, znów zawołała go do siebie, jakby jej głos miał go ośmielić. -- Czy widzisz to co ja? -- Zmąciła w jednym miejscu taflę wody nogami, podeszła kilka kroków dalej, trzymając suknię w rękach powyżej kolan, podwinęła ją jeszcze wyżej, teraz już woda sięgała jej w pół uda -- widzę z tej odległości swoje stopy zanurzone w wodzie... Jest krystaliczna i czysta, nadal twierdzisz, że jest zatruta? -- Młynarz stał na brzegu i nie wydobył z siebie nawet najdrobniejszego dźwięku. Zdjął buty, spodnie i wszedł do wody, podążając za Tove. -- Ubzduraliście sobie, że to jest zatrute źródło, a co do duszy zmarłej, to

prawda. Trzeba będzie ją odprowadzić. Tam jest. -- Wskazała ruchem głowy w odległy zakątek jeziora, na powierzchni unosiła się niewielkich rozmiarów szara szmatka, ale z ich odległości nie można było stwierdzić, czy to jest pływający śmieć, czy leśna baba.

Młynarz, gdy tylko zobaczył znalezisko, krzyknął w niebogłosy i czym prędzej wyskoczył na brzeg, a Tove poczuła, jak kościany wisior porusza się na jej piersiach, jak oczy patrzące na niezmaconą, krystaliczną tafłę jeziora zachodzą bielmem, więc znów ochlapała się wodą, a gdy łapiąc oddech, spojrzała w niebo, zobaczyła ogromnego czarnego kruka, który przeleciwszy tuż nad jej głową, z głośnym, dudniącym krakaniem poszybował w kierunku unoszącego się na wodzie tobołka. Patrzyła na niego długo, aż odezwały się w niej słowa babci, które słyszała, będąc małą dziewczynką: *Pamiętaj kruk to jedyne zwierzę, które jest w stanie zastraszyć sokoła.* Dumny, tajemniczy i pewny siebie odleciał, a Tove, zupełnie nie wiedząc czemu, kierując twarz w kierunku nieba, zaczęła śpiewać:

*Od niepamiętnych czasów
błogosławieństwo pokoleń
jest zapisem niesionej w ciele opowieści,
która jest dla ciebie,
a nie przeciw tobie...
Jeśli więc myślisz,
że nie powstaniesz już z kolan,
złóż swoje życie
pod opiekę Wielkiej Matki,
której serce jest naczyniem
gotowym przyjąć twój lęk,
by uzdrowić duszę
z więzienia udręki.
Bez obaw
oddaj się pod opiekę
tej, która wie i widzi więcej.
Poszukujesz głębszego przewodnictwa niż ludzkie,*

*czy słyszysz jej słowa
wypowiadane przez zamknięte usta?
To mówi serce.*

Młynarz stał na brzegu i patrzył na dziewczynę, jakby zobaczył jakieś nadprzyrodzone zjawisko. Starał się nawet nie myśleć, w jakim celu tu przybył. Słuchał tajemniczego i magicznego głosu, który odbijał się od wody i drzew jakimś niezwykłym echem. Dziewczyna śpiewała tak ciepło i dźwięcznie, jakby zamknęła w słowach trele wszystkich leśnych ptaków. Pochylała się nad wodą, zaczynała cichutko, a pogłos odbijany od tafli niósł się daleko i wysoko. Melodia płynęła lekko niczym piórko unoszone na wietrze, wciągając dziewczynę w niezrozumiałe zapomnienie. Unosiła ręce do góry i falowała razem z powiewem, a mężczyźnie robiło się cieplej na sercu, bo te dziwne słowa, które słyszał, sprawiały, że czuł się na chwilę lepiej, przepełniały go nostalgią i nadzieją. Ta muzyka była dobra, sprawiała, że czuł się zaopiekowany przez jakąś wyższą siłę, którą wyczuwał w pieśni. Nie umiał tego sobie logicznie wytłumaczyć, ale czuł tę sprawczość całym sercem.

Tove skończyła i kiedy wyszła z wody, usiadła na trawie tuż przed oczkiem wodnym. Spokojnie zerwała długą trawę i zaczęła ją podgryzać zębami, żuła dosyć długo i wyciągała twarz do słońca, jakby zupełnie jej nie obchodziło, po co tu przyszła. Nie spieszyła się z niczym, trwała w swoim skupieniu. Młynarz nie miał śmiałości przerywać ciszy, w której trwała, ale siedział obok stracił poczucie czasu. Zauważył następnie, że słońce zaczyna coraz bardziej przesuwac się w kierunku zachodnimi pomyślał o tym, że za jakiś czas będą musieli wracać, a tak naprawdę to jeszcze nie zaczęli rozprawiać się z topielcem.

-- Chcesz tu nocować? -- odezwał się niepewnie. Wypowiedział zdanie tak cicho, że nie spłoszyłby nim nawet myszy.

-- Czas przychodzi wtedy, kiedy przychodzi. Musimy poczekać, aż słońce trochę się przesunie.

-- Ale jak chcesz ją stamtąd wyciągnąć? Mam do niej podpłynąć? Ja tego nie zrobię, nie ma mowy, ona może się już rozkładać.

-- Boisz się śmierci? -- Odwróciła głowę i spojrzała na niego oczami, które nie miały źrenic, bielmo zakryło je całkowicie, dziewczyna była spokojna. Wisior leżał łagodnie na jej piersi, ciało nie drżało. Młynarz, podpierając się na rękach, wycofał się na znaczną odległość. Widok dziewczyny przeraził go do tego stopnia, że chciał uciekać, ale Tove zatrzymała go słowami:

-- Przecież nic ci nie zrobię, nie mam zwyczaju krzywdzić ludzi, wręcz przeciwnie, to mnie kiedyś mocno skrzywdzono, a tak poza tą całą scenerią, która wydaje ci się tak bardzo złowroga, jesteś mi potrzebny, ale co z tą śmiercią? Boisz się czy nie? -- Młynarz patrzył tępym wzrokiem na dziewczynę i milczał. -- Świat nie składa się tylko z tej racjonalnej tkanki, skoro są ludzie, to ziemię również muszą przenikać ich dusze, a duchy przedmiotów, roślin, drzew, zwierząt? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? -- Oczy jej dziwnie zapłonęły, bielmo zniknęło, patrzyła już na mężczyznę przez zielone tęczęwki, skrzyły się jak kryształy górskie w słoneczny dzień.

A młynarz odwrócił twarz w kierunku wysokiej trawy i zmieszał się mocno, bo mu się przypomniał ten dzień, co w nim psy wyły jak na pogrzeb, a on do późnej nocy rodziny szukał, a potem nad ranem wyły jeszcze mocniej, a on wyciągał ze studni ciało za ciałem, które głośnym echem obijały się o kamienne ściany. Najpierw wyłowił żonę, bo suknią ją dobrze unosiła, dopiero potem syna, bo tą suknią był nakryty. I od tej chwili złe trzymało chłopca przez rok cały, głowa bolała, chudł w oczach, na czworakach dookoła chałupy chodził, rozgrzebując ziemię jak zwierzę jakiś i gdy pewnej nocy zasnął w dole, który sam sobie wykopał, przyszła do niego biała pani, która szepnęła mu na ucho, że tylko biała mąka może go uratować, ale musi być tak nieskazitelnie czysta jak jej welon, więc młynarz doczołgał się do młyna i najpierw ręce w mąkę wsadził, a potem cały do skrzyni z białym proszkiem wlał i w niej zasnął. Spał bez ustanku trzy dni i trzy noce. Nikt go nie wyciągał, bo wszyscy wiedzieli, jaka okropność mu się stała, ale prac swoich na czas jego snu nie rzucali, więc gdy młynarz czwartego dnia wstał, otrząsł się z białego pyłu i ręce do maszyn wyciągnął, i tak mu po dziś dzień zostało.

-- Czy boisz się śmierci? -- To zdanie wyciągnęło go z zamyślenia. Tove nie odpuszczała, a myśli młynarza krążyły pomiędzy tym, co mgliste, a tym, co przejrzyste oraz tym, co było i co ma się dopiero wydarzyć, aż w końcu ułożyły się w słowa i z pełną powagą rzekł:

-- Nie. -- I gdy przeszło mu to przez usta, przestał się bać. Naraz poczuł, że jest w odpowiednim miejscu, bo gdyby tak nie było, to przecież nie siedziałby tu teraz z Tove, tylko byłby zupełnie gdzie indziej. I był to piękny widok jego duszy, jakby wszystko znalazło swój należyty czas.

-- Skoro się nie boisz, to czemu tak na mnie dziwnie patrzysz? Nie marudź, tylko chodź. -- Wstała i poszła w kierunku domku leśnej baby. -
- Popłyniemy do niej na drzwiach.

-- Na czym?

-- Przecież mówię, że na drzwiach, jeśli są oczywiście drewniane.

Tobołki, z którymi szli, zostawili na brzegu, podobnie jak nosze. Mężczyzna zaczął analizować sprawę, przekonywał Tove, że drzwi nie uniosą ich oboje na wodzie, mówił, że razem będą zbyt ciężcy, ale dziewczyna nic sobie z tych słów nie robiła. Przed wejściem na posesję obejrzała czaszki i szmaty wiszące na płocie. Zanim weszli do domu, obeszlili go dookoła. Tove paliła ususzoną szałwią, która pozostawiała wszędzie ostry zapach. Szła pewna siebie, jakby знаła ten cały proces już od lat, jakby okadzanie domów było jej powinnością, ale jeśli już znalazło się swoją drogę życiową, to czynności, które się wykonuje pierwszy raz, robi się tak, jakby znało się je od zawsze, nieprawdaż?

Aż w końcu stanęli przed wiekowym drewnem. Młynarz schował się za Tove, złękniiony tym, co widzi, bo przez szpary w drzwiach powolutku sączył się dym. Na pierwszy rzut oka mężczyzna myślał, że to opary z szaławii, ale im dłużej się przyglądał temu zjawisku, tym szerzej otwierał oczy ze zdumienia. Drzwi chygotały się od podmuchów wiatru, zardzewiałe skoble trzeszczały, aż bolało w uszach, były ogromne, szerokie i grube. Tove obwąchała je z każdej strony.

-- Z litego dębu, wystarczą nam. Wyciągnij je z zawiasów, trzeba będzie też pozbyć się wszystkich metalowych zdobień. Woda nie lubi metalu, dymią, więc przyjmą nas. -- Młynarz się dziwił tymi słowami, ale

nic już nie mówił, tylko wziął się do roboty. Drzwi wyciągnął bez większego problemu, ale żeby odkręcić metalowe zdobienia i okucia, musiałby użyć ostrego narzędzia.

-- Poszukam we wnętrzu chaty, ale ty tam nie wchodź -- powiedziała Tove, pomagając położyć drzwi poza ogrodzeniem. -- Nie zaglądam tam, duchy tego miejsca mogą sobie tego nie życzyć.

I po czasie przyniosła mu ostre poroże jelenia, noże, klucze i gwóźdź tak długi jak jej całe ramie a kiedy już młynarz uporał się z zadaniem, a nie było to wcale łatwe, bo namęczył się przy tym mocno, aż mu pot kapął z czoła, i kiedy już skończył, pochwycili drzwi, i niosąc je podobnie jak tratwę, doszli na brzeg jeziora, dokładnie tam, gdzie zostawili swoje rzeczy. Drzwi nadal dymiły, a może raczej parowały? Stojąc tyle lat w wilgotnym zaciemnieniu, miały prawo po zetknięciu się z ciepłą przestrzenią dać o sobie znać właśnie w ten sposób. Młynarz cały czas o tym myślał, ale doszedł do wniosku, że las po deszczu też paruje, szczególnie latem, kiedy nocą nawiedzi go dosyć zimna nawałnica, więc dał już tym myślom spokój.

Przygotowywali się dosyć długo. Tove sprawdzała nosze, mieszała zioła, obserwowała słońce i wiatr, wykopywała korzenie z ziemi, zbierała kamienie i szyszki, cały czas bacznie spoglądając w kierunku jeziora. Delikatny wiatr owiewał jej twarz, poczuła w nim zapach rozkwitającego łubinu, jeżówki, niebieskiego chabru i nagietku. Miododajna wonność otuliła ją szczelnie, jakby ktoś zakrył ciało ciepłą pierzyną, aż znowu nad jej głową przeleciał kruk. W słońcu jego pióra połyskiwały ciemnym, niebieskim odcieniem, a może nawet granatowym? Ptak kilkakrotnie zakłówał nad nią i z głośnym świstem odleciał w stronę domku leśnej baby.

Już czas -- pomyślała -- skoro zbierają się kruki, to znaczy, że wychuły padlinę, bo jak inaczej nazwać rozkładające się ciało?

I skinęła na młynarza, który zdejmował właśnie buty. Pociągnął drzwi z jednej strony i mocnym zamachem wprowadził je na taflę. Ulatujący z nich dym ustał, jezioro zasyczało dokładnie tak samo, gdy gasi się kubłem zimnej wody dogasający żar z ogniska.

Gdy kawał drewna unosił się już sam na wodzie, najpierw usiadła na nim Tove, ale drzwi pod jej ciężarem nieznacznie zaląła woda, więc dziewczyna wstała i bez żadnych większych ceregieli ściągnęła z siebie halki i suknię, rzucając je na brzeg. Została tylko w luźnej podkoszulce i bawełnianych pantalonach. Młynarz starał się na nią nie patrzeć tak jak mężczyzna czasem spoziera na kobietę, ale nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy i piersi, które z tygodnia na tydzień stawały się coraz większe. Tove obserwowała je codziennie z wielkim zainteresowaniem, mając nadzieję, że to właśnie one są oznaką jej brzemienności. Delikatnie zarysowana linia szczęki i szyja, na której co chwila pojawiała się gęsia skórka, przyciągały wzrok, tak że mężczyzna nie słyszał, co do niego mówiła:

-- Ty też musisz się rozebrać! -- Pomachała przed jego twarzą ręką.

Trochę się krępował, bo obudziło się w nim to przyjemne ciepło w podbrzuszu, które wypełnia człowieka wtedy, kiedy chce mu się bardzo żyć, ale ochlapał się zimną wodą, zupełnie zapomniawszy o tym, że pływa w niej topielica i trochę mu przeszło. Dopiero gdy Tove usiadła na drzwiach, a on położył się obok niej na brzuchu, żeby wypośrodkować ciężar, odetchnął z ulgą. Trzymał w jednym ręku nosze, których materiał, przyczepiony do drewna nie był na tyle gruby i mokry, żeby pod swym obciążeniem zatopić je całkowicie. Nosze unosiły się na wodzie i były dokładnie tej samej długości co drzwi. Dziewczyna odepchnęła prowizoryczną tratwę od brzegu. Płynęli spokojnie i powoli. Późne słońce odbijało się w stawie, a topielica stawała się w ich oczach coraz większa. Woda raz unosiła ją, to zatapiała, jakby nie wiedziała, czy chce całkiem przyjąć leśną babę w siebie. A jednak gdy podpłynęli na tyle blisko, że topielica była na wyciągnięcie ręki, coś w młynarzu pękło, bo nie patrzył na truchło, tylko na delikatne plecy Tove. Miał ochotę dotknąć jej wystających łopatek, które w słońcu wyglądały jak skrzydła motyla. Wystarczyło, że dziewczyna wyciągnęła dłoń w kierunku leśnej baby, poruszyły się tak mocno, jakby chciały unieść dziewczynę w przestworza. Młynarz przestraszył się, że mu odleci i chwycił ją mocno w pasie.

-- Auaaa! -- krzyknęła. -- Co robisz?!

-- Przepraszam, myślałem, że wpadniesz do wody -- kłamał, sam będąc zaskoczony swoim zachowaniem. Szybko oddychał, coś uciskało go w plecach, jakby ktoś położył na niego duży kamień.

-- Bądź cicho, musimy ją stąd jakoś wyłowić. -- Wyciągnęła rękę w kierunku długiego, brązowego sznura, który wystawał spod dużej ilości materiału.

-- Nie ruszaj! -- Młynarz ją powstrzymał, nadal leżąc na brzuchu. Cierpła mu prawa ręka, którą trzymał nosze. -- Nie ruszaj jej, bo może już się rozkładać i zacznie śmierdzieć, wiesz jaki to smród? Nie machaj łapami, bo bałaganu narobisz. Trzeba delikatnie nosze pod nią podłożyć i pociągnąć po wodzie. Wystarczy już. Ja to zrobię.

-- A ty skąd to wszystko wiesz? -- zapytała z ciekawością, mokry podkoszulek przylepił się do jej piersi, przez który prześwitywały ciemne sutki. Młynarz udawał, że tego nie widzi.

-- Nie wiem, samo do mnie przed chwilą przyszło, jak mięso długo leży w wodzie, to przecież szybciej gnije niż na powietrzu -- odpowiedział zgodnie z prawdą i najdelikatniej, jak umiał, próbował zanurzyć nosze w wodzie, ale im mocniej je wpychał w głębinę, tym większe wiry się robiły.

Szary materiał falował i obrócił się na drugi bok, ukazując oczom Tove siwe włosy pływające nad zmarszczonym i sinym czołem, poniżej którego ogromne, napuchnięte oko bez wyraźnego koloru tęczówki spojrzało na dziewczynę. Drugi oczodół był zasłonięty przez włosy. Napuchnięta twarz wyglądała jak nadymany świński flaczek. W granatowych ustach znajdowała się szmatka, która stanowiła knebel, dolna warga wyglądała jak naderwana, a być może ciało kawałek po kawałku zaczynało odpadać. Tove miała wrażenie, że gdyby tylko dotknęła tej twarzy patykiem, pękłaby jak leśna, nabrzmiała purchawka. Zrobiło jej się niedobrze, ale wiedziała, po co tu jest, więc schowała mdłości w siebie:

-- Ona jest związana tymi sznurami, jest zwinięta jak kłębek włóczki, jak można tak upokorzyć drugiego człowieka?

-- To nie jest nasza sprawa, nie zastanawiaj się nad tym, musimy teraz ją jakoś przetransportować, a jak widzisz, nie będzie to wcale takie

łatwe. Boję się, że jak tylko ją dotkniemy, to się rozpadnie na kawałki, a ja nie dam rady na to patrzeć ani czuć tego smrodu, tuż po wyciągnięciu. Na razie wyczuwam tylko zapach muł z głębin.

-- Spokojnie, młynarzu -- uspokajała go łagodnym głosem. -- Nie jest aż tak źle, to tylko nasza wyobraźnia płata figle. Może wiesz, jak ta kobieta miała na imię?

-- Nie, a po co ci to?

-- Imię też dużo mówi o zmarłym. Nie można nie mieć imienia, to tak, jakby się w ogóle nie istniało, jakby nikogo nie obchodziło czyjeś życie, jakbyś się narodził i nie był dla nikogo ważnym. Ona też kiedyś musiała mieć jakąś matkę, ktoś musiał ją kochać. Znając swoje imię, można nad sobą zapanować, imię może być jak dobra wróżba albo zła moc.

-- Może... -- Młynarz nie zastanawiał się nad tym, co mówiła, próbował jak najszybciej uporać się ze swoim zadaniem.

-- A ty jak masz na imię? -- Właśnie zdała sobie sprawę, że nazywa tego człowieka tylko zgodnie z wykonywaną profesją.

-- Matwiej.

-- Ładnie, brzmi, tak jakby sam wiatr ci je nadał.

-- Wiatr czy nie wiatr, truposzka sama się stąd nie ruszy. Do roboty -
- ponaglił Tove.

-- Truposzka? Ha, ha, ha... ależ ją ładnie przeważałeś. To trzeba się z nią teraz uporać, ale, ale... -- zająkała się -- ...jest jeszcze jedna sprawa, będziesz musiał wyłowić garść piasku z dna jeziora, tylko w ten sposób niebo i ziemia przyjmą ją do siebie.

-- Cooo...? -- Mężczyzna z wrażenia upuścił nosze, ale szybko sięgnął po nie, zanim jeszcze zdążyły odpłynąć. Topielica w tym momencie okręciła się wokół własnej osi, woda z czarną mazią wypłynęła jej spod zakneblowanych ust i znów przewróciła się twarzą w głąbiny. -- Chyba zwariowałaś! Nie mówiłaś o tym, jak tu szliśmy! -- Oburzony poruszył się na tratwie, mało nie wpadał do wody.

-- Bo wiedziałam, że możesz się nie zgodzić. Proszę. -- Odwróciła się do niego i wypięła pierś. Młynarz znów poczuł gorący płomień w dole brzucha, próbował się uspokoić, głęboko oddychając. Wążka usiadła mu

na nosie, nie mógł sam jej odgonić, więc zmarszczył się i prawie kichnął, ale z pomocą przyszła mu Tove. Kiedy odgoniła owada, zauważyła, że mężczyzna ma na twarzy delikatne piegi, nie widziała ich wcześniej. -- Jak będziesz wylawiał piasek, musisz tam w głębinach powiedzieć, że robisz to w imieniu Piastunki Kości.

-- Kogo?

-- No przecież mówię, w moim imieniu, tej, która odprowadza dusze zmarłych. Imię pozwala przywołać odpowiednie siły. Woda musi nam ją oddać, tak samo ziemia, którą opływa. Nie znam innego sposobu.

-- A nie możesz tego piasku wziąć sobie z brzegu? Byłoby dużo łatwiej.

-- Nie. To musi być z tego miejsca, w którym odeszła jej dusza.

-- Skąd wiesz, gdzie odeszła? Może już na brzegu, a tu pewnie przypłynęła po jakimś czasie -- pertraktował uparcie.

-- Jak wyłowisz piasek z tego miejsca, będę miała zupełną pewność, że wszystko się dokona. Nie chciałabym tego rytuału powtarzać. Proszę.

-- Spojrzała na niego z taką czułością, jakiej dawno nie doświadczył.

-- Niech to szlag, to jest obrzydliwe zadanie! Trzymaj nosze! Chcę mieć już to za sobą!

I sturlał się po drzwiach wprost do wody, głośno rozpryskując ją dookoła. Zanim się zanurzył, patrzył powyżej tafli z jakąś dziwną głębią to na dziewczynę, to na krajobraz, jakby sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje, czy żadna zbłąkana dusza nie czai się gdzieś w trzciniowisku. A kiedy już zanurkował, przyszedł do niego strach i chwycił za lewą nogę, ale mężczyzna, mając przed oczami twarz Tove, powtarzał jej imię, które dodawało mu tchu. Płynął coraz głębiej, przyglądając się mętnej wodzie, której było coraz więcej i więcej, tam, gdzie już prawie nic nie było widać, gdzie tylko panowała ciemność i mieszkwały pradawne lęki, aż w końcu wyciągnął mocno przed siebie ręce i poczuł w nich muł i wodorosty. Zielone liny oplotły go w pasie i dookoła szyi, ale cały czas powtarzał, że to dla niej, dla Piastunki Kości a gdy to szeptał, czuł w sobie moc jej imienia, zielsko rozplątywało się, a ciemna głęбина stawała się jasna. Kiedy wreszcie próbował pochwycić mocną garść mulistego piachu,

który cały czas z rąk mu wypływał, zauważył, że przypatrują mu się złote karasie. Łuski ich skrzyły się w głębinach jak monety w rękach kupca, a Matwiej coraz bardziej się denerwował, że nie może piachu w garści utrzymać.

-- Mam! -- wykrzyknął, wypływając tuż ponad głębinę. Najpierw na powietrzu pojawiła się jego pięść, dopiero potem ociekająca wodą twarz. Jedną rękę trzymał mocno ściśniętą ponad wodą, pilnując, żeby nie uciekło zbyt dużo piasku, a drugą odpychał się i podpłynął do drzwi.

-- Włóż piasek do mojej kieszeni, nie mogę puścić noszy, bo dobrze się truposzka ułożyła.

Młynarz zrobił, co kazała, a czując pod opuszkami palców jej udo, otrząsł się z myśli, które pojawiły się w jego głowie.

-- Dziękuję ci. Wsiadaj na tratwę, musimy płynąć. -- Tove nie zauważyła jego zamieszania. Mężczyzna nie miał już sił wskakiwać na tratwę, a nawet jak próbował, to drzwi zalewały się wodą, Tove traciła równowagę, a nosze wypadały jej z rąk, więc jedną ręką złapał za przód dziobu i w ten sposób próbował je holować do brzegu, ale szło mu to z marnym skutkiem. Drzwi były za ciężkie, przepłynął do tyłu i z dość dużym obrzydzeniem, bo w bardzo bliskim towarzystwie topielcy, chwycił obiema rękami za kraniec drzwi, a z nóg zrobił naturalny napęd, rozchlapując nimi wodę na lewo i prawo. Płynęli tak dość długo, a kiedy już dotknęli stopami piasku, oboje usiedli na brzegu. Zmęczeni położyli się na trawę i z trwogą patrzyli na leśną babę.

-- I co teraz z nią? Czujesz ten smród? Już powoli do nas dochodzi, muł i zgnilizna, za kilka minut swąd będzie jeszcze większy. Widzisz to co ja? Ona nie ma jednego oka. -- Słowa młynarza rozbiły niezręczną ciszę. Topielica wyglądała strasznie, zwinięte w kłębek ciało przypominało wielką, zdechłą rybę. Z nienaturalnie napuchniętej i sinej twarzy spozierało na nich jedno szklane oko, zupełnie wyblakłe, jakby ktoś wymazał tęczęwki, a czarny oczodół z drugiej, zdobił szary, mały flaczek i zielone wodorosty. Widok był dość makabryczny, głowa przechylona do tyłu z włosami przyklejonymi do pomarszczonego czoła była nienaturalnie wygięta.

-- Widziałam już takie rzeczy, nie robi to na mnie wrażenia. Wyciągnę jej szmatę z ust -- powiedziała Tove.

-- Nie ruszaj jej! Zobacz, jakie ma paznokcie, już prawie odchodzą jej od palców, nie wiesz, czy na tym gałganie nie trzyma się cała głowa. Nie dotykaj jej, tylko powiedz, co z nią robimy. -- Tove milczała, drapiąc się po ranach na łydce, zdrapała kilka strupków i poczuła, jak krew cieknie jej po nodze. -- Zobacz, jaką ma poszarpaną skórę wokół związanych rąk, to ryby mogły ją już podgryzać, mogły zjeść nawet oko. Nie wiesz, jak wyglądają jej stopy, bo są przykryte suknią. Nie ruszaj jej, tylko mów, byle szybciej, co dalej.

-- Ryby?

-- Nie wiedziałaś? Niektóre ryby to padlinożercy, na pewno węgorze, sumy i sandacze... A o tym, że większość ryb zjada się nawzajem, chyba każdy wie... -- Tove patrzyła na mężczyznę zniesmaczona, powoli zasłaniała ręką nos, faktycznie, nieprzyjemny zapach robił się coraz wyraźniejszy.

-- Zaniesiemy truposzkę do jej chaty i będziesz musiał wstawić z powrotem drzwi. Ja z nią zostanę kilka dni, a ty wrócisz do wsi.

-- Mam cię tu zostawić samą? -- obruszył się z niedowierzaniem.

-- Tak, jestem dużą dziewczynką.

-- Właśnie dlatego powinienem zostać z tobą.

-- Radzę sobie bardzo dobrze w wyjątkowo trudnych sytuacjach, nie musisz mnie pilnować.

-- Chyba zwariowałaś.

-- Nie możesz się o mnie martwić, widziałam, jak na mnie patrzyłeś na tratwie.

Młynarz zaczerwienił się i odwrócił głowę.

-- A to źle, że tak patrzyłem? Przecież nic ci nie zrobię, boisz się mnie?

-- Nie, ale i tak nie możesz tu zostać. To, co będę robiła, należy tylko do mnie, kiedy oddech duszy i oddech człowieka mieszają się ze sobą, mogą wydarzyć się dziwne rzeczy.

Młynarz zaczął się niepewnie poruszać, kręcił się, jakby siedział na rozżarzonych węglach.

-- Mogłabyś wrócić ze mną i zostać, brakuje nam we wsi takiej, co się zna na czarach.

-- Nie znam się na czarach, to co będę robiła, to nie są czary.

-- Ale znasz się na ziołach. A to już wystarczy.

-- Dziękuję, ale to nie nasz czas i miejsce. Nie mogę. -- Przeszła słowami jakoby do sedna. Chwyliła w ręce ziemisty piasek, który miała pod stopami, obwąchała go z każdej strony, a potem przesypując przez palce, patrzyła, jak z wolna suchą strużką usypuje się niewielki kopiec na ziemi. -- Pomóż mi ją przenieść -- rzekła, kiedy ostatnie ziarenko piasku wypadło jej z rąk i nie czekając na odpowiedź, podeszła do truposzki.

Młynarz nie zwlekał, podbiegł do dziewczyny i oboje zanieśli leśną babę tam, gdzie wskazała Tove.

Ciało leżało na środku chaty. Tove kazała młynarzowi przed progiem domu położyć nosze i sama je wciągnęła do pomieszczenia, w którym było dosyć ciemno, a po jakimś czasie zrobiło się gęsto od smrodu przypominającego wymiociny wymieszane ze stęchlizną i gnijącą rybą. Młynarz ledwo wytrzymał w smrodzie, ale dzielnie naprawiał drzwi, jakby gdzieś podskórnie czując, że jest to jeden z najważniejszych elementów tego całego tajemniczego zamieszania, a kiedy już skończył, spojrzął w górę. Wiatr poruszał drzewami, a na jednej z gałęzi siedział kruk, bacznie obserwując całe zdarzenie.

-- Tam ma swoje gniazdo -- powiedział do Tove i podniósł palec ku niebu.

-- Nic nie widzę. -- Dziewczyna zrobiła kilka kroków i stanęła przed mężczyzną. Młynarz poczuł ciepło jej skóry i zapach siana. Widocznie przesiąkła nim na wskroś ostatniej nocy. Pomimo tej całej dziwnej scenarii miał ochotę złapać ją w pasie i przytulić, ale wiedział, że nie może tego zrobić, dlatego tylko powiedział:

-- Zostanę z tobą, najwyżej ukryję się w lesie. To jest zbyt niebezpieczne zostawać tu samemu.

-- Nie możesz.

-- Ale ja już się nigdzie nie wybieram, Tove -- odpowiedział, unosząc głowę i wypatrując gniazda kruka.

-- Wracasz do wsi -- powiedziała stanowczo. -- Czuję, jak rozgrzewa ci się serce, gdy patrzysz na mnie, nie możesz tu zostać -- odwróciła się do niego i spojrzała mu wprost w oczy, był w nich chłód i niedowierzanie.

-- Nie pytam cię już o zdanie.

-- Jestem brzemienna. -- Te słowa przeszły go na wskroś, poczuł mocne ukłucie w piersi i od razu spojrzał na brzuch dziewczyny. -- Tak, nie przesłyszałeś się, dziękuję za pomoc, wracaj do wsi, mówiłam ci, że to nie nasz czas i miejsce -- wypowiadając słowa, chwyciła go za rękę, a młynarz poczuł się w jednej chwili, jakby został zdradzony.

Znów zrozumiał, że nic w jego życiu nie dzieje tak, jak powinno, że gdyby była mądrzejsza, mogłaby uwieść go i okłamać, że to jego dziecko. Odrzuciła go, a urażone serce mężczyzny jest jak kruche szkło, można je łatwo rozbić. Coś w nim pękło, ściągnął brwi, zacisnął usta, rzucił w trawę ostry róg koziołka, którym skręcał na powrót drzwi, odwrócił się i odszedł.

Tove patrzyła za nim smutnym wzrokiem, nawet chciała go zawołać, ale wiedziała, że nie może dać mu jakiegokolwiek nadziei. Cały czas powtarzając w myślach, że to nie jest ich czas i miejsce, obserwowała jego każdy ruch, by już po chwili stracić go z oczu. Jeszcze przez maleńki momentik nosiła w sobie żal tego rozstania, chciała mu podziękować za cały trud włożony w tę wyprawę, ale musiała zająć się swoim zadaniem, więc postanowiła, że zrobi to, jak wróci do wsi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ptaki śpiewały leśne melodie, kruk krążył nad chatą, a Tove delikatnie układała pod leśną babą zioła. Drżąc ze strachu ręką dotknęła jej czoła i wyszeptała: *Wrócisz tam, skąd przyszedłeś, w spokoju. Już nic i nikt nie zakłóci twojej wędrówki, obdarz mnie swoją mądrością i mocą, bo pochodzi spod zawiniętych drzew korzeni, ani w wodzie, ani na ziemi nie ma już dla ciebie miejsca, więc niech przyjdzie po ciebie żywioł powietrza. Duchy przodków nie lubią rozlewu krwi, więc zwracam się do nich z prośbą o pomoc...*

Resztą kwiatów przykryła jej ciało. Kiedy kładła ostatnie witki wrotyczu i kocanki pisakowej, zauważyła, że swąd się zmniejszył, zapewne dlatego że zioła, tak szczelnie okryły ciało, że nie było spod nich widać ani koniuszka materiału czy włosów. Kiedy już usypała odpowiedni kopiec, rozejrzała się po chacie, bo wiedziała, że patrzy na nią ostatni raz. Zamknęła otwarte okna, pogłaskała ściany, zajrzała do glinianych słoiczków, z których wiatr wywiał wszystkie drogocenne proszki, otworzyła szuflady kredensów, przyniosła z lasu suchego mchu, paproci, chrustu i gałązek, które ułożyła obok ciała... Chciała odgrodzić leśną babę od wszelakich ziemskich spraw, więc rozkrzesła nad topielicą ogień, a kiedy już chata wypełniła się zapachem kadzideł, wyciągnęła z kieszeni garść mokrego jeszcze piasku i patrząc w słupy coraz mocniejszego ognia, rozsypała ją na kopcu, mówiąc: *Niech się dokona*. I wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Na dworze zrobiło się już ciemno. Tove stała w niedalekiej odległości od chaty, która w całości zajęła się już od ognia. Musiała co jakiś czas oddalać się od niej, ponieważ pomarańczowe języki gorąca sprawiały ból jej twarzy, pełzały po policzkach, przyklejając do nich rozżarzone macki. Patrzyła na to ogromne ognisko, słyszała, jak pod wpływem ognia pękają szyby, strzelają gałęzie, aż w końcu z wielkim hukiem zawala się dach. Miała wrażenie, że słyszy czyjś krzyk, ale możliwe, że to tylko wilki wyły w lesie. Żaby przestały skrzeczeć, ptaki śpiewać, a i komary zniknęły od dymu i gorąca. Stała z podniesionymi rękami ku górze i mamrotała pod nosem jakieś dziwne słowa, plątały się ze sobą, zaplatały jak czerwone wstążki w dziewczynskie warkocze, chyba nikt oprócz Tove nie byłby w stanie ich zrozumieć. Ogień zaczął coraz mocniej pełzać w jej kierunku, a za nim szła jakaś dziwna pieśń, jakby szepty kobiet z zaświatów. Tove przeszedł od tej tajemniczej melodii dreszcz, ale nie uległa strachowi, nadal stała niczym nie wzruszona jak kamienny posąg. Śpiew zrodzony z pisków i trzasków stawał się coraz donioślejszy, ściany domu od niego wibrowały, a może poprzez to łączyły się z tą dziwną muzyką? I nagle zobaczyła w czerwonej połodze kilka kobiet siedzących przy długim stole, jadły i piły, a na ich twarzach rysowała się dziecięca radość.

Bił od nich blask, jakby ogień zamienił się w smugi jasnego światła, a Tove patrząc na biesiadniczki, poczuła w sercu nadzieję i spokój, więc wyciągnęła do nich ręce, chciała, żeby ją ktoś przytulił i wyszeptał wprost do ucha, że wszystko się ułoży, gdy już szła w ich kierunku, wprost do ognia, który mamił ją i hipnotyzował, jedna z nich syknęła, jakby tym samym dając znać, że nie można przeszkodzić im w śpiewie. Tove zatrzymała się i słuchała, jak melodia krąży nad domem i drzewami, jak echem odbija się od tafli wody, aż wkrótce świt zastał dom zagrożony w dymie zgliszczy, a dziewczyna obudziła się, trzęsąc się z zimna i gorąca, i sama nie wiedziała, czy to, co widziała, zdarzyło się naprawdę, czy to był tylko sen.

Co do spalonego domu nie było wątpliwości. Smród z pogorzeliśka był dużo przyjemniejszy niż ten pochodzący z ciała topielicy. Smużki dymu unosiły się wysoko ponad podpalone gałęzie drzew, aż dziw, że gniazdo kruka ocalało prawie nienaruszone, tylko ptaki jakby się z tego miejsca wyniosły, nie było ich zupełnie słychać. Zapach ziół jak najwyborniejszych kadzideł rozchodził się po okolicy, świdrował w nozdrzach, szczypał czasem nawet oczy, dotarł nad tafelę jeziora i unosił się nad nią, przypominając mgłę. Tove przez chwilę popatrzyła na to tajemnicze zjawisko, otarła zmęczenie z czoła i ruszyła pod spalony dom.

Z ciała kobiety została tylko nadkruszona czaszka i kilka niewielkich kości. Wytarła je z popiołu i zakopała pod domem, potem ruszyła z powrotem nad brzeg jeziora i wykąpała się. Wytarła piaskiem ciało, przepłukała włosy i płożyła się w porannych promieniach słońca na trawie. Chciała posłuchać śpiewu ptaków, ale dalej trwała w zupełnej ciszy. Tylko wiatr poruszał gałęziami drzew i trzcunami sitowia. Rozgrzewała słońcem chłód poranka, który rozgościł się jej na skórze i poczuła, jak burczy jej w brzuchu, więc sięgnęła do plecaka po ostatni kawałek bułki i gdy się już posiliła i odrobinę wyschła, wstała na równe nogi i ruszyła przed siebie.

-- Jest! -- ktoś głośno krzyknął.

Tove poczuła na karku dreszcze. Pomimo tego że nie obejrzała się za siebie, wiedziała, że na nią patrzą. Weszła do szopy i udała się wprost na strych. Zapach siana dał jej chwilowe poczucie bezpieczeństwa, szukała swoich rzeczy, które tu zostawiła. Najbardziej ucieszył ją widok skóry sarny, chwyciła ją w ręce i przytuliła do policzka. Nie wiedzieć czemu, ale poczuła zapach siostry... jej ciepłej, niewinnej skóry, niezbrukanej dotykiem żadnego mężczyzny, oraz woń dzikiego bzu. Zobaczyła też gdzieś wewnątrz siebie twarz Wilczana, jego mocno ściśnięte usta, zmęczoną twarz i długi warkoczyk ułożony na plecach. Kiedy szedł, zawsze podskakiwał, objając się o plecy, łądując raz na jednej raz na drugiej wystającej łopatce. Przypomniało jej się, że nawet kiedy się kochali, delikatnie opadał na jej twarz, czasem kłując ją w powieki. Gładziła ręką włosie zwierza, powstrzymując napływające do oczu łzy. Powrót do pięknych wspomnień był jak zimny kubek wody na twarz. Kiedy pojawiał się w niej obraz tamtych pięknych dni znów zaczynała zadawać sobie te zupełnie niepotrzebne pytania: *Dlaczego to przydarzyło się właśnie jej?* Czasem ból serca był nie do wytrzymania, rozrywał jej duszę i ciało. I choć chciała już o nim zapomnieć, to nie umiała tego zrobić. Wspomnienia pojawiały się same, zupełnie nieproszone i znów rozrywały le-dwo zabliznione rany.

-- I jak wyprawa!?! -- usłyszała nawoływania z dołu. Odgarnęła ręką łzy, a potem siano, i przez dziurę w podłodze zobaczyła, że kilkoro ludzi stoi na dole. Błagalnym wzrokiem patrzyli na drabinę.

-- Już schodzę! -- Przełożyła skórę przez ramię i z workiem na plecach zeszła na dół. Patrzyli na nią w osłupieniu. Dziewczyna czuła się dosyć nieswojo, jednak gdy zobaczyła w oddali nadchodzącego staruszka, trochę się ośmieliła i zaczęła opowiadać. -- Dusza została odpro-wadzona, jest już spokojna. Nosze zostały spalone, więc nie mogę ich oddać. Ziola pachniały jak najznamienitsze kadzidła, miejsce zostało do-brze odkażone, już nic więcej nie powinno was niepokoić -- mówiła nie-pewnie, obserwując ich każdy ruch. Ludzi zaczynało się schodzić coraz więcej. Na ich twarzach zamiast tak długo oczekiwanego spokoju rysowało się jakieś dziwne zmieszanie.

-- I co teraz? -- zapytał chłystek, któremu pierwszy młodzieńczy wąsik sypnął się pod nosem. Tove widziała, jak lustruje wzrokiem jej biust.

-- Jak się będziesz patrzył tam, gdzie powinienes, to będzie dobrze.

Chłopak się zmieszał, opuszczając głowę i ramiona w dół. Do tłumu licznych gapiów doszło jeszcze kilka kobiet, dwie z nich miały chusty na głowach i zawiniątka w rękach. Najstarsza z nich odgoniła ludzi, torując sobie w ten sposób drogę do Tove.

-- I już jej nie ma? Nie pływa w sadzawce? -- Rozwarła usta, ukazując bezzębne dziąsła. Tove nie podobał się jej widok, ale nie dała tego po sobie poznać. Czuła, że musi wziąć, co zarobiła i jak najszybciej stąd odejść.

-- Nie ma. Spaliłam topielicę razem z jej domem. Jak mi nie wierzycie, możecie ją odszukać i wtedy sami się przekonacie.

-- Wierzymy! Wierzymy! -- odezwał się chłystek.

-- To dlaczego młynarz wrócił przed tobą? -- bezzębna staruszka wyseplenila przez maleńkie usta.

-- Bo nikt oprócz mnie nie powinien w tym uczestniczyć, już od samego patrzenia na rytualny ogień można postradać zmysły -- kłamała, nie wiedząc, czy mówić prawdę, przecież nie chciała z nim zostać sama. Ludzie zaczęli coś szeptać między sobą i kiwać głowami na znak aprobaty. Dziewczyna poczuła ulgę w sercu, ale kątem oka zobaczyła młynarza siedzącego na ławie przed jednym z domów. Pykając dym z fajki, obserwował całe zamieszanie, ale nie podszedł do nich. Założył nogę na nogę i patrzył.

-- Tu są dary dla ciebie. -- Staruszka trzęsącymi się rękoma odwinęła szmatkę, wewnątrz znajdowały się trzy złote pierścionki. Jeden z nich zdobił rubinowy, ogromny kamień, który lśnił pięknym niespotykanym blaskiem. Tove, gdy tylko go zobaczyła, uśmiechnęła się szeroko.

-- Jednak wiedźma, oczy świecą się jej na widok błyskotek, tfu... -- ktoś z tłumu powiedział z obrzydzeniem, staruszka odwróciła się w jego stronę i nakreśliła w powietrzu ręką jakiś znaki, mówiąc:

-- Milcz łajzo! -- Zawinęła z powrotem szmatkę i wcisnęła zawiniątko w ręce Tove. -- Idź już, ludzie zawsze byli i będą dziwni.

Dziewczyna przeszła kilka kroków, ale cały czas czuła na plecach ich wzrok, patrzył na nią również młynarz. Odchodząc, nie miała odwagi spojrzeć mu prosto w twarz. Potknęła się o kamień leżący na drodze, ale nie upadła. Usłyszała tylko śmiechy ludzi, nieprzyjemny chichot nasilał się, ale nie odwróciła się za siebie. Odwaga uchodziła wraz z niej z coraz szybszym krokiem, jakaś niewidzialna ręka ścisnęła ją za gardło. Żeby dodać sobie otuchy, położyła rękę na kościstym wisiorze. Wdech, wydech -- połykała ciepłe powietrze łapczywie, aż poczuła suchość języka. Jeszcze jeden krok, dwa, trzy, przecież zaraz stąd odejdzie i nie będzie musiała na nich patrzeć. Myślała tylko o tym, żeby zaspokoić pragnienie, coś jej mówiło, że powinna już teraz skręcić w las, a nie iść dalej ścieżką.

-- Niczego nie widziałem. -- Serce zamarło jej w piersiach gdy usłyszała głos młynarza. -- Może ją spaliła, a może tylko kłamie, przegnała mnie do wsi, więc wróciłem. -- Młynarz mówił całkiem spokojnie, jednak jego głos nie był już tak melodyjny i dźwięczny, brzmiał dosyć ciężko, jakby najadł się piasku.

-- Masz jakiś dowód, że odprawiłaś ją na tamten świat? -- Tove zatrzymała się i stanęła w osłupieniu. Druga niewidzialna ręka ścisnęła teraz jej brzuch, kiszki wywróciły się na drugą stronę, zacisnęła nogę o nogę, ale nie mogła dać im do zrozumienia, że jest słaba, że coś jest nie tak.

-- Nie mam. Byłeś przy samym wyławianiu i pomogłeś ją zanieść do chaty, przecież widziałeś, co robiłam. -- Spojrzała na niego, ręce miał założone na brzuchu i zaciągał się fajką. Czasem jego głowa zniknęła w oparach białego dymu, wyglądał wtedy jak duch.

-- Dlaczego mamy ci wierzyć, że już nic nie będzie nas straszyć?

-- No właśnie! Dlaczego?! -- Chłystek wtórował słowom młynarza. Był jedną z tych osób, która tańczy, jak jej zagrają, nie miał własnego zdania.

-- Bo sami mnie o to poprosiliście -- powiedziała nieco głośniejszym głosem, ile pozwalał jej strach, ale czuła, jak powietrze gęstnieje. Młynarz zasiał już w ludziach ziarno niedowierzania. Podchodzili coraz bliżej, Tove cofała się małymi kroczkami. -- Zamiast mnie oskarżać, poczekajcie kilka

dni i zobaczą, co się będzie działo we wsi. Jestem pewna, że leśna baba odeszła w spokoju.

-- To zostań z nami przez tych kilka dni, żebyśmy mieli pewność, że złoto, które zabrałaś, słusznie ci się należy. Ofiaruję miejsce w mojej izbie.

-- Tak, właśnie tak! -- Znów dał się słyszeć głos młodzieńca. Ludzie spojrzeli po sobie i znów zaczęli kiwać głowami.

-- On ma rację -- wycedziła bezzębna staruszka. -- Zostaniesz z nami, aż sprawa się wyjaśni.

-- Ale ja nie mogę, nie tak się przecież umawialiśmy. -- Tove miała już dosyć. Czowała, że zaczyna się dusić, coś rozsadzało ją od łona po przełyk, jakiś nieznośny ból, jakby ktoś napierał na jej brzuch od środka.

-- Nie chcesz zostać? To znaczy, że masz coś na sumieniu. Kłamiesz! Oddawaj złoto! -- zawtórował zupełnie nieznanym męskim głosem. -- Wiedźma to, nie człowiek. Oszustka, tfu! -- krzyknął, plując gdzieś w tłum.

-- Tak, tak, ona ma rację. -- Chłystek jako pierwszy dał się ponieść tej chwili, a w stronę Tove poleciał kamień. Pierwszy jeszcze malutki, odbił się od jej brzucha, który natychmiast zasłoniła rękami, potem drugi znacznie większy poczuła na ramieniu, trzeci dopadł do jej nóg, czwarty, piąty, teraz już osłaniała twarz rękami, szósty, siódmy, ósmy uderzył ją w głowę, aż zobaczyła przed oczami smugi jasnego światła, zachwiała się na nogach.

-- Oddawaj złoto i wynoś się, kurwo!

-- Tak, oddawaj, spalimy cię razem z sianem, na którym spałaś.

-- Tak! Całą szopę spalimy -- krzyczeli, obrzucając ją coraz większymi kamieniami. Młynarz palił fajkę, patrzył na całe zdarzenie z ławy i nie reagował. Tove odwróciła się od nich i zaczęła uciekać. Biegła szybko, coraz szybciej, ale obciążał ją dobytek, który ze sobą niosła, aż w końcu poczuła najmocniejsze uderzenie w tył głowy i usłyszała jakieś niezrozumiałe słowa. Zamroczyło ją i upadła na drogę. Obolała, podniosła się na łokciach zdartych do krwi, suchość w gardle paliła jej przełyk jak żywy ogień. Widziała, jak zbliżają się do niej, jak prosto na jej twarz leci kamień tak wielki, że sama mogłaby go nawet nie unieść. Poczuła w ustach

smak słodkiej krwi i piachu, pomyślała o dziecku, które albo w niej jest, albo nie ma, ale jeśli jest, to ona już jest matką, więc musi pokazać swoje pazury i kły, musi zacząć szczekać, warczeć i się bronić, bo tu nie chodzi o nią, tylko o dziecko. O to najmniejsze stworzenie, które albo jest, albo go nie ma, ale jeśli jest, to muszą jej pomóc wszystkie słońca i gwiazdy, bo tu chodzi o dziecko, nie o nią... *Dziecko jesteś? Jesteś czy cię nie ma? Dziecko, moje dziecko* -- powtarzała, wbijając w brzuch paznokiec, może uda jej się wywiercić w nim dziurę i wyjąć to coś, co tak boli, najlepiej wszystko, żeby móc sprawdzić, czy dziecko jest, czy go nie ma...

I nagle poczuła w sobie dzikość, bo już nie była zwykłą dziewczyną, stała się kobietą odmieńcem, wychowaną przez babkę, która posiadała pradawne moce, piękną inną, bez ojca i matki, z oczami, które widziały zdradę zadaną z rąk najbliższych i śmierć najukochańszej siostry...

Zasłoniła się skórą sarny, bo odezwała się w niej złość zrodzona z niesprawiedliwości, złość tak wielka i potężna jak grom z ciemnego nieba, ból łona rozrywał ją na pół, zasłaniając ciało i twarz. Poczowała iskrę woli, która każe przetrwać i krzyknęła: Jak światło rodzi się w mroku, pomóżcieeee!!! Niech wzejdą prochy umarłych, tych, którym pomogłam odejść! Pomóżzzcieeee! Nie mogę zginąć, bo we mnie jest dziecko, dziec-kooo!!! -- krzyczała tak mocno i rozpaczliwie, aż zadrżała ziemia, a tylko ten, co nie zazna gniewu matki, nie wie, jakie w niej drzemią siły i stała się rzecz dziwna, bo Tove nagle zapadła się w ciemność. Płachty skóry wirowały jej przed oczami, a wszystko, czym była do tej pory, zniknęło, rozpuściło się jak sól w wodzie. Czuła, jak spływa do jej ust krew długimi smugami, jak gasi jej pragnienie. Skrywała się pod welonem skór, które chroniły ją niczym mocne drzewo i trwała w tym uśpieniu by po chwili zobaczyć wiązki światła, piękne i delikatne jak skrzydła ważek. Była gdzieś pomiędzy śmiercią a narodzinami, w tym bezczasie nic ją już nie bolało, tylko słyszała głosy ludzi: Nie ma jej? Zniknęła, zobaczcie! Wiedźma! Prawdziwa wiedźma, co myśmy zrobili? Zniknęła? Przekląła nas!

A Tove tylko spozierała przez dziury w skórze, patrzyła przez miejsca, w których dokładnie znajdowały się oczodoły sarny, a teraz poz-

stały po nich dwie niewyraźne jamy. Oddychała głęboko, trwała w tej bezpiecznej ciemności, zdawało się, że mogłaby w niej zostać już na zawsze, ale coś rozdzierało ją od środka. Pływał w niej ten ból i naciskał na krocze. Pomyślała o rybach w stawie, które pływały wokół topielicy. Nie chciała wracać do swojego ciała, nie chciała poruszać ani rękami, ani nogami, nie miała siły zmagać się z przeciwnościami losu, ale ból stawał się coraz ostrzejszy, słyszała szum wody i fal odbijających się o brzeg, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą liście zielonych drzew. Przesunęła ręką wzdłuż biodra, kierując się w dół brzucha, poczuła stróżki moczu pomiędzy udami, nie mogła go już dłużej utrzymać, bo coś ją kopało, wierciło się i bardzo chciało żyć. Bardziej niż ona.

Co by się stało, gdybym została w tej ciemności już na zawsze, a może jeszcze z niej nie wyszłam? Czy ja żyję? Ale po co?

-- Gorhan! Zobacz, coś tam leży -- usłyszała w oddali głosy, ale nie miała siły nawet otworzyć oczu. -- To kobieta! Jaki ma brzuch, myślisz, że jest w ciąży? -- Tove przekreśliła głowę, przykładając ucho do ziemi. Czuła, jak idą, kroki były mocne. -- Cała jest sina, może wypłynęła z wody? Nie ruszaj jej, a jak to wodnica? -- Jeden z mężczyzn dotknął jej zimnej ręki, a potem przeniósł ją na brzuch, lekko na niego naciskając.

-- Jest ciężarna, to nie są zwinięte szmaty. -- Tove poczuła nad sobą zapach ciepłego mleka i rozsypanej soli, jakieś szorstkie palce dotknęły jej szyi, i skierowały się w kierunku mocno zaciśniętej sukni na pierśsiach. Mężczyzna jednym mocnym ruchem rozerwał ją tuż przy szyi, Tove, czując obcy dotyk, krzyknęła: -- Nie!! -- i położyła zimną jak lód rękę na jego gorącej dłoni, mężczyzna chwycił jej głowę w obie duże dłonie, poczuła, jakby ktoś kładł ją na poduszkę, ale jedyne, co umiała wycedzić, to było rozpaczliwie: -- Nie! Nie, nie! -- Aż w końcu ze strachem otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą szafirową toń jeziora schowaną w męskich żrenicach, dwie pionowe zmarszczki w miejscu, gdzie łączy się czoło z nosem. Mężczyzna pochylił się nad nią, dotykając jej ust swoją jasną brodą, która przypominała jej zapachem mokre, ptasie piórka, była zimna i szorstka.

-- Spokojnie! Nic ci nie zrobię, chyba ryby wyrzuciły cię na brzeg mojego jeziora. -- Mężczyzna się zaśmiał. Dotknął jej karku, a potem nóg, jakby sprawdzał, czy nie są połamane i z pomocą drugiego chłopca delikatnie podnieśli ją i ułożyli temu silniejszemu na rękach.

Tove już było wszystko jedno, nie wiedziała, gdzie jest, co ma ze sobą zrobić, bolało ją całe ciało, zapach zaschniętej krwi na twarzy przyprawił ją o mdłości, robiło się jej niedobrze. Nic nie mówiła, bo nie miała sił, czuła ciepło męskiego torsu i bicie jego serca. Na chwilę otworzyła oczy i zobaczyła na męskim ramieniu ciemnogrnatową ławicę ryb, zdało się, że się przewidziała, ale rysunek był na tyle wyraźny i realistyczny, że bezsilna poprosiła wszechświat, żeby dał jej wreszcie spokój i zamienił ją w rybę, mogłaby wtedy ukryć się w ciemnych głębinach wody, tak żeby jej nikt nie widział.



12.

O tym, jak nosi się pod skórą nie swoje serce

Głowa go bolała tak mocno, jakby gryzły się w niej dwa psy. Czasem nie umiał zapanować nad tym bólem, więc poddawał się mu, bo cóż innego miał zrobić. Dotarli już do niewielkiego miasteczka, w którym mieli wykonać swoją pracę, ale po ostatnich przygodach Laaban zdecydował, że będą spali nieopodal w lesie. Nie chciał robić zbyt wielkiego poruszenia ich przybyciem, akurat podczas tej misji, musiał być dyskretny. Wyłożyli mchem i paprociami stare jamy wykopane przez niedźwiedzie albo wilki i spali w nich jak na miękkim posłaniu, a kiedy chcieli skosztować miodu bądź innych wiejskich frykasów, udawali się do miasta.

Mieli tu przybyć niepostrzeżenie, nie robiąc wokół siebie większego szumu i hałasu. W miasteczku był targ, jeden z największych w okolicy, więc różni obcy kręcili się po obrzeżach i śródmieściu, a mieszkańcy nie mieli wyjścia, skoro jakość ich życia cały czas się poprawiała, musieli to tolerować. Stąd też każde okna posiadały masywne okiennice, drzwi podwójny skobel albo kłódkę, często też słysząc było ujadanie psów mieszkających z ludźmi.

Najmilej witały ich kobiety, robiły to bardzo dyskretnie, szczególnie Laabana, jego błysk w czarnych oczach potrafił nie jednej zawrócić w głowie, ale trzymał się od nich z daleka. Teraz wystrzegał się ich zalotnych spojrzeń. Norman nie mógł przeboleć tego, że nie może dotknąć żadnej kobiety, ale takie było odgórne postanowienie i nie mógł go złamać. Jaromirowi ta sprawa była raczej obojętna, wpatrzony w Laabana jak w dobrego ojca był na każde jego zawołanie.

Takie wizyty w miastach były dosyć ważne, mogli wtedy naostrzyć noże, zreperować karwasze, zakupić nowe pasy, wymienić lotki. Tu akurat przybyli na konkretną prośbę, mieli rozprawić się z kobietą, o której we wsi mówiono, że jest piekielnicą. Podobno nie należała do najmłodszych, ale urodą potrafiła zniewolić niejednego mężczyznę. Mówiono, że tak samo często jak zmienia kolor włosów, zmienia także kolor oczu, raz jest blondynką z patrzalkami zielonymi jak trawa późną wiosną, a innym razem brunetką. Ludzie we wsi wiedzieli, gdzie mieszka, ale niejednokrotnie nie mogli jej zastać. Często znikwała i nie było jej przez tydzień, dwa albo i dłużej ale gdy już wracała, była jeszcze piękniejsza niż wcześniej. Kobiety mówiły, że znika tak raz na kwartał, żeby posilić się energią z miesięcznego księżyca, mężczyźni prawili, że jest wiedźmą i trochę się jej bali, ale i tak ci wybrani chadzali do niej nocami po cielesne rozkosze. Kobiety zasięgały u niej porad miłosnych, przychodziły po zioła i eliksiry. Wielokrotnie chciano ją przegnać, ale bano się klątwy, którą mogła rzucić na ludzi. Odbierała porody, bałamuciła mężczyzn, ale tylko tych zamożnych, którzy mogli mieć wpływy i pieniądze. Robiła z nimi to, co ich żony nie chciały. Piekielnica uwielbiała pouczać, była bardzo pewna swej profesji. Uczyla sztuki miłosnej te dziewczęta, które bały się zdraż, pomagała zachodzić w ciążę i spędzać płody. Wbrew temu, że ją kochano i nienawidzono, była pomocna, więc jedyną osobą, która mogła zrobić z nią porządek, był Laaban.

Zanim po niego posłano, ostrzegano, że nie jest to zwykła baba zajmująca się ziołami i czarami. Potrafi omamić spojrzeniem i słodkim głosem, a w jej chacie jest ciemno od dymu kadzideł, które sprawiają, że kręci się w głowie. Pod sufitem ma zawieszzone wiązki ziół wszelakich i gdy tylko się do niej podejście, wydziela słodki zapach róż. Podobno potrafi przybrać postać kobiety, o której marzy i fantazjuje mężczyzna, ale ile jest w tym prawdy, nikt nie wie, bo i każdy, który do niej chodzi, trzyma swoje nocne schadzki w tajemnicy i wielkim sekrecie. Nie robiły na Laabanie te opowieści większego wrażenia, bo to o jego względy zawsze zabiegały kobiety, a nie na odwrót.

W dzień, który obrał za kluczowy, od samego rana padał silny deszcz i biły w ziemię pioruny. Kompani próbowali przekonać Laabana, żeby przełożyć wizytę u czarownicy na kolejny, ale wódz nie chciał ich słuchać. Dobrze wiedział, że niebo rozpruło się za sprawą czarów i że jutro, tak samo jak pojutrze też będą burze.

Szedł, mocno stąpając po kamienistych, mokrych ścieżkach i piaszczystych alejkach, które raczej przypominały błotnisty plac aniżeli drogę. Zasłonił głowę skórzanym kapturem, spod którego wystawał tylko warkoczyk, jeden nóż schował w bucie drugi trzymał w kieszeni. Ostatnia kropla deszczu spłynęła z jego nosa wprost na kaftan, którym był okryty, smugi deszczu były na tyle silne, że przecinały liście kwiatów, drążyły głębokie tunele w trawie, odbijały się od szyb i okiennic z głuchym łoskotem, jakby ktoś rytmicznie uderzał w ogromny bęben. Czasem przystawał, wsłuchując się w ten dźwięk, miał wrażenie, jakby zbliżała się do niego grupa maszerujących ludzi, oglądał się wtedy za siebie i klął, zaciskając brwi i usta a im bliżej znajdował się domu, w którym mieszkała, tym, nie wiedzieć czemu, większą odczuwał wściekłość.

Kiedy stanął pod drzwiami, same uchyliły się pod naporem wiatru. Przeszedł go dreszcz i pierwsze, o czym pomyślał, to o tym, że nie będzie łatwo... Dobrze już jednak wiedział, że gdy zrobi się pierwszy krok, nie można zawrócić. Przez szparę uchylonych drzwi zaczęły wydobywać się smużki dymu, które zwolna owijały się wokół rąk i nóg Laabana. Próbował zdeptać je nogami.

Wewnątrz nikogo nie było, a przynajmniej tak mu się zdawało. Nie wielkie, maleńkie białe świece były rozstawione na parapetach okiennych i niedużym stoliczku, który stał nieopodal siennika, a może raczej czegoś, co wyglądało na łóżko, tylko składało się z narzuconych jedna na drugą puchatych pierzyn. Stos piętrzył się dosyć wysoko, a stół wyglądał bardziej jak ołtarz niż mebel podręczny. Laaban rozglądał się w milczeniu po chacie, ale było tu zupełnie inaczej, niż przedstawiali to ludzie. Dziwnie bielone ściany, ogólny ład i porządek sprawiały wrażenie, jakby raczej wszedł do jakiegoś miejsca kultu, a nie do chaty czarownicy, które na ogół przypominały jeden wielki zielnik rozłożony w lisiej norze. A tu?

Było zupełnie inaczej, jakby przeniósł się do doliny mgieł bądź osiadł gdzieś wysoko na chmurach. Dotknął noża w kieszeni, zimna stał wywołała w nim przyjemną adrenalinę, którą odczuwał wtedy, kiedy miał jasno wyznaczony cel, czyli zabić i wrócić z trofeum, więc zacisnął brwi, wyostrozając tym samym wzrok i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

Przejrzał już wszystkie półki z ziołami, obwąchał eliksiry i maści, zgasił kilka świec, zajrzał pod pierzyny, poduszki, dywaniki, podniósł pokrywki garnków i glinianych słoiczków, obejrzał miotły zrobione z brzoźowych witek, które puszczały zielone pędy, otworzył wszystkie szuflady, schowki, dotknął naszyjników wiszących na gałęziach przymocowanych do ścian, a wyglądających jak amulety. Im chyba poświęcił najwięcej uwagi, bo w blasku świec kamyczki, z których były zrobione, mieniły się dziwnym, kolorowym światłem. Długie wisiory wydawały bardzo przyjemne, krystaliczne dźwięki, kiedy stykały się ze sobą od nagłych podmuchów wiatru. Brzmienie było na tyle czyste, że rozchodziło się po całym ciele, niczym tajemne, pajęczne sieci. Nie chciał czuć w sobie tego rezonansu, zatkał więc uszy, ale nie przyniosło to zamierzonego skutku, bo tajemniczy pogłos zdążył się w nim już rozgościć. Znużony usiadł na przypiecku. Zauważył, że piec był nadal ciepły, więc ktoś musiał całkiem niedawno opuścić ten dom. Stukał paznokciem o kafelki i czuł, jak dopada go senność. Miarowy odgłos deszczu za oknami kołysał go wybornie, głowa przestawała boleć, powieki zaczęły opadać, aż w końcu zamknęły się na dobre. Mężczyzna zasnął.

Obudziło go mocne szuranie, jakby ktoś zamiatał izbę albo powłóczył po niej nogami. Zamglone oczy nie dostrzegały wyraźnie postaci, widział tylko, że kobieta w ubranej na biało sukni lekkimi dmuchnięciami gasi płonące świece. Miała długie, rozpuszczone włosy, o kolorze ciemnych kasztanów i znajomą kibić, pełne biodra i gdy przetarł porządnie oczy, pełne piersi. Serce zabiło mu na tyle gwałtownie, że z ledwością łapał oddech, poderwał się na nogi, przewracając przy tym krzesło, złapał dziewczynę za rękę i dosyć brutalnie pociągnął, jednak nadzieja szybko go opuściła, gdy spojrzała na niego bursztynowymi oczami niemającymi nic wspólnego z zieloną tonią oczu Tove.

-- Puść mnie! Czego chcesz?! -- warknęła, a gdy otworzyła usta, okazało się, że nie była wcale taka miła. Pozory sprawiała jej piękna postać. -- Puść mnie! -- krzyknęła, wyrywając rękę z mocnego uścisku. Laaban natychmiast przeszedł do ofensywy, sięgając ręką do kieszeni w poszukiwaniu noża. -- Tam niczego nie znajdziesz! -- Dziewczyna mocno kopnęła go w kostkę, a siła, z jaką to zrobiła, była na tyle porażająca, że Laaban upadł. -- Też mi wojownik, od byle kopnięcia słania się po podłodze. -- Spojrzała na niego z góry i doprawiła kolejnym ciosem prosto pod żebra. -- Laaban syknął z bólu, dziewczyna pochyliła się nad nim. Jej długie, piękne włosy opadały mu na twarz. -- Noży nie ma i nie będzie, już ci ich nie zwrócę. Do mojego domu nie wchodzi się z bronią i jak widzisz, jestem silniejsza niż ci się zdaje, więc daruj sobie kolejne napaści. Czego chcesz? -- zapytała, zbierając włosy i układając je dosyć niezgrabnie na plecach, jej oddech pachniał wanilią i bzem. Dokładnie tak samo jak powietrze w domu.

Laaban podniósł się, podpierając, otrzepał spodnie i patrzył na jej promienną twarz z mocno osadzonymi oczami. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

-- Odjęło ci mowę? Chcesz mnie zabić, otumanić, zgwałcić, chcesz miłosnego eliksiru czy coś na płodność? -- wymieniała, a Laaban odurzony jej urodą i alabastrową, świetlistą cerą nadal patrzył. -- Czyli to samo, co zawsze, phi... -- rzuciła w przestrzeń, po czym włożyła ręce aż po łokcie do wody, w której pływało mnóstwo płatków kwiatów i skropiła go, zanim zdążył się odezwać, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia, bo i tak cały był mokry.

Wodził za nią oczami i nagle zaczął kichać.

-- Oooo, tracisz swoją czujność, wojownika.

Nadstawił uszu. Tylko Tove tak do niego mówiła.

-- Pamiętaj, dusze przodków nie lubią rozlewu krwi, hi, hi. -- Zaśmiała się, a Laaban, gdy tylko usłyszał ten zniechęcony zwrot, ruszył na nią i już sięgał rękami do jej gardła, gdy przestraszona upuściła gliniany garnek na podłogę. Roztrzaskał się na drobne kawałki, a Laaban znieruchomiał tuż nad jej twarzą. Drżące ręce wisiały w powietrzu, jakby

ktoś je zahipnotyzował. Patrzył to na nią, to na palce, i nie był w stanie wykonać żadnej czynności.

-- Mogę ci pomóc, opuść te paskudne łapska. Ja cała jestem jak naj-silniejsze z ochronnych zaklęć, ludzkie zło się mnie nie trzyma, a czy ty chcesz, czy nie, magia była, jest i będzie, tfu... -- Splunęła pod jego nogi i rozmazała butem ślinę, a Laaban oszołomiony swoją bezradnością opuścił ręce.

Wszędzie, gdzie stawiała kroki, szła za nią poświata, jakby luna księżycowa. Laaban, jak żył, czegoś takiego jeszcze nie widział.

-- Mówią, że przybierasz postacię pięknych kobiet? -- odezwał się na-reszcie.

-- A po co brzydkich? Nie podobam ci się? -- Zarzuciła włosy na plecy, ukazując długą, wątlą szyję. -- Rozbierz się, jesteś cały mokry, z ubraniem czy bez i tak jesteś dla mnie nikim. Są takie zaklęcia, co moc i niemoc sprowadzają, ty jesteś cały stworzony z niemocy, bo nie masz swojego serca, tylko nosisz w sobie obce, jak kukułcze jajo, podrzucone, a że ich masz wiele, to i spokoju własnego zaznać nie możesz. Masz! -- Rzuciła na stół suszone jagody i kilka grzybów. -- Siadaj i jedz, a później mnie zabijesz, jeśli ci się uda.

Laaban rozebrał się, bo i w kuchni pod kaflami ogień mocniej zaczął dudnić, ale owoców suszonych nie zjadł. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Przypomnił sobie o swoich kompanach, którzy pewnie w strugach deszczu mokli i czekali na jego sygnał. Obezwładniony urodą czy może czarami siedział i czuł, jak serce coraz mocniej pulsuje mu w piersi. O czym ona w ogóle mówiła? Powinien od razu wziąć jakiś przedmiot i rozbić jej głowę. Dlaczego ona nie ucieka? Leśna baba też nie uciekała, czy jest aż tak pewna siebie, że się nie boi?

Przeszedł go dreszcz zimna, kobieta zauważyła to i rzuciła mu na kolana koc z owczej wełny, który Laaban oczywiście odłożył. Był na tyle dumny i wyniosły, że nie chciał skorzystać z jej pomocy. Obserwowała go, a może raczej jego prężne ciało i gdy już nie mogła oprzeć się pokusie podeszła do Laabana bliżej, usiadła przed nim na krzeselku i patrzyła

w jego oczy, a może raczej spięła z nich czerń. Kiedy już się nasyciła widokiem, rzekła:

-- Ciała podpalać, kobiety zabierać, niszczysz to, co na prochach przodków powstało. Kto cię wyleczy, jak nas nie będzie? Kto ci o przyszłości słów kilka rzeknie? Czemu nie łapiesz czarowników, tylko kobiety? Czemu tak nas nienawidzisz? -- Czuła, jak ciało Laabana zaczyna drżeć jeszcze mocniej, jego przedramiona, tors i twarz zrobiły się czerwone, jakby ktoś je podpalił, ale to była tylko buzująca w nim wściekłość. -- Nie odpowiesz? Tak bardzo zadziwił cię mój widok? Wszystkie czarownice, które do tej pory spotykałeś, były brzydkie i stare? A co ma do tego wiek i uroda? Każda świadoma siebie kobieta jest czarownicą. Wiesz, ilu pokoleń kobiet potrzebowałeś w swoim rodzie, żeby być tym, kim teraz jesteś? Ile krwi musiało się ze sobą wymieszać? Każda jest czarownicą: twoja kochanka, córka, babka, praprababka, matka... -- Na brzmienie ostatnich słów coś w nim pękło, jakby szyba upadła na podłogę.

Piekielnica także usłyszała ten dźwięk i już wiedziała, że to odezwało się w nim zło. Słyszała ten dźwięk wielokrotnie, czasem był tłumiony przez inne odgłosy, ale najbardziej charakterystyczny okazywał się pisk, jakby ktoś przejechał mocnym paznokciem po szkle. W jednym momencie spuchł na twarzy, a powieki jakby ze zmęczenia obwisły. Cały ten wygląd dodał mu jakiejś dziwnej ciężkości, a kobieta dobrze wiedziała, co teraz nastąpi, więc odsunęła się od niego szybko, bo ruszył na nią jak wściekły byk, całym ciałem i ze złowieszczym okrzykiem na ustach, ale nie dopadł jej, bo przewrócił się, zahaczywszy o nogę stołu i runął kolejny raz na ziemię.

Kobieta znów uklękła i patrzyła mu w oczy, ale coś z jej twarzą było nie tak, oczodoły zaczynały ciemnieć i robiły się wklęsłe niczym dziura w ziemi. Laaban zamrugał powiekami ze zdziwienia, myśląc, że ma przewidzenia, ale nic bardziej mylnego, w miejscach zębów pojawiły się rybie ości, którymi spluwała wprost na niego i już nie pachniała wanilią i bzem...

Chciał przekręcić się na drugi bok, bo kobieta coraz bardziej pochyłała się nad nim, a on czuł nieopisany fetor i obrzydzenie, ale nie mógł nic zrobić. Próbował krzyknąć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa, jakby ugrzązł w gardle, osiadłszy na strunach i nie chciał poruszyć się ani o milimetr. Z drugiej strony myślał, że i tak nikt by go tu nie usłyszał. Miał nadzieję, że Jaromir i Norman wpadną na genialny pomysł i przyjdą mu z odsieczą. Kobieta jednym ruchem ręki zgasła świecę, zrobiło się ciemno i tylko wiązki niewielkiego światełka wpadały przez maleńkie okienka ale mimo tego mroku Laaban dojrzał, jak lśniąco do tej pory włosy kobiety pokrywają się mchem i paprocią, jak jej twarz przybiera wygląd olbrzymiego sęku w drewnie, a ciemne oczodoły zasklepiają się ze sobą jak blizna na ciele. Ruszała tymi bliznami, jakby to była larwa motyla przed zrzuceniem kokonu, a potem rozpruła długim paznokciem pierś Laabana i włożyła do niej rękę. Mężczyzna złapał oddech i już tak z nim pozostał w płucach, a czarownica mieszała we wnętrzu jak w kociołku pełnym szlamu, aż w końcu chwyciła coś, co rozpływało się jak niewielki flaczek, i wyrwała jednym mocnym ruchem.

-- Ooo, mam! -- Obracała zakrwawioną kulę w palcach. -- Ale to nie jest serce. -- Ścisnęła flaczek na tyle mocno, że pękł, a z jego wnętrza wyciekło coś czarnego, oblepiającego palce niczym smoła. -- Nie, to nie to - - mówiła, otwierając drzwiczki od kuchenki.

Kiedy ogień skwierczał jak na prawdziwym palenisku, wrzuciła do niego pozostałą kiskę i znów zanurzyła rękę tam, gdzie poprzednio, a Laaban nadal leżał bez ruchu. Oczy miał otwarte i zdawało się, że rozumie, co tu się wyprawia, ale mógł też nie chcieć zrozumieć, a że nie mógł nic powiedzieć, ani tym bardziej się ruszyć, bo mu ostatni oddech ugrzązł w gardle, to leżał jak drewniana rzeźba z wybałuszonymi oczami. Było mu i chłodno, i gorąco, ale nic z tym przecież zrobić nie mógł, więc leżał, a piekielnica grzebała w nim, jakby ręce wsadzała w czarną ziemię. Słyszał tylko, jak woda płynęła po szybach i jak mocno pioruny trzaskają, jakby kto blachę łamał, więc wyteżał słuch, bo tylko to mu zostało. Każdy zgrzyt, szelest i ruch, a może nawet myśli piekielnicy?

-- Kto tam siedzi w twoim środku...? -- mruzczała, meandrując pomiędzy żebrami a śledzioną. -- Mam! -- znowu krzyknęła, ale na nikim innym oprócz niej nie robiło to wrażenia.

Tylko krwią się brukała coraz bardziej. Spływała jej po rękach, brudząc białą suknię. Jakby kto tu do niej teraz zajrzał, mógłby pomyśleć, że poród odbiera, ale ona kolejną bryłkę całą w fioletowych strzępach obracała, mieniło się to serce złotym kolorem, jakby kto przepuścił przez nie wiązki światła, albo piasku skąpanego w słońcu. Im dłużej piekielnica na nie spozierała, tym twardsze się stawało, aż ciężyc jej zaczęło mocno, jakby w rękach trzymała kamień, więc rzuciła nim o ścianę i rozpekło się na kilka małych kawałków, a Laabanem tak to wstrząsnęło, że oddech, który mieścił gdzieś zaciśnięty między żebrami, wyleciał mu z ust niespodziewanie i płuca zapadły się w sobie, więc piekielnica prędko zaczęła znowu czegoś w nim szukać, jakby nie chciała już przedłużać sprawczości tych dziwnych zakłęb, a mieszała w nim palcami, aż bulgotało prawie tak mocno jak gotujący się rosół, kiedy nagle coś zachręściło, zaskowyczało, zaszeleściło i nareszcie wyszły z niego rzeczy stare i tajemne.

Oto bowiem piekielnica trzymała w rękach maleńkie, zdrowo pulsujące zajęcze serce. Przyglądała mu się z każdej strony, bo do tej pory żadne z wyciągniętych się nie ruszało miarowym rytmem, tak jakby krew miało przetaczać, a wprawione w ruch było jakąś potężniejszą mocą niż ludzką. Była na tyle mocno zaciekawiona, że zajrzała swym wiedźmim wzrokiem do wnętrza i zobaczyła, jak obok wątroby leży zwinęta w kłębek Laabanowa dusza. Wyglądała jak nowonarodzony kotek, z którego matka nie zdążyła jeszcze ściągnąć błon i śluzu, wila się i kręciła, jakby akurat nie to miejsce było jej pisane.

-- Serce, serce, serce! -- Nagle głos wojownika rozciął powietrze niczym szybująca strzała.

-- Czego się drzesz! Wstawaj! -- Ktoś przyłożył Laabanowi w twarz tak mocno, że w końcu otworzył zapuchnięte oczy.

-- Serce? Jakie serce? -- wybełkotał Laaban, przełknął ślinę, bo znów czuł w ustach suchość.

Patrzył przed siebie na ciemnoszarą, oślinioną brodę. Rozejrzył się dookoła, ale wszędzie panowała ciemność, którą oświetlały jedynie promienie księżyca.

Norman wycierał ręce w swoją koszulę, bił od niego zapach tłuszczu zwierzęcego i spalonej kiszki.

Laaban przetarł twarz rękoma i pierwsze, o czym pomyślał, było to, że wokół Normana zawsze unosi się zapach jedzenia.

-- Zbieraj się, idziemy! -- Rudobrody mężczyzna delikatnie kopnął go w udo, ten jeszcze zaspany nie zdążył mu oddać, usiadł na ziemi, odrzucił warkoczyk na plecy i dopiero teraz, kiedy senna mgła zesła już mu z oczu, dostrzegł pomiędzy kępkami drzew i zarośli, że jego kompani pakują rzeczy i szykują się do drogi.

-- Co robisz? -- Księżycowe promienie padły na jego bladą twarz, na której malował się dziwny grymas smutku i zaskoczenia.

-- To samo co zawsze -- odparł Norman dość mocno zdumiony. -- Idziemy łapać czarownice.

-- To jeszcze się nie wydarzyło? -- Poczł mocny ucisk w piersiach i spojrzał w księżyc przekrwionymi ze zmęczenia oczami.

-- Nie, bo cały czas śpisz. Pakuj toboły i wyruszamy. Jaromir już dawno poszedł na zwiady, a twoje senne jęki pewnie słyszeli wszyscy w okolicy. Co się z tobą dzieje? Minę masz posępną, cały czas boli cię łeb, spać nie możesz, a jak już zaśniesz, to stękasz jak stara baba. Nawet teraz jak na ciebie patrzę, to nie wiem, czy już wstałeś, czy jeszcze śpisz. Coś ty ze sobą zrobił? A może któraś z tych twoich bab rzuciła na ciebie uroki? -- spytał, ale bardziej siebie niż Laabana, bo ten na w półprzytomny sam nie wiedział, czy już wrócił z nocnej mary, czy jeszcze śpi. Spocony od snu wstał, poprawił portki i udawał, że nic się nie wydarzyło. Bolało go trochę za oczami i tam, gdzie pulsuje serce.

Wypił duszkiem wino, które zostało zeszłej nocy napoczęte. Zrobiło mu się niedobrze, ale nie wiedział, czy to od wina, czy od koszmarnego snu, czy od tej ciepłej, bezwietrznej nocy, która oblepiała go ze wszystkich stron i nagle poczuł w sobie jakiś niezrozumiały dźwięk. Jakby ktoś pukał w czaszkę głowy, a potem doleciał do jego nozdrzy zapach siana

i spoconych piersi Tove, więc chciał chwycić je albo choć jej nadgarstki, by wyciągnąć wewnętrzną stronę rąk, ale nigdzie jej nie było. Ani w tym lesie, ani tamtym, ani w mieście i we wsi, nigdzie, i poczuł się tak, jakby był najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Jednak nie było to prawdą, bo było z nim jeszcze coś. To, co od prawników czai się w zaroślach i na polach, patrzyło na niego z góry i z boku. Laabanowi zdawało się nawet, że czai się na niego, ukryte w krzewach, ale to był tylko wiatr. Wiatr, którego na początku nie było, ale w końcu pojawił się tak zupełnie znikąd, bo chciał zobaczyć, jak wygląda człowiek, który nosi w piersi nie swoje serce.



13.

Tajemnica jeziora

-- Babciu, ile ona już tak śpi? -- zapytał piskliwy, dziecięcy głosik.

-- Długo, synku. Zaraz lato zacznie przechodzić w jesień. -- Kobieta położyła ręce na brzuchu Tove. Robiła tak codziennie, sprawdzając, czy dziecko żyje, czy się rusza.

-- Ale czemu to tak?

-- A bo jak człowiek za dużo w życiu zobaczy, to chciałby zasnąć i już się nie obudzić.

-- Ja już dużo widziałem, a chcę się budzić -- drążył chłopczyk.

-- Ale to nie takie obrazy, jakie ty widzisz, mój drogi. -- Poglaskała jego rumiany policzek i przyłożyła zanurzoną w rumianku mokrą szmatkę do ust Tove.

-- A jak ona urodzi, skoro cały czas śpi...?

Kobieta poprawiła siwobiałe włosy, zakładając je za ucho, podrapała się w nos i spojrzała na drewniane belki u sufitu.

-- Nie wiem... mój mały. A teraz wyjdź, bo muszę sprawdzić jej brzuch... -- Spojrzała na chłopca wymownie. -- Tam w dole.

Chłopiec zmarszczył piegowaty nosek, pomyślał chwilę, jakby nad czymś głęboko dumiał i rzekł:

-- No dobra. -- Odwrócił się i wybiegł z izby, pozostawiając po sobie jedynie smużkę wiatru. Przez niedomknięte drzwi doleciał do staruszki zapach grzybów i mokrej ziemi. Pociągnęła nosem, żeby tylko się upewnić, i rozgoniła zapach ręką. Najchętniej poszłaby w las z wiklinowym koszykiem przewieszonym przez ramię, zanurzając gołe stopy w mchu i runie leśnym. Nieopodal źródła rzeki jest miejsce, w którym bujnie rosną wrzosa, o tej porze pewnie już rozpościerają się ich całe połacie,

usiane niczym fioletowy chodniczek, a może raczej ogromny dywan utkany na krosnach przez staruszkę zeszłoroczną zimą. Westchnęła głęboko, zamykając za wnukiem drzwi, przekręciła klucz, żeby nikt nieproszony nie wszedł do jej domu i zasłoniła okna.

Przyłożyła rękę do czoła Tove. Dziewczyna nadal miała gorączkę, ale już mniejszą niż kilka dni temu. Zauważyła na koszuli dwie mokre plamy, w miejscu sutków, mleko zaczęło się sączyć całkiem niedawno. Kobieta przykładła do jej piersi liście kapusty, żeby im ulżyć i trochę schłodzić ciepło bijące od nich. Po wielkości brzucha szacowała, że do porodu jeszcze daleko i bardzo była zaskoczona tym, że mleko pojawiło się już teraz.

Zadarła Tove spódnicę i rozłożyła jej nogi na boki. Delikatnie wsunęła dwa palce do jej krocza i sprawdzała ścianki. Były pulchne, miękkie i wilgotne. Szyjka macicy ułożona dobrze, wysoko, nie wskazywała na przedwczesny poród, a w tym wypadku to niestety byłoby poronienie, jednak kanaliki mlekowe już były gotowe do swej roli. Chwyliła szmatkę nasączoną mydlnicą i zaczęła przecierać jej nogi, uda, a potem szyję i ręce. Postawiła wodę w metalowym wiadrze na rozżarzonej pokrywie kuchenki i czekała, aż się zagotuje. Chwyliła ususzone łupiny słonecznika i skubała je, patrząc na Tove.

Chodziła od jednego okna do drugiego, odsłaniając delikatnie zasłony, patrzyła w dal. Wyglądała tak, jakby na kogoś czekała, co chwila spluwając łupinami w otwartą dłoń. Kiedy w izdebce za jej plecami zaczęło robić się parno i duszno, usłyszała pukanie. Najszybciej, jak tylko potrafiła, przemieściła się spod okna do drzwi i chwyciła za mosiężną klamkę.

-- Już myślałam, że nie przyjdiesz. -- Staruszka odwróciła się od mężczyzny plecami, idąc w kierunku Tove. -- Tylko zamknij drzwi na klucz. Mężczyzna zrobił, jak kazała. Jego potężne plecy i ramiona zasłoniły całe drzwi, od jednej ościeżnicy po drugą.

-- Wypłynąłem dziś bladym świtem na połowy, jak wróciłem, musiałem sprawić ryby i wstawić je do wędzenia. Dobrze wiesz, że z tym nie można czekać. -- Przelał zimną wodę z jednego wiadra do drugiego

i włożył do niej filety płotki. -- Już oparwiłem, wystarczy tylko przyprawić, nabić na kij i wstawić do ognia. Będziesz miała gotową kolację.

-- Dziś łowiłeś? -- zapytała zdziwiona. -- W dzień? Przecież jest kilka dni po pełni, brałeś sieci?

-- Nie, tak tylko dla samego siebie, chciałem popatrzeć na fale i posiedzieć w ciszy.

-- Gorhan... -- zaintonowała jego imię jak pieśń. -- Ty cały czas jesteś w ciszy. Jesteś za młody na takie odizolowanie, już dawno mówiłam, że powinieneś się przenieść gdzieś tu do nas, musisz być pośród ludzi. -- Chwyciła włosy Tove, a mężczyzna lekko uniósł głowę dziewczynie. Staruszka uformowała jej duży kok na czubku głowy i przebiła go brzożową witką, żeby się nie rozpadł.

-- Nie cierpię ludzi... dobrze o tym wiesz. Człowiek jest najbardziej bestialską istotą na Ziemi. Mnie jest dobrze tam, gdzie jestem. Mam co jeść, mam gdzie spać, słucham jeziornych fal, a nie wrzasków miast. Niczego już nie chcę.

-- Ty się zaparłeś, że tak ma być, jesteś obrażony i wściekły na cały świat. Weź ją na ręce i unieś -- zmieniła temat. -- Muszę podłożyć lniane gąbki i kocyk, nie myłam jej, odkąd byłeś tu ostatnim razem.

-- Wściekły już nie jestem, przeszło mi. Pozostał jedynie żal i trochę gorzkości. Ot, wszystko.

-- Musisz spróbować jeszcze raz.

-- Proszę, nie rozmawiajmy już o tym. Niczego nie będę próbował. Mam dzieci, one mi wystarczą. Zobacz, Irmo. -- Ruchem głowy wskazał na nagi brzuch Tove.

-- Rusza się, rusza. -- Przyłożyła rękę do podbrzusza dziewczyny. -- Z dnia na dzień ma coraz większy brzuch. Zobacz, tu już ma rozstępy, młoda jest, powinna mieć jeszcze piękne ciało po ciąży, przecież sama o siebie nie zadba. Smaruję ją olejem, ale mógłbyś mi przynieść ten swój. Jak na niego mówiłeś, z jakiej to było ryby?

-- Olej wielorybi. Wieloryb, jak prawie każde rozumne zwierzę, ssie matkę i ma płetwę ogonową osadzoną poziomo, nie tak jak u wszystkich ryb pionowo. I zapamiętaj, Irmo, że to nie jest ryba.

-- Nie tęsknisz? Za daleką Północą?

Oczy Gorhana zaszklily się przez chwilę, ale znów spojrzal na brzuch Tove i wrócił myślami na ziemię, przestał widzieć obrazy, które ułożyły się w jego głowie.

-- Czasem tak. Najbardziej do tego chłodu, wiatrów i wszędobylskiej ciszy. Nawet nad moim jeziorem jest więcej hałasu niż na zimnej Północy. Świerszcze, żaby, żurawie, ptaki... U mnie cały czas coś się dzieje ale się rozpycha... -- Natychmiast zmienił temat, widząc falujący brzuch Tove. Kąciki jego ust lekko podniosły się w uśmiechu. -- Zapomniałem, jak to wszystko wygląda, moje dzieci już dorosłe, mogłyby mnie w końcu odwiedzić. Ta dziewczyna robi się coraz większa, musi być jej ciężko. Może układajmy ją trochę na boku, przecież ten brzuch zaraz zacznie się w nią zapadać.

-- Gorhanie, ja też mam dzieci i to ja w ciąży chodziłam, więc nie ucz mnie, jak z nią postępować. Wiem, że trzeba na boki, tylko ja już nie mam siły jej przekładać, jestem za stara.

-- Irmo... ale jak ona urodzi? -- Zmarszczył miodowe brwi. Staruszka ściągnęła z dziewczyny ostatnią podkoszulkę. Tove leżała już naga. Gorhan obserwował jej delikatną linię kości zarysowujących się pod obojczykiem, szyję i dość pulchne ramiona Irma zauważyła jego wzrok od razu.

-- Ładna jest, prawda? Zobacz, jakie ma włosy. -- Poglądziła je ręką - - przeszkadzają mi dosyć mocno, łatwiej byłoby ją myć, gdybyśmy je ścięli. I tak śpi.

-- Ale jak ona urodzi? -- kontynuował zadziwiony, a jego mięśnie na przedramionach pracowały pod ciężarem Tove, wytatuowana ławica ryb wyglądała tak, jakby chciała wypłynąć na otwarte jezioro. Ogonki poruszały się, a po granatowo-czerwonych łuskach spłynęło kilka kropel potu.

-- Nie wiem! -- kobieta podniosła głos. -- Wszyscy się mnie o to pytacie, a ja nie wiem! Mam problem, żeby ją karmić i poić, a co dopiero mówić o porodzie. Będę mierzyła brzuch i liczyła pełnie, najwyżej sami go wyciągniemy.

-- Sami?! Zwariowałaś?

-- A co, lepiej, żeby się w niej udusił? Ona pewnie nie przeżyje cięcia, ale dziecko może uda się uratować. Kiedyś widziałam człowieka w śpiączce. Nie pamiętam, jak zmarł, chyba z głodu. Już nikt nie miał ani sił, ani czasu zajmować się nim i umarł we śnie. Ona musi urodzić, a potem życie samo pokaże. -- Gorhan patrzył na Irmę z lekkim niedowierzaniem, dwie pionowe zmarszczki pokazały się przy nosie i trzy poziome na czole. Myślał nad czymś gorączkowo, aż w końcu się odezwał.

-- Czemu mówisz "on" ?

-- To będzie chłopak. Od razu po kształcie brzucha widać. Wczoraj jakieś dziwne cienie krążyły wokół jej łóżka, ale nie mogłam im przeszkadzać. Widocznie przyprowadziła kogoś ze sobą.

-- Duchy? -- zapytał zdębiały.

-- Nie wiem! -- krzyknęła na niego jak mała dziewczynka. -- Kręciły się wokół niej, a potem zwinęły się w jeden wielki kłębek i siedziały na tej skórze, którą z nią przyniosłeś. Wyglądało to jak śpiący kot. Nie bałam się ich i nie wyczułam w tym nic złego, więc nie wyrzuciłam tego dziwnego zjawiska na dwór. Pewnie kręcą się gdzieś tu cały czas. -- Gorhan rozejrzał się z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami dookoła siebie. -- Hi, hi, hi... -- Staruszka zaśmiała się całkiem przyjemnie. -- Ech, wy mężczyźni, niczego nie rozumiecie.

-- Prędzej zrozumieję duchy niż kobiety -- odparł przyjemnym, ciepłym głosem i roześmiali się oboje. Pomógł przewrócić Tove na drugi bok, przytrzymując jej na raz plecy i nogi. -- A te rany powyżej kostki? Myślisz, że się sama cięła?

-- Nie wiem... jest ich dużo. Może w ten sposób odmierzała czas?

-- Czas?

-- Ludzie siedzący w lochach często mają takie rany, które potem przechodzą w rozciągnięte blizny, odmierzają w ten sposób dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata. Przykładałam jej w to miejsce babkę lance-towatą, ale nie pomaga. Cały czas jest zaczerwienione, czasem nawet stare strupy odpadają, ale z ran nadal sączy się krew, i tak w kółko.

Mężczyzna, kiedy już ułożył odpowiednio dziewczynę, pochylił się i obserwował skaleczenia. Chciał ich dotknąć wskazującym palcem, ale odsunął rękę. Pomyślał, że to nie jego ciało, więc nie powinien jej dotykać, a z drugiej strony przecież robił to cały czas, pomagając w myciu. Dziwne to było uczucie, zupełnie nieznane mu do tej pory.

-- Ciekawe, jaką przyniosła ze sobą opowieść -- szepnął.

-- Coś mówiłaś? -- odparła kobiecina, myjąc piersi Tove. Liście kapusty przynosiły ukojenie. Wymieniła plastry na nowe, wcześniej posmarowała ich wewnętrzną stronę maścią, którą sama ukreśliła dla krów, a może raczej dla ich wymion, żeby nie pokrywały się ranami i uśmierzały ból podczas dojenia.

-- Tak. Zastanawiam się, co ją tu sprowadziło i jaka jest jej historia. Może zemdląca nad brzegiem jeziora? A może pływała w nim i wyrzuciło ją na brzeg?

-- Prędzej by się utopiła... -- odpowiedziała staruszka.

-- Kto wie, Irmo? Jest ciężarna, ma już dość wyraźny brzuch, który mógł ją unosić na wodzie. Podobnie jak moje korkowe boje przymocowane do sieci rybackich. W ten sposób nie idą na dno i widzę, gdzie je zarzuciłem. Ot, póki się nie obudzi, to jej historia będzie tylko tajemnicą jeziora -- chwycił się za brodę i dumając, rozczesywał ją palcami.

-- A jak się nie obudzi? -- Irma spojrzała na niego wymownie i ze strachem w oczach.

-- To może my jej powinniśmy pomóc?

Patrzyli po sobie, a między nimi zapadła niezręczna cisza.

-- Boję się o dziecko, dlatego jeszcze tego nie zrobiłam. Spróbujemy tuż przed porodem, gdyby miało zaszkodzić płodowi, to będę widziała i czuła ruchy dziecka, a w najgorszym przypadku ich brak, wtedy rozetniemy brzuch i go wyciągniemy.

-- Nie ma jakichś bezpieczniejszych metod? -- Ściągnął brwi i nadal trzymał się za brodę. Jego ogorzała od słońca twarz w tym świetle uwioczniała miodową opalenizną i bruzdy wokół wydatnych warg. Oczy kolorem przypominały wzburzone niebo, zdawało się, że z sekundy na sekundę robią się coraz bardziej ciemne.

-- Jeszcze jest za wcześnie, zdecydowanie za wcześnie na kombinowanie. Jak coś pójdzie nie po naszej myśli, to dziecko na pewno nie przeżyje. Za trzy miesiące już będziemy gotowi, a do tego czasu czeka nas sporo pracy. Chyba że się sama obudzi ale jeśli nawet do tego dojdzie, to nie wiemy, czy coś będzie pamiętała...

-- Zapomni?

-- Gorhanie, no, kto wie? Takie przypadki też miałam. Wystarczyło, że kto mocniej z konia spadł i już nie wiedział, jak się nazywa, jakie imiona przybrali brat, siostra, gdzie mieszka, a co gorsza, dzieci własnych nie poznawał.

Mężczyzna opuścił dłonie i włożył je w kieszenie szarych, trochę za dużych spodni. Patrzył na chudziutkie niepasujące do całego ciała Tove nogi, jej wystający nabrzmiaty brzuch i zawisłe na jednym boku ogromne piersi, do których przyklejone były liście kapusty. Kok, który tak pieczołowicie upinała Irma, rozwiązał się i na łóżko, opadły gęste i ciemne włosy. Skóra dziewczyny połyskiwała niczym rybie łuski, a brzuch co chwila podskakiwał, padł na niego cień starszej kobiety, teraz w tym półmroku dziewczyna wyglądała jak kijanka. Ciemne, głęboko kasztanowe włosy, wpadające w czerni, formowały wysoko wysklepioną głowę niczym nieodgradzoną od tułowia, a brzuch i nogi prezentowały się jak ogon otoczony płetwą. Gorhan przeszedł w inne miejsce, z którego już całkiem stracił ostrość jej konturów, cała złała się w jeden wielki oślizgły głowotułów. Leżała ze świszczącym oddechem, jakby czekała na przepoczwarzenie, na całkowite wyklucie. Usiadł na niewielkim krzeselku, które lekko wygięło się pod jego ciężarem, chwycił dzban z wodą i nalał wodę do niewielkiego naczynka wyglądającego jak czarka. W pomieszczeniu zrobiło się wilgotno i parno, wytarł nadgarstkiem pot z czoła i upił kilka łyków, krople wody osiadły mu na brodzie, a na skroniach znów pojawił się pot. Wstał i uchylił okno, żeby wpuścić do izby choć odrobinę świeżego powietrza. Delikatny wietrzyk wprowadził drobinki kurzu w ruch. Wirowały ponad sklepieniem domu, miarowo opadając w dół. Gorhan przecesał ręką dość krótkie włosy w kolorze słonecznego

piasku, chwycił duży kuchenny nóż, którym Irma zazwyczaj kroїła chleb i podszedł do staruszki.

-- Tniemy? -- Podniósł ostrze na wysokość jej oczu, czubek złowrogo zaiskrzył.

Gorhan jedną ręką pomógł Irmie położyć dziewczynę z powrotem na plecy. Kobieta wyciągnęła jej włosy spod pleców i rozłożyła na całej długości, mężczyzna wydzielił jedno pasmo, naprężył jak linę i przyłożył nóż.

-- Nie idą... ale mocne -- mówił, a staruszka patrzyła mu na ręce. -- Nie chcą się ściąć, kiedy ostatni raz go ostrzyłaś?

-- Ooo, to już dawno. Faktycznie chleba dziś rano nie ukroiłam, ale raczej porwałam. -- Mężczyzna podszedł do wiekowego kredensu i wyciągnął z szuflady specjalny kamień. Ocierał o niego ostrzem raz z jednej, raz z drugiej strony z taką wprawą, jakby robił to od lat. Drobnе iskry sypały się spod klingi. Gorhan poczuł w ustach metaliczny smak, podszedł do dziewczyny i znów chwycił jej włosy. Drobną kępką została mu w dłoni, ale reszta włosów nie chciała ulec ostrzu.

-- Przecież to niemożliwe, jest ostry jak brzytwa. -- Naciągnął włosy na brodzie i przeciął je nożem. -- Zobacz, Irmo. -- Wskazał garść włosów trzymanyh w palcach. -- Skoro swoje mogę ściąć, to czemu jej nie?

-- Ach, może robisz to pod złym kątem. Jak byłam młodsza, też miałam takie mocne i grube niczym koński ogon. Weź tasak. Nie musisz już go ostrzyć. Podłóżymy jej pod włosy tę grubą, długą, drewnianą deskę, na której zawsze patroszę ryby i kroję mięso. Uderzysz w nie z góry i będzie po kłopotcie.

Gorhan przez chwilę myślał, ale już za chwilę przyniósł deskę.

-- Dobrze, to na "trzy" tnę. -- Ręka z tasakiem zawisła mu nad włosami dziewczyny. -- Raz, dwa, trzy...! Ciach! -- Ostrze uderzyło w mocne i grube niczym okrętowa lina włosy, spod ostrza znów wydobyły się iskry i trzask. Dziewczyna w jednej sekundzie otworzyła oczy, wygięła szyję, złapała powietrze i znowu opuściła tułów razem z powiekami na miejsce. Obcięte pukle leżały na łóżku.

-- Psiakrew! Do licha, co to było?! -- Gorhan nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

-- Uspokój się, włosy bardzo często są naelektryzowane i w zetknięciu z jakimś metalem wytwarza się właśnie takie strzelające spięcie. Ona się cały czas rusza, więc niech to cię nie dziwi. Jak śpisz, też się ruszasz i nawet nie wiesz, że otwierasz oczy.

-- Nigdy nie miałem długich włosów, więc nie wiem.

-- Ale ja miałam i wiem. Dotnij nożem to, co zostało jej po bokach, tak, żeby choć wyglądało na równe. Teraz będzie dużo łatwiej się nią opiekować.

-- A co z tymi? -- Wskazał na te leżące na łóżku. Pukle poskręcały się w nieładzie i wyglądały, jakby wyciągały ku nim macki. -- Wyglądają przerażająco -- dokończył.

-- Włosy są bardzo starym zabobonem, rodzajem znaku. Odczynianie uroków, rzucanie zaklęć, ech... w to wszystko można wplątać symbol włosów, ale w tym momencie ja w to nie wierzę. Muszę się nią opiekować, a nie mam siły ich myć i układać, ja jestem za stara, nie mam mocy w rękach, a one są za długie. Możemy je spalić albo weź je ze sobą i wykorzystaj do naprawiania swoich sieci. Zobacz, jakie są mocne i grube. -- Chwyciła w dłoń jeden włos i naprężając go, próbowała przerwać, ani drgnął.

-- Nie wiem, czy tak można -- odrzekł speszony. -- Nie znamy jej, nie wiemy, kim jest, co ze sobą tu przyniosła.

-- Ach, daj już spokój z tym gadaniem. Są długie na ponad metr! Gdzie ty takie drugie nici znajdziesz? Koniom znowu z tyłków będziesz wrywał? Masz! -- Zebrała włosy dziewczyny i włożyła do lnianego worka. -- Masz i zrób z tego jakiś pożytek. Pamiętaj, że nic nie powinno się marnować, a na zabobonach i urokach się znam, więc możesz mi zaufać. I worek jutro mi oddaj, bo to mój ulubiony. Dobrze się w nim suszą zioła, a teraz pomóż ją ubrać i już będziesz wolny, masz, jeszcze to wypij. -- Kobieta podała mężczyźnie zielony napar. -- To jest woda po gotowanym szczawie, trochę gorzka, ale uzupełni wszelkie niedobory.

-- Ale ja się dobrze czuję, nie potrzebuję tego.

-- Potrzebujesz i nawet nie wiesz jak. Jutro przyjdź z tym workiem dostaniesz jeszcze. -- Mężczyzna pomógł przy ubieraniu Tove, ale nie patrzył już na nią tak jak wcześniej. Chciał czym prędzej wrócić do swoich obowiązków. Widział, jak staruszka opada z sił, więc chwycił za ryby, które przyniósł, doprawił je i podsmażył na cienkiej, żeliwnej płycie i podał Irmie siedzącej na swoim wysokim łóżku, przykrytym wełnianym kocem. Kobieta z trudem wstała i usiadła do stołu, żeby zjeść.

-- Gorhan... -- Położyła rękę na jego rękę. Mężczyzna siedział obok niej. -- Ty jesteś dla mnie jak syn. Pomagasz, opiekujesz się nie tylko mną, masz takie dobre i złote serce. Wpuść do niego jakąś kobietę... -- Spojrzała na niego wymownie i z jakąś dziwną nostalgią w oczach.

-- Nie potrzebuję kobiet. Mam już ich wystarczająco dość. Coś jeszcze? Czy znowu będziesz mi prawić morały?

-- Gorhan... jesteś silny jak wół, ale masz zamarzniete serce, jak kra, co pojawia się na lodzie. Ludzie są stworzeni do życia w stadzie, w jedności. Przynajmniej dwie tu u nas we wsi patrzą na ciebie zamglonymi oczami.

-- Nie chcę ich, kobiety są przewrotne i głupie. Mam dzieci, to jest moje stado.

-- Gorhan... -- Ścisnęła jego rękę jeszcze mocniej, czuł, jak drży. -- Twoje dzieci mają już swoje rodziny, dlatego coraz rzadziej nas odwiedzają. Tylko patrzeć, jak pojawią się wnuki. Otwórz swoje serce.

-- Skończyłaś już te morały? Jutro przyniosę worek. -- Wstał i nie patrząc na kobiety, natychmiast wyszedł z izby. Był ponad tym wszystkim, nie myślał o tym, co usłyszał.

Przyzwyczał się już do tego, że ta stara kobiecina cały czas upomina go, rosłego, zaradnego czterdziestopięcioletniego faceta, że kłóci się z nim, nakazuje, umoralnia i nie rozumie tego, że on jest i chce być jak ryba pływająca w ławicy, a jednak samotna. Być może nie wysłuchało jego próśb wtedy, kiedy powinno, więc przestał je składać. Czas ukoił rany, gruba skóra porosła blizny, a serce obrosło pajęczyną i kurzem, dlatego nawet nie zastanawiał się nad tym, co do niego mówiła. Nie żałował żadnych decyzji, które podjął w życiu, nikogo przecież nie

skrzywdził ani nie zabił, oczywiście nie licząc ryb, które zjadł albo sprzedał. Szedł i nic nie mówił, choć czasem, jak miał dobry humor, coś sam do siebie gadał albo podśpiewywał, kopiąc przydrożne kamienie, jednak nie tym razem. Broda mu lekko opadła, a w miejscu przycięcia nożem była nierówna, wyglądało to tak, jakby mysz wykrobała w niej dziurę.

Chód miał ciężki, ale szybki i mocny, stawiał długie, zamaszyste kroki, pozostawiając po sobie ślady na piaszczystej drodze. Przypominał wędrownego piechura, czasem zupełnie bezwiednie zakładał ręce na plecy i tak trzymał przez całą drogę. Patrzył wtedy w dal przed siebie, ale już nie pod nogi. Jakby ręce splecione na lędźwiach podtrzymywały pion kręgosłupa i nie pozwalały mu opaść. Spojrzał w niebo, a wypełzły na nie dość ciemne, kłębiaste, burzowe chmury, w oddali zaczęło błyskać, ale zmiana pogody nie przstraszyła go w żaden sposób, nie przyspieszył kroku. Powietrze zrobiło się ciężkie i wilgotne, wiatr ucichł.

Coś zaszeleściło w krzakach, zakotłowało się, zatrzepotało. Zaczął padać deszcz. Najpierw był miarowy i lekki, jednak już po chwili krople deszczu zaczęły swym rozmiarem przypominać dojrzałe wiśnie, opadały ciężko na ziemię, tym samym wzniecając tumany kurzu na suchej, piaszczystej drodze. Szum deszczu stawał się coraz głośniejszy, przyćmił nawet hałas wydobywający się z przydrożnych zarośli. Gorhan szedł dalej, udając, że nie widzi, jak coś coraz mocniej szamocze się w krzakach, chciał zignorować ten dźwięk, ale im mocniej padał deszcz, tym bardziej natarczywy czuł w sobie impuls, który mówił mu, że powinien tam zajrzeć. Gdy rejwach w krzakach stał się donośny jak na jarmarku, mężczyzna zatrzymał się i z przyklejoną do ciała mokrą koszulą oraz spodniami, w dość intensywnych smugach deszczu, schylił się i ostrożnie rozchylił gałęzie. Zwierzę podniosło lament, zaczęło burczeć i krakać, a jego czarne piórka roztrzepotały się na wszystkie możliwe strony. Ciepłe, gardłowe brzmienie rozległo się po całej okolicy. Mężczyzna zauważył, że ptak podnosi tylko jedno skrzydło. Krople deszczu spływały mu po piórach i dziobie, czarne oko kręciło się, co rusz chowając się pod ptasią powiekę.

-- Kruk -- szepnął do siebie mężczyzna. -- Ależ potężny i wielki, jak jastrząb. -- Wyciągnął po niego rękę. Za pierwszym razem ptak dźgnął go zakrwawionym dziobem w palec, ale już za drugim udało się mu go złapać. Gorhan obejrzał go na tyle, na ile pozwalał mu deszcz. Na pewno ptak miał naderwaną prawą nogę i złamane skrzydło, którym zupełnie nie poruszał. Ptak szamotał się i wydawał dziwne gardłowe dźwięki, więc mężczyzna złapał go oburącz jak kurę i schował się z nim pod drzewo.

-- I co teraz, kruku? -- mówił, patrząc mu w oczy. -- Co mi przynosisz na tych swoich połamanych skrzydłach? Wojnę czy śmierć? -- Mokra ptaszysko patrzyło na Gorhana i przestało krakać. -- Najczęściej żerujecie tam, gdzie jest padlina, nie pogardzicie też ludzkimi zwłokami, więc najlepszym miejscem są dla was pola bitewne po zakończonych walkach. -- Mężczyzna mówił, ptak milczał, kręcąc łebkiem. -- I co ja mam teraz z tobą zrobić chowańcu czarownic? Potrafisz wyjść trupowi mózg przez oczodoły i nigdy nie pojawiaasz się przez przypadek, a prawidłowo odczytane znaki mogą zmienić człowiecze losy.

Liście drzewa namokły i przestały już chronić. Strużki wody lały się Gorhanowi na plecy, a coraz częściej pojawiające się grzmoty nie były dobrą zapowiedzią, więc gdy tylko skończył rozmawiać z ptakiem, deszcz skutecznie wypędził mężczyznę spod drzewa.

I gdy tak odchodził, a jego postać nikła w szarudze, patrzyły za nim zielone knieje i wyciągały do niego gałęzie. Wpatrywały się w jego mocne plecy, na których, gdyby tylko chciał, mógłby przenieść świat cały. Sięgały lianami do kostek, chcąc go zatrzymać, ale supły, które wiązały, ślizgały się po sobie i rozplątywały od deszczu. Musiały za nim patrzeć bardzo długo, bo wkrótce zastał je blady świt. Ciemnozielone światło rozpostarło się na wszystkich listkach i roślinkach, które dalej były zwrócone w jego stronę. W świetle dnia w koronach topoli bzycały pszczoły, a krzew, który dał schronienie czarnemu krukowi, rozchylił nadzwyczajnie mocno pędy. Nie miał tego zwykle w zwyczaju, bo wołał chować się w sobie albo piąć ku promieniom słońca, ale zrobił to wbrew swojej naturze, bo na czarnej ziemi, wyściełanej kruczymi piórami, leżało pulsujące, czerwone, zajęcze serce.



14.

O myślach splątanych jak rybackie sieci

-- Gorhan! Goorhan! -- Szła z wielkim trudem, tuż przed chatą rybaka zatrzymała się, łapiąc oddech. Jedną rękę trzymała na sercu, drugą podpierała się na dębowej lasce. Gdy chwilę odpoczęła, znów zaczęła wołać: -- Gorhan, Goorhan!

Powietrze po wczorajszej burzy było chłodne i wilgotne, temperatura otoczenia spadała, rośliny jeszcze niedotknięte jesiennymi chłodami utrzymywały zmęczoną i już nieco poszarzałą zieleń, która bardzo wyraźnie nabierała ciemnego kolorytu. Kilka kruchych i łamliwych liści otarło się o jej nogi i pofrunęło gdzieś dalej. Zaczęła kaszleć, zaschło jej w ustach. Podeszła jeszcze kilka kroków i dostrzegła tak dobrze jej znany krzew. Owoce kaliny były już całkowicie suche, a większość z nich została zerwana z szypulek przez ptaki. Zastanawiała się, czy z leszczyny już spadły orzechy. Znów chciała go zawołać, ale rozkaszała się na dobre.

-- Irma? -- powiedział sam do siebie, wychodząc z przełożonymi przez ramię rybackimi sieciami. Zasłonił oczy przed niewyraźnym słońcem i patrzył na kurczącą się w oddali postać. Usłyszał świst wydobywający się z jej płuc. Odłożył sieci i natychmiast do niej podbiegł, łapiąc ją pod ramię. -- Irma? Jak tu doszłaś, przecież to jest zbyt daleka droga dla ciebie, i tak bym dziś przyszedł do was z tranem, co... -- Nie zdążył złożyć słów, kobieta natychmiast mu przerwała:

-- Włosy jej odrosły. Są tak samo długie jak wczoraj.

-- Co? -- odparł z niedowierzaniem. -- Ale to jest niemożliwe, może coś ci się przywidziało.

-- Jestem stara, ale nie jestem przecież głupia. Nie mogłam z tym dłużej czekać. Co zrobiłeś z tymi, które wczoraj zabrałeś ze sobą? -- Teraz już podpierając się na jego mocnym przedramieniu, szła dużo szybciej. Prowadził ją do swojej chaty.

-- Jeszcze nic. To znaczy prawie nic, znalazłem wczoraj rannego ptaka, zrobiłem mu klatkę i kilkoma pukłami wyścielałem mu prowizoryczne gniazdo, a innymi załatałem niewielką dziurę w sieci, ale tylko w jednej.

-- To dobrze, tylko nie wyrzucaj jej w jezioro. Musimy je spalić.

-- Za późno. -- Pokazał wskazującym palcem piętrzące się fale na wodzie. -- Dziś rano już ją rzuciłem.

-- Psiakrew! -- zaklęła

-- Ale co to ma do rzeczy? -- zapytał, otwierając skrzypiące drzwi, wiatr nagle zawiął im prosto w twarz, staruszka zmrużyła oczy. -- U mnie nad jeziorem wieje zawsze, już zapomniałaś? -- Uśmiechnął się, ukazując białe zęby. Na tle ogorzałej od słońca twarzy wyglądały dość nienaturalnie. Wprowadził ją delikatnie przez próg i pomógł usiąść na wielkim drewnianym krześle tuż przy stole. Irma rozejrzała się po drewnianych ścianach, na wszystkich były rozwieszane stare rybackie sieci, te których już nie używał. Wewnątrz domu pachniało solą i skruszonymi liśmi jałowca.

-- Nic tu się nie zmieniło. -- Rozejrzała się dookoła. -- Zdjąłbyś te sieci w końcu, tylko zbierają kurz i sprawiają, że jest ciemno.

-- O nie. To mój dom, moje jezioro, moje ryby i moje sieci.

-- Czy to jest kruk? -- Staruszka się wyprostowała, gdy tylko usłyszała krakanie. Dobiegało z dość zacienionego rogu pomieszczenia, ptak usiłował dziobem przebić metalową siatkę, która zaczepiona o drewnianą, szkieletową konstrukcję stanowiła coś w rodzaju prostokątnej klatki.

-- Kruk, kruk, kra... głębokie, gardłowe i daleko słyszalne krakanie coraz bardziej się nasilało. -- Kruk, kruk, kruuuk, kra, kra, kraaa... --

staruszka aż wstała z wrażenia i trzymając jedną rękę na plecach, a drugą opierając się na lasce, poczłapała do klatki.

-- Ależ piękny, jaki dostojny. -- Przyłożyła dłoń do siatki, kruk odskoczył do tyłu i przestał krakać -- Wygląda tak, jakby ktoś oblał go smołą. Zobacz jak umiejętnie zwinął jej włosy na brzożowej korze, jak dobrze uformował gniazdo. Co mu dajesz do jedzenia?

-- Ryby.

-- Co? -- Spojrzała na Gorhana z politowaniem.

-- A co ja innego od wczoraj mógłbym dla niego wymyśleć? Teraz mu myszy nie nałapię, muszę zająć się pracą.

-- No tak, tak, masz rację. Myślisz, że to jakiś znak? Że ten ptak i ta nieznamiona dziewczyna... -- Przerwała zdanie i patrzyła na kruka. -- Musimy jak najszybciej spalić te włosy. Gorhan... -- Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. -- Żadnemu normalnemu człowiekowi włosy nie odrosłyby przez jedną noc. Nawet gdyby najadł się skrzypu polnego i pokrzyw, to jest niemożliwe.

-- Coś sugerujesz?

-- Ona musi być czarownicą.

-- No i co z tego, chcesz ją spalić za to na stosie, razem z tymi włosami?

-- Nie, nie oczywiście, że nie. Tylko nie wiemy, jakie ma w sobie moce, czy jest dobra, czy zła, nic o niej nie wiemy, a ludzi w wiosce jest dużo. Tu się może rozpętać jakieś dzikie szaleństwo. Ludzie mogą się jej bać.

-- Albo ona ich... -- przerwał. -- Nie wiesz, co ją w życiu spotkało.

-- Tak, tak, tak, masz rację. -- Odwróciła się od klatki i chwiejnym krokiem wracała na swoje miejsce. Na przeciwległej stronie, pod ścianą stał bardzo długi drewniany stół, który pomieściłby ze dwie pełne rodziny. Przejechała po jego zniszczonym od użytkowania i upływu czasu blacie, zarysowania piętrzyły się jak zmarszczki na jej twarzy. -- Pamiętam, jak mówiłeś, że go porąbiesz i spalisz, nie zrobiłeś tego. -- Wbiła paznokiec w największą szczelinę.

-- Jeszcze nic straconego. Rozkładałam na nim sieci, przydaje się. -- Staruszka podeszła do drzwi wejściowych i zajrzała do niewielkiego zagłębienia po prawej stronie.

-- ...ale nie ma szafy. Zawsze były tu...

-- Już nie jest mi potrzebna. Mnie wystarczy kilka koszul i futro -- przerwał jej natychmiast zdanie.

-- Nie widzę też lustra. Było jednym z największych we wsi.

-- A po co mam na siebie patrzeć? Nie muszę.

-- Może masz rację... sama nie wiem, ja to wolę w ogóle już na swoją starość nie patrzeć, wystarczy, że spojrzę na ręce. -- Wyciągnęła pomarszczoną dłoń. -- Ooo, widzisz, jakie to zasuszone.

-- No właśnie -- przytaknął i roześmiał się. -- Widzę, że podzielasz moje zdanie. W żadnym domu lustro nie jest potrzebne. Bo jest dokładnie tak, jak ma być. Pewnych spraw nie da się przeskoczyć. -- Staruszka patrzyła i czuła w nim mądrość oraz jakiś dziwny stan melancholii na granicy smutku.

Był pracowity, w sile wieku, mógłby odbyć jeszcze niejedną podróż na Północ, mógłby coś zmienić, zamiast siedzieć w tej wiosce, ale nie chciał. Nie było mu to potrzebne. Wodziły za nim oczami kobiety i te młode, i starsze, bo jest taki rodzaj mężczyzn, który podoba się każdej. Najwięcej kłopotów miał z Heleną, co ma męża moczymordę. Przychodziła tu niby owoców kaliny nabierać, niby bzu, po ryby, a przy okazji przynosiła mu świeże bochny chleba, ot, niby tak przy okazji, a potem wpraszała się i siadając przy stole, suknię wysoko podwijając, nogi rozchylała i mówiła, że zrobi mu to na zdrowie, a on nic jej nie odpowiadał. Sieci brał, do łodzi wsiadał i wypływał na sam środek jeziora. Uparta była i przychodziła tu przez kilka miesięcy, aż w końcu ludzie zaczęli gadać. Jej to było nawet na rękę, mąż cały czas pił, to plotki go omijały, aż któregoś dnia, ktoś mu w końcu powiedział to i owo przy kolejnej butelce, i nim Gorhan wrócił z jeziora, czekał na niego schowany w nadbrzeżnych krzakach. Gdy tylko pojawił się w zasięgu wzroku, ruszył na niego z łapami, poszturchali się trochę. Gorhan ostrzegwał, żeby własnej baby pilnował, bo jemu nic do niej, ale moczymorda nie rozumiał, wpadł

w jakiś szaleńczy amok, więc dostał pięścią między oczy, aż coś mu w nosie strzeliło, oczy zaszyły krwią, przewrócił się na nadbrzeże i tak tam leżał do samego wieczora, aż fale zaczęły przykrywać mu najpierw tułów, a potem nogi. W końcu Gorhan zlitował się nad nim i wyciągnął go głębiej na brzeg, sprawdził, czy oddycha i wrócił do swojej chaty, wyglądającej raczej jak stara szopa zagospodarowana na budynek mieszkalny. Kiedy rano wstał i wyjrzał przez okno, moczymordy nie było. Zostawił po sobie tylko meandrujące ślady prowadzące na ścieżkę znikającą w lesie.

Jak przychodziły do niego młode, jeszcze panienki, to również wypływał na jezioro, ale wtedy płynął na przeciwległy brzeg tam, gdzie swoje gniazda mają kormorany. Mówił, że te ptaki trochę mu przypominają kruki, bo choć są piękne, to bardzo nielubiane przez ludzi. Jeżeli chodzi o młode, to większy problem miał z ich ojcami aniżeli z nimi. Wystarczyło, że na którą tylko krzywo spojrział, odchodziła z płaczem, a potem łzy za nim wylewała miesiącami, więc ojcowie dobijali się do jego zaryglowanych drzwi, ale nic wielkiego sobie z tego nie robił. Choć jedna była na tyle cwana, że rozgłosiła po wsi, że jest z nim w ciąży. Śmiał się z tych plotek, ale kiedy brzuch zaczął jej rosnać, nie był mile widziany we wiosce, a i nikt ryb od niego kupować nie chciał, a przecież dobrze wiedział, że to nie jego dziecko. Dopiero jak urodziła zdrowego chłopczyka z ciemnymi kręconymi włoskami, od razu było wiadomo, czyja to sprawka. Ojciec córkę zlał kijem, aż czerwone pręgi miała na plecach i przyszedł go przeproszać. Ale Gorhan, jak to miał w zwyczaju, odwrócił się od przybyłego, wsiadł do łodzi i popłynął. Od tamtej pory dziewczuchy dały już sobie z nim na spokój a ojcowie czasem piwa z nim wypili przy jakim święcie, ot i wszystko.

-- Gorhanie, co z nią zrobimy? -- zapytała zrezygnowanym głosem. -- Powoli opadam z sił, przecież muszę jeszcze wnukiem się zajmować.

-- Nic nie zrobimy. Teraz pójdziemy spalić włosy, a potem poszuka się jakiejś kobiety do pomocy. Ja jej za pomoc zapłacę.

-- Ale tu nie chodzi o pieniądze, przecież ja też coś mam schowane. Cały czas ludzie do mnie przychodzą po maści, zioła, po radę. Żyję

z tego, co przyniosą, przecież sam wiesz. Boję się, że jak ktoś obcy będzie się tu kręcił, to zacznie niestworzone głupoty opowiadać. Gdyby ktoś inny zajmował się nią już teraz i zobaczył te odrastające włosy? Sam dobrze wiesz, jacy są ludzie.

-- Irmo, przecież ty sama jesteś jak czarownica. Całe półki masz wyłożone ziołami i świecącymi kamieniami, a boisz się o tę dziewczynę? -- zapytał z niedowierzaniem.

-- Ale mnie nie odrastają włosy w takim tempie, ja leczę, zamawiam choroby. Nie znam się na czarach.

-- Ech... -- westchnął. -- To najpierw spalmy te włosy, a potem się zobaczy, jakoś to będzie. U mnie na podwórku?

-- Nie, u mnie w chacie, musimy przy niej.

-- Dobrze, w takim razie ruszajmy w drogę.

Szli wolno, bo staruszka nie miała sił, Gorhan chciał ją wziąć na ręce, ale odmówiła, zaśmiała się tylko, że powinien żony poszukać i ją do łóżka nosić, a nie zamierzać się na starą babę. Co chwila wzmagał się wiatr i tworzył tumany unoszącego się piasku na szutrowej drodze. Zasłaniali przed nim oczy i zatykali usta, w powietrzu czuć było nadchodzącą jesień, owiewało ich raz ciepłe, raz zimne powietrze, jakby wicher sam nie mógł zdecydować się, z której wiać strony, czy z zimnej północy czy ciepłego południa. Stworzony przez siły natury, a nie człowieka wywoływał w Gorhanie skrajne odczucia. Dobrze wiedział, jak w taką pogodę zachowują się fale na jeziorze i jak łatwo traci się sterowność łodzią. Woda prowadzi człowieka tam, dokąd chce, a nie tam, dokąd powinna. Dobrze wiedział, że teraz na jeziorze bałwany piętrzą się niczym ostre gałęzie na czubkach drzew i mogłyby w jedną, niewielką chwilę zakryć rosłego, dwumetrowego człowieka. Zastanawiał się, czy to, co teraz do niego przychodziło, było przecuciem nadchodzących, nieuchronnych zmian, czy tylko tak sobie wmawiał.

Był blondynem, rozrośniętym w ramionach, im częściej wypływał na łowiska, tym mocniej rozrastały się barki od ciężkiej wioślarskiej pracy. Nie przeszkadzało mu to, że co jakiś czas musiał poszerzać swoje koszule, bo z trudem ściągał je z siebie. Ciął poprzednie szwy, dokładał

w wycięte miejsca kilka centymetrów z innego materiału i zaszywał z powrotem, a że biegle posługiwał się igłami, nawykły był do przeplatania rybackich sieci, to nie sprawiało mu to zbyt wielkiego kłopotu.

Kiedy zobaczyli z oddali dom Irmy, każdy jej krok stawał się wolniejszy. Co chwilę wspólnie przystawali, żeby odpocząła. Po drodze minęli dom tkacki, starą wędzarnię, dom bartnika i bednarza oraz wiele innych zwykłych gospodarstw. Kobiety krzątały się w obejściach, mężczyźni przebywali na polach albo wyjeżdżali do pobliskich wsi załatwiać różne sprawunki. Minęło już dużo czasu, więc plotki na temat Tove znacznie ucichły, ale nikt, kto tu mieszkał, nie zapomniał o dziwnym pojawieniu się nieznajomej dziewczyny. Staruszka tuż przed otwarciem drzwi zaczęła patrzeć na Gorhana w taki sposób, jakby go widziała po raz pierwszy. Drżały jej kąciki ust, być może ze strachu, albo z jakiegoś bliżej nieokreślonego zadziwienia. Nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego i oddychała nierówno, powietrze świszczą jej między krzywymi zębami, płuca podnosiły się i zapadały. Położyła powyginaną od reumatyzmu dłoń na jego piersi, chcąc w ten sposób zaznaczyć, że chce mu coś powiedzieć, że na czymś jej bardzo zależy. Zmrużyła oczy, a wtedy zmarszczki wokół nich przybrały kształty splecionych rybackich sieci, nie sposób było natrafić na tę linę, która jako pierwsza zapoczątkowała splot.

-- Wiesz, co będzie dalej? -- powiedziała tak, jakby ona już była tego świadoma, a chciała się tylko upewnić.

-- Nie -- rzucił oschle -- a po co mi takie nowiny?

-- A ja wiem? -- Zdjęła rękę z jego piersi i pogrążona w jakiejś dziwnej zadumie pchnęła mocniej niż zwykle drzwi od domu. -- Niewielu jest na świecie takich jak ty. -- Zmieniła tor rozmowy na zupełnie inny.

-- Irmo, a ty znowu swoje?

-- Zrobię z tym porządek, choćbym miała przyplacić to własną śmiercią. -- Jej nieregularne rysy twarzy wyostrzyły się, nos jakby wydłużył, a w oczach pojawił się dawno niespotykany ogień. Gorhana przeszedł ciarki wzdłuż kręgosłupa i poczuł mrowienie w kończynach. Oczy staruszki wyrażały coś więcej aniżeli zwykłą determinację, czaiła się w nich

jakaś iskra, dokładnie taka sama, jaka zdobi oczy ludzi, którzy z niewiadomych przyczyn postradali zmysły. Zupełnie nie rozumiał jej intencji, patrzył z jakimś dziwnym niedowierzaniem. Zawsze wyrażały ciepło i spokój, a teraz patrzyły na niego poprzecinane jakimiś dziwnymi wiązkami światła, w których czaiła się złość.

Wszedł do izby ostrożniej niż zwykle. Obserwował staruszkę, wahał powietrze, słuchał trzeszczącej podłogi i ścian, czekał, aż nastanie cisza. Ta sama dojmująca, która zawsze czekała na niego w domu, ale przecież to nie był jego dom, więc czego oczekiwał?

-- Spójrz, jak urosły. To są dopiero dziwy. -- Gorhan przesunął wzrokiem po Tove, zdawało się, że po ścięciu włosów jest ich dwa razy więcej. Ułożyła na nich głowę jak na kaczym puchu, otulały ją z każdej strony. Wychodziły spod pleców, barków, ramion, rąk. Sięgały do łędźwi albo nawet kilka centymetrów dalej. Podszedł do niej ostrożnie, nie śmiał ich dotykać. W izbie Irmy przybrały mocny, jakby granatowo-czarny odcień, prawie taki sam, jaki zdobiły lotki kruka. Wyglądała, jak śpiący w gnieździe ptak. Skulony w sobie, jakby chciał ochronić się przed deszczem, na wpół śpiący, na wpół czuwający, ale jednak wciąż żywy. Staruszka podeszła do niego i chwyciła za ramię, napięcie w jej oczach jakby zelżało, dotknęła jej ręki:

-- Zimna. Nie wiem, co się z nią dzieje. Raz jest zimna, raz gorąca, aż pot spływa jej ze skroni. -- Odgarnęła z czoła dziewczyny włosy, które przykleiły się jej do czoła.

-- Czy ty czegoś potrzebujesz ode mnie? Jesteś jakaś nieswoja -- zadał pytanie.

-- Musimy spalić włosy i zrobimy to razem.

-- Dlaczego tak ci zależy na tym, żebym tu był? -- Zmarszczył czoło w niedowierzaniu, staruszka odwróciła wzrok i zaczęła czegoś szukać w drewnianych szafeczkach. Przewracała fiołki, przez nieuwagę rozsypywała zioła, nawet zbiła szklaną bańkę z deszczówką.

-- Niech to szlag! -- syknęła jak rozjechana żmija na drodze, nawet nie wzięła szmaty, żeby zetrzeć wodę z podłogi, tylko nadal czegoś szukała, aż wreszcie na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Nie musiała

niczego tłumaczyć, Gorhan z daleka widział, że znalazła to, czego szukała. Teraz jakaś nadzieja malowała się w jej oczach, wykonywała zamaszyste ruchy, jakby od tej jednej chwili zależały dalsze jej losy, a Gorhan obserwował ją, jakby był psem tropiącym. Wyostrzał wzrok, słuch, zastanawiał się, gdzie będzie chciała rozpalić ogień.

-- Trzymaj to. Będiesz polewał, jak już ci powiem, kiedy czas. -- Urwała kawałek chleba i żuła dosyć długo. Mężczyzna dumął, czy te ospałe ruchy szczęki są spowodowane utratą wigoru, którą naturalnie traci się na starość, czy brakami w uzębieniu.

-- Co to jest? -- Spojrzał z dezaprobatą na niebieską dość dużą butelkę. Wewnątrz niej pływała woda z drobinkami wyglądającymi jak złoto.

-- Woda księżycowa -- odpowiedziała, podając mu drugi naderwany kawałek chleba. Gorhan odmówił. Zupełnie nie był głodny, nie wiedzieć czemu miał zaciśnięty żołądek.

-- Księżycówka? -- zapytał zdumiony.

-- Nie. Przecież mówię, że woda księżycowa, nie ma w tym ani krztyny alkoholu.

-- Ale z czego to jest? -- Obracał w dłoniach butelkę, wystawiał ją pod światło, odetkał korek i wciągnął powietrze nosem. -- Nie pachnie, chociaż można to pić?

-- Nie! Jak chcesz wody, napij się ze studni. Tę specjalnie wystawiam na dwór w pełni, żeby dosięgły ją promienie księżyca, wtedy nabiera odpowiedniej mocy, a że pełnego księżyca nie zawsze widać, bo często kroć zasłaniają go chmury, to taka woda jest bardzo cenna. Każda pełnia jest inna. Kiedy wyszłam rano na dwór po butelkę, którą trzymasz w rękach, to zauważyłam te złote drobinki w jej wnętrzu. Czegoś takiego jeszcze nie miałam w swoich zbiorach. Bardzo dziwne zjawisko. Najczęściej woda księżycowa po bezchmurnej nocy przybiera niebieskawy odcień. Najlepiej to widać w szklanych, przezroczystych butelkach, a teraz miałam tylko tę, niebieską, ale woda wewnątrz nadal jest kryształowa, tylko te drobinki tak mnie zastanawiają. -- Mężczyzna otworzył usta ze zdumienia.

-- To o czym mówisz Irmo? -- Zawahał się przez chwilę -- To są czary?

-- Nie, chłopcze. To są życiowe pomoce. -- Zaśmiała się cichutko. -- Sam wiesz, że życie lekkie nie jest, ale jeśli... -- Wyjęła mu butelkę z ręki -- ...będziemy sobie w nim pomagać, otaczać się odpowiednimi przedmiotami, dobrymi ludźmi, to będzie nam łatwiej przez nie przejść.

Gorhan niby rozumiał te aluzje, ale tak wywracał oczami, jakby jednak nie... Spojrzał na śpiącą dziewczynę i zrobiło mu się jej żal. Patrzył, jak ślina spływa z jej kącika ust, jak powoli płynie przez podbródek i zaczyna zdobić szyję, przypominając błyszczący wisiołek. Co z nią teraz będzie? A raczej z nimi, bo przecież nie przybyła w jednej osobie. Staruszka włożyła włosy do metalowego wiadra, mężczyzna mówił, że będzie śmierdziało, oponował, że powinni zrobić to na dworze, ale odmawiała, cały czas upierając się, że to musi być tutaj, że ogień powinien płonąć obok niej. Atmosfera w izbie coraz bardziej gęstniała, Gorhan chciał już wyjść, żeby wypłynąć na połowy. Na kołyszącej falami wodzie czuł się jednak najlepiej. Nie musiał łowić, wystarczyło, że patrzył w dal ponad horyzont albo prosto w głębiny, w ciemną toń jeziora. Nikt go wtedy o nic nie pytał, nie prosił, był tylko sam dla siebie, a tak pozorna cisza, która otaczała go z każdej strony, przecinana jedynie pluskiem rozbijanych o łódź fal, świszczącym wiatrem czy śpiewem ptaków, sprawiała, że odzyskiwał siły. Czasem nawet myślał, żeby zamieszkać na wodzie. Żeby któregoś dnia zbudować sobie ogromną, zadaszoną łódź z żaglem, widział kiedyś takie, gdy podróżował po świecie, i wypłynąć nią w dal. Zarzucać kotwicę na środku wody albo cumować gdzieś przy brzegu i w ten sposób opłynąć całe jezioro, które z perspektywy wielu ludzi ze wsi nie miało ni początku, ni końca. Czemu nie zrobił tego do tej pory? Przecież nic już go tu nie trzymało? Właśnie zdał sobie z tego sprawę, kiedy Irma kładła rybnie flaki na goły brzuch Tove.

-- Rybie wnętrzości?

-- Już nie zadawaj pytań, przystaw wiadro bliżej jej brzucha, jak powiem kiedy, to polejesz go wodą księżycową.

-- Przecież mi ją zabrałaś.

-- To weź ją znowu. -- Ręce jej się trzęsły jak staremu pijaczysku od gorzałki, oczy miała rozbiegane, ale znalazła krzesiwo i próbując rozpa-
lić ogień ciosała kamieniem o kamień, nie wychodziło.

-- Daj, ja to zrobię.

Mężczyzna delikatnie odsunął staruszkę na bok, ta poprawiła pukiel białych włosów niedbale opadający na pomarszczoną twarz i patrzyła na niego z ukosa. Tarła rękami o bawełnianą spódnicę, jakby brud chciała wytrzeć, ale nic bardziej mylnego, była po prostu zdenerwowana. Patrzyła na jego ręce nawykłe do tej czynności i mamrotała pod nosem jakieś słowa. Chwyciła koniuszki sukni i ścisnęła je palcami, głowę skierowała ku górze i mamrotała, mamrotała, mamrotała, aż w końcu ogień buchnął pod sam sufit na niespotykaną wręcz wysokość. Z wiadra na boki sypały się iskry, wyglądało to tak, jakby jakaś niewidzialna ręka piłowała metal. Niewielkie błyski sypały się na podłogę, rozścielały na niej jakby niewielkich rozmiarów migoczący chodniczek.

Mężczyzna patrzył na to zjawisko ze zdumieniem. Wielki słup ognia piął się niczym dym z komina, a po bokach sypały się iskry. Wyglądało to jak płonący kwiat, który dopiero co zakwitł i rozpościerał na boki swoje ogniste płatki. Babka stała w nieznaczej odległości i nie poruszała się. Wyglądała, tak jakby chciała zatrzymać czas jedynie tylko wzrokiem, Gorhan zupełnie nie wiedział, co ma robić, więc stał i patrzył.

Tove budziła się i zasypiała z powrotem, pod zamkniętymi powiekami ruszały się gałki oczu, wywijają w każdą z możliwych stron, jej dusza próbowała oderwać się od ciała, ale cały czas leciała w niekończącą się otchłań, prosto w ciemność, walczyła ze sobą tam w środku, lecz ktoś mógł o tym wiedzieć, przecież nikt tego nie widział. Przecież ludzie codziennie coś czują, a być może nawet przeczuwają, ale i tak w to nie wierzą, dopóki nie zobaczą. Słyszała trzask ognia, wdychała smród palonych włosów i woń nagrzanego do granic możliwości metalu. Przesuwała językiem po wewnętrznej stronie policzków i po podniebieniu, zbierała śliną ten metaliczny posmak, który coś jej przypominał, ale zupełnie nie wiedziała co. Oczy piekły ją od wzbierających łez, częściowo przez historię, którą w sobie nosiła, a częściowo przez to, że nie chciała się budzić.

Chciała zniknąć, tak jak ktoś, kogo nigdy nie było i być może by jej się to udało, ale nie pozwalała jej na to ta mała rybka pływająca w jej brzuchu.

Gorhan przemieścił się kilka kroków, szedł lekko, pewny siebie chciał otworzyć okno, ale wystarczyło jedno groźne spojrzenie staruszki i zaniedbał pomysł. Miał dosyć, było mu niedobrze i gorąco, chciał stąd jak najszybciej wyjść, ogień zdawało się, jakby pełzał po sklepieniu, Tove zaczęła się krztusić od dymu, co chwila wyginała głowę do tyłu w konwulsyjnym spazmie. Mężczyzna podszedł do niej, chcąc unieść jej głowę, ale staruszka ponownie go zatrzymała.

-- Przecież ona zaraz się udusi! -- Spojrzał wymownie na Irnę, kobieta milczała jak zaklęta. Przerażony patrzył na nabrzmiałą Tove, podszedł do staruszki i potrząsnął nią: -- Zrób coś! -- Ale Irma niczym nie wzruszona stała i nie poruszały się nawet jej powyginane palce, wyglądała jak zahipnotyzowana. Dziewczyna już wręcz kaszlała, rzucając się bezwiednie z boku na bok, rybie wnętrzności zajęły się ogniem.

-- Nie! -- Gorhan krzyknął, nie wiedząc, co robić, podbiegł i zrzucił je rękami na podłogę, miał wrażenie, że przez chwilę poczuł, jak dziecko ruszało się w jej brzuchu, na skórze dziewczyny zostały czerwone, brzydkie ślady po oparzeniu, teraz ogniem zajęły się jej włosy. Pomarańczowe smugi podchodziły coraz bliżej głowy. Gorhan wiedział, że nie może liczyć na pomoc staruszki, próbował ugasić płomień rękami, potem chwycił dzban z wodą i wylał prosto na jej twarz, ale wody było za mało, nie miał czasu iść do studni, chwycił miskę z pomyjami, następnie księżycówkę, chwycił wszystko, co miał w zasięgu wzroku, aż wreszcie zauważył skórę sarny leżącą przy rzeczach, które należały do Tove. Przykrył nią dziewczynę, uklepując miejsce, gdzie płonęły włosy, skupił się tylko na tym, nawet nie zauważył, kiedy ogień w wiadrze zgasł, a całą chatę wypełniły smugi ciemnego dymu. Tove krztusiła się i jęczała, jakby ktoś robił jej krzywdę. Kiedy czerwone płomienie zniknęły szybko odkrył zza skóry jej twarz, żeby mogła swobodnie oddychać. Dotknął jej rąk i nóg, była zimna niczym lód, w jednej chwili usta zaczęły się robić sine, szybko przykrył ją bardzo szczelnie skórą sarny i mówił do siebie: -- Co mam robić? Niech mi ktoś powie, co mam robić? W jednej chwili znie-

ruchomiał, bo przed sobą zobaczył właśnie szmaragdowe niczym toń jeziora oczy, w których pławiły się ławice ryb. Pręgi światła padały na zielonkawę tęczę, rozświetlając je dokładnie tak samo jak promienie słońca rybie łuski pojawiające się tylko na chwilę przy jeziornej tafli. Długie, czarne, okalające powieki rzęsy zatrzepotały jak skrzydła motyla, dziewczyna zrobiła jeden wielki wdech i wydech, a spomiędzy wrzącego powietrza, które oddzielało ją od mężczyzny, wyłonił się smukły jak stróżka dymu z dogasającej fajki cień, którego nikt nie zauważył, oprócz staruszki. Uniósł się do góry, falował pod sufitem i odprowadzany wzrokiem Armii przecisnął się przez szczeliny pomiędzy starymi, drewnianymi drzwiami i poszybował gdzieś hen, daleko w przestworza.

Dziewczyna przewracała oczami, obserwując pomieszczenie, oddychała już znacznie spokojniej, poruszyła palcami lewej ręki, które opadały na posłanie. Widać było, że chce podnieść całą dłoń do góry, ale z jakiś powodów nie może. Zupełnie świadomie odwróciła głowę w stronę Gorhana. Przerażony mężczyzna nie śmiał się odezwać, zastanawiał się czy ona się obudziła. Tove poruszyła wargami, jakby chciała coś powiedzieć, ale z jej ust nie uleciało żadne ze słów, natomiast spod powiek spłynęły jej po policzkach łzy tak ogromne i kryształowe, że można by nawlec je na nitkę i zrobić z nich korale. Gorhan patrzył w szmaragdowe oczy i widział w nich ból, pomieszany z trwogą i strachem. Ile musiały te oczy przeżyć, żeby tak wyglądać? Pojawił się w nim obraz sprzed kilku lat i to lustro, którego już w jego domu nie ma, bo gdy po tym wszystkim, czego doświadczył, spojrzął w nie tylko raz i zobaczył w nim tę dojmującą bezsilność i ból, który malował się przed nim teraz, wyrzucił je natychmiast.

Powiadają, że gdzieś na przecięciu czasów, pomiędzy dobrym a złym dniem, pomiędzy zachodem a świtem schodzą na ziemię cienie zamieszkujące morza księżycowe. Jedni mówią, że są to duchy, inni, że dusze, które nie zaznały spokojnej śmierci, a jeszcze inni, że to sam los spływa wprost z gwiazd na ziemię i zupełnie nie wiecie czemu przecina splecione drogi zagubionym wędrowcom. Czasem wystarczy jedno spojrze-

nie, jeden gest, jeden podmuch wiatru, który przywieje dawno zapomniane zapachy, albo obrazy, i pojawia się gdzieś wewnątrz samego siebie to nostalgiczne wejrzenie. Jest ono tak mocne i pełne, że zdaje się, jakby ktoś z góry ten moment już dawno zaplanował, a my przecież wiemy, że to tylko jest przypadek. Ale czy na pewno? Przecież nic, co już potem się wydarza, nie jest tym, co z góry sobie założyliśmy. To są bardzo krótkie chwile, doświadczania właśnie w tym momencie i w tej przestrzeni, tych samych emocji, bo żeby cień mógł splątać grubym węzłem ze sobą czyjeś losy, nie czeka na jutro ani pojutrze, nie mówi, że robi to za rok, on po prostu czuje i działa, w przeciwieństwie do człowieka, który musi najpierw zobaczyć.

-- Posuń się! -- Nagle obok Gorhana wyrosła jak grzyb po deszczu staruszka. Nie wyglądała już jak zahipnotyzowana, wręcz przeciwnie, patrzyła w twarz Tove, szukając w mimice jej twarzy jakiś znaków, zajrzała w uszy, odgarnęła pasma włosów, nawet ucałowała sperlone potem czoło, jakby okazywała czułość własnej córce, i rzekła: -- Chyba wróciła.

A dziewczyna? Patrzyła na świat oczami wielkimi jak młyńskie koła, nie bardzo wiedziała, co się dzieje, nikt nie miał śmiałości jej o nic pytać, wyglądała jak porzucony pies z przygasającą nadzieją w oczach na to, że coś się zmieni. Kiedy po wielu próbach udało jej się podnieść rękę, położyła ją na skórze, zacisnęła włosie sarny i znów spod jej powiek spłynęło kilka łez. Staruszka wytarła je ręką, powiedziała kilka ciepłych zdań, żeby nowoprzybyła się nie bała. Zdało się, że słyszała i rozumiała, co do niej mówiono, bo przez ułamek sekundy na jej twarzy pojawiła się raczej ufność niż wroga niechęć.

A Gorhan jakby oniemiał, zbladł i zupełnie nie wiedział, jak się zachować, próbował na nią nie patrzeć, zawieszał wzrok na przedmiotach, które szaroniebieskie światło wyciągało z przydymionego pomieszczenia, aż dziw, że się tu nie podusili, wciągał powietrze długo i przeciągle, czuł, jak osiada na ostrych krawędziach jego własnych żeber i chciał jak najszybciej stąd wyjść. Byle nie musieć patrzeć na to całe widowisko, bo

zdawało mu się, że tymi wszystkimi gestami jakieś tajemne moce czynił, których już nie można było odwrócić, zamiast pomagać.

Dziewczyna wyglądała jak duch. Już nie była rumiana, stała się blada i sina, na środku jej czoła wyskoczyła czerwona pręga, jakby miała przełoić jej ciało. Być może to tylko żyłka, w której zaczęła mocniej płynąć życiodajna krew, a być może zupełnie co innego. Spalone, zwęglone wręcz włosy wcale nie odrastały, tylko skleiły się pukłami z innymi. Z jednej strony twarz zdobiły długie, ciemne kędziory, a z drugiej nie było prawie nic, albo raczej było coś, co wyglądało jak resztki smoły. Irma mówiła do dziewczyny szeptem, trzymając jej głowę w rękach:

-- Jak masz na imię? Nie bój się. Pamiętasz imię? Musimy jakoś do ciebie mówić, musisz mieć imię, to wbrew pozorom ważna sprawa. -- Odwróciła się od niej, otworzyła okna, żeby lekko przewietrzyć, ale zasłonek nie odkryła, żeby jej tu kto nieproszony nie zaglądał. Chwyliła grubą gałązkę jarzębiny i spoglądała w kierunku zachodnim, nożykiem cięła ciemną korę. Potem nasypała czegoś do kubeczka i zalała wodą, kazała Gorhanowi podtrzymać dziewczynie głowę, a kobiecie dawała pić aż do dna, i kiedy dziewczyna zachłysnęła się ostatnim łykiem, powiedziała do niej:

-- Tove...

-- Jak? -- Irma nie dosłyszała.

-- Tove... jestem Tove, skąd wzięły się tutaj te ryby? -- Ramię mężczyzny dosłownie przez chwilę mignęło jej przed oczami. Gorhan poczuł się zmieszany, staruszka nie dosłyszała pytania zajęta mieszaniem w kociołku, więc musiał sam jej odpowiedzieć.

-- To jest tatuaż -- skwitował krótko.

-- Nie, to ryby. -- Z trudem, ale udało jej się chwycić przedramię Gorhana, i na tyle, na ile starczyło jej sił, zacisnęła opuszki palców na obrazkach. Mężczyzna wpadł w lekki popłoch, jedną ręką trzymał jej głowę, a na drugiej czuł jakiś dziwny, obcy dotyk. Nie nawykł do takiej bliskości.

-- Było ich coraz więcej i więcej... -- Dziewczyna mówiła niewyraźnie, wyglądała przy tym jak kruche ciasto, które przy nawet najdelikatniej-

szym dotyku mogłoby się rozpaść. -- ...potem już nic nie widziałam, tylko te ryby, leżały bez ruchu z otwartymi oczami. Dlaczego nie mają głosu? -- wyszeptała i ciężko opadła na siennik, ale nadal trzymała przedramię mężczyzny. Gorhan wysunął dłoń spod jej głowy. Położył ją na kolanie, nie wiedział, co ma z nią zrobić, patrzył tylko na jej skołtunione włosy, wyglądały jak niezadbane sieci rybackie, mógłby je rozplątać, przecież miał już w tym wprawę, i to nie byle jaką, ale musiałby mieć na to dużo niespiesznego czasu. Bo czas dzieli się na spieszny i niespieszny, odkąd jest sam już nawet go nie odmierza, ma czas na wszystko, ale czy ona ma?

-- Nieme życie... -- wyszeptała i powoli zaczynała zamykać powieki.

-- Nie słyszę, powtórz -- nalegał Gorhan i choć nie chciał, przybliżył się do jej twarzy.

-- Nieme życie za wolność -- powtórzyła, a mężczyzna nic nie zrozumiał oprócz tego, że poczuł każdym fragmentem swojej skóry, że w jej słowach zawarta była jakaś dziwna nadludzka tajemnica, która sprawiła, że oto nagle pot zaczął pachnieć rybim tarłem, a włosy, choć powinny mieć zapach palonego kurzego pierza, to wydzielają woń agrestu wymieszanego z jagodami. Największą obecną potrzebą Gorhana już nie było wypłynąć na jezioro czy pomóc Irmie w gospodarstwie, jedyne, czego chciał, to przestać patrzeć na Tove, bo im dłużej to robił tym mocniej widział w sobie obrazy, o których udało się mu już przez szereg lat zapomnieć, a teraz z taką łatwością przeciskały się przez niego jakby schował je uprzednio w zupełnie nieszczelne miejsca. To nie było do niego podobne. Uchodził raczej za wzór roztropnego samotnika, a nie bałaganiarza zajmującego się byle czym i byle gdzie, więc czemu pootwierają się te szuflady, które już tak dawno pozaklejał i pozamykał?

-- Coś mówiła? -- Głos staruszki rozbrzmiał na cały dom.

-- Ma na imię Tove.

-- Coś jeszcze?

-- Nie? -- kłamał i choć dobrze wiedział, że nie powiedziała nic, czego mógłby się wstydzić, albo czego nie mógłby powtórzyć, to i tak nie był w stanie tego zrobić.

-- Muszę już iść. Irmo, ja naprawdę muszę już iść. -- Wyślizgnął się delikatnie z objęcia dziewczyny. W miejscu, gdzie go trzymała, zostały czerwone ślady po uścisku.

-- Gorhan, czy ty tego nie rozumiesz? Ona się obudziła.

-- To dobrze. To znaczy, że urodzi sama i problem się rozwiązał.

-- Dobrze, idź już, ale mnie i tak będzie potrzebna pomoc. Nie wpuszczę do niej nikogo ze wsi, dopóki nie będę wiedziała, kim jest i na co ją stać.

-- Sama dojdzie do siebie -- rzucił na odchodne, otwierając drzwi.

-- Ciało i owszem, ale dusza? Już zapomniałeś? -- Spojrzała na niego wymownie, jakby chciała ostatnim zdaniem dać mu pstryczka w nos, ale Gorhan udawał, że nie słyszał. Był już jedną nogą za płotem, a drugą na szutrowej drodze. Myślał, że kiedy dojdzie do domu i stanie wśród własnych przedmiotów na skraju swojego, a nie obcego podwórka, to przejdzie mu to coś, co się zrodziło już od samego patrzenia na nią, ale jednak nie przeszło. Nawet jak wypłynął łodzią na dość wzburzone jezioro i fale biły o łódź, muskając wcale niedelikatnie burzę, to też nie potrafił się tego pozbyć. Zrodziło się tylko w nim coś na kształt przecucia, które nawet smagane wodą i wiatrem nie odpadło, nie odfrunęło w inne miejsce, tylko uczepiło się jego rąk i wryło się w niego dokładnie tak samo jak tatuaż. Bronił się przed tym latami, ale czasem nie mamy wpływu na to, co się zdarza, bo często nieproszone przychodzi, jak kot, który wybiera sobie właściciela i potem oswaja go samą swoją obecnością i choć niechciany, to po prostu zostaje i jest.

A Tove? Cały dzień opadała w siebie, by co jakiś czas otwierać oczy. Kiedy leżała pod sarnią skórą, otaczała ją z każdej strony wielka jasność i ciepło. Podnosiła wzrok i widziała nad sobą ponadludzkie oczy prababek, które z zaświatów pilnowały jej duszy, żeby nie uleciała zbyt daleko od ciała.



15.

O tym, że zwykły zbieg okoliczności może być tym najważniejszym w życiu

-- No i nie przyszedł. Już tyle dni na niego czekam, mówiłam i prosiłam. Nigdy się tak nie zachowywał.

-- Przecież ja ci pomogę, tylko powiedz, co mam zrobić. -- Dziewczyna usiadła na łóżku, trzymając się za brzuch. Wstała zbyt szybko, zakręciło jej się w głowie, przytrzymała się oburącz o oparcie krzesła.

-- Ty musisz dojść do siebie, a nie wodę ze studni nosić i drewno rąbać. Wyglądasz, jak swoja własna śmierć.

-- Irmo, ale ja niedługo odejdę. Nie mogę tu dłużej zostać.

-- I dokąd pójdziesz? Przecież jesień idzie, co ty, dziecko, w ogóle za głupoty opowiadasz? Gdzie urodzisz? Na mrozie w zwałach śniegu? W oborze, między krowami? -- Staruszka nie patrzyła nawet na nią, zajęta dosypywaniem ziół do zupy, którą warzyła na kuchence. -- I co? Może w te liście zwietrzałe i zimny las pójdziesz ojca dziecka szukać? Ty już o nim zapomnij.

Tove skuliła się w sobie, ostatnie słowa zaboląły ją najbardziej, nawet nie myślała bowiem o tym, że musi odejść, tylko że ojca dziecka tak naprawdę nie będzie. Zakłuło ją serce.

-- Zostaniesz tutaj, dopóki nie urodzisz. Do tej pory nie wiedziałam, kim jesteś i jaki los ciebie tu zesłał, czy masz serce dobre, czy wypełnione złem. Mnie jest potrzebna pomoc w obejściu i przy wnuku, bo dobrze wiesz, że sama z nim zostałam. Nie mamy wyjścia, Tove. Choćby tylko na jakiś czas, ale jesteśmy teraz sobie potrzebne. Tu trzeba jeść

dać, ubrania w rzece uprać, w piecu napalić, a i będę miała z kim pogadać w długie zimowe wieczory. Do porodu cię przygotuję i ze spokojem urodzisz, a potem się zobaczy, co życie dalej przyniesie.

-- Irmo, ale one mnie wołają. Znów miałam sen, muszę się choć tą jedną zająć jeszcze przed nadejściem zimy. -- Dwie wielkie muchy tłukły się o szybę otwartego okna. Bzyczały rozwścieczone, zwracając na siebie całą uwagę.

-- Widzisz je? -- Irma pokazała na rozeżłone owady. -- Jak stąd pójdziesz przed zimą, to będziesz jak ta głupia mucha, co mogłaby wrócić do swojego domu w wielkim świecie, a głową i tak bije w szybę, bo innej drogi nie zna. -- Skinęła głową w kierunku much. -- Teraz musisz zacząć się martwić o siebie i dziecko. A, jeśli spotkasz na swojej drodze złych ludzi, takich jak ostatnio? Ukamienują was? Ty już nie jesteś odpowiedzialna tylko za siebie, ty w ogóle nie wiesz, co to znaczy opiekować się dzieckiem. To tak, jakbyś teraz wzięła mojego małego Janka i poszła z nim w świat, nie wiadomo do kogo, po co i gdzie. Poszłabyś z nim? -- Tove splatała warkocz, w którym utkwiała wzrok, włosy odrosły jej nader szybko.

-- Janka bym nie wzięła.

-- A widzisz, bo jak patrzysz na Janka, to już stoi przed tobą człowiek z krwi i kości. Idź dwie chaty dalej do sąsiadów i popatrz na to maleńkie, co się kilka miesięcy temu urodziło. Żeby je nakarmić, sama musisz coś jeść, żeby nie zachorowało, musisz mieć w co je zawinąć. Gdzie ty teraz pójdziesz? -- Doląła zimnej deszczówki do wrzącej wody.

-- Źle mi z tym wszystkim, czuję się jak piąte koło u wozu, zupełnie nie na swoim miejscu. -- Znów położyła się na sienniku.

-- Bo musisz się zająć jakąś pracą, a tu jest jej w bród, tylko zdrowie najpierw odzyskaj.

-- Ale ja nic nie umiem robić oprócz piastowania kości, już ci o tym opowiadałam.

-- Ty nie rozumiesz, co ja do ciebie mówię? Teraz swoją pracę musisz odłożyć na bok i zająć się brzuchem! -- podniosła głos, żeby go zaraz zniżyć: -- Nie schowasz przede mną swoich smutnych oczu ani łez.

-- Czuję się jak intruz, zupełnie niepotrzebna. Ja nie mam niczego oprócz tej pływającej ryby w moim brzuchu, czy ty tego nie rozumiesz? -
- mówiła z dużą dozą goryczy, jakby była zła na cały świat.

-- W tym miejscu nie będziesz żyła za darmo, to sobie zapamiętaj, a ryba potrzebuje zdrowej matki. To jest twoja życiowa historia. Każdy z nas pisze swoją, zupełnie inną. Myślisz, że Janek nie chciałby mieć ojca i matki? -- Uszczypnęła dziewczynę przez kołdrę w tyłek. -- A ty? Z tego, co wiem, też jej nie miałaś, więc po co chcesz powielać ten sam schemat? Bądź najlepszą matką dla swojego dziecka, bo innej przecież mieć nie będzie.

-- Dlaczego mi pomagasz, Irmo? Przecież jestem dla ciebie nikim --
mówiła, nie patrząc rozmówczyni w twarz.

-- Mnie też ktoś kiedyś pomógł. -- Słowa utkwily nad kołdrą i wirowały nad głową Tove. Już je kiedyś słyszała, pamiętała nawet kiedy. --
Poza tym jestem stara i jesteś mi potrzebna.

-- Chcesz ze mnie zrobić matkę dla Janka? -- postawiła otwarcie pytanie.

-- Nie. Chcę żebyś bezpiecznie urodziła, bo sama nie wiesz, z czym to się wiąże, a potem rób sobie, co chcesz. Umowa stoi? -- Tove milczała, ale dobrze wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Na tę chwilę po prostu nie ma.

-- Dobrze, ale jak tylko przyjdzie wiosna, to muszę ruszyć w drogę.

-- Tak, tak, tak, wyruszysz, dokąd chcesz, ale dziecko ma się urodzić tutaj. Potem już będziesz wiedziała, co jest dla ciebie najważniejsze. --
Wyciągnęła rękę i dotknęła jej brzucha. -- Wierci się zdrowo. Kiedyś usłyszałam, że człowiek nie może żyć prawdziwie, dopóki nie zrodzi z siebie innego ducha. A wielce prawdopodobne jest, że nawet twoje moce staną się większe po urodzeniu.

-- Ale ja nie mam mocy. Cały czas to powtarzam, ja tylko odprowadzam dusze, to wszystko.

-- I ty uważasz, że to jest mało? Znasz kogoś, kto również para się takim zajęciem?

-- Nie. -- Nim odpowiedziała, milczała przez chwilę.

Nagle z głębi domu dobiegło ich uszu wyraźne, głośne stukanie do drzwi. Nie spodziewały się teraz nikogo, spojrzały na siebie. Tove ruszyła, żeby otworzyć, ale Irma ją zatrzymała. Poczula jakiś dziwny rodzaj lęku kłębiący się pod drzwiami. To na pewno nie był ktoś od nich ze wsi, to nie był też Gorhan. Charakterystyczne uderzenie zamkniętą pięścią i wydobywający się przy tym pełny dźwięk należały tylko do niego. Ten obecny był stłumiony, szybki i niepewny.

-- Kto tam?! -- zapytała głośno, jednocześnie uchylając nieco firanki. Chciała dostrzec przybyłą postać, ale ustała przed wejściem na tyle niefortunnie, że widziała tylko skórzane, dziurawe buty.

-- Czy jest tu Piastunka Kości? Potrzebuję pomocy. -- Ostatnie słowa osadziły Irmę jeszcze mocniej na ziemi. Spojrzała na poprzeczną żerdź dachu, zacisnęła pięści i powiedziała w kierunku nieba:

-- Sami cię znaleźli, i co teraz? Jesteś tu, czy cię nie ma? -- Tupiała nogą w posadzkę, trzymając się pod boki. -- Decyduj!

Tove chwyciła skórę sarny, zarzucając ją sobie na ramiona niczym welon, a jednym jej końcem zasłaniając wystający brzuch.

-- Jestem! -- powiedziała głośno, przemieszczając się w kierunku drzwi. -- Przecież nie ucieknę przed losem. -- Kierując ostatnie zdanie w stronę Irmy, poprawiła włosy i nacisnęła klamkę zrobioną z korzenia drzewa. Zobaczyła przed sobą dość młodego mężczyznę w mokrej od potu koszuli. W rękach gniótł jakieś nakrycie głowy z wystającym półkolistym, niewielkim daszkiem. Na jego twarzy rysowało się zmieszanie. Wyglądał dość biednie, miał przybrudzone kurzem policzki i przetłuszczone ciemne włosy.

-- Wejdz. -- Gestem zaprosiła go do środka. -- Skąd jesteś i co cię tu sprowadza?

-- Wolałbym mówić ze starszą panią. -- W jego głosie czuć było zażenowanie, nie miał ochoty zdradzać swoich tajemnic Tove.

-- Ale to ja jestem Piastunką Kości, ja! -- powiedziała głośno i wyraźnie, wskazując palcem na siebie.

-- Ty, pani? Taka młoda? Ja, ja nie wiedziałem... -- Młodzieniec był wyraźnie zmieszany, więc rzucił się do stóp Tove. -- Przepraszam, prze-

praszam, pomóż nam, przepraszam.

W czasie, gdy mężczyzna hołubił stopy Tove, dziewczyna zawiązywała tuż ponad brzuchem grubym rzemieniem skórę sarny, aby nie upadła. Gdy się nią owijała, czuła się dużo pewniej, jakby tkwiła w mocnym i bezpiecznym uścisku siostry. Od dnia, w którym się obudziła, ani razu nie przykryła nią głowy. Jeszcze nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób się tu znalazła, przeczuwała jedynie, że nie sprawił tego człowiek i choć Gorhan ją tu przyniósł, to zgoła inne tajemne siły musiały wyrzucić ją na brzeg jeziora.

-- Wstań już, przestań. -- Chwyciła go za ramiona. -- Siadaj! -- Pokazała na krzesło znajdujące się przy stole. Kątem oka zauważyła, jak Irma wychodzi z chaty, zrobiło jej się przykro, przecież to dom staruszki. Nie musiała go opuszczać z jej powodu. Wieśniak nie chciał wstać, uczepony stóp nie był w stanie spojrzeć dziewczynie w twarz. Dopiero gdy mocnym ruchem oderwała go od siebie, usiadł przy stole. -- Najpierw mi powiedz, jak mnie tu znalazłeś? -- pytała wyraźnie zaciekawiona.

-- A bo to daleko szukać pogłosu? Nie wszystko jest przyjemnie wiedzieć, ale takie plotki szybko się rozchodzą po wsiach.

-- Jakie plotki?

-- Że odprowadzasz dusze zmarłych czarownic.

-- A jeśli nie są czarownicami, tylko zwykłymi kobietami?

-- U mnie we wsi mówią, że każda kobieta jest po trosze czarownicą.

-- Czyli każdą można oskarżyć o czary albo inne tajemne sprawy? Nie sądzisz, że to jest niesprawiedliwie?

-- Pani, ale ja nic nie wiem, mówię tylko, co gadają, że jedną duszę odprowadziłaś, a potem zniknęłaś jak kamfora, że tumany kurzu w powietrze wzbijałaś, jakbyś przywołała trąby powietrzne i te kamienie, co rzucali w ciebie, wzbily się razem z wiatrem w powietrze i spadły na tych, co rzucali, jak jakiś kamienny deszcz. Podobno tyle ich było, spadały z taką siłą, że mocniejsze niż kule gradowe, podziurawiły dachy domów, szyby powybijały, a i zwierzętom się dostało, ludzie zamiast im pomóc i do stodoły zagonić, sami przed kamiennym deszczem szukali schronienia.

Tove nie wierzyła w to, co słyszy, ale dzięki chłopu mogła się czegoś o swoim zniknięciu dowiedzieć, więc pytała:

-- Wróciło do nich to, co sami mi dali. A uroki przeszły, krowy mleko dają? Nie straszy?

-- Podobno na drugi dzień woda w rzece czerwona się zrobiła, ale okazało się, że od tych kamieni jednego konia ubiło i padł do tej rzeki właśnie, więc sprawa sama się wyjaśniła. Ludzie to za zły znak wzięli i potem przez kilka dni starannie zbierali wszystkie kamienie ze wsi. Układali na wozy i wywieźli dokładnie w to miejsce, gdzie zgłiszcza domu czarownicy stały.

-- I co? -- pytała z przejęciem.

-- Usypali ogromny kamienny kopiec na pogorzelsku i ponoć od tamtej pory już we wiosce nie straszy.

-- Czyli pomogło. -- Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem.

-- Tak! -- wykrzyknął.

-- I teraz ciebie tu przysłali, bo lamentują?

-- Nie oni. Inni. Opowiadam tylko, co mówią. Kilka dni tu szedłem.

-- Zatem, co cię sprowadza?

-- Żona ma lada dzień rodzić, a brzuch jej się nie rusza. Jak tylko zaśnie, przychodzą do niej zjawy i koszmary, oczu zamknąć nie może. Opowiada jakieś niestworzone historie, już nawet na jednym sienniku nie śpimy, bo ja się jej boję, a brzuch, jak się nie ruszał, tak nie rusza.

-- Ale co to ma wspólnego ze mną? Ja nie odbieram porodów.

-- A jak ono nie żyje i duszę żony też chce mi zabrać -- mówił błagalnie. -- To może ty coś umiesz zrobić?

-- Żona ma gorączkę, bóleści jakieś?

-- Oprócz tego, że wygląda, jakby zmysły postradała, to mdli ją jak ciężarną i ciężko jej, bo to końcówka. -- Rozłożył ręce.

-- Jakby dziecko umarło, toby ciało zachowywało się jak zatrute, z każdej strony by z niej coś wychodziło i z góry, i z dołu, a i gorąc by ją oblewał. Może jakie złe duchy do niej przychodzą? Ktoś uroku na nią nie rzucił? Zazdrośnicy jakiejś dookoła was nie ma?

Chłopak myślał o twardym i gładkim brzuchu żony i być może miał kogoś na myśli, ale na głos tego nie powiedział. Westchnął tylko i rozparł się łokciami na krześle.

-- Jak wrócisz, rozpal ogień, żeby nowa dusza miała ciepło, może gdzieś schowała się w kącie izby, skulona z zimna i strachu. Tego nigdy nie wiadomo, a dusze lubią ogień i otwarte okna.

Zobaczyła go już z oddali, stawiał pewne kroki i jak zwykle niósł ze sobą jakiś pakunek. Zapewne ryby, myślał, a wyteżając wzrok. Gdy podszedł bliżej, zauważyła, że ma mokre i brudne od ziemi nogawki spodni. Koszula też jakby wymięta, włosy podrosły, zupełnie niezadbane wywijały się każdy w inną stronę, przeczesał je palcami i usiadł na ławce pod domem obok staruszki. Przez pierwsze chwile trwali w milczeniu. Kobieta w ogóle nie patrzyła na niego, jakby przyfrunął tu pod postacią niewidzialnego ducha i rozpuścił się niczym obłoczek.

-- Masz brudną brodę -- odezwała się, nadal nie patrząc na rozmówcę. Gorhan wytarł zarost ręką, na palcach pozostała mu lepka maź.

-- Jadłem miód -- skwitował krótko.

-- Słabo wyglądasz, jakiś wymięty jesteś, jakby cię kto psu z budy wyciągnął. -- Teraz już odwróciła się w jego stronę. Siwe, wręcz białe włosy rozpościerały się nad jej głową jak księżycowa luna.

-- Zasnąłem w łodzi.

-- Co? Znowu? Jak cię kiedyś burza złapie, to już nie wrócisz. To nie jest bezpieczne.

-- A co w życiu jest bezpieczne? Siedzenie w domu? Jaki mam na to wpływ, że czasem przysnę, jak łowię? No co ja mogę z tym zrobić?

-- Zakotwiczyłeś chociaż?

-- Tym razem nie.

-- No to się doigrasz w końcu. Gdzie cię tym razem wyrzuciło?

Gorhan patrzył w niebo.

-- Na wyspę.

-- Którą?

-- Domyśl się.

-- Psiakrew. Kiedyś stamtąd nie wrócisz.

-- Złego licha nie bierze, sama dobrze o tym wiesz.

-- Pełnia dziś -- powiedziała, zacierając ręce.

-- I burza będzie, dlatego przyszedłem się jeszcze z tobą zobaczyć, a potem wypływam na węgorze.

-- Nie lubię węgorzy.

-- Nigdy tego nie rozumiałem... Przecież to są jedne z bardziej tajemniczych ryb. Wędrówkę rozrodczą zaczynają cztery dni po pełni. Ile czasu płyną na Północ, nikt tego nie wie, może rok albo dwa, i dopiero tam odbywają tarło, a już po wszystkim giną... -- Zadumał się. -- Wracają po latach osobniki dorosłe i po kilku ciepłych miesiącach znowu wyruszają na tarło, i tak, cykl życia i śmierci trwa nieprzerwanie od lat. Wiesz, że potrafią przemieszczać się po lądzie? Mogą pełzać po wilgotnym podłożu i tak przejść ponad trzy kilometry, widziałas kiedyś takie cuda? I to nie są żadne czary, tylko sama natura. Węgorz może żyć ponad sześćdziesiąt lat. Czy ty to rozumiesz? Ryba, która może przeżyć człowieka. Przecież to jest niesamowite. On nawet nie ma płetw, jest jak wodny wąż, a na początku swojego życia jest bezpłciowy... Dopiero po jakimś czasie wykształcają się mu organy.

-- I co z tego, skoro potrafi zjadać topielce... A potem mi je przynosisz i mówisz, że to czysta ryba, ech... -- Skrzywiła się z niesmakiem.

-- Jaka to różnica, czy zjada raki podczas wylinki, czy skubnie topielca, a ty mięsa nie jadasz?

-- Gorhan... Co ty opowiadasz za głupoty? Ludzi nie zjadam i nie będę!

-- Wokół tych topielców to jakieś niestworzone historie wyrosły. Ludzie różne rzeczy opowiadają, ale to już twoja sprawa, w co chcesz wierzyć, a w co nie. Ryby z natury są mięsożerne, no nie wszystkie, ale tak jest. Po tę mosiężną rurę przyszedłem. -- Wstał i ruszył ku drzwiom.

-- Nie! -- Zatrzymała go bardzo szybko. -- Ktoś do niej przyszedł, nie przeszkadzaj, ja tu siedzę i słucham, jak sobie radzi.

Gorhan wyraźnie się zmieszał.

-- A co z nią? -- zapytał niemrawo. -- Mówi coś? Jak się czuje?

-- Dobrze. Wraca do sił. Sam ją zapytasz, jak już ten chłop wyjdzie.

-- Nie będę tu czekał, chcę tylko tę rurę.

-- Raczej nie masz wyjścia. -- Założyła ręce na brzuch i patrzyła w dal. -- Po co ci ta rura?

-- Mówiłem przecież, będę łapał węgorze.

-- Na rurę?

-- Tak. Kładzie się takie rury na dnie i czeka na burze, on wędruje w trzciniiska i chowa się w tych rurach. Trzeba wtedy powoli podnosić taką rurę, blokując przy tym rękoma oba wyjścia i węgorz złapany.

-- Kto by pomyślał, że ryby na rury się łowi.

-- Nie tylko na to. Beczkę też dziś wystawię. Mam już ku temu jedną specjalną z wywierconymi niewielkimi otworami. Wkłada się do jej wnętrza rybie flaki, im więcej, tym lepiej, a że węgorze mają węch lepszy niż psy, to wchodzi w takie beczki jak w sidła, i już. Tylko trzeba kamień duży w beczce umieścić, żeby ją porządnie zatopić, a i można rurę do niej włożyć, i wtedy po tunelu się wślizgnie wędrując za zapachem. Dużo jest tych sposobów. Najlepiej chyba jednak na rosówki się łapie, ale nie chce mi się ich zbierać. Czasu mi szkoda, ile mam jeszcze czekać?

-- Tyle, ile trzeba, siadaj. -- Wskazała ręką miejsce obok siebie. -- Czas mój drogi, przybiera różne formy i nie da się go odmierzyć jak od sznurka, przeto człowiek nawet nie zauważa, jak upływa. Siadaj, co masz innego do roboty? Węgorze nie uciekną -- westchnął ciężko, ale nie miał wyboru. Musiał zaczekać.

-- Czemu nie przyszedłeś wcześniej? Przecież prosiłam.

-- Już mówiłem, że zasnąłem w łodzi.

-- Na pewno nie spałeś w niej przez kilkanaście dni z rzędu -- obruszyła się.

-- Byłem na wyspie.

-- Na wyspie? Całkiem sam? Czyś ty oszalał? A kto ci kruka w tym czasie karmił?

Mężczyzna przewrócił oczami i włożył ręce w kieszenie spodni.

-- Sam się karmił. Był ze mną.

-- Co? -- Nie dowierzała.

-- No tak. Spójrz na tamtą gałąź. -- Wyciągnął rękę i wskazał na nie-
daleko rosnącą wierzbę. Czarny ptak patrzył na nich z wysokości. Sie-
dział na chybottliwiej gałązce i łapał równowagę, co chwilę podnosząc
skrzydła. Nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, obserwował z wysoka
dwoje siedzących na ławce, trwał w milczeniu, przechylając się tylko jak
trzcina na wietrze raz w jedną, raz w drugą stronę.

-- Wypuściłeś go na wolność i nie wrócił do swojego gniazda? -- za-
pytała z niedowierzaniem.

-- Jak widzisz, Irmo. Nie było go pierwsze dwa, może trzy dni, a po-
tem znowu się pojawił, i już tak został. Wszędzie za mną lata. Nawet jak
udaję się na połowy to potrafi zawisnąć w powietrzu nad łodzią i obser-
wować, co robię. Denerwuje mnie to, bo rzuca cień na wodę i płoszy mi
w ten sposób ryby, ale po jakimś czasie chyba się tym trwaniem w jed-
nym miejscu męczy i odfruwa na brzeg. Jak cumuję, to siedzi na dachu
chaty i dopiero, kiedy mnie zobaczy na łądzie to znowu znika i pojawia
się wieczorem albo na drugi dzień.

-- Przecież kruki mają swoje ptasie rodziny? Aż dziwne, że z nimi nie
został.

-- Może właśnie już jej nie ma, dlatego wrócił?

-- Może... -- westchnęła. -- To kruczy chłopak czy dziewczyna?

-- Skąd mam to wiedzieć?

-- Przecież miałeś go w klatce tyle czasu, mogłeś sprawdzić.

-- To nie jest wcale takie łatwe, jak ci się wydaje. Trudno je rozróżnić,
ale jak tak na niego patrzę, to wydaje mi się, że dziewczyna. Jest jakaś
taka mniejsza niż kruki, z którymi spotykałem się do tej pory, i głos ma
jakiś taki bardziej piskliwy, choć mocno gardłowo i przeciągle kracze.
Sam nie wiem, muszę ją poobserwować jeszcze a z drugiej strony, gdyby
była samiczką, to raczej szukałaby partnera, niż siedziała tu ze mną. Prę-
dziej samiec by się przywiązał, mam nadzieję, że wkrótce odleci.

-- Czyli masz swoją dziewczynę? -- Roześmiała się w głos.

-- Irmo... -- Westchnął ze znużeniem -- ...Ty cały czas o jednym.

-- To jest dobra dziewczyna, ta Tove, ale mocno złamana przez życie.
-- Spojrzała na niego wymownie.

-- Nie interesuje mnie to, tak samo jak i te twoje gadania. Jak jeszcze raz to usłyszę, to nie będę w ogóle do ciebie przychodził.

-- Będziesz, bo musisz mi teraz pomóc, i to nie w byle jakiej sprawie.

-- Co się stało?

-- Ona tu zostanie. Musisz dobudować do mojego domu drewnianą izbę. Nie pomieścimy się tu u mnie, jak już urodzi dziecko.

-- Zostaje? -- zapytał z niedowierzaniem -- A jej rodzina, dom, przecież dziecko musi mieć jakiegoś ojca, samo się nie zrobiło...

-- Nie ma nikogo, więc będzie miała mnie. Jest spłoszona życiem jak mała myszka, a jest w niej coś, co nie pozwala przejść obok całkowicie obojętnie -- przerwała mu w pół zdania i już nie pozwoliła dokończyć. -- Janek nie ma matki, mnie jest potrzebna opieka na starość, a jej dach nad głową. Rozumiesz?

Gorhan przez chwilę składał myśli, rozsypywał zdania jak nici ze splątanej włóczki, aż w końcu się odezwał:

-- A czy ona też tego chce?

-- Chce..., ale jeszcze tego nie wie, więc ustaliłyśmy, że zostaje tu do dnia porodu, a potem sama podejmie decyzję.

-- Co ona będzie robiła? Ludzie we wsi gadają jakieś niestworzone plotki, a tych się najbardziej boisz. A włosy jej odrosły?

-- Ludzie już wiedzą, że to moja siostrzenica, a ty masz dochować tajemnicy, tak samo jak i ten drugi, co ją tu z tobą przyniósł. To zupełnie nieważne, że leżała nad brzegiem. Zemdląła z powodu złego samopoczucia w ciąży, i już.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęli w progu. Tove w długiej sukni koloru rdzy, przyprószonej dogasającym żarem z ogniska. Suknia w promieniach ciepłych, jesiennych promieni wyglądała jak brązowy liść dębu w delikatnych czerwonych odcieniach zachodzącego słońca. Najwięcej pomarańczowych przebarwień rysowało się u dołu sukni, tam, gdzie poruszane wiatrem lekko falowały falbany. Gorhan z tylko jemu znanych powodów nie chciał na nią patrzeć, ale nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny. Stała do nich plecami i tłumaczyła chłopowi, jak trzeba stosować wodę księżycową, którą właśnie mu podarowała. Suknia była

nieco za krótka, brzuch rósł z dnia na dzień, a materiał coraz wyżej na nim osiadał, odsłaniając dwie szczupłe łydki. Poniżej jednej z nich rysowały się czerwone blizny po zranieniu ostrzem strzały. Gorhan zauważył, że są już całkowicie zagojone. Siniaki zniknęły, a nierówne zarysowania przypominały spienione fale na morzach, które widział gdzieś na Północy. Długi, ciemny warkocz dotykał pośladków, był gruby niczym koński ogon. Dopiero teraz zauważył, że ma dość szerokie biodra. Poczul się zmieszany myślami, które same do niego przychodziły. Może dlatego tu nie chciał przychodzić, bo nie miał na nie wpływu, w jej obecności nie potrafił ich kontrolować. Znowu poczul ten zapach.

Tym razem pachniała jak napar porzeczkowy, dosłodzony miodem, przywarł do niego ten zapach, przykleił się jak żywica do drzewa, a gdy poczul wiatr, który owiał go niczym chłodny jęzor z dna studni, suknia Tove zawirowała jak strzelające iskierki wprost z rozbuchanego żarem ogniska. Poprawiła kosmyki włosów, zakładając je za ucho, uśmiechnęła się delikatnie i nieznacznie odwróciła, tak że widział jej profil. Lekko zadarty nos, ciemne kontury rzęs wokół jasnych oczu, a na piersiach wisiorzy z kości i kolorowych kamieni. Pozdrowiła go uśmiechem i gdy już prawie odchodził:

-- Zaczekaj! -- odezwała się staruszka. Dopiero teraz Tove odwróciła się w stronę ławki wyglądającej tak, jakby wyrosła wprost ze ściany chaty. Zobaczyła mężczyznę i przywitała go lekkim skinieniem głowy. Gorhan milczał, patrząc na jej postać. -- Zanim odejdziesz, jeszcze coś ci dam na drogę. -- Irma weszła do chaty, żeby zaraz pojawić się z powrotem. -- Proszę, to jest próchno wierzbowe, pal to codziennie w domu, dymem odkadzaj pomieszczenia, aż do rozwiązania. Żywa gałązka potrafi rozkwitnąć i zapuścić korzenie nawet po wetknięciu oderwanego pędu w ziemię, a jeśli obeschnie, podlana odzyska żywotność, zatem jak widzisz, idealna dla matek.

-- Dziękuję! -- wykrzyczał, i tym razem padł do nóg Irmy. -- Nie wiem, jak się odwdzięczyć, wiara we mnie nowa wróciła, to pierwsze dziecko.

-- Nie dziękuj, a jak wszystko pójdzie po naszej myśli i będzie to dziewczynka, ma mieć na imię tak samo jak ona. -- Pokazała palcem na Tove. Dziewczyna chciała zaprotestować, ale staruszka nie dała jej dojść do słowa. -- A jeśli chłopiec, to pozostawiam wolę tobie, a teraz już idź. Im szybciej do żony wrócisz, tym lepiej. -- Chłop nie mógł oderwać się od jej stóp, ale w końcu podniósł się i wyruszył w drogę.

Zostali sami. Irma znów usiadła na ławkę obok Gorhana, a Tove zapytała:

-- Ale dlaczego moje imię? -- Skrzywiła się w nieznacznym grymasie, w ogóle nie zwracając uwagi na mężczyznę.

-- Po wsiach ma być rozgłoszone, że mieszka tu wielka wiedząca, która włada różnymi mocami, a nic takiej chluby i chwały nie przyniesie jak dobre słowo, opowieści i pieśni, które będą naznaczone twoim imieniem.

-- Ależ to nieprawda! -- oponowała wzburzonym głosem. -- Moja babcia zawsze była w tych sprawach dyskretna. Mówiła, że ludzie są źli i zawistni, nikt z naszej wsi nie wiedział, że myśmy były we trzy urodzone, że któraś z nas włada magią. Jak mogłaś?

-- A czy on wie, jak masz na imię?

-- W sumie to nie... Nawet nie zapytał -- odparła zdziwiona.

-- To będzie musiał przyjść drugi raz, wtedy znowu nam wieści ze świata przyniesie, a imię jakieś się wymyśli. Twojego nikt podawać nie będzie. We wsi myślą, żeś Rita, tak rozpowiedziałam. To dobre imię, moja siostra się tak nazywała, będzie pasowało.

-- Rita? -- powiedział zaskoczony Gorhan -- Ale to do niej zupełnie nie pasuje. -- Kobiety spojrzały po sobie zaskoczone, jakby w ogóle jego zdanie było zupełnie niepotrzebne w tej kwestii.

-- A jakie według ciebie by pasowało? -- Pociągnęła temat Irma. Tove tylko obserwowała, jak rozmowa przybiera jakiś zupełnie dziwny bieg.

-- Może... -- Zamyślił się i złapał za brodę -- Mila..., Nila...?

-- Co? Moja krowa tak miała na imię! Już zapomniałeś?!

Tove wybuchnęła śmiechem, trzymając się za dół brzucha. Irma i Gorhan spojrzeli na dziewczynę, a potem na siebie.

-- Pierwszy raz się zaśmiałaś, odkąd tu jesteś -- Staruszka mówiąc miała boleśnie skrzywioną twarz.

-- Naprawdę? Nie zauważyłam zupełnie. -- Usiadła przy Gorhanie, musnęła łokciem jego ramię i oparła plecy o ścianę domu, oczy kierując ku zachodowi.

A Gorhan? Twarz mu zastygła w bezruchu, jakby kto wykuł jego zmarszczki i oczy, wszystko w nim trwało w bezruchu, więc natychmiast wstał.

-- Gdzie ma być ta dobudówka? -- Skierował rozmowę na zupełnie inne tory.

-- Za domem.

-- W którym miejscu dokładnie, bo jak do zimy mam się uwinąć, to muszę jak najszybciej zacząć.

I natychmiast wstał, tak jakby ramię Tove miało go sparzyć. Zrobił to tak niefortunnie, że zahaczył spodniami o wystającą drzazgę z ławy i rozdarł je wprost na szwie łączącym materiał z kieszenią. Dziewczyna próbowała powstrzymać śmiech, zasłaniając ręką usta, ale nie wytrzymała i parsknęła. Zaraz za nią rozległ się chichot staruszki, a Gorhan stał na wzniesieniu, patrząc tylko to na jedną, to na drugą kobietę. Westchnął, jakby od niechcenia, i za nim zniknął za domem, spojrzął w ciepłe słońce, zamknął oczy i pomyślał o czymś. Trwanie w myśleniu zajęło mu kilka sekund, a potem wszedł w ciemne podwórze i zniknął.

Przychodził codziennie i kopał w ziemi, ustawiał kamienie, wykopywał glinę, palił, ciął, piłował, sprowadził kilku chłopów, z którymi nosili albo wozili wozami drewniane bale z tartaku. Pozwalał sobie na to, żeby ściąć kilka drzew samemu, ale uważał, że drewno, które nie leżakuje i nie wysycha, nie nadaje się do budowy, więc korzystał z niego sporadycznie albo woził do tartaku na wymianę. Zbierali kamienie do wyłożenia fundamentów, próbowali zrównać ze sobą stary dach domu Irmy z nowym. Z tym mieli chyba najwięcej problemów.

Tove nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Irma tak bardzo chce jej pomóc, czuła się nawet przez nią nieco osaczona. Nie wyobrażała sobie mieszkać u kogoś, tym bardziej tutaj, ale nawet jeżeli czasem siadywała

na przypiecku i myślała o tym, gdzie miałyby odejść i co ze sobą zrobić, to zupełnie nie wiedziała co.

Dziecko rosło z dnia na dzień, tkwiło wysoko w jej brzuchu, jak słońce nad doliną, z tą tylko różnicą, że nie chciało jeszcze zachodzić. Rozświetlało jej smutną twarz i nadawało nieco witalności ociężałemu ciału. Tove nie była już tak chudziutka jak zaraz po przebudzeniu, biodra i uda znaczenie zaokrąglone rozpychały materiały jej sukien, na policzkach co rano rysowały się różowe pąsy, które w ciągu dnia rozkwitały niczym pąki letnich kwiatów, w oczach rozpalały się iskry, ale gasły, gdy tylko myślała o swoim położeniu. Chciałyby wrócić do swoich rodzinnych stron, ale teraz gdy jesień już chciała przejść w zimę, tak daleka podróż byłaby zupełnie nieodpowiedzialnym zachowaniem. Myślała też o tym, że chciałyby mieć swój dom. Miejsce, do którego mogłyby wracać, a być może z którego w ogóle nie chciałyby wychodzić. Obserwowała czasem kolistą linię horyzontu i zastanawiała się, gdzie są jej babcia i siostry. Czy dwie z nich chodzą własnymi stopami po ziemi, a jeżeli nie, to gdzie teraz się znajdują? Przemieściły się na któryś z kraterów mórz księżycowych? A może wręcz przeciwnie -- krążą gdzieś dookoła niej, albo siedzą na gałęziach drzew i obserwują świat z wysoka. Myślała też o Hannie, czy ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła, a może za sprawą swoich mocy już od dawna wiedziała, że Trąszkę opuściła dusza, a ona błąka się po świecie jak bezpański pies?

Raz pozwoliła sobie na drzemkę przed domem. Usiadła na ławie, otuliła się kocem, na nogi położyła sarnią skórę i zdawało się, że ktoś usiadł obok niej, ale tak naprawdę nikogo nie było. Poczowała tylko strumień ciepła, jakby ktoś przysunął się do niej ciałem. Zobaczyła w sobie ruchome linie żył i splątane nerwy, jedno z drugim wymieszało się ze sobą i wypełniło sokami jak korzenie drzew, krew szemrała jak strumień, nie było nic przed nią, i nie było poza nią trwała tylko w tej krwi i w swym pulsującym sercu, wiedząc, że to rusza się w niej mały człowiek. I zaraz odkryła inną rzecz, a może jej się tylko zdawało? Czowała ponad swoim karkiem czyjś dotyk, jakby małeńka muszka przemieszczała się wzdłuż szyi, aż po ramiona, stąpając delikatnie, wręcz niewyczuwal-

nie kroczyła po niej, bez żadnego pozwolenia, bez pytania, czy może, i wtedy otworzyła oczy. Nie poruszając się, spojrzała w szybę otwartego okna i zobaczyła w niej odbijającą się postać. I już dobrze wiedziała, że nie przysiadła na niej maleńka muszka, tylko wzrok Gorhana ułożył się w zagłębieniu jej obojczyka, a gdy tylko się poruszyła, spłoszony wrócił do swojego pana. I wtedy podjęła decyzję, że musi stąd jak najszybciej odejść, bo za tą bezinteresowną pomoc, z której teraz korzysta, przyjdzie jej w przyszłości słono zapłacić.

Zbierała więc srebro i złoto, którymi płacili jej ludzie szukający u niej pomocy, a przychodziło ich coraz więcej. Nie przeszkadzała im nawet zmieniająca się tak bardzo kapryśna pogoda, która doprowadzała ich pod jej drzwi, często przemoczonych, aż do suchej nitki, albo zziębniętych. Od jednego wędrowca otrzymała srebrną broszę wysadzaną drogocennymi kamieniami. Nie chciała jej przyjąć chyba ze skromności, ale w pokoju rychło w czas pojawiła się Irma i przejęła świecidełko. Muskała skrzącą się ozdobę długimi powyginanymi palcami i szemrała pod nosem, że jakby była młodsza, toby się nimi obwiesiła, bo są piękne, a tak to tylko wyglądałaby jak strach na wróble obwieszony błyskotkami. Napomniała już ją kolejny raz, że jak ludzie chcą płacić, to ma dumnie zbierać kosztowności, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać, więc Tove chowała je do swojego plecaka, a może raczej podziurawionej torby. Staruszka, jak tylko nasyciła nimi oczy, to odkładała je na miejsce, a wracając do swoich spraw, powtarzała, że Tove jest zbyt skromną, ale mądrą kobietą, skoro nie głupieje na ich widok. Jednak kiedy ostatnim razem dziewczyna zauważyła dwa złote pierścienie, które wypadły z dziurawego plecaka wprost na podłogę, zaczęła myśleć, że powinna je gdzieś chować w bardziej bezpieczne miejsce, a że nic, co widziała dookoła nie było jej własnością, nie umiała się do żadnego miejsca przekonać.

Jednak był niedaleko lasu pewien obrosły mchem i zasypany liśćmi zielony zagajnik, a może raczej ruiny jakiegoś domu, który przez lata porósł wysokimi krzewami i trawą. Tuż przed kilkoma rozpadającymi się schodkami prowadzącymi niegdyś do wnętrza chaty rosła ogromna ja-

rzędzina. Tove chodziła tam, kiedy nie potrafiła sobie poradzić z własnymi myślami. Siadywała na kamieniach, opierała się rękoma o fundament, rozkładała luźno nogi, każde kolano w inną stronę, tak żeby jej brzuch swobodnie się między nimi znajdował, i płakała. Robiła to tylko tu, bo nie chciała, żeby ktokolwiek widział jej smutek. Patrząc na dojrzale, czerwone grona jarzębiny, myślała o tym, żeby nakryć się jak wtedy skórą i po prostu zniknąć, ale bała się tego. Cały czas w głowie miała jedno zdanie: *Już nie jesteś odpowiedzialna tylko za siebie*. Gdzie by się znalazła, gdyby chciała już na zawsze stąd zniknąć? Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zastanawiała się też, kiedy minie jej ten smutek, czy już będzie musiała z nim żyć, a może przejdzie wraz z jesienną zawieruchą?

Czasem wzmagał się tu wiatr, bo ruiny były postawione na wzniesieniu. Trzaskały wtedy gałęzie, krzewy uginały się pod naporem, a z jarzębiny spadały czerwone korale, roztrzaskując się niejednokrotnie o ziemię. Rozbryzgany sok wyglądał jak rozlana ludzka krew. O określonych porach przylatywały też jemioluszki na jarzębinową ucztę. Ich widok zawsze radował serce Tove. Niewielkie ptaszki o tak barwnym i delikatnym umaszczeniu sprawiały jej wielką radość. Nie widziała ich w okolicach wsi ani domu Irmy, natomiast tu, w niewielkim oddaleniu od ludzkich gospodarstw, czasem przesiadywały całymi rodzinami. Śpiewały, ćwierkały między sobą, a wraz ze słuchaniem ich donośnych dźwięków wychodził z Tove całodzienny trud i smutek. Wychodził przez oczy, uszy, nos, a najbardziej podobał się dziecku, bo gdy tylko w pobliżu słychać było ich charakterystyczny świergot, kręciło się w brzuchu.

Powietrze na ruinach przybierało różne formy, podobnie jak wiatr, który często tu zaglądał. Rozczesywał włosy Tove albo je płątał czasem był szorstki albo sztywny, jednak najbardziej lubiła, jak przylatywał ten miękki i ciepły niczym krowie mleko. Zdawało jej się czasami, że czuje jego słodkawy smak na ustach i policzkach. Zanurzała się w nim całą sobą i choć teraz najczęściej odwiedzał ją wiatr zimny, który przylatywał z północy, wiedziała, gdzie usiąść, żeby jeszcze choć przez chwilę poczuć ten cieplejszy. Szła wtedy za dom, tam, gdzie kiedyś najprawdopodob-

niej ktoś uprawiał ogródek. Tego lata zauważyła rosnące zioła dokładnie w tamtym miejscu. I choć mięta próbowała przywłaszczyć sobie prawie całą powierzchnię, to obok niej wyrastały zupełnie dzikie, nieuporządkowane rumianek i pokrzywa. Teraz po ziołach już nie było śladu, ale właśnie tu najbardziej lubił przebywać ciepły, delikatny wiatr.

Dziś wstała skoro świt i choć spała jeszcze w chacie Irmy, już lada dzień Gorhan miał skończyć swoje prace. Ubrała się w suknię i gruby, wełniany sweter. Dostała go w prezencie od tkaczki. Był bardzo ciepły i drapał ją w szyję, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Najważniejsze, że mogła się w nim schować, nie czując chłodu, a splot, z którego był zrobiony, przypominał warkocz zdobiący jej głowę. Wyszła przed dom i na jaśniejącym niebie zobaczyła klangor żurawi. Odgłos, jaki wydawały, był dźwięczny i dostojny, przypominał tylko o jednym, o nadchodzącej zimie. Świat dookoła pachniał jeszcze snem i nie wydawał się taki oczywisty jak za dnia. Janek nie rozrabiał w obejściu, ludzie nie przychodzili po rady, czas jakby zastygł w bezruchu, tylko to zimne powietrze coraz mocniej panoszyło się dookoła. Wzięła ze sobą plecak, kawałek starego chleba z wczorajszej kolacji, założyła na szyję wisiory, na łydkach zawiązała rzemienie butów i wyszła.

Już na miejscu odwinęła kanapkę ze szmatki i zjadła ze smakiem posiłek. Czowała na języku śmietankowy smak masła posypany grubą warstwą soli i głęboki owczego sera, który wczoraj przyniosła od sąsiadów. Brakowało jej tylko ciepłego naparu z lipy i rumianku do rozgrzania. Położyła ręce na brzuchu i zaczęła odliczać na palcach. Za około dwa miesiące powinna urodzić. Choć ludzie zewsząd przekonali się już do niej i zaakceptowali ją, wcale nie było jej do śmiechu. Wspominała teraz bez troski czas spędzany z siostrami, kiedy to zupełnie nieświadome nie wiedziały, co jeszcze czeka je w życiu. Te przyjemne poranki, kiedy we cztery zasiadały do wspólnych śniadań, nawet kłótnie, teraz, w jej pamięci rozbrzmiewały zupełnie inną paletą wspomnień. Doleciał do niej wilgotny i rześki zapach jeziora, jeszcze nie wiedziała, że szum jego fal był tłumiony przez porośnięte tu gęsto leśne drzewa. Wystarczyło piętnaście minut pieszej wędrówki, ażeby znalazła się tuż nad jego brzegiem.

Nie była już tą samą dziewczyną otumanioną z miłości. Coś w niej obumarło, z dnia na dzień tęsknota opuszczała ciało. Teraz czuła tylko ten zimny wiatr, który coraz mocniej siadał jej na ramionach i wtedy nagle, zupełnie niespodziewanie wstała, otrząsnęła się z liści i ziemi, które przywarły do jej sukni i zaczęła chodzić dookoła ruin, aż w końcu poczuła na karku dziwny dreszcz, choć jej oczy już od bardzo dawna nie zachodziły bielmem, a teraz znów chciały odegrać swój magiczny taniec.

Zobaczyła pod powiekami dziwne światło, jakby promienie słońca odbijały się w jeziornej toni. A potem przykucnęła i opadła na oba kolana, mieszcząc brzuch między nimi. Spojrzała przed siebie, a widząc szarą, poszarpaną i zgrubiałą korę jabłoni, zaczęła kopać pod nią dół. Rozgarniała rękami czarną ziemię tak długo, aż mogła schować w niej całe swoje ręce od palców po szyję. Sięgnęła po plecak i wyciągnęła z niego szmaciane zawiniątko. Odwinęła materiał i policzyła skarby. Miała kilka pierścionków, bransoletę i dość duży kamień, którego jeden z przybyłych nazwał rubinem. Obracała go w palcach i przez chwilę zastanawiała się, czy na pewno chce schować go w ziemi. Mogłaby zrobić z niego wisior, ale niepotrzebnie przykuwałby ludzką uwagę, mogłaby też nim za coś zapłacić, ale przecież nic nie było jej potrzebne, jedyne, czego by chciała, to świat, z którego wyszła, a do którego już wrócić nie mogła, więc wszystko, na co patrzyły jej oczy, znów zawinęła w kłębek materiału, a potem ścisnęła cały pakunek sznurem, przewiązała kilka razy bardzo szczelnie tak, żeby nic z niego nie wypadło i położyła na dno dołu, który bardzo szybko zasypała ziemią. Świeży usyp przykryła opadłymi z drzew liśćmi i usiadła na nim, starając się zapamiętać to, co jest naprzeciw niej, czyli zachodni róg domu, najbardziej ostały z ruin. Drewniana belka teraz zupełnie spróchniała, choć pewnie kiedyś podtrzymywała sklepienie domu. Ciekawe, czy wychowywały się tu dzieci? Dlaczego nikt nie zadbał o tę posiadłość? Musiało być tu pięknie, zanim wszystko popadło w ruinę. Widok na te drzewa, krzewy musiał przyciągać, a może ciąży na tym miejscu jakaś klątwa?

-- Aaaa...! -- Natychmiast chwyciła się za dół brzucha, skurcz był na tyle mocny, że prawie przewróciła się na ziemię.

-- Co ty tu robisz? -- Zdziwiony Gorhan pojawił się obok niej jak zjawą.

Chwył pełnym uściskiem za miejsce, w którym kiedyś zarysowywała się mocno wcięta talia, a teraz mięśnie podtrzymywały ciężowy brzuch. -- Rodzisz? Tove? Powiedz coś!

Dziewczyna skupiona na swym bólu z zaciśniętymi powiekami i drżącą z niewyjaśnionych przyczyn dolną szczęką nie odpowiadała. Wdychała i wydychała powietrze, nozdrza chodziły jej jak u konia, chciała jak najszybciej wyswobodzić się z tego uścisku, ale wiedziała, że gdyby ją puścił, upadłaby na ziemię. On też o tym wiedział, jej ciężar coraz mocniej przechylał się na jego ciało. Tove poczuła na swych plecach ciepło męskiego torsu, słyszała też bicie jego serca, mocne niczym uderzenie w naprężony bęben, i zapach, który mu zawsze towarzyszył, świeżego miodu i letniego mleka. Chciała już uwolnić się z tej dziwnej, krótkotrwałej zależności, ale ciało spowite w bólu odmówiło jej posłuszeństwa, z trudem wyszeptała:

-- Przestraszyłam się, auuu... -- syknęła obolała. -- Muszę usiąść, nie utrzymam się na nogach.

-- Dasz radę przejść kawalek? -- Poczowała rozgrzane powietrze wydobywające się z jego ust na swojej szyi. Nie widziała go, ale czuła ciepło, rozgrzewały się jej stopniowo ręce, jakby ktoś jeździł po nich rozgrzaną kulą od ramion po palce, czuła mrowienie.

-- Nie wiem. -- Chwył ją jeszcze mocniej i delikatnie przesunął, postawiła jeden maleńki krok, do którego dołączył następny i tak powoli doszli do fundamentów. Ściągnął z siebie katanę i kładąc na kamieniach, kazał jej na niej usiąść. Dopiero teraz schylił się, prawie klękając, i spojrział na wykrzywioną z bólu twarz.

-- Rodzisz? Czy ty rodzisz? -- powtórzył.

-- Nie, już mi przechodzi, mówiłam, żeś mnie wystraszył. -- Spojrzała na mocno zarysowaną linię szczęki, pokrytą jasnym zarostem. -- Już mi dużo lepiej, masz coś na brodzie.

Gorhan przetarł ręką po włosach i ściągnął z nich zielonych paproch.

-- Wodorosty -- powiedział i odrzucił zielsko na bok.

-- Jadasz wodorosty? -- zapytała, a drobne linie zmarszczek wokół oczu powoli zaczęły się wygładzać.

-- Czasami.

-- Nie masz co jeść? Mam jeszcze kanapkę w torbie. -- Wskazała jedną ręką na plecak, drugą trzymając się za brzuch. Gorhan roześmiał się wniebogłosy, a dziewczyna znów poczuła ciepło bijące z jego torsu. Pomyślała, że to nawet przyjemne. To tak, jakby otarła się o kafle gorącego pieca, a chwilę potem poczuła promienie słońca na plecach. Delikatnie przedarły się przez chmury, zapowiadając dość pogodny dzień. Musnęły jego twarz i utkwily w niebieskich jak chabry oczach. Patrzyła na niego zupełnie inaczej niż ostatnim razem, poczuła, że rozegrało się w nim coś złowieszczonego z pogranicza życia i śmierci.

-- Co tutaj robisz? -- zapytała wprost.

-- A ty?

-- Czasem przychodzę popłakać.

-- Ja też.

Na te słowa roześmiali się w tym samym momencie. Tove sięgnęła po skórę i przykryła nią brzuch, jakby chciała odgrodzić dziecko od całego świata. Zawstydzila ją cała ta dziwna sytuacja, spuściła wzrok i gładziła włosie w jednym kierunku. Gorhan dopiero teraz poczuł jakiś dyskomfort, dzielił ich brzuch ciążowy. Wstał i usiadł obok.

-- To jakieś świeże nieszczęście? -- Pytanie samo nasunęło mu się na język, sięgnął po leżący obok konar i przyciągnął go pod nogi.

-- Nie umiem odróżnić, czy świeże, czy już stare. -- Chwyliła obiema rękami za amulety. -- A twoje?

-- Stare, stare... Nie ma do czego wracać.

-- Myślisz, że można z tego jakoś wyjść?

-- Z czego? -- zapytał, nie zrozumiawszy jej.

-- No wiesz, z tego płakania i smutku.

-- Można, tylko potrzebujesz czasu. Spójrz na mnie, ja z tego wyszedłem. -- Próbował się do niej uśmiechnąć.

-- Ale nie wyglądasz na szczęśliwego.

-- Bo nie jestem.

Wstał i chwycił konar, a potem jeszcze kilka innych gałęzi, ułożył z nich niewielki stos i zaczął czegoś szukać w kieszeniach.

-- Przecież tu można rozpalić ogień! Czemu ja na to nie wpadłam wcześniej!

Była szybsza i podała mu krzesiwo, które wyciągnęła z mozołem z plecaka. Kiedy mu je podawała ich ręce spotkały się na chwilę i znów poczuła jakiś dziwny dreszcz. Patrzyła, jak ogień nie chce się rozpalić, a smugi dymu rozcinają poranną przestrzeń. Wiatr unosił je wysoko, wirowały pomiędzy gałęziami, wręcz siadywały na nich niczym poranna mgła na trawie. Gorhan wziął głęboko powietrze w płuca i dmuchnął w gałęzie, zrobił tak kilka razy, aż w końcu ogień się pojawił. Tove obserwowała go z boku. Miał szerokie ramiona i dziwnie czujne spojrzenie jakby czegoś szukał w powietrzu, jakby chciał przewiercić na wylot jabłoń i drzewa.

-- Dziecko z miłości? -- zapytał, patrząc w płomienie.

Odwrócił się nawet do Tove plecami, jakby bał się na nią patrzeć. Czuł, że pytanie może być zbyt intymne, choć znali się już kilka dobrych tygodni, to nigdy nie rozmawiali ze sobą szczerze i otwarcie, a teraz tu, przy tej jabłoni i w tych łzach, jakby coś pękło. Tove w końcu nie czuła się jak erotyczny obiekt zachwyków innych mężczyzn. Jej stale powiększający się brzuch chronił ją przed dwuznacznymi spojrzeniami i uszczypliwymi tekstami i choć Gorhan nigdy nie sprawił, żeby czuła się źle w jego obecności, to już sam fakt, że jest odmiennej płci, był dla niej pewnego rodzaju barierą. Wracały do niej dosyć często zupełnie nieproszone wspomnienia z ostatniego zdarzenia. Bywało też, że budziły ją w nocy koszmary, podnosiła się wtedy z łóżka, łapała oddech, otwierała oczy i widziała przed sobą pełne żalu i goryczy oczy młynarza. Również czuła na skórze bolące miejsca pozostawione po uderzeniach kamieni, paliły ją wtedy niczym rany powstałe po rozżarzonych węglach. Starala się ukryć przed wszystkimi, a chyba najbardziej przed samą sobą jakiś nieopisany wewnętrzny lęk, jednak bardziej czuł i wprawne oko mogło coś zauważyć, pewnie dlatego mężczyzna tak dopytywał.

-- Z mojej na pewno -- rzuciła oschle, chowając się z zimna w ramionach.

-- A jaka jest prawda?

-- Prawda? -- powtórzyła wzburzona. -- Chyba gównie prawda! Prawda jest taka, że ktoś wtargnął do mojego domu, więc musiałam uciekać, nie wiem, co się dzieje z moją babką, najprawdopodobniej nie żyje, jedna z moich sióstr zdradziła rodzinę, druga wyzionęła ducha w lesie, a dziecko, które noszę pod sercem, nie ma ojca, bo tak samo szybko, jak się pojawił, tak też zniknął. Chcesz jeszcze coś wiedzieć?

-- Nie pytałem o życie, które toczyłaś przed tym jak się tu pojawiłaś, tylko o to, jaka jest prawda.

-- Nie rozumiem, teraz to już zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi - - powiedziała lekko wzburzona.

-- Jaka prawda przychodzi do ciebie i stoi nad wezgłowiem łóżka, kiedy idziesz spać? -- Tove spojrzała na Gorhana lekko zdezorientowana, nie była pewna, czy sobie z niej kpi, czy pyta zupełnie poważnie, ale mężczyzna patrzył na nią niebieskimi oczami, mrużąc je od słońca i dalej już nic nie mówił, tylko patrzył tak jakoś tajemniczo, jakby zupełnie na poważnie chciał poznać odpowiedź na tak dziwne pytanie.

A prawda była taka, że Tove nie wytrzymała z nadmiaru emocji, które chowała tak bardzo szczelnie w sobie już od tylu miesięcy, i rozpląkała się jak nigdy dotąd. Łzy spływały jej po policzkach równymi strumieniami, tworząc niewielkie kałuże u jej stóp. Ściekały po nadgarstkach, wsiąkały w materiał sukni i w sarnią skórę. Były dosłownie wszędzie, kiedy zasychały na policzkach, tworzyły się z nich solne, białe smugi, sięgające aż do szyi.

Gorhan był zupełnie zdezorientowany, nie przeczuwał nawet, że doprowadzi ją do takich łez, więc podszedł do niej najciszej i najdelikatniej, jak potrafił i powiedział:

-- Wiesz, co teraz musisz?

-- Co? -- Było to jedyne pytanie, na jakie złapała oddech, między jednym łkaniem a drugim.

-- Nic. Zupełnie nic.

-- Ale jak nic! -- krzyknęła w odpowiedzi. -- Muszę chociażby urodzić!

-- A to mało jest? W zupełności wystarczy, a później już nic.

-- Co ty opowiadasz? Muszę znaleźć siostrę, może nawet babcię, muszę... -- Gorhan przerwał jej słowami:

-- Spróbuj być przez chwilę jak ryba, tak sobie po prostu pływaj z nurtem. Nie musisz wiedzieć, gdzie i po co. Ty nic teraz nie musisz, rozumiesz to? Po prostu pływaj -- mówił i mówił, powtarzając cały czas jeden i ten sam zwrot, a Tove poczuła w sercu pustkę i coś jeszcze, coś bardzo dziwnego. Jakby ktoś wymieszał w niej niepokój z odrobiną nadziei, tylko jeszcze nie wiedziała na co, bo to czasami tak właśnie jest, że jak łązy ujrzą światło dzienne, to po nich przychodzi pustka, jakby ktoś wybrał całą wodę ze studni, i wtedy tam na dnie robi się taka głucha cisza, której niektórzy się boją, a jeszcze inni pragną jak niczego innego na świecie.



16.

Ziele starej kobiety

-- Co z nią? -- Mężczyzna zasłonił twarz szczelniej kapturem, na piersi rysowała się duża klamra spinająca futro z obu stron. Wiatr ze śniegiem smagał jego twarz, na ramionach usypały się niewielkie kopczyki śniegu.

-- Wejdz, bo zamarzniesz. -- Staruszka rozchyliła drzwi, zanim przestąpił próg domu, strzepał rękami biały puch z ramion i mocnym, zdecydowanym kopnięciem usunął śnieg z butów. Uderzył go zapach ciężkich, żywicznych kadzideł, zaciągnął się ich wonią prawie jak dymem z fajki, zakręciło mu się w głowie, zdjął futro, przeczesał rękami włosy i usiadł na krześle.

-- Zima nie odpuszcza w tym roku. Zaraz wam odśnieżę, macie przed domem takie zasy, że nawet ja miałem trudności z tym, żeby się tu dostać. -- Spojrzał na bladą twarz Irmy, z której nie był w stanie niczego wyczytać. -- Co z nią? -- powtórzył jeszcze raz. Staruszka milczała, ktoś zapukał do drzwi, które same uchyliły się pod naporem zamieci.

-- To ja, Suszka -- zdało się słyszeć z ciemności dziewczęcy głosik.

-- Wejdz! -- W Irmę jakby wstąpiło nowe życie, szurając nogami pomogła przybyłej wejść do środka. Gorhan niepewnie obserwował kobiety. Nie znał tej drugiej. Po tym, jak wyglądały jej zniszczone i przemoczone buty, wnioskował, że musiała przejść długą drogę.

Miała czerwone z zimna ręce i nos, trzęsła się, jakby dopadła ją jakaś choroba. Irma posadziła Suszkę przy piecu i dała do wypicia gorący napar, twarz kobiety zaczęła nabierać rumieńców, zdjęła z siebie ciężką skórę i futrzaną czapkę. Oczom Gorhana ukazały się rude, poskręcane jak leśne liany włosy. Nigdy nie widział takiego koloru. Na sam jego wi-

dok zacisnął w kieszeni pięść, coś mu to przypominało. Kobieta miała pomarszczoną twarz i była bardzo szczupła, wiekiem nie była ani stara, ani młoda. Zaczęła rozczesywać rękoma pukle włosów, wsuwała w nie palce i grzebała dosyć mocno, aż w końcu wyciągnęła z nich niewielkie kuleczki, które najwyraźniej przyniosła w lokach.

-- Proszę, to one. -- Położyła na stół dwa brązowe żołędzie, a potem zaczęła wyciągać kolejne. -- Mam ich więcej. Schowałam we włosach, bałam się, żeby nie zamarzły podczas podróży, wtedy moja droga zdałaby się na nic. Kto to? -- Skinieniem głowy wskazała na Gorhana. Mężczyzna nieco się zdziwił, wszak to on był właśnie znanym sąsiadem w przeciwieństwie do przybyłej.

-- Dobry człowiek, zostaw go.

-- Ale to mężczyzna, Irmo... -- Czuć było pretensje w głosie Suszki.

-- To jest mój syn. -- Gorhan aż poderwał się ze zdziwienia. Swoich rodziców już dawno pochował.

-- W takim razie tę sprawę zostawiam w twoich rękach. Gdzie dziewczyna?

-- W drugiej izbie.

-- Zostawiałaś ją samą? -- zapytała z pretensją.

-- Tak. Siedzi na krześle od kilku dni i patrzy się w kąt pokoju. Nie reaguje na słowa, zapachy, nie je, nie śpi, ma cały czas otwarte oczy. Zanim usiadła, powiedziała, że chce zatrzymać czas.

-- Kiedy przewidujesz, że urodzi?

-- Może za tydzień, dwa, ale jak tak dalej pójdzie, to nikogo nie urodzi, bo się zagłodzi, niedługo opadnie z sił, a co dopiero mówić o porodzie? Sama go nie wypchnie, przecież wiesz, jak wyglądają porody. Nie wiem, co robić. Zupełnie nie wiem. Myślałam, że już doszła do siebie, że się pogodziła ze swoim losem, a ona dalej cały czas walczy... Po co? Suszko, powiedz mi, po co. Czy jej tu jest źle? Mam wrażenie, że ona chce umrzeć. Będziemy rozcinać brzuch? A jak się w niej udusi? Będziemy chowały dwa trupy za jednym razem? Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby ją tu zatrzymać. Miała jedzenie, dom, ogień, dobrych ludzi, dlaczego nie chce tego zaakceptować?

-- Musiałyby przyjąć zupełnie inną postawę, zamienić się z wojownika w podróżnika, może nikt jej tego nie nauczył, że czasem trzeba odpuszczać, tego procesu już potem nie da się zatrzymać. -- Położyła na stole kolejne żołądki. -- Można jej dotknąć? Wiesz, chodzi mi głównie o brzuch. Porozmawiam z nią, a jeśli nie przyniesie to odpowiedniego skutku, to wiesz, co będziemy musiały zrobić?

-- Wiem. Nie musisz mi tego tłumaczyć.

-- Wszystko zależy od ułożenia dziecka i jej wigoru.

-- Ona ledwo siedzi, nie ma już wigoru. Gdyby zgodziła się teraz położyć, jeść, pewnie po kilkunastu dniach miałyby siłę urodzić, a tak? Ten poród może ją tylko zabić.

Kobiety rozmawiały, w ogóle nie zwracając uwagi na Gorhana, a ten uważnie, jak miał w zwyczaju, obserwował i słuchał. Tych różnych dziwnych zdań, które nie dawały mu jednoznacznej odpowiedzi, było tak dużo, że w pewnym momencie zaczęła go boleć głowa i poczuł się tak, jakby był pijany. Najbardziej uderzyła go wiadomość, że oboje mogliby nie przeżyć, a jeśli udałoby się uratować dziecko? Co wtedy? Oczywiście, pomogłyby je wychować wiejskie baby, ale co z ojcem dziecka? Może wtedy powinien go znaleźć? A może lepiej byłoby zostawić ten temat bez zakończenia, ale dziecko przecież kiedyś urośnie i będzie pytało? Na początku pewnie wszyscy by kłamali, ale potem i tak prawda wyszłaby na jaw. Plotki bardzo szybko rozchodzą się po domach i lubią ogrzewać najwygodniejsze miejsca przy ogniu, a jeśli to będzie chłopiec? I jako podlotek sam wyruszy w podróż na poszukiwania ojca? Czy nie lepiej byłoby, gdyby zrobił to on? Przecież i tak nic już nie ma do stracenia, jego życie skończyło się, kiedy kobieta, którą kochał, wychowała im dzieci i odeszła z innym. Co mu pozostało oprócz starej chaty nad brzegiem jeziora i ryb?

-- Nawet o tym nie myśl. -- Suszka skierowała ostry ton do Gorhana. -- To nie są głosy twoje, tylko cieni. Nikt tu nie umrze -- powiedziała mocno i wyraźnie, a słowa odbiły się echem od ścian i wróciły do Gorhana. "Nie umrze, nie umrze, nie umrze, umrze, umrze, nie umrze" -- wirowały mu myśli, coraz mocniej zataczał głową na boki. Może to za

sprawą woni kadzideł, a może strachu, który zaciskał w pięści, chowając go po kieszeniach? Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok, ale nie był on ludzkim. Spojrzał w okno, na parapecie po drugiej stronie szyby siedział kruk i spozierał ślepiami na Gorhana. Czuwasz nade mną? Mężczyzna zadał mu pytanie, nie poruszając wargami ani językiem, ptak zamrugał powiekami i z głośnym trzepotem skrzydeł odleciał. Zwiastujesz śmierć czy mnie pilnujesz? Znów usłyszał głos, tym razem swój własny.

-- Jedno i drugie -- odpowiedziała Suszka, łapiąc go za ramię. -- Chodź, możesz się przydać, jakby nam rozum odjęło. Odurzony kadzidłami wstał, a w jego głowie rozlewało się tylko jedno zdanie: "Umrze, nie umrze, umrze..."

Nie musieli wychodzić na zewnątrz, żeby dostać się do izby Tove. Ściana od jej mieszkania była również ścianą izby Irmy. Zaplanowali takie rozwiązanie wspólnie we trójkę. Gorhan tylko powiększył kuchenkę z piecem, tak aby każda z kobiet miała swoją własną, z miejscem na palenisko, ale był jeden problem. Żeby dostać się do drzwi znajdujących się w ścianie, trzeba było przejść przez szafę. Pomieszczenie Irmy było na tyle małe, że niestety nie było w nim miejsca, w które można by spokojnie przesunąć mebel, więc na potrzeby sytuacji usunęli niektóre półki z wnętrza, podobnie jak tylną ścianę mebla, i właśnie przechodząc przez to dziwne miejsce, znajdowali się w pokoju Tove.

Gorhan prosił Irnę, żeby przełożyła rzeczy z szafy w inne miejsca, tak żeby móc ją porąbać i spalić, ale do staruszki nie docierały żadne argumenty, upierała się przy tym, żeby ją zostawić. Miała dla niej ogromną wartość sentymentalną, była pamiątką po rodzicach, a z niektórymi rzeczami to tak właśnie jest, że wystarczy na nie spojrzeć, poczuć ich zapach, dotknąć, i człowiek myślami przenosi się w zupełnie inne miejsce, a nawet czasem potrafi siłą umysłu przywołać i porozmawiać z ludźmi, którzy je ofiarowali, i właśnie tak było w tym wypadku.

Otworzyli więc szafę, dokładnie w ten sam sposób, w jaki się to robi, żeby wyciągnąć ubrania, i wchodząc do jej wnętrza, zaczęli znikać, jedno po drugim. Wyglądali tak, jakby pochłaniała ich ciemna, wzburzona, sztormowa fala. Opary kadzideł penetrowały każdy kąt mieszkania, wni-

kały w szczeliny podłóg i ścian, zawładnęły całą domową przestrzenią. Szafa wylaniająca się z szarej mgły rosła niczym potężna góra, na której szlaku znikali piechurzy, aż w końcu rozplynie się na dobre i postawili stopy na zupełnie innej ziemi.

W Gorhanie nagle zapanowała cisza, która odbijała się echem od wnętrzości i płynęła strumieniami w kraterach żył. Była ciemna i głośna, a ten, kto spotkał się z najbardziej dojmującym wewnętrznym milczeniem, kiedy nie krzyczał ani nie szeptał w nim żaden dobry ani zły głos, będzie wiedział, że cisza też może być głośnym utrapieniem. Czuł się tak, jakby zniknęły jego wszystkie organy i mięśnie, jakby ziemię zalała potężna woda, pod którą nie sposób było oddychać, a on miałby otwarte oczy, za którymi czaił się zamglony szafirowy obraz, poprzecinany pręgami krwi. Ten jeden dobrze mu znajomy widok powodował paraliż całego ciała. "Umrze, nie umrze, umrze, nie umrze" -- wyliczał ktoś, rozcinając ciszę. -- "Wszyscy umrzemy, dziś czy jutro, co za różnica? Ciało marszczy się i kurczy, więdnie, opada, pęka skóra, łamią się kości, leje krew, i zostaje tylko pusta skorupka, w której nie ma już nic". Mężczyzna z trudem rozejrzał się dookoła, ktoś wyraźnie do niego mówił. Kobiety klęczały nad Tove, mówiąc coś do siebie, a Gorhan gdy nie znalazł źródła owego głosu. Znów skierował swoje oczy w kierunku Tove.

Widok był dość makabryczny. W strumieniach krwi leżał szkielet kobiety, której brzuch urosły do gigantycznych rozmiarów, niemal wgniatał ją w ziemię. Kobieta leżała całkowicie nieruchoma i brudna. Strupy zaschniętej krwi okalały uda przypominające odpadającą korę z chorych drzew, na papierowej twarzy rysowały się jedynie linie fioletowych żył, a z kącików ust sączyła się świeża krew. Oczy na wpółotwarte tępo patrzyły w sufit. Kobieta leżała na podłodze, a obok niej stało krzesło.

-- Szybko, Suszko! Parz ziele starej kobiety, ile tylko mam w szafce, zalej wrzątkiem wszystko. Wymocz w tym prześcieradła i szmaty, przynieś naparu również w tej dużej butli od mleka, tylko weź tę z wąską szyjką! Koniecznie dorzuć żołądź! Szybko! Przecież wiesz, co masz ro-

bić! Brzuch się nie rusza, wód płodowych nie ma, jest tylko krew, wszędzie krew! Znasz się na światłach?

-- Na czym? -- zapytała w przerażeniu i zdumieniu.

-- Na światłach, jest potrzebne nam światło i nadzieja. Z czego można je zrobić? Znasz jakieś starodawne zaklęcia?

-- Moja matka kiedyś mówiła, że tego czaru nie da się zrobić za pomocą zwykłych przedmiotów.

-- Ale przecież nasze też są niezwykle! -- krzyczała, wycierając pokrwawione ręce w spódnicę.

-- No tak, ale tu chodzi bardziej o ludzi niż o przedmioty. Jedno musi iść w parze z drugim. Podobno to jest tak jak z robieniem amuletów. Ktoś dla ciebie ważny, robi coś wyjątkowego z niezwykle przedmiotów i w magicznych okolicznościach, a tu...?

-- Szybciej! Mów szybciej! -- sapała staruszka, ledwo łapała oddech, ręce jej się trzęsły, gdy rozchyłała na boki kolana Tove. -- Nie ma rozwarcia, rozumiesz? Tu jest krew! -- Podniosła wzrok na Suszkę. -- Jakie okoliczności?! Dziewczyno, rozejrzyj się, tu jest tylko śmierć! Nie czujesz jej? Biegnij po ziele!

Suszka nie słyszała już kolejnych poleceń Irmy, tylko odepchnęła Gorhana, który zagroził jej drogę do drzwi i pobiegła do kuchenki, a strach -- choć próbowała go odeprzeć -- rósł w niej z minuty na minutę i stawał się coraz większy. Niestraszny był jej widok krwi ani umarłych ludzi, czy to dorosłych, czy dzieci, ale zapach rozżarzonego metalu i zaschłej posoki świadczył tylko o jednym.

-- Irma mówi, że nie macie już czasu. -- Mężczyzna zbladły z wrażenia pojawił się za plecami kobiety.

-- Przecież się nie rozdwoję!!! -- krzyknęła tak głośno, żeby słowa doleciały do samej Irmy. -- Trzymaj misę i szmaty, zaraz przyniosę dzban! No leć! Co tak stoisz! -- Przekazała rzeczy na ręce Gorhana i pchnęła go mocnym kuksańcem w plecy.

Mężczyzna potknął się o próg szafy i zniknął w niej jak sowa w ciemnym lesie. Zdawało mu się, że szybuje ponad ciężkimi koronami drzew, nawet słyszał, jak liście poruszane wiatrem opadają na poszycie. Jak

można usłyszeć spadający liść? -- pomyślał. -- Pewnie to jest tak samo jak z rybami, wytrawne ucho rybaka słyszy, kiedy się jakaś zbliża, szczególnie, gdy na jeziorze nie ma fal, choć zwykły człowiek powiedziałby, że to zupełnie niemożliwe.

-- Szmaty!! -- donośny skrzek Irmy wyrwał go z irracjonalnego zadumania, gdy tylko znów zobaczył Tove, szybko wrócił do siebie.

-- Ona jeszcze tu jest? -- postawił pytanie z jakimś dziwnym niedowierzaniem w głosie.

-- Raz jest, raz jej nie ma. Okryj ją szmatami, daj butelkę i trzymaj jej kolana, tak żeby nie opadły na podłogę. -- Poczekaj! -- Zatrzymała go jeszcze na chwilę. -- Unieś jej miednicę do góry, włożymy pod nią poduszkę.

-- Ale po co?

-- Musi być wysoko, zaraz zobaczysz, po co. -- Irma wprawnym ruchem wycelowała szyjką butelki od mleka w pochwę Tove i wepchnęła ją bardzo głęboko. Widać było, jak napor powoli wypełnia jej wnętrze, żeby zaraz potem rozlać się na podłodze i zmieszać z krwią. -- Co cię dziwi, Gorhanie? Muszę ją napić tylko z tej drugiej strony, jest nieprzytomna, więc sama niczego by nie połknęła. Nie bój się. Nie patrz na mnie tak, jakbym jej wyrządzała krzywdę! To jest napor z piołunu, musimy wywołać poród, może się od tego ocucić, a jeśli się nie uda...

-- To co?

-- To sam zobaczysz -- mówiąc to, już dużo delikatniej wyciągała z Tove butelkę, po czym włożyła w nią całą swoją dłoń i zaczęła masować. -- Coś tak zbladł? -- Wykonując koliste i mocne ruchy, mówiła: -- Powinny jej odejść wody płodowe, muszę ją rozmasować, Gorhanie, powoli opadam z sił.

-- Wiem, przecież to widzę, co mam zrobić?

-- Widziałam, jak na nią patrzyłeś. -- Wcisnęła dłoń głębiej w pochwę, Tove bezwiednie przerzuciła głowę z jednego boku na drugi. Wydawało im się, że nawet pisnęła z bólu, ale było to tylko skrzypienie dobiegające z szafy. Do pomieszczenia weszła Suszka. -- Daj jej nadzieję i światło. -- Początkowo zdawało się, że Gorhan nie rozumie, o co jej

chodzi. -- Człowieku, słyszysz mnie?! Walcz o swoje! Czy możesz dać jej nadzieję i światło?!

Gorhan podniósł głowę jak przerażony pies i patrzył to na staruszkę, to na wycieńczone, kościste ciało Tove, a jego oczy stawały się łagodne, bardzo wilgotne i bardzo duże. Nie odpowiedział, natomiast w Irmie wszystko wrzało, krzyczała na niego, ale nie słyszała. Krzyczała na Suszkę, ale czas jakby się zatrzymywał, pot ciekł im wszystkim po twarzach i ciachach, a Tove powoli znikła, zapadała się w siebie, wgniatały ją w podłogę brzuch i ciężkie od tajemniczej atmosfery powietrze. Suszka przykładła ręce do ogromnego brzucha i też zaczęła krzyczeć, ale Gorhan nie wiedział, co robić, poczuł tylko w nozdrzach zapach zgniłych ryb i spojrzał na podłogę. Z Tove wypłynęła sina woda, Suszka od razu usiadła na brzuchu dziewczyny i zaczęła naciskać na nią całą sobą, darła się też przy tym, jakby sama rodziła.

Twarz Tove robiła się coraz bardziej czerwona, ale dziewczyna nie odzyskiwała przytomności. Kobiety darły się nawzajem, a Gorhan oszłomiony milczał, jakby zupełnie był w innym miejscu i czasie, aż w końcu włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej duży, mieszczący się w jego pięści kamień, do którego był przymocowany gruby rzemień. Na otwartej dłoni podał go Irmie.

-- Już wcześniej miałem jej go podarować, ale nie zdążyłem. Jak zaczniesz go oglądać pod słońce, to kolorem przypomina lepki, ciepły i słodki miód, a gdy zaciśniesz go w rękę, będzie czarny jak ziemia.

Irma natychmiast chwyciła przedmiot, mówiąc:

-- Głupcze, to nie jest kamień, przecież jest lekki jak ptasie piórko! Niektóre kamienie rzeczywiście mają moc, ale są szlachetne i ciężkie!

-- To jest duch drzewa i wody -- bursztyn. Wyciągnąłem go z brzucha ogromnej ryby, ale nie tu, nie na naszych wodach. To jest zastygła żywica, która w pradawnych czasach trafiła do ziemi. Te kamienie wyławia się z morza, ogromnego akwenu, niemającego ni początku, ni końca, a pod głębokimi wodami jest las bursztynowy i drzewa, z których kapie żywica.

Irmie po tych słowach roziskrzyły się oczy, jakby Gorhan właśnie dał jej nadzieję, tylko... na co? Czy można zakląć w kamieniu nadzieję i światło, czy można zobaczyć je w ciele zmarłego, a może w zapachach kadzideł i zatechłych wód płodowych, czy siedzi na zielonych liściach drzew i opada na ziemię wraz z promieniami słońca, wychodzi z ciała kobiety, z rozkosznym krzykiem na ustach albo przeogromnym bólem porodowym? Czy znajduje się w szczękach bitewnego oręża czy w rybich flakach rzucanych w ogień, a może jest pośród nich? Teraz, tutaj, w tym pomieszczeniu, pomiędzy narodzinami a śmiercią, wzrokiem kruka, przyływem i odpływem, pomiędzy krwią a śliną, łzami i solą, czy można zakląć w kamieniu światło i nadzieję?

-- Nie ruszaaa się! Irmooo!! Pomóż!!! Daj!!! -- Suszka chwyciła ramię i rzuciła go Tove na zapadłe piersi, a sama wybiegła z izby, by już po chwili wrócić z czerwonym niczym krew wymieszana z promieniami zachodzącego słońca ostrzem długiego noża. Parował jak świeżo rozpalone kadzidła, tlił się świeżym popiołem.

-- Tnij! Gorhan, tnij!

Mężczyzna klęcząc na podłodze, nie był w stanie podnieść głowy, a co dopiero mówić o dłoniach. Irma zastygła, przestała współpracować, zamknęła oczy i osunęła się plecami o ścianę, zostali tylko we dwoje.

-- O czym ty mówisz? -- Strużki potu oblały go z każdej ze stron. Był cały mokry, jakby przed chwilą jakimś cudem wyszedł spod złowrogiej i potężnej nawałnicy.

-- Przetnij jej brzuch! Tu na dole! -- Wskazała drżącym palcem na podbrzusze. -- Błagam cię tnij! Ja nie przetnę skóry, jestem za słaba! Może jeszcze żyje, Gorhaan! Tnij!

Dopiero teraz zrozumiał, co ma zrobić. Nóż był rozżarzony od ognia, w którym jeszcze przed chwilą leżał. W jednej sekundzie przypomniał sobie, jak ojciec opowiadał mu, że w ten właśnie sposób rozcinali rany poległym w bitwach chłopom. Była to jedyna szansa, żeby nie wdało się zakażenie.

Spojrzał na Irmę, chciał w jej oczach dostrzec jakikolwiek cień aprobaty, ale Irmy już nie było, na jej kolanach siedział cień, wyglądał jak

duży, wyglodniały pies. "Tnij!" -- Słowa widniały na drewnianych belkach podtrzymujących sufit, "tnij!" -- ktoś krzyczał w jego głowie na tyle mocno, że mężczyzna stracił prawie przytomność i kiedy zupełnie bez sił podnosił rękę, zobaczył, jak wypala się na jego nadgarstku tatuaż, a z każdego wypalonego znaku formułowało się słowo:

T

N

I

J.

Potrząsnął nadgarstkiem, żeby go z siebie zrzucić, ale całkowicie na próżno, ciemny napis był już pod jego skórą, więc chwycił nóż i ciął tuż za linią, którą wskazywała opuszką palca Suszka. Krew z podbrzusza Tove prysnęła mu na twarz, ale ciął dalej i otwierał oczy z przerażenia. Suszka zanurzyła swoje dwie niewielkie dłonie w brzuchu Tove, chwyciła dziecko za maleńką miednicę i powoli ciągnęła, aż w końcu dostrzegli przed sobą sine pośladki, uda, plecy i trupiobladą twarz.

-- Krzycz!!! -- Suszka chwyciła dziecko za nogi i trzymała głowę do dołu, zwisająca pępowina była koloru dojrzałej śliwki. -- Krzycz!!!! -- Uderzyła ręką w maleńkie plecki. -- Krzyyyycz!!!! -- Położyła chłopca na kolanach i zaczęła rozcierać dłońmi jego klatkę piersiową, zrozpaczona i zapłakana uderzyła go z całej siły w niewielkie żeberka w miejscu, w którym dokładnie kryło się serce... Coś chrupnęło, usłyszeli oboje.

-- Złamałaś mu żebro! -- Grohan krzyknął kobiecie w twarz.

-- Ale ruszyłam serce! -- odezwała się z jeszcze większą złością. -- Patrz!

Dziecko poruszyło najpierw jedną, a potem drugą nóżką, niepewnie głową i zakwiliło.

-- Jest! Rozumiesz? Jest! -- Położyła obie dłonie na dziecku i zamknęła oczy. Malutki chłopiec wracał ze świata cieni na ziemię.

Wycieńczony Gorhan spojrział na przedramię, tatuażu nie było. Przetarł rękę w miejscu, gdzie do tej pory widniał napis, ale zamiast czarnych liter dotykał gładkiej skóry, a potem usłyszał ujadanie psów

i gdzieś z oddali kruczy wrzask. Spojrzał na Tove. W miejscu, gdzie leżał bursztyn, siedział cień wyglądający jak ogromny pies.